

BEZDYSKUSYJNIE NAJLEPSZA, JAK DO TEJ PORY,  
SPACE OPERA XXI WIEKU

# ANN LECKIE



ZABÓJCZA  
SPRAWIEDLIWOŚĆ

# ANN LECKIE

## ZABÓJCZA SPRAWIEDLIWOŚĆ

przełożyła  
Danuta Górską



*Moim rodzicom, Mary P. i Davidowi N. Dietzlerowi,  
którzy nie dożyli wydania tej książki,  
ale nigdy nie wątpili, że powstanie*

Nagie ciało leżało twarzą w dół, śmiertelnie szare, śnieg wokół niego plamiły rozbryzgi krwi. Było minus piętnaście stopni Celsjusza, zamieć przeszła zaledwie parę godzin wcześniej. W bladym słońcu rozciągała się gładka pokrywa śnieżna, tylko nieliczne ślady prowadziły do pobliskiego budynku z bloków lodu. Tawerna. Albo to, co w tym mieście uchodziło za tawernę.

Odrzucone w bok ramię, linia od barku do biodra wydawały się męcząco znajome. Ale raczej nie mogłam znać tej osoby. Nie znałam tu nikogo. To był lodowaty kraniec zimnej i odizolowanej planety, odległej od radchaajańskiego pojęcia cywilizacji na tyle, na ile to możliwe. Znalazłam się tutaj, na tej planecie, w tym mieście tylko dlatego, że miałam własne pilne sprawy. Ciało na ulicy to nie moje zmartwienie.

Niekiedy nie wiem, dlaczego robię to, co robię. Nawet po tak długim czasie to wciąż dla mnie nowość, że nie wiem, nie mam rozkazów do wykonania z minuty na minutę. Tak więc nie potrafię wyjaśnić, dlaczego przystanąłam i jedną stopą uniosłam nagie ramię, żeby zobaczyć twarz tej osoby.

Chociaż była zmarznięta, posiniaczona i zakrwawiona, rozpoznałam ją. Nazywała się Seivarden Vendaai i dawno temu należała do moich oficerów, młoda porucznik, która w końcu awansowała na dowódcę własnego statku. Myślałam, że nie żyje od tysiąca lat, a jednak niezaprzeczalnie była tutaj. Przykucnęłam i poszukałam pulsu bądź najsłabszego drgnienia oddechu.

Jeszcze żyła.

Seivarden Vendaai już mnie nie obchodziła, nie odpowiadałam za nią. I nigdy nie należała do moich ulubionych oficerów. Oczywiście wypełniałam jej rozkazy, a ona nie dręczyła serwitów ani nie uszkodziła żadnego z moich segmentów (co niekiedy robili oficerowie). Nie miałam powodów, żeby źle o niej myśleć. Przeciwnie, cechowały ją maniery wykształconej, dobrze wychowanej osoby z dobrej rodziny. Oczywiście nie w stosunku do mnie – ja nie byłam osobą, tylko fragmentem wyposażenia, częścią statku. Ale nigdy za nią nie przepadałam.

Podniosłam się i weszłam do tawerny. W środku było ciemno, biel lodowych ścian dawno znikła pod warstwą brudu albo czegoś gorszego. Cuchnęło alkoholem i wymiotami. Za wysoką ladą stała szynkarka. Tubylcza – niska i gruba, blada, o szeroko rozstawionych oczach. Trzy klientki rozpierały się na krzesłach przy brudnym stole. Pomimo zimna miały na sobie tylko spodnie i pikowane koszule – na tej półkuli Nilt panowała wiosna, więc korzystały z ocieplenia. Udawały, że mnie nie widzą, chociaż z pewnością zauważyły mnie wcześniej na ulicy i wiedziały, dlaczego tu weszłam. Zapewne przynajmniej jedna z nich maczała w tym palce; Seivarden nie leżała tam długo, inaczej już by nie żyła.

– Wynajmę sanie – powiedziałam – i kupię zestaw do hipotermii.

Za moimi plecami któraś z klientek zachichotała i rzuciła szyderczo:

– Twarda z ciebie dziewczynka.

Odwróciłam się, żeby jej się przyjrzeć. Była wyższa od większości Nilterek, ale tłusta i blada jak one wszystkie. Ważyła więcej ode mnie, ale ja byłam wyższa i znacznie silniejsza, niż mogło się wydawać. Nie zdawała sobie sprawy, na kogo się porywa. Była prawdopodobnie płci męskiej, sądząc po skomplikowanych kanciastych wzorach pikowania na jej koszuli. Nie miałam całkowitej pewności. To byłoby bez znaczenia, gdybym przebywała

w przestrzeni Radch. Radchaai nie zwracają większej uwagi na płeć, a ich język – mój pierwszy język – w ogóle nie uwzględnia rozróżnień płci. Język, którym teraz mówiliśmy, uwzględniał i mogłam sobie narobić kłopotów, gdybym użyła niewłaściwych form. Nie pomagało, że wskazówki pozwalające odgadnąć płeć zmieniały się w każdym kolejnym miejscu, niekiedy radykalnie, i rzadko miały dla mnie sens.

Postanowiłam nic nie mówić. Po kilku sekundach ona nagle znalazła coś interesującego na blacie stołu. Mogłam ją zabić na miejscu bez większego wysiłku. Spodobał mi się ten pomysł. Ale w tej chwili moim priorytetem była Seivarden. Odwróciłam się z powrotem do szynkarki.

Niedbale zgarbiona rzuciła, jakby nie było żadnej przerwy:

– A ty myślisz, że co to za lokal?

– Lokal – odparłam, wciąż bezpieczna na terytorium lingwistycznym niewymagającym zaznaczania płci – gdzie można wypożyczyć sanie i kupić zestaw do hipotermii. Ile?

– Dwieście shenów. – Co najmniej podwójna cena rynkowa, na pewno. – Za sanie. Na tyłach. Musisz po nie iść. Następna stowa za zestaw.

– Kompletny – zaznaczyłam. – Nieużywany.

Wyciągnęła jeden spod lady. Pieczęć wydawała się nienaruszona.

– Twój kumpel tam na dworze nie zapłacił rachunku.

Może kłamstwo. Może nie. W każdym przypadku kwota będzie czystą fikcją.

– Ile?

– Trzysta pięćdziesiąt.

Mogłam unikać zwrotów, które odnosiły się do płci szynkarki. Albo mogłam zgadywać. W najgorszym razie miałam szanse pół na pół.

– Jesteś bardzo ufny – powiedziałam, zgadując „rodzaj męski” – skoro pozwoliłeś takiemu biedakowi – wiedziałam, że Seivarden jest płci męskiej, to było łatwe – zaciągnąć taki dług. –

Szynkarka nie odpowiedziała. – Sześćset pięćdziesiąt pokryje wszystko?

– Taa – mruknęła szynkarka. – Mniej więcej.

– Nie, wszystko. Teraz się dogadamy. Jeśli później ktoś pójdzie za mną i zażąda więcej albo spróbuje mnie obrabować, umrze.

Milczenie. Potem odgłos splunięcia za moimi plecami.

– Radchaajski śmieć.

– Nie jestem Radchaai. – To prawda. Trzeba być człowiekiem, żeby być Radchaai.

– On jest – oświadczyła szynkarka, nieznacznie wzruszając ramionami i pokazując w kierunku drzwi. – Nie masz akcentu, ale śmierdzisz jak Radchaai.

– To te pomyje, które podajesz klientom. – Drwiący śmiech za moimi plecami. Sięgnęłam do kieszeni, wyciągnęłam garść chitów i rzuciłam na ladę. – Zatrzymaj resztę.

Odwróciłam się do wyjścia.

– Lepiej, żeby twoje pieniądze były dobre.

– Lepiej, żeby twoje sanie były tam, gdzie powiedziałeś.

I wyszłam.

Najpierw zestaw do hipotermii. Przetoczyłam Seivarden na wznak. Potem złamałam pieczęć na zestawie, oderwałam internal od karty i wepchnęłam do jej zakrwawionych, na wpół zamarzniętych ust. Gdy tylko wskaźnik na karcie zaświecił zielono, rozłożyłam cienki koc, sprawdziłam, czy jest naładowany, owinęłam nim Seivarden i włączyłam go. Potem poszłam na tyły po sanie.

Nikt na mnie nie czekał, i całe szczęście. Nie chciałam jeszcze zostawiać za sobą trupów,



nie przyjechałam tu, żeby sprawiać kłopoty. Przeciągnęłam sanie przed front tawerny i załadowałam na nie Seivarden. Zastanawiałam się, czy zdjąć płaszcz i okryć ją dodatkowo, ale w końcu zdecydowałam, że przy kocu hipotermicznym to absolutnie zbędne. Uruchomiłam sanie i odjechałam.

Wynajmowałam pokój na skraju miasta, jedną z tuzina malusieńkich kabin z brudnego, szarzielonego prefabrykowanego plastiku. Bez pościeli, koce kosztowały dodatkowo, podobnie jak ogrzewanie. Zapłaciłam – roztrwoniłam już idiotycznie dużo pieniędzy, żeby wyciągnąć Seivarden ze śniegu.

Obmyłam ją starannie z krwi, sprawdziłam puls (wciąż wyczuwalny) i temperaturę (rosnącą). Niegdyś znałabym temperaturę jej ciała bez zastanowienia, a także jej tętno, nasycenie krwi tlenem, poziom hormonów. Widziałabym każdą ranę i skaleczenie, gdybym tylko zechciała. Teraz byłam ślepa. Najwyraźniej została pobita – twarz miała opuchniętą, tors posiniaczony. Inne obrażenia wskazywały, że prawdopodobnie została zgwałcona, ale nie miałam pewności.

Zestaw do hipotermii zawiera podstawowy korektor, ale tylko jeden i nadający się wyłącznie do udzielenia pierwszej pomocy. Nawet jeśli Seivarden odniosła obrażenia wewnętrzne albo doznała poważnego urazu głowy, mogłam wyleczyć jedynie skaleczenia i zwichnięcia. Przy odrobinie szczęścia będę musiała sobie poradzić tylko z wyziębieniem i siniakami. Nie miałam jednak dostatecznej wiedzy medycznej, już nie. Każda diagnoza, jaką postawię, będzie bardzo powierzchowna.

Wepchnęłam jej do gardła następny internal. Jeszcze raz ją zbadałam – skóra nie zimniejsza, niż należało się spodziewać, zważywszy na okoliczności, i nielepka, pomimo siniaków odzyskiwała normalny brązowy kolor. Przyniosłam pojemnik śniegu do stopienia, postawiłam go w kącie, żeby nie przewróciła go kopniakiem, jeśli się ocknie, po czym wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi na klucz.

Słońce wzeszło wyżej na niebie, ale dawało niewiele mocniejsze światło. Teraz więcej śladów znaczyło gładki śnieg pozostały po nocnej zamieci. W pobliżu kręciło się parę Nilterek. Zaciągnęłam sanie z powrotem do tawerny i zaparkowałam z tyłu. Nikt mnie nie zaczepił, z ciemnego wnętrza nie dobiegł żaden dźwięk. Ruszyłam do centrum miasta.

Ludzie wyszli z domów i załatwiali swoje sprawy. Tłuste, blade dzieci w spodniach i pikowanych koszulkach kopniakami obsypywały się śniegiem. Na mój widok przystanąły i gapiły się wielkimi ze zdziwienia oczami. Dorośli udawali, że nie istnieję, ale odprowadzali mnie wzrokiem. Weszłam do sklepu, przechodząc z tego, co tu uchodziło za światło dnia, w półmrok i chłód zaledwie o pięć stopni mniejszy niż na zewnątrz.

Kilku ludzi stało i rozmawiało, ale po moim wejściu natychmiast zapadła cisza. Zorientowałam się, że moja twarz nic nie wyraża, i ułożyłam mięśnie twarzowe w przyjemny, niezobowiązujący wyraz.

– Czego chcesz? – warknęła sklepikarka.

– Ci ludzie chyba są przede mną. – Miałam nadzieję, że to grupa mieszanej płci, jak wskazywała moja wypowiedź. Odpowiedziało mi tylko milczenie. – Poproszę cztery bochenki chleba i plaster tłuszczu. Jeszcze dwa zestawy do hipotermii i dwa uniwersalne korektory, jeśli macie coś takiego.

– Mam dziesiątki, dwudziestki i trzydziestki.

– Poproszę trzydziestki.

Spiętrzyła moje zakupy na kontuarze.

– Trzysta siedemdziesiąt pięć.

Za mną ktoś kaszlnął; znowu policzono mi za dużo.

Zapłaciłam i wyszłam. Dzieci wciąż bawiły się na ulicy, roześmiane, zbite w grupkę. Dorośli nadal mnie mijali, jakbym nie istniała. Wstąpiłam jeszcze w jedno miejsce – Seivarden będzie potrzebowała ubrania. Potem wróciłam do kwatery.

Seivarden jeszcze nie odzyskała przytomności i na ile mogłam ocenić, nie zdradzała objawów szoku. Śnieg w pojemniku prawie stopniał. Włożyłam do niego połówkę jednego z twardych jak cegły bochenków chleba, żeby nasiąknął.

Uraz głowy albo któregoś z narządów wewnętrznych stanowił największe niebezpieczeństwo. Otworzyłam dwa korektory, które właśnie kupiłam, uniosłam koc i położyłam jeden na brzuchu Seivarden. Patrzyłam, jak rozlewa się w kałużę, a potem twardnieje w przezroczystą skorupę. Drugi przyłożyłam do jej twarzy od strony najbardziej posiniaczonej. Kiedy ten również stwardniał, zdjęłam płaszcz, położyłam się i zasnęłam.

Trochę ponad siedem i pół godziny później Seivarden poruszyła się, a ja się zbudziłam.

– Nie śpisz? – zapytałam.

Korektor, który nałożyłam, zaklejał jej jedno oko i połowę ust, ale sińce i opuchlizna na twarzy znacznie się zmniejszyły. Zastanawiałam się przez chwilę, jaki wyraz twarzy byłby odpowiedni, po czym go przybrałam.

– Znalazłam cię w śniegu, przed tawerną. Wyglądałaś tak, jakbyś potrzebowała pomocy. – Wydała słabe, rżące westchnienie, ale nie odwróciła do mnie głowy. – Jesteś głodna? – Brak odpowiedzi, tylko puste spojrzenie. – Uderzyłaś się w głowę?

– Nie – powiedziała cicho, mięśnie twarzy miała zwiotczałe.

– Jesteś głodna?

– Nie.

– Kiedy ostatnio jadłaś?

– Nie wiem – odparła spokojnie, głosem pozbawionym intonacji.

Podciągnęłam ją do pozycji siedzącej i oparłam o szarozieloną ścianę, ostrożnie, żeby nie spowodować dalszych urazów, pilnując, żeby się nie obsunęła. Utrzymała się, więc powoli włożyłam jej do ust łyżkę papki z chleba i wody, starannie omijając korektor.

– Połknij – rozkazałam, a ona usłuchała.

W ten sposób nakarmiłam ją połową zawartości miski, resztę zjadłam sama i przyniosłam następną porcję śniegu.

Patrzyła, jak wkładam do miski kolejny bochenek twardego chleba, ale nic nie powiedziała. Twarz miała wciąż spokojną.

– Jak się nazywasz? – zapytałam.

Brak odpowiedzi.

Domyśliłam się, że brała kef. Większość ludzi uważa, że kef tłumi emocje, bo tłumi, ale nie tylko. W swoim czasie potrafiłam dokładnie wyjaśnić, jak działa kef, ale nie jestem już taka jak dawniej.

O ile mi wiadomo, ludzie zażywają kef, żeby przestać coś odczuwać. Albo ponieważ wierzą, że skutkiem wyłączenia emocji będzie najwyższa racjonalność, perfekcyjna logika, prawdziwe oświecenie. Ale to nie działa w ten sposób.

Wyciągnięcie Seivarden ze śniegu kosztowało mnie sporo czasu i pieniędzy, których nie miałam w nadmiarze. I po co to było? Zostawiona samej sobie, zdobyłaby następną działkę kefu albo trzy, znalazłaby drogę do następnej spelunki w rodzaju tamtej brudnej tawerny

i dałaby się naprawdę porządnie zabić. Jeśli tego chciała, nie miałam prawa jej powstrzymywać. Ale jeśli chciała umrzeć, dlaczego nie zrobiła tego czysto, nie zarejestrowała swoich zamiarów i nie poszła do lekarza jak wszyscy? Nie rozumiałam.

    Nie rozumiałam wielu rzeczy, a dziewiętnaście lat udawania istoty ludzkiej nie nauczyło mnie tyle, ile się spodziewałam.



Dziewiętnaście lat, trzy miesiące i jeden tydzień wcześniej, zanim znalazłam Seivarden na śniegu, byłam wojskowym transportowcem orbitującym wokół planety Shis'urna. Transportowce to najpotężniejsze ze statków Radchaai, szesnaście pokładów spiętrzonych jeden nad drugim. Dowództwo, administracja, opieka medyczna, hydroponika, inżynieria i pokład dla każdej Dekady, kwatery mieszkalne i miejsca pracy dla oficerów, których każdy oddech, każde drgnięcie każdego mięśnia znałam na pamięć.

Wojskowe transportowce rzadko się przemieszczają. Tkwiałam w miejscu, tak jak tkwiłam w tym czy innym układzie przez większość z dwóch tysięcy lat mojego istnienia, czując ostry chłód próżni na zewnątrz kadłuba. Planeta Shis'urna wyglądała jak błękitno-biały szklany żeton, jej stacja orbitalna zbliżała się i oddalała po okręgu, statki nieprzerwanym strumieniem przylatywały, dokowały, opuszczały doki i odlatywały w stronę jednej z bram otoczonych bojami i radiolatarniami. Z mojego punktu obserwacyjnego granice pomiędzy różnymi narodami i terytoriami Shis'urny nie były widoczne, chociaż po nocnej stronie planety tu i tam jaśniały miasta połączone siecią dróg, gdzie je odbudowano po aneksji.

Czułam i słyszałam – chociaż nie zawsze widziałam – towarzyszące mi statki: mniejsze, szybsze „Miecze” i „Łaski” oraz najliczniejsze w tamtych czasach „Sprawiedliwości”, transportery wojskowe jak ja. Najstarsza z nas miała prawie trzy tysiące lat. Znałyśmy się od dawna i teraz właściwie nie miałyśmy sobie do powiedzenia niczego, co nie zostało już powiedziane wiele razy. Najczęściej zachowywałyśmy przyjazne milczenie, nie licząc rutynowej komunikacji.

Ponieważ wciąż miałam serwitorów, mogłam być jednocześnie w więcej niż jednym miejscu. Zostałam również odkomenderowana do służby w mieście Ors na planecie Shis'urna, pod dowództwem porucznik Awn, Pierwszej Dekady Esk.

Ors leżało w połowie na podmokłym gruncie, w połowie na bagiennym jeziorze; część nawodną zbudowano na płytach wspartych na fundamentach, które tkwiły głęboko w mule. Zielony szlam zarastał kanały, połączenia między płytami, dolne krawędzie kolumn budynków i wszystkie nieruchome miejsca, gdzie sięgała woda, co zmieniało się w zależności od pory roku. Wszechobecny smród siarkowodoru rozwiewał się tylko od czasu do czasu, kiedy letnie burze wstrząsały nawodną połową miasta i chodniki zalewała woda głęboka po kolana, napływająca spoza barierowych wysp. Od czasu do czasu. Zwykle po burzy smród się pogarszał. Powietrze przelotnie się ochładzało, ale ulga trwała na ogół najwyżej kilka dni. Przez resztę czasu było gorąco i wilgotno.

Nie widziałam Ors z orbity. Bardziej przypominało wioskę niż miasto, chociaż niegdyś leżało przy ujściu rzeki i było stolicą kraju, który rozciągał się wzdłuż wybrzeża. Statki handlowe pływały w dół i w górę rzeki, płaskodenne łodzie kursowały regularnie po nabrzeżnych bagniskach, przewożąc ludzi z jednego miasteczka do drugiego. Przez stulecia rzeka zmieniła bieg i obecnie Ors popadło w ruinę. Niegdyś zajmowało całe mile prostokątnych wysepek pociętych siatką kanałów, zanim skurczyło się do znacznie mniejszych rozmiarów, otoczone i przetykane popękkanymi, na wpół zatopionymi płytami, niekiedy z dachami i kolumnami, które w suchej porze wyłaniały się z mulistej zielonej wody. Dawniej mieszkały tam miliony. Kiedy przed pięciu laty siły Radchaai zaanektowały Shis'urnę, populacja Ors wynosiła zaledwie sześć tysięcy trzysta osiemnaście osób, i oczywiście ta liczba zmniejszyła się po aneksji. W Ors nie tak bardzo jak gdzie indziej; kiedy tylko

przybyliśmy, ja w formie moich kohort Esk i ich poruczników Dekad, rozstawionych szeregami na ulicach miasta, uzbrojonych i opancerzonych, najwyższa kapłanka Ikkt zgłosiła się do najstarszej rangą oficer – porucznik Awn, jak wspomniałam – i zaproponowała natychmiastową kapitulację. Najwyższa kapłanka powiedziała wyznawczyniom Ikkt, co muszą robić, żeby przeżyć aneksję, i większość tych wyznawczyń rzeczywiście przeżyła. To wcale nie było takie powszechne, jak można pomyśleć – zawsze od początku stawialiśmy sprawę jasno, że nawet cień kłopotów podczas aneksji może oznaczać śmierć, i z chwilą rozpoczęcia aneksji powszechnie udostępnialiśmy przykłady, co to dokładnie znaczy, ale zawsze znalazł się ktoś, kto nie mógł się powstrzymać, żeby nas nie wypróbować.

A jednak wpływ najwyższej kapłanki robił wrażenie. Niewielkie rozmiary miasteczka były do pewnego stopnia mylące – w sezonie pielgrzymek setki tysięcy gości zapełniały plac przed świątynią i obozowały na płytach opuszczonych ulic. Dla wyznawców Ikkt to było drugie najświętsze miejsce na planecie, a najwyższa kapłanka stanowiła boską obecność.

Z reguły kiedy aneksja oficjalnie dobiegała końca, co często trwało pięćdziesiąt lat albo dłużej, na miejscu działała cywilna policja. Ta aneksja była inna – Shis’urnanom, którzy przeżyli, przyznano obywatelstwo znacznie wcześniej niż normalnie. Nikt w administracji nie miał przekonania do pomysłu, żeby miejscowi cywile pilnowali porządku, i wciąż obecne były znaczne siły wojskowe. Toteż kiedy oficjalnie zakończyła się aneksja Shis’urny, większość Esk „Sprawiedliwości Toren” wróciła na statek, ale porucznik Awn została i ja zostałam z nią jako dwudziestoserwitorowa jednostka Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren” (Pierwsza).

Najwyższa kapłanka mieszkała w domu przy świątyni, jednym z niewielu budynków zachowanych w dobrym stanie od czasów, kiedy Ors było miastem: czteropiętrowym, z dachem opadającym pod kątem, otwartym ze wszystkich stron, chociaż lokator mógł podnieść przepierzenia, kiedy zależało mu na prywatności, a podczas burzy na zewnątrz opuszczano rolety. Najwyższa kapłanka przyjęła porucznik Awn w wydzielonej klitce o powierzchni około pięciu metrów kwadratowych, dokąd światło przesączało się nad krawędziami ciemnych ścian.

– Nie uważasz – zaczęła kapłanka, starsza osoba z siwymi włosami i krótko przyciętą siwą brodą – że służba w Ors jest ciężka?

Obie siedziały na poduszkach – wilgotnych jak wszystko w Ors i zalatujących grzybem. Kapłanka miała na sobie kawał żółtej tkaniny owinięty wokół talii, a na ramionach nakreślone tuszem figury, jedne faliste, inne kanciaste, które zmieniały się w zależności od liturgicznego znaczenia danego dnia. Przez wzgląd na radchaajską przyzwoitość nałożyła rękawiczki.

– Ależ skąd – zaprzeczyła porucznik Awn uprzejmie, chociaż chyba nie całkiem szczerze. Miała ciemnobrązowe oczy i krótko ścięte ciemne włosy, skórę dostatecznie ciemną, żeby nie uchodzić za bladą, ale nie tak ciemną, żeby odpowiadała wymogom mody. Awn mogła to zmienić, również oczy i włosy, ale nie zmieniła. Zamiast munduru – długiego brązowego płaszcza usianego spinkami wysadzanych klejnotami, koszuli i spodni, butów i rękawic – nosiła taką samą spódnicę jak najwyższa kapłanka, cienką koszulę i najlżejsze rękawiczki. Mimo to się pociła. Stałam w wejściu, wyprostowana i milcząca, kiedy młodsza kapłanka ustawiała czarki i miski pomiędzy porucznik Awn a Świątobliwością.

Stałam również jakieś czterdzieści metrów dalej, w samej świątyni – nietypowo zamkniętym pomieszczeniu, długim na 43,4 metra, wysokim na 65,7 metra i szerokim na 29,9 metra. Na jednym końcu znajdowały się drzwi sięgające niemal do sufitu, a na drugim

wznosiła się, górując nad zebranymi ludźmi, rekonstrukcja stromej zbocza gdzieś na Shis'urnie, wykonana z drobiazgową dokładnością. U stóp zbocza znajdowało się podwyższenie, szerokie stopnie prowadziły na podest z szarego i zielonego kamienia. Światło wlewało się przez dziesiątki zielonych świetlików i padało na ściany, na których namalowano sceny z żywotów świętych kultu Ikkt. Ten budynek nie przypominał żadnych innych w Ors. Architektura, podobnie jak sam kult Ikkt, została zaimportowana. W sezonie pielgrzymek to miejsce szczelnie zapełnią wyznawcy. Istniały inne święte przybytki, ale dla Orsyjki słowo „pielgrzymka” oznaczało doroczną wędrówkę do tej świątyni. Jednak dopiero za parę tygodni. Na razie w kącie świątyni rozlegał się szmer szeptanych modłów kilku dewotek.

Najwyższa kapłanka się roześmiała.

– Dyplomatką z ciebie, porucznik Awn.

– Jestem żołnierzem, Świątobliwość – odparła Awn. Rozmawiały w radchaajskim; Awn mówiła powoli i starannie, pilnując akcentu. – Nie uważam mojej służby za ciężką.

Najwyższa kapłanka nie odpowiedziała uśmiechem. W krótkiej chwili milczenia młodsza kapłanka postawiła czarkę z dziobkiem wypełnioną tym, co Shis'urnanie nazywają herbatą: gęstym płynem, letnim i słodkim, który nie miał prawie nic wspólnego z oryginałem.

Przed drzwiami świątyni stałam na placu upstrzonym przez sinice, obserwując przechodzących ludzi. Większość nosiła takie same proste, jaskrawo kolorowe spódnice jak najwyższa kapłanka, chociaż tylko bardzo małe dzieci albo bardzo pobożni mieli dużo malunków i tylko niewielu nosiło rękawiczki. Niektórzy z przechodniów byli transplantami, Radchaai, których skierowano tu do pracy albo którym przyznano majątki w Ors po aneksji. Większość przejęła proste spódnice i dodała lekkie, luźne koszule, jak porucznik Awn. Niektórzy uparcie trzymali się spodni i marynarek i pocili się w drodze przez plac. Wszyscy nosili biżuterię, z jaką Radchaai prawie nigdy się nie rozstają – podarunki od przyjaciół czy kochanków, pamiątki po zmarłych, symbole więzi rodzinnych lub patronackich.

Na północy, za prostokątnym pasem wody zwanym Przed-Świątynią od niegdysiejszego sąsiedztwa, Ors wznosiło się nieznacznie i w porze suchej to miejsce leżało na stałym gruncie; nadal nazywano je przez grzeczność górnym miastem. Patrolowałam również tamte okolice. Kiedy przechodziłam skrajem rozlewiska, widziałam siebie stojącą na placu.

Łodzie pychówki powoli płynęły po bagnistym jeziorze i po kanałach pomiędzy skupiskami płyt. Wodę pokrywał kożuch glonów, tu i tam najeżony koniuszkami wodnej trawy. Na wschód i na zachód od miasta boje wyznaczały granice zakazanych akwenów, gdzie opalizujące skrzydełka much migotały nad zbitymi, splątanymi masami wodorostów. Wokół nich unosiły się większe łodzie i duże pogłębiarki, teraz ciche i nieruchome, które przed aneksją wydobywały spod wody cuchnące błoto.

Na południu rozciągał się podobny widok, z wyjątkiem najcieńszej kreski na horyzoncie oznaczającej morze, za grząską mierzewą otaczającą bagniska. Widziałam to wszystko, stojąc w różnych miejscach dookoła świątyni i chodząc po ulicach miasta. Było dwadzieścia siedem stopni Celsjusza i wilgotno jak zawsze.

To robiła prawie połowa z moich dwudziestu ciał. Pozostałe spały albo pracowały w domu zajmowanym przez porucznik Awn – trzypiętrowym i przestronnym, niegdyś należącym do dużej, rozgałęzionej rodziny i mieszczącym wypożyczalnię łodzi. Jedna strona otwierała się na szeroki, mulisty, zielony kanał, a druga – na największą miejską ulicę.

Trzy z segmentów w domu nie spały, wykonywały obowiązki administracyjne (siedziałam na macie na niskiej platformie pośrodku pomieszczenia na parterze domu i wysłuchiwałam

narzekań na przydział praw rybackich) i pełniły wartość.

– Powinnaś się zwrócić do okręgowego sędziego pokoju, obywatelko – powiedziałam do orsyjki w miejscowym dialekcie. Ponieważ znałam tu wszystkich, wiedziałam, że jest samicą i babcią; jedno i drugie należało uwzględnić, jeśli miałam z nią rozmawiać nie tylko gramatycznie, ale również uprzejmie.

– Ale ja nie znam okręgowego sędziego pokoju! – zaprotestowała z oburzeniem. Sędzia urządował w dużym, ludnym mieście spory kawałek w górę rzeki od Ors, obok Kould Ves. Dostatecznie daleko w górze rzeki, żeby często bywało tam sucho i chłodno, i wszystko nie cuchnęło ciągle wilgocią. – Co okręgowy sędzia wie o Ors? Skąd mam wiedzieć, czy on w ogóle istnieje?

Mówiła dalej, wyjaśniała mi długą historię związku jej domu z obszarem zamkniętym przez boje, zakazany i rzeczywiście niedostępnym dla połowów przez kolejne trzy lata.

I jak zawsze towarzyszyła mi w głębi umysłu nieustanna świadomość przebywania na orbicie, tak wysoko, że sygnał dochodził z opóźnieniem.

– Daj spokój, poruczniku – powiedziała najwyższa kapłanka. – Nikt nie lubi Ors oprócz tych z nas, którzy mieli nieszczęście się tu urodzić. Większość Shis’urnan, których znam, nie mówiąc o Radchaai, wolałaby mieszkać w mieście, na suchym gruncie i z prawdziwymi porami roku, nie tylko deszczową i bezdeszczową.

Porucznik Awn, wciąż spocona, przyjęła czarkę tutejszej herbaty i wypić ją bez skrzywienia – kwestia wprawy i determinacji.

– Przełożeni każą mi wracać.

Na stosunkowo suchym północnym krańcu miasta dwie żołnierki w brązowych mundurach, przepływające w otwartej motorówce, zobaczyły mnie i uniosły ręce na powitanie. Odpowiedziałam krótkim uniesieniem dłoni.

– Esk Jeden! – zawołała jedna z nich.

To były zwykłe żołnierki z Issa Siedem (Drugiej) jednostki „Sprawiedliwości Ente”, podkomendne porucznik Skaaiat. Patrolowały teren pomiędzy Ors a odległym południowo-zachodnim skrajem Kould Ves, miasta, które wyrosło wokół nowszego ujścia rzeki. Issa Siedem „Sprawiedliwości Ente” byli ludźmi, a ja wiedziałam, że nie jestem człowiekiem. Zawsze traktowali mnie z dość ostrożną życzliwością.

– Wolałabym, żebyś została – powiedziała najwyższa kapłanka do porucznik Awn. Chociaż Awn już to wiedziała. Wróciłybyśmy na „Sprawiedliwość Toren” dwa lata temu, gdyby nie ciągle żądania kapłanki, żebyśmy zostały.

– Rozumiesz – powiedziała Awn – że znacznie bardziej woleliby zastąpić Esk Jeden ludzką jednostką. Serwitory mogą trwać w hibernacji w nieskończoność. Ludzie... –

Odstawiła herbatę i wzięła płaskie, żółto-brązowe ciastko. – Ludzie mają rodziny, które chcą znowu zobaczyć, mają własne życie. Nie mogą leżeć zamrożeni przez stulecia, tak jak czasem serwitory. Nie ma sensu trzymać serwitorów poza ładowniami przy pracy, którą mogą wykonywać ludzcy żołnierze.

Chociaż porucznik Awn przebywała tu od pięciu lat i rutynowo spotykała się z najwyższą kapłanką, po raz pierwszy tak otwarcie poruszyła ten temat. Zmarszczyła brwi, po zmianie jej oddechu i poziomu hormonów poznałam, że pomyślała o czymś przerażającym.

– Nie mieliście problemów z Issa Siedem „Sprawiedliwości Ente”, prawda?

– Nie – przyznała kapłanka. Spojrzała na Awn z cierpkim skrzywieniem warg. – Znam ciebie. Znam Esk Jeden. Kogo mi przyślą... tego nie wiem. Ani moi parafianie.

– Aneksje powodują bałagan – stwierdziła Awn. Najwyższa kapłanka wzdrygnęła się nieznacznie na słowo „aneksja” i zobaczyłam, że porucznik chyba to zauważyła, ale kontynuowała: – Issa Siedem nie dlatego tu były. Bataliony Issa „Sprawiedliwości Ente” nie robiły wtedy niczego, czego Esk Jeden też nie robił.

– Nie, poruczniku. – Kapłanka odstawiła czarkę. Wydawała się poruszona, ale nie miałam dostępu do jej wewnętrznych danych, więc nie byłam pewna. – Issa „Sprawiedliwości Ente” robiły wiele rzeczy, których Esk Jeden nie robił. To prawda, Esk Jeden zabił równie wielu ludzi jak żołnierki Issa „Sprawiedliwości Ente”. Prawdopodobnie więcej. – Spojrzała na mnie, nadal stojącą w milczeniu przy wejściu. – Bez obrazy, ale myślę, że więcej.

– Nie obrażam się, Świątobliwość – odparłam. Najwyższa kapłanka często zwracała się do mnie, jakbym była osobą. – I masz rację.

– Świątobliwość – odezwała się Awn z wyraźnym niepokojem w głosie. – Jeśli żołnierki Issa Siedem „Sprawiedliwości Ente”... albo ktokolwiek inny... znęcały się nad obywatelami...

– Nie, nie! – zaprzeczyła najwyższa kapłanka z goryczą. – Radchaai bardzo uważają na to, jak się traktuje obywateli!

Twarz porucznik Awn zapłonęła, wyraźnie czułam jej niepokój i gniew. Nie umiałam czytać w jej myślach, ale znałam każde drgnienie każdego z jej mięśni, toteż te emocje były dla mnie przejrzyste jak szkło.

– Wybacz – powiedziała najwyższa kapłanka, chociaż Awn nie zmieniła wyrazu twarzy. A cerę miała zbyt ciemną, żeby zdradził ją rumieniec gniewu. – Odkąd Radchaai przyznali nam obywatelstwo... – Umilkła i jakby na nowo rozważyła własne słowa. – Od ich przybycia Issa Siedem nie dały mi żadnych powodów do skarg. Ale widziałam, co robiły wasze ludzkie oddziały podczas tego, co nazywacie „aneksją”. Obywatelstwo, które przyznaliście, łatwo można cofnąć i...

– Nigdy byśmy... – zaprotestowała Awn.

Najwyższa kapłanka powstrzymała ją, podnosząc rękę.

– Wiem, co Issa Siedem, a przynajmniej tacy jak one, robią ludziom, których znajdują po niewłaściwej stronie linii podziału. Pięć lat temu to był nieobywatel. W przyszłości... kto wie? Może nie-dość-obywatel? – Machnęła ręką w geście rezygnacji. – Nieważne. Takie podziały zbyt łatwo stworzyć.

– Nie mam ci za złe, że tak myślisz – powiedziała Awn. – To były trudne czasy.

– A ja nie mogę się nadziwić, jaka jesteś naiwna – odparła najwyższa kapłanka. – Esk Jeden zastrzelił mnie, jeśli rozkażesz. Bez wahania. Ale Esk Jeden nigdy mnie nie pobije ani nie zgwałci, ani nie upokorzy bez powodu, tylko żeby zademonstrować swoją władzę albo zaspokoić jakąś zбочoną żądę rozrywki. – Spojrzała na mnie. – Zrobiłabyś to?

– Nie, Świątobliwość – odparłam.

– Żołnierki Issa „Sprawiedliwości Ente” robiły to wszystko. Nie mnie, to prawda, i niewielu w samym Ors. Niemniej to robiły. Czy Issa Siedem byłyby inne, gdyby to one tu przebywały?

Porucznik Awn siedziała przygnębiona, wpatrzona w niesmaczną herbatę, nie znajdując odpowiedzi.

– To dziwne. Słyszy się opowieści o serwitorkach i wydaje się instynktownie, że to najgorsza, najbardziej przerażająca rzecz, jaką robią Radchaai. Garsedd... no tak, Garsedd, ale to było tysiąc lat temu. A to... najechać i zagarnąć ile, połowę dorosłej ludności? Zmienić

ich w żywe trupy, niewolników SI z waszych statków. Zwrócić przeciwko ich rodakom.

Gdybyś mnie zapytała, zanim nas... zaanektowaliście, powiedziałabym, że to los gorszy od śmierci. – Odwróciła się do mnie. – Prawda?

– Żadne z moich ciał nie jest martwe, Świątobliwość – odpowiedziałam. – A twoja ocena przeciętnego procentu zaanektowanej ludności, którą zmieniono w serwitory, jest zawyżona.

– Dawniej mnie przerażaliście – ciągnęła najwyższa kapłanka. – Sama świadomość waszej bliskości była przerażająca, wasze martwe twarze, wasze beznamienne głosy. Dzisiaj jednak większy strach budzą we mnie oddziały żywych istot ludzkich, służących dobrowolnie.

Ponieważ nie mogłabym im ufać.

– Ja służę dobrowolnie, Świątobliwość – oświadczyła Awn, zaciskając usta. – Nie zamierzam się z tego powodu usprawiedliwiać.

– Wierzę, że mimo to jesteś dobrą osobą, poruczniku Awn. – Kapłanka podniosła czarkę i łyknęła herbaty, jakby wcale nie powiedziała tego, co właśnie powiedziała.

Gardło Awn się zacisnęło, wargi drgnęły. Chciała coś powiedzieć, ale nie była pewna, czy powinna.

– Słyszałaś o Ime – powiedziała wreszcie, podjąwszy decyzję. Wciąż była spięta i ostrożna, chociaż postanowiła mówić.

Najwyższa kapłanka uśmiechnęła się ponuro, z goryczą.

– Nowiny z Ime mają wzbudzić zaufanie do administracji Radch?

Oto co się stało: stacja Ime oraz mniejsze stacje i księżycy w tym układzie znajdowały się na samej granicy przestrzeni Radch, najdalej od prowincjonalnego pałacu. Przez lata gubernator Ime wykorzystywała tę odległość dla własnych interesów – defraudowała fundusze, brała łapówki i opłaty za ochronę, sprzedawała przydziały. Tysiące obywateli zostało niesprawiedliwie straconych albo (co w zasadzie na jedno wychodzi) zmuszonych do służby jako serwitorskie ciała, chociaż produkcja serwitorów już nie była legalna. Gubernator kontrolowała całą komunikację i zezwolenia na podróże. Normalnie SI stacji zgłosiłaby taką działalność władzom, jednak stacji Ime w jakiś sposób to uniemożliwiono, toteż korupcja rosła i rozprzestrzeniała się niepowstrzymanie. Aż w układzie pojawił się statek, który wyszedł z bramy przestrzennej zaledwie kilkaset kilometrów od patrolowca „Łaska Sarrse”. Obcy statek nie odpowiedział na żądania identyfikacji. Kiedy załoga „Łaski Sarrse” zaatakowała go i dokonała abordażu, znaleźli tam dziesiątki ludzi oraz obcych Rrrrrr. Kapitan „Łaski Sarrse” rozkazała żołnierzom wziąć do niewoli wszystkich ludzi, którzy mogli się nadawać na serwitory, a pozostałych oraz obcych zabić. Statek miał zostać przekazany gubernatorowi układu.

„Łaska Sarrse” nie była jedynym okrętem wojennym z ludzką załogą w tym układzie. Do tamtej pory stacjonujące tam ludzkie żołnierki trzymano w ryzach za pomocą łapówek i pochlebstw, a kiedy zawodziły – grózb i egzekucji. Wszystko działało bardzo dobrze do chwili, kiedy żołnierka Jedyńska Amaat Jeden „Łaski Sarrse” zdecydowała, że nie chce zabijać tych ludzi ani Rrrrrr. I przekonała resztę jednostki, żeby ją poparła.

To wydarzyło się pięć lat wcześniej. Skutki wciąż trwały.

Porucznik Awn przesunęła się na poduszce.

– To wszystko wyszło na jaw, ponieważ jedna ludzka żołnierka odmówiła wykonania rozkazu. I wznieciła bunt. Gdyby nie ona... no cóż. Serwitory nie zrobią czegoś takiego. Nie mogą.

– To wszystko wyszło na jaw – odparła najwyższa kapłanka – ponieważ statek, którego

abordażu dokonała ta żołnierka, ona i jej jednostka, miał na pokładzie obcych. Radchaai nie wykazują zbytnich skrupułów, kiedy chodzi o zabijanie ludzi, zwłaszcza nieobywateli, ale bardzo uważacie, żeby nie wywołać wojny z obcymi.

Tylko dlatego, że wojny z obcymi mogą naruszyć warunki traktatu z obcą rasą Presgerów. Pogwałcenie tego porozumienia wywołałoby niezwykle poważne konsekwencje. Pomimo to wielu Radchaai wysokiej rangi nie zgadza się w tej kwestii. Widziałam, że porucznik Awn pragnie się sprzeciwić. Zamiast tego powiedziała:

– Gubernator Ime nie uważała. I wywołałaby wojnę, gdyby nie ta jedna osoba.

– Czy ta osoba już została stracona? – zapytała znacząco najwyższa kapłanka. Taki los spotykał wszystkie żołnierki, które odmówiły wykonania rozkazu, nie mówiąc już o buncie.

– Ostatnio słyszałam – powiedziała Awn, oddychając płytko i z wysiłkiem – że Rrrrrr zgodzili się ją przekazać władzom Radch. – Przełknęła ślinę. – Nie wiem, co się stanie.

Oczywiście cokolwiek miało się stać, na pewno już się stało. Wiadomości z miejsca tak odległego jak Ime docierały na Shis’urnę dopiero po roku albo jeszcze później.

Najwyższa kapłanka przez chwilę nie odpowiadała. Dolała herbaty i nałożyła łyżką pastę rybną do małej miseczki.

– Czy moje nieustanne żądania, byś była tu obecna, sprawiają ci jakieś kłopoty?

– Nie – zaprzeczyła Awn. – Prawdę mówiąc, inne porucznik Esk trochę mi zazdroszczą. Na „Sprawiedliwości Toren” nie ma szans na akcję. – Sięgnęła po swoją czarę, na zewnątrz spokojna, wewnątrz rozgniewana. Wytracona z równowagi. Wzmianka o wiadomościach z Ime spotęgowała jej niepokój. – Akcja oznacza wyróżnienia i możliwe awanse. – A to była ostatnia aneksja. Ostatnia szansa dla oficera, żeby wzbogacić swój dom poprzez związki z nowymi obywatelami czy nawet jawne zawłaszczenie.

– Jeszcze jeden powód, dla którego wolę ciebie – powiedziała najwyższa kapłanka.

\*

Poszłam za porucznik Awn do domu. Obserwowałam wewnątrz świątyni i patrzyłam z góry na ludzi przecinających plac jak zawsze, omijających dzieciaki, które grały w kau pośrodku placu, kopaly piłkę tam i z powrotem wśród śmiechów i krzyków. Na brzegu kanału Przed-Świątynią siedziała jakaś apatyczna, nadąsana nastolatka z górnego miasta i pilnowała kilkorga małych dzieci, które skakały z kamienia na kamień i śpiewały:

*Raz, dwa, mówił mi wuj*

*Trzy, cztery, żołnierz trup*

*Pięć, sześć, strzeli ci w oko*

*Siedem, osiem, zabije na śmierć*

*Dziewięć, dziesięć, rozwali, a potem*

*złoży z powrotem.*

Kiedy szłam ulicami, ludzie mnie pozdrawiali, a ja odwzajemniałam pozdrowienia. Porucznik Awn, zdenerwowana i rozgniewana, odpowiadała tylko zdawkowym kiwnięciem głowy.

Osoba, która skarżyła się na prawa rybackie, wyszła niezadowolona. Po jej wyjściu dwoje dzieci wskoczyło zza przepierzenia i usiadło ze skrzyżowanymi nogami na poduszce, którą zwolniła. Obie nosiły kawałki materiału zawiązane w talii, czyste, lecz wyblakłe, chociaż nie mieli rękawiczek. Starsza miała około dziewięciu lat, a symbole namalowane na piersi i ramionach młodszej – nieco rozmazane – świadczyły, że nie ma więcej niż sześć lat.



Popatrzyła na mnie, marszcząc brwi.

W orsyjskim łatwiej zwracać się prawidłowo do dzieci niż do dorosłych. Używa się prostej, bezpłciowej formy.

– Cześć, obywatele – powiedziałam w miejscowej gwarze. Rozpoznałam je obie; mieszkały na południowym krańcu Ors i dość często z nimi rozmawiałam, ale jeszcze nigdy nie odwiedziły tego domu. – W czym mogę wam pomóc?

– Nie jesteś Esk Jeden – powiedziało młodsze dziecko, a starsze zrobiło nieskuteczny ruch, żeby je uciszyć.

– Jestem – zapewniłam i wskazałam insygnia na mojej mundurowej kurtce. – Widzisz? Tylko to jest mój segment numer czternaście.

– Mówiłam ci – rzuciło starsze dziecko.

Młodsze rozważało to przez chwilę, a potem oznajmiło:

– Mam piosenkę.

Czekałam w milczeniu. Ona wzięła głęboki oddech, jakby miała zacząć, a potem zawahała się, zakłopotana.

– Chcesz posłuchać? – zapytała, jakby wciąż niepewna mojej tożsamości.

– Tak, obywatelko – powiedziałam.

Po raz pierwszy śpiewałam, żeby zabawić jedną z moich porucznik, kiedy „Sprawiedliwość Toren” nie pełniła czynnej służby prawie przez sto lat. Ona lubiła muzykę i zabrała ze sobą instrument jako część dozwolonego bagażu. Nie zdołała zainteresować swoim hobby innych oficerów, więc nauczyła mnie partii wokalnych do piosenek, które grała. Zachowywałam je i szukałam następnych, żeby jej sprawić przyjemność. Zanim została kapitanem własnego statku, zgromadziłam dużą bibliotekę muzyki śpiewanej – nikt nie zamierzał mi podarować żadnego instrumentu, ale mogłam śpiewać w każdej chwili – i plotkowano z pobłażliwymi uśmieškami, że „Sprawiedliwość Toren” interesuje się śpiewem. Nieprawda: tolerowałam ten zwyczaj, ponieważ był nieszkodliwy i ponieważ któraś z moich kapitanów mogła go docenić. Inaczej zostałyby zabroniony.

Gdyby te dzieci zatrzymały mnie na ulicy, nie miałyby oporów, ale tu, w domu, usadowione jak do formalnej konferencji, czuły się inaczej. Podejrzywałam, że przyszły wy badać sytuację, że młodsze dziecko zamierzało później poprosić o szansę, żeby służyć w domowej zaimprovizowanej świątyni. Tutaj, w ostoi Ikkt, nie chodziło o prestiż związany ze stanowiskiem kwiaciarki dla Amaat, lecz o zwyczajowy dar owoców i ubrań na koniec służby. Obecnie kwiaciarką była najlepsza przyjaciółka tego dziecka, co niewątpliwie zwiększało atrakcyjność oferty.

Żadna Orsyjka nie wyraziłaby takiej prośby bezpośrednio ani od razu, więc dzieciak zapewne wybrał takie zawołane podejście, zmieniając przypadkowe spotkanie w formalne i onieśmielające. Sięgnęłam do kieszeni kurtki, wydobyłam garść słodczy i położyłam na podłodze.

Młodsza dziewczynka wykonała gest potwierdzenia, jakbym rozwiała wszystkie jej wątpliwości, potem zaczerpnęła tchu i zaczęła.

*Moje serce jest rybą*

*Ukrytą w wodnej trawie*

*W zieleni, w zieleni.*

Melodia stanowiła dziwną mieszankę piosenki Radchaai, którą czasem tu nadawano, oraz orsyjskiej, obcej mi. Słów nie znałam. Dziewczynka zaśpiewała cztery zwrotki czystym,

lekko drżącym głosem i zamierzała rozpocząć piątą, ale przerwała nagle, kiedy za przepierzeniem rozbrzmiały kroki porucznik Awn.

Młodsza dziewczynka pochyliła się i zgarnęła zapłatę. Obie ukloniły się, jeszcze na wpół siedząc, potem wstały i wybiegły przez wejście do większego domu, obok porucznik Awn, obok mnie idącej za nią.

– Dziękuję, obywatelki – powiedziała Awn do ich oddalających się pleców.

Drgnęły, a potem udało im się w biegu lekko uklonić w jej stronę, zanim wypadły na ulicę.

– Coś nowego? – zagadnęła porucznik, chociaż sama nie interesowała się szczególnie muzyką, nie bardziej niż większość ludzi.

– Tak jakby – odparłam.

Widziałam, jak dwójka dzieci dalej biegnie ulicą i skręca za róg obok następnego domu. Zwolniły i zatrzymały się, dysząc ciężko. Młodsza dziewczynka rozwarła dłoń, żeby pokazać starszej pełną garść słodyczy. Dziwne, ale chyba nic nie wypuściła z małej rączki, chociaż biegła tak szybko. Starsza wzięła cukierek i włożyła do ust.

Pięć lat wcześniej ofiarowałabym coś bardziej pożywnego, zanim rozpoczęto naprawę planetarnej infrastruktury, kiedy zaopatrzenie kulało. Teraz każdy obywatel miał zagwarantowaną dostateczną ilość jedzenia, jednak racje były niezbyt luksusowe i często niesmaczne.

Wnętrze świątyni wypełniała zielono rozświetlona cisza. Najwyższa kapłanka nie wyłoniła się spoza ścianek świątynnej rezydencji, chociaż młodsze kapłanki wchodziły i wychodziły. Porucznik Awn weszła na pierwsze piętro domu i usiadła zamyślona na poduszce w orsyjskim stylu, zasłonięta od ulicy, zrzuciwszy koszulę. Odmówiła herbaty (prawdziwej), którą jej przyniosłam. Przesyłałam stały strumień informacji – wszystko normalnie, wszystko rutynowo – do niej i do „Sprawiedliwości Toren”.

– Powinna się zwrócić do okręgowej sędzi pokoju – powiedziała Awn o obywatelce kwestionującej prawa rybackie, lekko zirytowana, z zamkniętymi oczami, przeglądając na wizji popołudniowe raporty. – To nie podlega naszej jurysdykcji.

Milczałam. Nie wymagała ani nie oczekiwała odpowiedzi. Szybkim drgnieniem palców zatwierdziła sporządzoną przez mnie notatkę do okręgowej sędzi, po czym otworzyła ostatnią wiadomość od młodszej siostry. Porucznik Awn wysyłała część zarobków do domu, do rodziców, którzy opłacali z nich lekcje poezji dla młodszego dziecka. Tworzenie poezji było cenną, cywilizowaną umiejętnością. Nie potrafiłam osądzić, czy siostra miała jakiś szczególny talent, no, ale niewielu go miało, nawet w rodzinach o wyższym statusie. Jednak prace i listy siostry sprawiały przyjemność porucznik Awn i łagodziły jej stres.

Dzieci na placu pobiegły ze śmiechem do domu. Nastolatka westchnęła ciężko, jak to nastolatki, wrzuciła kamyczek do kanału i obserwowała kręgi na wodzie.

Jednostki serwitorowe, które budzi się tylko do aneksji, często nie mają na sobie nic prócz pól siłowych generowanych przez implanty w każdym ciele. Szereg za szeregiem jednakowi żołnierze pozbawieni cech indywidualnych, jakby odlani z rtęci. Ale ja zawsze przebywałam poza ładownią i teraz, po zakończeniu walk, nosiłam taki sam mundur jak ludzcy żołnierze. Moje ciało pociły się pod kurtkami mundurowymi. Znudzona, otworzyłam troje z moich ust, stałam blisko siebie na placu, i zaśpiewałam trzema głosami: „Moje serce jest rybą ukrytą w wodnej trawie...”. Jedna osoba przechodząca obok spojrzała na mnie z zaskoczeniem, ale wszyscy inni mnie ignorowali – przywykli.



Następnego ranka korektory odpadły i sińce na twarzy Seivarden znikły. Wydawała się zadowolona, i nic dziwnego, bo chyba wciąż była naćpana.

Rozwinęłam tłumoczek ubrań, które dla niej kupiłam – ocieplana bielizna, pikowana koszula i spodnie, spodni płaszcz i wierzchni płaszcz z kapturem, rękawiczki – i rozłożyłam przed nią. Potem ujęłam ją pod brodę i odwróciłam twarzą do siebie.

– Słyszysz mnie?

– Tak. – Jej ciemnobrązowe oczy spoglądały gdzieś daleko ponad moim lewym ramieniem.

– Wstań.

Pociągnęłam ją za ramię. Zamrugnęła ospale i dźwignęła się aż do pozycji siedzącej, zanim opadła z sił. Ale zdołałam ją ubrać, chociaż trochę to trwało. Potem spakowałam tych kilka rzeczy, które jeszcze leżały na wierzchu, zarzuciłam plecak na ramiona, wzięłam Seivarden za rękę i wyszliśmy.

Na skraju miasta znajdowała się wypożyczalnia lataczy. Jak było do przewidzenia, właścicielka zażądała ode mnie dwukrotnie większego depozytu, niż podawano w ogłoszeniu. Powiedziałam jej, że zamierzam polecieć na północny zachód, żeby odwiedzić obóz pasterski – wierutne kłamstwo, które chyba przejrzała.

– Jesteś zaświatowcem – rzekła. – Nie wiesz, jak jest poza miastem. Zaświatowcy zawsze latają do obozów pasterskich i zawsze się gubią. Czasami ich znajdujemy, czasami nie. – Milczałam. – Zgubisz latacz i co wtedy zrobisz? Wyląduję na śniegu z moimi głodującymi dziećmi, ot co.

Obok mnie Seivarden gapiała się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

Musiałam wyłożyć pieniądze. Podejrzywałam, że już ich nie odzyskam. Potem właścicielka zażądała dopłaty ekstra, bo nie mogłam okazać miejscowej licencji pilota – która nie była wymagana, o czym wiedziałam. Gdyby była, sfałszowałabym ją przed przyjściem.

W końcu jednak dała mi latacz. Obejrzałam silnik, który wydawał się czysty i w dobrym stanie, i sprawdziłam poziom paliwa. Zadowolona, włożyłam plecak do środka, posadziłam Seivarden, a potem wspięłam się na miejsce pilota.

Dwa dni po zamieci znowu pokazał się śnieżny mech, spłachetki bladej zieleni przetykane gdzieś tam ciemniejszymi nitkami. Po następnych dwóch godzinach przeleciałyśmy nad linią wzgórz i zieleni znacznie pociemniała, podkreślona nieregularnymi żyłkami w dziesiątkach odcieni, niczym malachit. W niektórych miejscach mech był rozmazany i stratowany przez stworzenia, które się na nim pały, stada kudłatych bovów migrujących na północ z nadejściem wiosny. A przy tych ścieżkach tu i tam leżały lodowe diabły w starannie wydrążonych tunelach, czekając, aż bov źle stąpnie, żeby go wciągnąć pod powierzchnię. Nie widziałam ich, ale nawet pasterze, którzy przez całe życie wędrują za bovami, nie zawsze zdołają wypatrzeć lodowego diabła.

Lot był łatwy. Seivarden na wpół leżała obok mnie, milcząca. Jakim cudem żyła? I skąd się tu wzięła? To było bardziej niż nieprawdopodobne. Ale nieprawdopodobne rzeczy się zdarzają. Prawie tysiąc lat przed urodzeniem Awn Seivarden dowodziła własnym statkiem, „Mieczem Nathtas”, i straciła go. Większość ludzkiej załogi, włącznie z Seivarden, zdołała dotrzeć do kapsuł ratunkowych, ale słyszałam, że jej kapsuły nigdy nie odnaleziono. Jednak tu była. Widocznie stosunkowo niedawno ktoś ją znalazł. Miała szczęście, że przeżyła.

Znajdowałam się w odległości czterech miliardów mil, kiedy Seivarden straciła swój statek. Patrolowałam miasto ze szkła i wypolerowanego czerwonego kamienia, gdzie ciszę mąciły tylko moje kroki, rozmowy moich porucznik i od czasu do czasu moje głosy, które wypróbowywałam, budząc echa na pięciokątnych placach. Kaskady kwiatów, żółtych, czerwonych i niebieskich, zwisały z murów otaczających domy z pięciokątnymi dziedzińcami. Kwiaty wędły; nikt nie ośmielił się wyjść na ulice oprócz mnie i moich oficer, wszyscy wiedzieli, jaki los może spotkać każdą aresztowaną osobę. Więc kulili się w domach i czekali, co będzie dalej, krzywiąc się lub wzdygając na dźwięk śmiechu poruczników albo mojego śpiewu.

Ja i moje porucznik nie miałyśmy większych kłopotów. Garseddai stawiały tylko formalny opór. Transportowce wojskowe opustoszały, „Miecze” i „Łaski” pełniły głównie straż wokół układu. Przedstawiciele pięciu Stref z każdego z pięciu Regionów, razem dwudziestu pięciu, przemawiający z różnych księżyców, planet i stacji w układzie Garseddai, poddali się w imieniu swoich wyborców i oddzielnie zwrócili na „Miecz Amaat”, żeby spotkać się z Anaander Mianaai, lord Radch, i błagać o życie dla swojego ludu. Stąd milczące, przerażone miasto.

W wąskim romboidalnym parku, obok czarnego granitowego monumentu z wyrytymi Pięcioma Słusznymi Działaniami oraz imieniem garseddajskiego świętego, który chciał je wpoić miejscowym mieszkańcom, pewna moja porucznik, mijając inną, poskarżyła się, że ta aneksja jest rozczarowująco nudna. Trzy sekundy później odebrałam wiadomość z „Miecza Nathtas” od kapitan Seivarden.

Trzy garseddajskie elektorki, które miała na pokładzie, zabiły dwie z jej oficer oraz dwanaście serwitorskich segmentów „Miecza Nathtas”. Zniszczyły statek – poprzecinały przewody, podziurawiły kadłub. Raportowi towarzyszyło nagranie ze statku – broń, którą serwitorski segment bezsprzecznie widział, według innych sensorów „Miecza Nathtas” nie istniała. Elektorka Garseddai, wbrew wszelkim oczekiwaniom okryta lśniąącym srebrem zbroi w stylu Radchaai, którą dostrzegały tylko oczy serwitorów, strzela z broni, pocisk przebija zbroję serwitora, zabija segment i kiedy jego oczy przestają widzieć, broń i zbroja przeskakują z powrotem do nieistnienia.

Wszystkie elektorki zostały zrewidowane przed zaokrętowaniem, a „Miecz Nathtas” powinien był wykryć każdą broń albo implant czy urządzenie generujące pole. Wprawdzie zbroja Radchaai była w powszechnym użyciu w regionach otaczających samo Radch, ale te regiony zostały wchłonięte przed tysiącami lat. Garseddai nie używały jej. Nie umiały jej wytwarzać, a co dopiero używać. Pomijając to, istnienie tej broni i pocisku było po prostu niemożliwe.

Trójka ludzi wyposażonych w taką broń i zbroje mogła wyrządzić wielkie szkody na statku takim jak „Miecz Nathtas”. Zwłaszcza gdyby chociaż jedna Garseddai dotarła do silnika i gdyby pocisk z tej broni mógł przebić osłonę cieplną. Silniki radchaajskich okrętów wojennych rozgrzewały się do temperatury gwiazd, uszkodzona osłona cieplna oznaczała natychmiastowe wyparowanie, cały statek unicestwiony w krótkim, jasnym rozbłysku.

Ale nic nie mogłam zrobić, nikt nie mógł nic zrobić. Wiadomość miała prawie cztery godziny, sygnał z przeszłości, duch. Sprawa się rozstrzygnęła, zanim się o niej dowiedziałam.

Rozległ się ostry dźwięk i na pulpicie przede mną, obok wskaźnika paliwa, zamrugało niebieskie światełko. Jeszcze przed chwilą wskaźnik pokazywał prawie pełny bak. Teraz pokazywał pusty. Silnik zgaśnie za parę minut. Obok mnie Seivarden rozciągnęła się wygodnie, milcząca i odprężona.

Wylądowałam.

\*

Zbiornik paliwa został przerobiony w sposób, którego nie wykryłam. Wydawał się pełen w trzech czwartych, ale nie był. Alarm, który powinien zapisać, kiedy zużyłam połowę tego, z czym zaczynałam, został odłączony.

Pomyślałam o podwójnym depozycie, którego z pewnością już nie zobaczę na oczy. O właścicielce, takiej zmartwionej, że mogę stracić jej cenny latacz. Oczywiście miał nadajnik, chociaż nie wyemitowałam wezwania. Właścicielka nie chciała stracić latacza, tylko porzucić mnie pośrodku tej śnieżnej równiny upstrzonej mchem. Mogłam wezwać pomoc – wyłączyłam swoje implanty komunikacyjne, ale miałam przenośny komunikator. Znalazłyśmy się jednak bardzo, bardzo daleko od każdego, kto mógł zareagować na wezwanie. A nawet gdyby pomoc nadeszła, i to wcześniej niż właścicielka, która najwyraźniej nie życzyła mi dobrze, nie dotarłabym tam, dokąd zmierzałam, co stanowiło dla mnie kwestię wielkiej wagi.

Temperatura wynosiła minus osiemnaście stopni, z południa dmuchał lekki wiatr, około ośmiu kilometrów na godzinę, zapowiadający opady śniegu w najbliższej przyszłości. Nic poważnego, jeśli wierzyć porannej prognozie pogody.

Lądowanie zostawiło w śnieżnym mchu smugę bieli o zielonych krawędziach, dobrze widoczną z góry. Teren wydawał się lekko pagórkowaty, chociaż nie widziałam już wzgórz, nad którymi wcześniej przeleciałyśmy.

Gdyby to był zwykły wypadek, najlepiej byłoby zostać w lataczu, dopóki nie przybędzie pomoc. Ale to nie był zwykły wypadek i nie spodziewałam się, że nas uratują.

Albo przylecą od razu, jak tylko nadajnik przekaże, że jesteśmy uziemione, gotowe mordować, albo zaczekają. Wypożyczalnia miała jeszcze kilka pojazdów, nic się nie stanie, jeśli właścicielka zaczeka nawet parę tygodni, żeby odzyskać latacz. Jak sama powiedziała, nikt się nie zdziwi, jeśli cudzoziemka zabłądzi w śniegu.

Miałam dwa wyjścia. Mogłam tu zaczekać, spróbować urządzić zasadzkę na tych, którzy przylecą mnie zamordować i obrabować, i przejąć ich środek transportu. Oczywiście to na nic, jeśli postanowią zaczekać, aż zimno i głód ich wyręczą. Albo mogłam wyciągnąć Seivarden z latacza, zarzucić plecak na ramiona i ruszyć piechotą. Cel mojej wyprawy znajdował się w odległości około sześćdziesięciu kilometrów na północny wschód. Mogłam tyle przejść w ciągu jednego dnia, gdybym musiała i gdyby warunki pogodowe oraz terenowe – a także lodowe diabły – pozwoliły, jednak miałabym szczęście, gdyby Seivarden dokonała tego w dwukrotnie dłuższym czasie. I oczywiście nasze wysiłki poszłyby na marne, jeśli właścicielka, zamiast czekać, postanowiła szybciej odzyskać latacz. Zostawiałybyśmy wyraźny ślad na pokreślonym mchem śniegu, tamci musieliby tylko pójść za nami i nas załatwić. Straciłabym przewagę zaskoczenia, jaką mogłabym uzyskać, gdybym się zaczęła w pobliżu uziemionego latacza.

I miałabym szczęście, gdybym cokolwiek znalazła, jak już dotrę do celu. Od dziewiętnastu lat tropiłam najbardziej wątle poszlaki – tygodnie i miesiące szukania i czekania, przeplatane chwilami takim jak ta, kiedy sukces, a nawet życie zależały od rzutu monetą. Miałam

szczęście, że dotarłam tak daleko. Nie powinnam się spodziewać, że osiągnę coś więcej.

Radchaai rzuciłaby monetą. A właściwie całą garścią monet, tuzinem krążków, każdy miałby określone znaczenie i wagę, wzór ich upadku tworzyłby mapę wszechświata zgodnie z wolą Amaat. Staje się to, co się staje, ponieważ świat jest taki, jaki jest. Albo, jak powiedziałyby Radchaai, wszechświat jest kształtem bogów. Amaat poczęła światło, a poczęcie światła z konieczności poczęło nieświatło, i światło i ciemność pomknęły przed siebie. To była pierwsza Emanacja, EtrepaBo: Światło/Ciemność. Trzy pozostałe, wywołane i wymuszone przez tę pierwszą, to EskVar (Początek/Koniec), IssaInu (Ruch/Bezruch) i VahnItr (Byt/Niebyt). Te cztery Emanacje dzieliły się i łączyły na różne sposoby, żeby stworzyć wszechświat. Wszystko, co istnieje, emanuje z Amaat.

Najmniejsze, pozornie nic nieznaczące zdarzenie jest częścią skomplikowanej całości. Zrozumieć, dlaczego jeden szczególny pyłek kurzu opada po jednym szczególnym torze i ląduje w jednym szczególnym miejscu, to zrozumieć wolę Amaat. Nie ma takiej rzeczy jak „zwykły przypadek”. Nic nie dzieje się przypadkowo, tylko zgodnie z wolą boga.

Przynajmniej tak naucza oficjalna ortodoksja Radchaai. Osobiście nigdy za dobrze nie rozumiałam religii. Nigdy tego ode mnie nie wymagano. I chociaż Radchaai mnie stworzyły, nie byłam Radchaai. Nic nie wiedziałam o woli bogów i nie dbałam o nią. Wiedziałam tylko, że spadnę tam, gdzie mnie rzucono, gdziekolwiek to będzie.

Wyjęłam plecak z latacza, otworzyłam go i wyciągnęłam zapasowy magazynek, który schowałam pod płaszczem obok broni. Zarzuciłam plecak na ramiona, obesłam latacz dookoła i otworzyłam właz po drugiej stronie.

– Seivarden – powiedziałam.

Nie poruszyła się, tylko wymruczała ciche „hm”. Wzięłam ją za rękę i pociągnęłam, a ona na wpół zeszła, na wpół ześliznęła się w śnieg.

Dotarłam tak daleko, robiąc jeden krok, a potem następny. Skręciłam na północy wschód, pociągnęłam Seivarden za sobą i ruszyłam.

\*

Doktor Arilesperas Strigan, do której domu (jak miałam wielką nadzieję) się zbliżałam, prowadziła kiedyś prywatną praktykę na stacji Dras Annia, skupisku co najmniej pięciu stacji, zbudowanych jedna na drugiej, na przecięciu dwóch tuzinów rozmaitych szlaków, daleko poza terytorium Radch. Prędzej czy później niemal wszystko mogło tam trafić. W ramach swojej pracy Strigan spotykała najrozmaitszych ludzi, pochodzących od najrozmaitszych przodków. Płacono jej pieniędzmi, przysługami, antykami, wszystkim, co mogło mieć jakąkolwiek wartość.

Byłam tam, widziałam tę stację i jej skrzycone, przenikające się warstwy, widziałam, gdzie Strigan mieszkała i pracowała, widziałam rzeczy, które zostawiła, kiedy pewnego dnia, z powodów nieznanymi nikomu, wykupiła miejsca na pięciu statkach, po czym znikła. Gablota pełna instrumentów strunowych, z których tylko trzy potrafiłam nazwać. Pięć półek ikon, oszłamiająca zbieranina bogów i świętych wykonanych z drewna, muszli, złota. Tuzin egzemplarzy broni, każda sztuka starannie oznakowana numerem stacyjnego zezwolenia. Każda z tych kolekcji zaczęła się od jednego przedmiotu, który rozbudził jej ciekawość, otrzymanego jako zapłata. Strigan opłacała wynajem na sto pięćdziesiąt lat z góry, toteż władze stacji zostawiły jej apartament nietknięty.

Dostałam się tam dzięki łapówce, żeby obejrzeć kolekcję, po którą przybyłam – kilka



pięciobocznych płytek o barwach po tysiącu lat wciąż żywych jak kwiaty. Płytką misa z biegnącą wzdłuż połączanej krawędzi inskrypcją w języku, którego Strigan na pewno nie mogła odczytać. Płaski plastikowy prostokąt, dyktafon, jak wiedziałam. Przy dotknięciu wydobywał się z niego śmiech, głosy mówiące w tym samym martwym języku.

Niełatwo było zebrać tego rodzaju kolekcję, nawet tak małą. Artefakty Garseddai trafiały się rzadko, ponieważ kiedy Anaander Mianaai odkryła, że dysponują środkami wystarczającymi do niszczenia statków Radchaai i przebijania radchaajskiej zbroi, nakazała całkowite zniszczenie Garsedd i jego mieszkańców. Pięciokątne place, kwiaty, wszystkie żywe istoty na wszystkich planetach, księżycach i stacjach w całym układzie zginęły. Nikt już nigdy tam nie zamieszka. Nikomu nie pozwoli się zapomnieć, co znaczy sprzeciw wobec Radch.

Czy jakaś pacjentka dała jej, powiedzmy, tę misę, co skłoniło ją do szukania następnych informacji? A jeśli znalazł się tam jeden garseddajski przedmiot, co jeszcze mogła mieć? Coś, co pacjentka dała jej jako zapłatę, może nie wiedząc, co to jest... albo wiedząc i desperacko pragnąc się tego pozbyć. Coś, co kazało jej uciekać, zniknąć, zostawiając niemal cały majątek. Coś niebezpiecznego, coś, czego nie potrafiła zniszczyć, a nie mogła się zmusić, żeby się tego pozbyć w jakiś skuteczny sposób.

Coś, czego bardzo chciałam.

\*

Chciałam dojść możliwie jak najdalej i jak najszybciej, więc maszerowałyśmy przez wiele godzin, robiąc tylko krótkie postoje w razie absolutnej konieczności. Dzień był pogodny i jasny jak na Nilt, jednak czułam się ślepa, chociaż myślałam, że już się nauczyłam to ignorować. Niegdyś miałam dwadzieścia ciał, dwadzieścia par oczu i setki innych, do których mogłam mieć dostęp, jeśli tego potrzebowałam albo zapragnęłam. Teraz mogłam patrzeć tylko w jednym kierunku, widzieć rozległy przestwór za sobą tylko wtedy, gdy odwróciłam głowę i oślepiłam się na to, co przede mną. Zwykle radziłam sobie w ten sposób, że unikałam otwartych przestrzeni i sprawdzałam, co mam za plecami, ale tutaj to było niemożliwe.

Twarz mnie paliła pomimo łagodnego wiatru, potem zdrętwiała. Stopy i dłonie z początku bolały – nie kupiłam rękawic i butów po to, żeby w nich maszerować sześćdziesiąt kilometrów na mrozie – a później zrobiły się ciężkie i bez czucia. Miałam szczęście, że nie trafiłam tu w zimie, kiedy temperatura spadała znacznie bardziej.

Seivarden na pewno marzła tak samo jak ja, ale szła nieprzerwanie, prowadzona przeze mnie, krok za apatycznym krokiem, powłócząc nogami po mszystym śniegu, ze spuszczonego wzrokiem. Nie narzekała ani w ogóle się nie odzywała. Kiedy słońce prawie dotykało horyzontu, lekko wyprostowała ramiona i uniosła głowę.

– Znam tę piosenkę – powiedziała.

– Co?

– Tę piosenkę, którą nuczisz.

Powoli odwróciła do mnie głowę. Na jej twarzy nie dostrzegłam ani śladu obawy czy niepewności. Zastanawiałam się, czy w ogóle starała się ukryć swój akcent. Mało prawdopodobne – po kefie się tym nie przejmowała. W granicach terytoriów Radch ten akcent zdradzał członka zamożnego i wpływowego domu, kogoś, kto po przejściu testów na zdolności w wieku piętnastu lat otrzymałby prestiżowy przydział. Poza tymi terytoriami to był znak rozpoznawczy łajdaka – bogatego, zepsutego i bezwzględniego – w tysiącu spektakli.

Dobiegł nas odległy warkot latacza. Obejrzałam się bez zatrzymywania, przeszukałam

wzrokiem horyzont i zobaczyłam go, mały punkcik w oddali. Leciał nisko i powoli, jakby po naszych śladach. Z pewnością nie przybył na ratunek. Mój rzut monetą wypadł źle i teraz byliśmy odsłonięte i bezbronne.

Szłyśmy dalej, kiedy warkot latacza się zbliżał. Nie mogłyśmy go prześcignąć, nawet gdyby Seivarden nie zaczęła się potykać. Wprawdzie łapała równowagę, ale była wyraźnie u kresu wytrzymałości. Jeśli odezwała się spontanicznie, zauważyła cokolwiek wokół siebie, to pewnie zaczynała trzeźwieć. Przystanąłam, puściłam jej rękę, a ona zatrzymała się obok mnie.

Latacz przemknął nad nami, zawrócił i wylądował na naszej ścieżce, jakieś trzydzieści metrów z przodu. Albo nie mieli środków, żeby nas zastrzelić z powietrza, albo nie chcieli. Zrzuciłam plecak z ramion i rozpięłam zewnętrzny płaszcz, żeby łatwiej sięgnąć po broń.

Z latacza wysiadły cztery osoby – właścicielka wypożyczalni, dwie obce i ta z baru, która mnie nazwała „twardą dziewczynką” i którą chciałam zabić, ale się powstrzymałam. Wsunęłam rękę za pazuchę i chwyciłam broń. Wybór miałam niewielki.

– Czy tobie brak rozumu?! – zawołała właścicielka, kiedy zbliżyły się na piętnaście metrów. Wszystkie cztery przystanąły. – Jeśli latacz się zepsuje, zostajesz w nim, żebyśmy mogli cię znaleźć.

Spojrzałam na osobę z baru, zobaczyłam, że mnie rozpoznała i zorientowała się, że ja ją także rozpoznałam.

– W barze ostrzegłam, że każdy, kto spróbuje mnie obrabować, zginie – przypomniałam jej. Uśmiechnęła się szyderczo.

Jedna z tych, których nie znałam, wyciągnęła skądś broń.

– My nie tylko spróbujemy – odparła.

Wyjęłam swoją broń i strzeliłam jej w twarz. Osunęła się na śnieg. Zanim pozostałe zdążyły zareagować, zastrzeliłam osobę z baru, która również upadła, a potem tę obok niej, wszystkie trzy szybką serią, w ciągu niecałej sekundy.

Właścicielka zakłęta i rzuciła się do ucieczki. Strzeliłam jej w plecy. Zrobiła trzy kroki i upadła.

– Zimno mi – powiedziała Seivarden obok mnie, spokojna i niczego nieświadoma.

\*

Zostawiły latacz niestrzeżony, wszystkie cztery podeszły do mnie. Głupota. Całe to przedsięwzięcie było głupie, wyraźnie zorganizowane bez żadnego porządnego planu. Musiałam tylko zapakować Seivarden i swój plecak do ich latacza i odlecieć.

\*

Rezydencja Arilesperas Strigan była prawie niewidoczna z powietrza, krąg o średnicy trochę ponad trzydziestu pięciu metrów, w którym śnieżny mech był wyraźnie rzadszy i jaśniejszy. Posadziłam latacz poza kręgiem i odczekałam chwilę, żeby ocenić sytuację. Z tego miejsca wyraźnie widziałam budynki, dwa pagórki pokryte śniegiem. To mógł być niezamieszany obóz pasterski, ale nie był, jeśli wierzyć moim informacjom. Nie widziałam żadnego ogrodzenia ani muru, ale wolałam niczego nie zakładać w kwestii zabezpieczeń.

Po namyśle otworzyłam właz latacza, wysiadłam i wyciągnęłam za sobą Seivarden. Podeszłyśmy powoli do linii, gdzie śnieg się zmieniał. Seivarden przystanąła, kiedy ja się zatrzymałam. Stała obojętnie, patrząc prosto przed siebie.

Moje plany nie wykraczały poza tę chwilę.

– Strigan! – zawołałam i czekałam, ale na próżno. Zostawiłam Seivarden i obeszłam krąg. Wejścia do dwóch zaspanych śniegiem budynków wydawały się dziwnie ocienione. Przystanąłam i spojrzałam jeszcze raz.

Oba były otwarte. W środku panowała ciemność. Budynki tego rodzaju powinny mieć podwójne drzwi – jak śluza powietrzna, żeby ciepło nie uciekało – ale nie sądziłam, żeby ktoś zostawiał którekolwiek drzwi otwarte.

Albo Strigan miała zabezpieczenia, albo nie. Przekroczyłam linię i weszłam do kręgu. Nic się nie stało.

Drzwi były otwarte, zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Światła się nie paliły. W jednym budynku było równie zimno jak na zewnątrz. Przypuszczałam, że gdybym znalazła przełącznik światła, odkryłabym, że to magazyn pełen narzędzi, paliwa i hermetycznych paczek z żywnością. W drugim temperatura wynosiła dwa stopnie Celsjusza – domyśliłam się, że jeszcze do niedawna był ogrzewany. Najwyraźniej trafiłam do kwatery mieszkalnej.

– Strigan! – zawołałam w ciemność, ale mój głos wzbudził echo świadczące, że nikogo tam nie ma.

Wyszłam na zewnątrz i znalazłam ślady w miejscu, gdzie stał jej latacz. Czyli odleciała, a otwarte drzwi i ciemność stanowiły wiadomość dla tego, kto się zjawi. Dla mnie. Nie mogłam sprawdzić, dokąd się udała. Popatrzyłam na puste niebo, a potem znowu na odcisk latacza. Stałam tam przez chwilę i wpatrywałam się w pustkę.

Kiedy wróciłam do Seivarden, zobaczyłam, że położyła się w splamionym zielenią śniegu i zasnęła.

\*

Z tyłu latacza znalazłam latarnię, piecyk, namiot i jakąś pościel. Zniosłam latarnię do budynku, który uznałam za kwaterę mieszkalną, i zapaliłam.

Podłogę pokrywały szerokie, jasne chodniki, na ścianach wisiały tkaniny w odcieniach błękitu, oranżu i jaskrawej zieleni, kłującej w oczy. Pod ścianami stały niskie ławy bez oparcí, ale z poduszkami. Oprócz tych ław i gobelinów było tam niewiele więcej. Plansza do gry z pionkami, ale nie rozpoznałam systemu otworów w planszy i nie rozumiałam rozstawienia pionków pomiędzy otworami. Ciekawe, z kim grała Strigan. Może plansza stanowiła tylko dekorację. Była misternie rzeźbiona, a pionki miały żywe kolory.

Na stole w kącie leżała drewniana skrzynka, długi owal z rzeźbioną, dziurkowaną pokrywą, przez którą przeciągnięto trzy napięte struny. Bładozłote drewno miało faliste, kręte słoje. Nierówne otwory wycięte w płaskim wierzchu tworzyły wzór zawiły jak słoje drewna. Piękna rzecz. Szarpnęłam strunę, która zadźwięczała cicho.

Drzwi prowadziły do kuchni, łazienki, sypialni i niewielkiego szpitalika. Otwarłam szafkę i znalazłam schludny stosik korektorów. Każda szuflada, którą wyciągnęłam, zawierała narzędzia medyczne i lekarstwa. Strigan mogła polecieć do obozu pasterskiego, wezwana do nagłego przypadku. Ale pogaszone światła, wyłączone ogrzewanie i te otwarte drzwi mówiły co innego.

Jeśli wykluczyć cud, to był koniec dziewiętnastu lat planowania i wysiłków.

Domowa sterownia znajdowała się za panelem w kuchni. Znalazłam zasilacz na miejscu, podpięłam go i włączyłam ogrzewanie i oświetlenie. Potem wyszłam po Seivarden i wtaszczyłam ją do domu.

Zrobiłam posłanie z koców, które znalazłam w sypialni Strigan, później rozebrałam Seivarden, położyłam ją na posłaniu i nakryłam następnymi kocami. Nie obudziła się. Wykorzystałam ten czas, żeby gruntowniej przeszukać dom.

Szafka zawierała mnóstwo jedzenia. Na blacie stał kubek, dno powlekała cienka warstewka zielonkawego płynu. Obok stała zwykła biała miska, w której niedojedzone resztki kromki twardego chleba rozkładały się w zamrożonej po brzegach wodzie. Wyglądało na to, że Strigan odleciała, nie sprzątnąwszy po posiłku, zostawiając prawie wszystko – jedzenie, zapasy leków. Przeszukałam sypialnię, znalazłam ciepłą odzież w dobrym stanie. Odleciała bez przygotowania, z małym bagażem.

Wiedziała, co ma. Oczywiście, że wiedziała – przecież dlatego w ogóle uciekła. Jeśli nie była głupia – w co nie wątpiłam – uciekła, gdy tylko się zorientowała, czym jestem, i zamierzała uciekać jak najdalej ode mnie.

Ale gdzie to będzie? Jeśli reprezentowałam potęgę Radch i znalazłam ją nawet tutaj, tak daleko zarówno od przestrzeni Radch, jak i jej własnego domu, gdzie mogła się ukryć, żeby w końcu jej nie znaleźli? Na pewno zdawała sobie z tego sprawę. Ale jaki miała wybór?

Z pewnością nie byłaby taka głupia, żeby wrócić.

Tymczasem Seivarden wkrótce się pochoruje, chyba że podam jej kef. Nie miałam zamiaru. Tutaj było jedzenie i ciepło i może znajdę coś, jakiś trop, jakąś wskazówkę, co pomyślała Strigan w chwili, kiedy doszła do wniosku, że Radch ją ściga, i uciekła. Coś, co mi podpowie, dokąd odleciała.

Nocami w Ors chodziłam po ulicach, spoglądałam na cuchnącą, nieruchomą wodę, ciemną poza światłami samego Ors, na mrugające boje otaczające zakazane strefy. Również spałam i pełniłam wartę na niższym poziomie domu na wypadek, gdyby ktoś mnie potrzebował, chociaż to się rzadko zdarzało w tamtych dniach. Kończyłam wszystkie niedokończone dzienne prace i czuwałam nad porucznik Awn, która spała.

Rankami przynosiłam Awn wodę do kąpeli i ubierałam ją, chociaż miejscowy strój wymagał znacznie mniej zachodu niż mundur, a dwa lata wcześniej przestała używać kosmetyków, ponieważ żaden makijaż nie wytrzymał w tym upale.

Potem porucznik zwracała się do swoich ikon – czteroręka Amaat, z Emanacją w każdej dłoni, spoczywała na skrzyni na dole, lecz pozostałe (Toren, której oddawali cześć wszystkie oficer na „Sprawiedliwości Toren”, oraz kilku bogów szczególnie związanych z rodziną porucznik Awn) znajdowały się na piętrze, obok łóżka porucznik, i to do nich kierowała poranne modły. „Kwiat sprawiedliwości to pokój”, zaczynała się poranna modlitwa, którą każda żołnierka Radchaai odmawiała po przebudzeniu, każdego dnia swojej służby w wojsku. „Kwiat przyzwoitości to piękno myśli i czynów”. Reszta moich oficer, nadal przebywających na „Sprawiedliwości Toren”, miała inny rozkład dnia, ich poranki rzadko zbiegały się z porankami porucznik Awn, toteż prawie zawsze głos Awn rozbrzmiewał samotnie w modlitwie, a inni przemawiali chóralnie z tak daleka bez niej. „Kwiat pożytku to Amaat cała i zupełna. Jestem mieczem sprawiedliwości...” Modlitwa jest antyfonalna, ale ma tylko cztery wersy. Czasami wciąż ją słyszę po przebudzeniu, niczym odległy głos gdzieś za plecami.

Każdego ranka w każdej oficjalnej świątyni wszędzie w przestrzeni Radchaai kapłanka (która pełni również funkcję rejestratorki narodzin, zgonów i wszelkiego rodzaju kontraktów) rzuca omeny na ten dzień. Ludzie po domach i w pojedynkę czasami rzucają też własne, i nie ma obowiązku asystowania przy oficjalnych obrzędach – ale to pretekst równie dobry jak każdy inny, żeby się pokazać, pogadać z sąsiadami i znajomkami, posłuchać plotek.

W Ors jak dotąd nie było oficjalnej świątyni – wszystkie są poświęcone głównie Amaat, a inni miejscowi bogowie zajmują pośledniejsze pozycje, jednak najwyższa kapłanka Ikkt nie zgodziła się na degradację swojej bogini w jej własnej świątyni i nie mogła utożsamić Ikkt z Amaat w dostatecznym stopniu, żeby dodać radchaajskie rytuały do własnych. Toteż na razie za świątynię służył dom porucznik Awn. Co rano aktualne świątynne kwiaciarki usuwały zwiędłe kwiaty otaczające ikonę Amaat i zastępowały je świeżymi – zwykle miejscowym gatunkiem o małych, jaskraworóżowych płatkach z potrójną blaszką. Kwiaty te rosły w brudzie, który zbierał się na zewnętrznych narożnikach domów, albo w szparach między płytami, i niewiele się różniły od chwastów, ale dzieci za nimi przepadały. A ostatnio na jeziorze kwitły małe, miseczkowate, błękitne i białe lilie, zwłaszcza w pobliżu zakazanych obszarów odgrodzonych bojami.

Następnie Awn rozkładała tkaninę do rzucania omenów i same omeny, garść ciężkich metalowych krążków. Krążki i ikony stanowiły jej osobistą własność, prezent od rodziców, kiedy przeszła testy i otrzymała przydział.

Niekiedy tylko porucznik Awn i dyżurne uczestniczyły w porannym rytuale, ale zwykle zjawiali się też inni. Miejska medyczka, kilka Radchaai, którym przyznano tutaj posiadłości, inne orsyjskie dzieci, które nie dały się zapędzić do szkoły albo nie przejmowały się, że się

spóźnią, bo podobało im się lśnienie i brzęk spadających krążków. Czasami przychodziła nawet najwyższa kapłanka Ikkt. Ta bogini, podobnie jak Amaat, nie zabraniała swoim wyznawcom czcić innych bogów.

Kiedy omeny upadły i spoczęły na tkaninie (albo ku zgrozie widzów stoczyły się z tkaniny gdzieś, gdzie trudniej było je interpretować), kapłanka celebrantka powinna rozpoznać wzór, dopasować go do stosownego ustępu pisma i wyrecytować ten ustęp na użytek obecnych. Awn nie zawsze dawała sobie z tym radę. Więc ona tylko rzucała omeny, ja obserwowałam ich upadek, a potem przekazywałam jej właściwe słowa. Ostatecznie „Sprawiedliwość Toren” miała prawie dwa tysiące lat i widziała już prawie wszystkie możliwe konfiguracje.

Po odprawieniu rytuału Awn jadła śniadanie – zwykle kromkę chleba z dostępnego na miejscu ziarna i herbatę (prawdziwą) – po czym zajmowała swoje miejsce na macie na podwyższeniu i czekała na dzienną porcję skarg i prośb.

– Jen Shinnan zaprasza cię wieczorem na kolację – powiedziałam do niej następnego ranka. Również jadłam śniadanie, czyściłam broń, spacerowałam po ulicach i pozdrowiałam tych, którzy się do mnie odzywali.

Jen Shinnan mieszkała w górnym mieście i przed aneksją była najbogatszą osobą w Ors, mającą wpływy niewiele mniejsze niż najwyższa kapłanka Ikkt. Porucznik Awn jej nie lubiła.

– Pewnie nie mam dobrego pretekstu, żeby odmówić.

– Nie widzę takiej możliwości – przyznałam. Stałam również niedaleko domu na ulicy i obserwowałam. Podeszła jakaś Orsyjka, zobaczyła mnie, zwolniła. Zatrzymała się w odległości jakichś ośmiu metrów i udawała, że patrzy na coś nad moją głową.

– Coś jeszcze? – zapytała Awn.

– Okręgowa sędzia pokoju podtrzymuje oficjalną politykę dotyczącą rezerwatów rybnych na Bagnach Ors...

Westchnęła.

– Tak, oczywiście, że podtrzymuje.

– W czym mogę pomóc, obywatelko? – zwróciłam się do osoby wciąż wahającej się na ulicy. Zbliżające się narodziny jej pierwszego wnuka jeszcze nie zostały ogłoszone, więc udałam, że też o tym nie wiem, i użyłam tylko prostej formy grzecznościowej wobec osoby płci męskiej.

– Szkoda – ciągnęła porucznik – że sędzia tu nie przyjedzie osobiście i nie spróbuje żywić się stęchłym chlebem i tymi ohydnyimi marynowanymi warzywami, które przysyłają. Co by wtedy powiedziała na zakaz łowienia ryb tam, gdzie są wszystkie ryby?

Orsyjka na ulicy drgnęła i przez chwilę sprawiała wrażenie, że zawróci i odejdzie, ale zmieniła zdanie.

– Dzień dobry, Radchaai – powiedziała cicho, podchodząc bliżej. – Dzień dobry, poruczniku.

Orsyjki bywały szczere, kiedy im to odpowiadało, a przez resztę czasu dziwnie, frustrująco małomówne.

– Wiem, że są powody – mówiła Awn – i ona ma rację, ale jednak. – Znowu westchnęła. – Coś jeszcze?

– Denz Ay jest na zewnątrz i chce z tobą porozmawiać. – Przy tych słowach zaprosiłam Denz Ay, żeby weszła do domu.

– O czym?

– Chyba woli tego nie wyjawiać.

Awn gestem wyraziła zgodę, a ja wprowadziłam Denz Ay za przepierzenia. Ukłoniła się i usiadła na macie przed Awn.

– Dzień dobry, obywatelko – powiedziała porucznik. Przetłumaczyłam.

– Dzień dobry, poruczniku.

I powoli, ostrożnie, krok po kroku, zaczynając od uwag na temat upału i bezchmurnego nieba, poprzez pytania o zdrowie Awn i nieszkodliwe miejscowe plotki, wreszcie dotarła do powodu swojej wizyty.

– Ja... mam przyjaciółkę, poruczniku. – Urwała.

– Tak?

– Wczoraj wieczorem moja przyjaciółka łowiła ryby. – Denz Ay znowu przerwała.

Awn odczekała trzy sekundy, a kiedy dalszy ciąg nie następował, zapytała:

– Czy twoja przyjaciółka dużo złowiła?

Kiedy Orsyjka jest w takim nastroju, nic nie wskórają bezpośrednie pytania ani błagania, żeby przeszła do rzeczy.

– N... niedużo – odparła Denz Ay. A potem przez jej twarz przemknął wyraz irytacji, tylko przelotnie. – Wiesz, najlepsze łowiska są w pobliżu tarlisk, ale tam nie wolno łowić.

– Tak. Twoja przyjaciółka na pewno nigdy nie łowi nielegalnie.

– Nie, nie, oczywiście, że nie – zapewniła Denz Ay. – Ale... nie chcę jej wpędzić w kłopoty... jednak może czasami wykopuje bulwy. W pobliżu zakazanych stref.

W pobliżu zakazanych stref nie rosły żadne rośliny wytwarzające jadalne bulwy – wszystkie wykopano przed miesiącami, jeśli nie wcześniej. Z tymi wewnątrz stref kłusownicy bardziej uważali – gdyby rośliny zostały zbyt drastycznie przerzedzone albo całkowicie znikły, musielibyśmy sprawdzić, kto je wynosi, i znacznie dokładniej ich pilnować. Porucznik o tym wiedziała. Wszyscy w dolnym mieście o tym wiedzieli.

Awn czekała na resztę opowieści, nie po raz pierwszy zniecierpliwiona orsyjskim zwyczajem kluczenia wokół tematu, chociaż prawie jej się udało tego nie okazywać.

– Słyszałam, że są bardzo dobre – zaryzykowała.

– O tak! – zgodziła się Denz Ay. – Najlepsze są prosto z błota! – Awn powstrzymała grymas. – Ale można też je pokroić w plastry i grillować... – Denz Ay zrobiła przebiegłą minę. – Może moja przyjaciółka zdobędzie trochę dla ciebie.

Widziałam niezadowolenie porucznik z jej racji żywnościowych, chwilowy impuls, żeby powiedzieć: „Tak, proszę”, ale zamiast tego odparła:

– Dziękuję, nie trzeba. Co mówiłaś?

– Mówiłam?

– O... twojej przyjaciółce. – Jednocześnie Awn zadawała mi pytania nieznacznymi ruchami palców. – Wykopywała bulwy w pobliżu zakazanej strefy. I?

Pokazałam porucznik miejsce, gdzie ta osoba prawdopodobnie kopała – obserwowałam całe Ors, widziałam łodzie wpływające i wypływające, widziałam, dokąd wyruszały w nocy, kiedy gasiły światła i może nawet myślały, że są dla mnie niewidzialne.

– I – podjęła Denz Ay – coś znaleźli.

„Ktoś zaginął?” – zapytała mnie bezgłośnie zaniepokojona porucznik Awn.

Odpowiedziałam przecząco.

– Co znaleźli? – zapytała Awn na głos.

– Broń – odpowiedziała Denz Ay tak cicho, że porucznik ledwie ją usłyszała. – Tuzin sztuk, sprzed.



To znaczyło „sprzed aneksji”. Wszyscy wojskowi Shis’urny zostali rozbrojeni, nikt na planecie nie powinien mieć broni, o której nie wiedzieliśmy. Odpowiedź była tak zaskakująca, że przez dwie sekundy Awn w ogóle nie zareagowała.

Potem nadeszło zdumienie, zaniepokojenie i zmieszanie. „Dlaczego ona mi to mówi?” – zapytała mnie Awn bezgłośnie.

– Ludzie plotkują, poruczniku – ciągnęła Denz Ay. – Może o tym słyszałaś.

– Ludzie zawsze plotkują – odparła Awn, stosując tak utarty zwrot, że nie musiałam tłumaczyć, mogła to powiedzieć w miejscowym dialekcie. – Jak inaczej mają spędzać czas?

Denz Ay gestem zgodziła się z tym konwencjonalnym argumentem. Porucznik Awn, która zaczynała tracić cierpliwość, zaatakowała wprost.

– Mogli ją tam złożyć przed aneksją.

Denz Ay wykonała przeczący ruch lewą ręką.

– Nie było jej tam przed miesiącem.

„Czy ktoś znalazł tajny skład broni sprzed aneksji i ukrył ją tam?” – zapytała mnie bezgłośnie Awn. Na głos powiedziała:

– Kiedy ludzie plotkują, czy mówią coś, co może wyjaśnić pojawienie się tuzina sztuk broni pod wodą w zakazanej strefie?

– Taka broń nic nie zdziała przeciwko wam.

Denz Ay miała na myśli naszą zbroję. Radchaajska zbroja to zasadniczo nieprzenikalne pole siłowe. Mogłam rozłożyć swoje pole jedną myślą, kiedy tylko zechciałam. Generujący je mechanizm został wszczepiony w każdy z moich segmentów i Awn też go miała, chociaż używała jednostki noszonej na zewnątrz. Pole nie chroniło nas całkowicie przez obrażeniami i w walce czasami nosiliśmy pod nim prawdziwe zbroje, lekkie i przegubowe, okrywające głowę, tors i kończyny, ale nawet bez tego kilka karabinów nie wyrządziłoby większej szkody żadnej z nas.

– Więc na kogo byłaby ta broń? – zapytała porucznik Awn.

Denz Ay zastanowiła się, marszcząc brwi i przygryzając wargę, a potem powiedziała:

– Tanmind są bardziej podobni do Radchaai niż my.

– Obywatelko – Awn położyła wyraźny, rozmyślny nacisk na to słowo, które po pierwsze znaczyło tyle samo co Radchaai – gdybyśmy zamierzały tu kogoś zastrzelić, już byśmy to zrobiły. – Właściwie już to zrobiliśmy. – Nie potrzebowalibyśmy sekretnych składów broni.

– Dlatego do ciebie przyszedłam – oświadczyła dobitnie Denz Ay, jakby coś tłumaczyła dziecku prostymi słowami. – Kiedy wy kogoś zastrzelicie, mówicie dlaczego i nie szukacie pretekstu. Tacy są Radchaai. Ale w górnym mieście, zanim przybyłyście, kiedy chcieli zastrzelić Orsyjkę, zawsze pilnowali, żeby mieć pretekst. Chcieli czyjejś śmierci – wyjaśniała zbulwersowanej, nierozumiejącej tego porucznik – to nie mówili: „sprawiasz kłopot, przeszkadzasz nam” i strzelali. Mówili: „my tylko się bronimy”, a po śmierci tej osoby przeszukiwali jej ciało albo dom i znajdowali broń lub obciążające informacje. – Podrzucione, sugerowała wyraźnie.

– Więc w czym jesteśmy podobni?

– Macie takich samych bogów. – Właściwie nie całkiem, ale podtrzymywano tę fikcję w górnym mieście i gdzie indziej. – Mieszkacie w kosmosie, chodzicie całe zawinięte w ubrania. Jesteście bogate i Tanmind są bogaci. Jeśli ktoś w górnym mieście – podejrzewałam, że miała na myśli kogoś konkretnego – krzyknie, że jakaś Orsyjka jej grozi, większość Radchaai uwierzy jej, a nie jakiejś Orsyjce, która na pewno kłamie, żeby się

wykręcić.

I dlatego przysłała do porucznik Awn – żeby w razie czego władze Radchaai nie miały żadnych wątpliwości, że ona, a tym samym nikt z dolnego miasta nie miał w rzeczywistości nic wspólnego z tą ukrytą bronią, jeśli padnie takie oskarżenie.

– Te nazwy – powiedziała Awn – Orsyjka, Tanmindka, Mohajka, teraz nic nie znaczą. Z tym już koniec. Wszyscy tu są Radchaai.

– Skoro tak mówisz, poruczniku – odparła Denz Ay cicho, głosem bez wyrazu.

Awn mieszkała w Ors dostatecznie długo, żeby rozpoznać niewypowiedziany sprzeciw. Spróbowała z innej beczki.

– Nikt nikogo nie zastrzeli.

– Oczywiście, że nie, poruczniku – przyznała Denz Ay tym samym cichym głosem.

Miała dostatecznie dużo lat, żeby wiedzieć z pierwszej ręki, że w przeszłości rzeczywiście strzelaliśmy do ludzi. Dlatego bała się, że możemy zrobić to samo w przyszłości.

\*

Po wyjściu Denz Ay porucznik Awn siedziała zamyślona. Nikt jej nie przeszkadzał; dzień był spokojny. W zielono oświetlonym wnętrzu świątyni najwyższa kapłanka odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Kiedyś mieliśmy dwa chóry, każdy po sto głosów. Spodobałoby ci się.

Widziałam nagrania. Czasami dzieci przynosiły mi piosenki stanowiące odległe echa tamtej muzyki, sprzed pięciuset lat i starszej.

– Nie jesteśmy już tym, co dawniej – powiedziała najwyższa kapłanka. – Wszystko w końcu przemija.

Zgodziłam się z nią.

– Weź łódkę wieczorem. – Awn wreszcie się poruszyła. – Sprawdź, czy nie ma jakiejś wskazówki, skąd pochodzi ta broń. Zdecyduję, co robić, jak już lepiej się zorientuję, co się dzieje.

– Tak, poruczniku – odparłam.

\*

Jen Shinnan rezydowała w górnym mieście, po drugiej stronie jeziora Przed-Świątynią. Mieszkało tam niewiele Orsyjek niesłużących. Domy zbudowano według trochę innego planu niż na dole: czterospadowe dachy, środkowa część każdego piętra zamknięta w ścianach, chociaż w pogodne noce zostawiano drzwi i okna otwarte. Całe górne miasto powstało dużo później niż dolne i w znacznie większym stopniu wykorzystywało klimatyzację. Wielu rezydentów nosiło spodnie i koszule, a nawet marynarki. Radchaajscy imigranci, którzy tam mieszkali, ubierali się bardziej konwencjonalnie, a kiedy porucznik Awn składała tam wizyty, nie odczuwała zbytniej niewygody w mundurze.

Ale nigdy nie czuła się dobrze, odwiedzając Jen Shinnan. Nie lubiła Jen Shinnan i chociaż oczywiście nigdy o tym nie wspomniano, prawdopodobnie Jen Shinnan odpłacała jej podobną antypatią. Zaproszenie tego rodzaju wystosowano tylko ze względu na towarzyski obowiązek, jako że porucznik Awn była miejscowym przedstawicielem władz Radchaai. Tego wieczoru za stołem zasiadło bardzo nieliczne grono – tylko Jen Shinnan, jej kuzynka, porucznik Awn i porucznik Skaaiat. Oczywiście Skaaiat dowodziła Issa Siedem „Sprawiedliwości Ente” i zarządzała terytorium pomiędzy Ors a Kould Ves – głównie terenami rolniczymi, gdzie Jen

Shinnan i jej kuzynka miały posiadłości. Skaaiat i jej oddziały pomagały nam w sezonie pielgrzymek, więc była w Ors niemal równie dobrze znana jak Awn.

– Skonfiskowali mi całe zbiory – mówiła kuzynka Jen Shinnan, właścicielka kilku sadów tamaryndowych niedaleko górnego miasta. Dla podkreślenia stuknęła sztucem w talerz. – Calutkie zbiory.

Na środku stołu ustawiono niezliczone tace, misy i miseczki z jajkami, rybami (nie z bagnistego jeziora, tylko z morza trochę dalej), kurczakami na ostro, chlebem, duszonymi warzywami oraz kilkoma rodzajami przypraw.

– Czy ci nie zapłacili, obywatelko? – zapytała Awn, wymawiając słowa powoli i starannie jak zawsze, kiedy bała się pomylić akcent. I Jen Shinnan, i jej kuzynka mówiły po radchaajsku, więc nie trzeba było tłumaczyć ani martwić się o płeć, status czy cokolwiek innego, co miałyby podstawowe znaczenie, gdyby rozmawiały po tanmindzku czy orsyjsku.

– No, ale na pewno dostałabym więcej, gdybym mogła je zawieźć do Kould Ves i sama sprzedać!

W dawnych czasach taka właścicielka ziemiska jak ona zostałaby z miejsca zastrzelona, żeby czyjaś protegowana mogła przejąć jej plantację. W istocie niejeden Shis’urnanin zginął we wczesnych stadiach aneksji tylko dlatego, że przeszkadzał, a słowo „przeszkadzał” miało wiele znaczeń.

– Jak z pewnością rozumiesz, obywatelko – powiedziała Awn – dystrybucja żywności to problem, którego jeszcze nie rozwiązaliśmy, i wszyscy musimy znosić pewne niewygody, dopóki nad tym pracujemy.

Kiedy czuła się nieswojo, wyrażała się w sposób nietypowo formalny i czasami niebezpiecznie zawikłany.

Jen Shinnan wskazała wyładowany półmisek z kruchego, blad różowego szkła.

– Jeszcze jedno jajko faszerowane, poruczniku Awn?

Awn uniosła urękawiczoną dłoń.

– Są pyszne, ale nie, dziękuję, obywatelko.

Jednak kuzynka nie chciała porzucić tego tematu, pomimo dyplomatycznych wysiłków Jen Shinnan, żeby skierować rozmowę na boczny tor.

– Przecież owoce nie są niezbędne do życia. Co jak co, ale tamaryndy! Poza tym nikt nie głoduje.

– Rzeczywiście nikt! – przyświadczyła z zapalem porucznik Skaaiat. Uśmiechnęła się promiennie do Awn. Porucznik Skaaiat – ciemnoskóra, bursztynowooka, arystokratyczna w przeciwieństwie do Awn. Jedna z jej Siedmiu Issów stała obok mnie przy drzwiach jadalni, równie wyprostowana i nieruchoma jak ja.

Chociaż Awn bardzo lubiła Skaaiat i doceniała jej sarkazm w tej sytuacji, nie mogła się zdobyć, żeby odpowiedzieć uśmiechem.

– Nie w tym roku.

– Twoje interesy idą lepiej niż moje, kuzynko – mitygowała ją Jen Shinnan. Ona też posiadała tereny uprawne niedaleko górnego miasta. Ale należały do niej również te pogłębiarki, które tkwiły w bagiennej wodzie, ciche i nieruchome. – Chociaż chyba nie powinnam za bardzo narzekać, było z tym mnóstwo zachodu, a zysk prawie żaden.

Porucznik Awn otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale z powrotem je zamknęła. Skaaiat zobaczyła to i zagadnęła, bez wysiłku wymawiając wyraźnie, dystyngowanie samogłoski:

– Co jest, poruczniku, następne trzy lata zakazu połowów?

– Tak – potwierdziła Awn.

– Głupota – oświadczyła Jen Shinnan. – Pełna dobrych chęci, ale głupota. Widziałas, jak tu było, kiedy przybyliście. Jak tylko je otworzycie, znowu zaczną tam łowić. Orsyjki może były niegdyś wielkim narodem, ale nie są już takie jak ich przodkowie. Brak im ambicji, nie rozumieją niczego poza doraźną korzyścią. Jeśli im pokażesz, kto jest szefem, będą całkiem posłuszne, jak z pewnością sama się przekonałaś, poruczniku Awn, ale w stanie naturalnym są, z paroma wyjątkami, gnuśne i zabobonne. Chociaż pewnie to skutek życia w Podświecie. – Uśmiechnęła się z własnego żartu, a jej kuzynka otwarcie się roześmiała.

Zasiedlające kosmos narody Shis'urny dzieliły wszechświat na trzy części. Pośrodku znajdowało się naturalne środowisko ludzi – stacje kosmiczne, statki, skonstruowane habitaty. Na zewnątrz rozciągała się Czerń – niebiosy, dom Boga i wszystkich świętych. A w studni grawitacyjnej samej planety Shis'urna – i każdej innej planety, jeśli chodzi o ścisłość – leżał Podświat, kraina zmarłych, z której ludzkość musiała uciec, żeby całkowicie uwolnić się od jej demonicznego wpływu.

Rozumiecie zapewne, że radchaajska koncepcja samego wszechświata jako Boga może wydawać się podobna do tanmindzkiej idei Czerni. I chyba rozumiecie też, dlaczego w radchaajskich uszach to brzmi nieco dziwnie, jeśli ktoś, kto wierzy, że studnie grawitacyjne są krainą zmarłych, nazywa ludźmi zabobonnymi, ponieważ oddają cześć jaszczurce.

Porucznik Awn zdobyła się na uprzejmy uśmiech, a Skaaiat zauważyła:

– Jednak wy też tu mieszkacie.

– Nie myślę abstrakcyjnych koncepcji filozoficznych z rzeczywistością – oświadczyła Jen Shinnan. Chociaż to również zabrzmiało nieco dziwnie dla Radchaai, która wiedziała, co znaczy dla tanmindzkiej mieszkanki stacji zjazd do Podświata i powrót. – Mam pewną teorię.

Awn, która nasłuchiwała się już tanmindzkich teorii o Orsyjkach, zdobyła się na neutralny, nawet lekko zaciekawiony wyraz twarzy i rzuciła chłodno:

– O?

– No dalej, mów! – zachęciła Skaaiat. Kuzynka, która przed chwilą wepchnęła sobie do ust sporą porcję kurczaka na ostro, machnęła sztucem na znak poparcia.

– Chodzi o ich sposób życia, wszystko na zewnątrz, tylko pod dachem – wyjaśniła Jen Shinnan. – Nie mają żadnej prywatności, żadnego poczucia siebie jako oddzielnych jednostek, rozumiecie, żadnej prawdziwej indywidualności.

– Nie mówiąc o prywatnej własności – dodała Jen Taa, przełknąwszy kurczaka. – Myślą, że mogą po prostu wejść i zabrać, co zechcą.

W rzeczywistości istniały prawa – chociaż niepisane – dotyczące wejścia do domu bez zaproszenia i w dolnym mieście rzadko zdarzały się kradzieże. Niekiedy w sezonie pielgrzymek, poza tym prawie nigdy.

Jen Shinnan gestem wyraziła zgodę.

– I tutaj nikt naprawdę nie głoduje, poruczniku. Nikt nie musi pracować, one tylko łowią ryby na bagnach. Albo naciągają odwiedzających w sezonie pielgrzymek. I nie mają... brakuje im wyrafinowania, nie mają żadnego wewnętrznego... – Urwała, szukając właściwego słowa.

– Życia wewnętrznego? – podsunęła Skaaiat, która bawiła się tą gierką znacznie lepiej niż Awn.

– Właśnie! – zgodziła się Jen Shinnan. – Życia wewnętrznego, tak.

– Więc według twojej teorii – odezwała się Awn niebezpiecznie spokojnym tonem – Orsyjki nie są prawdziwymi ludźmi.

– No, nie indywidualnościami. – Jen Shinnan niejasno wyczuwała, że czymś rozgniewała Awn, ale nie miała pewności. – Nie jako takie.

– I oczywiście – wtrąciła Jen Taa, nieświadoma konfliktu – widzą, co my mamy, i nie rozumieją, że trzeba pracować na takie życie, zazdroszczą nam, oburzają się i mają pretensje, że im tego nie dajemy, a przecież gdyby tylko pracowały...

– Wysyłają wszystkie pieniądze na utrzymanie tej zrujnowanej świątyni, a potem narzekają, że są biedne – podjęła Jen Shinnan. – Odławiają wszystkie ryby na bagnach, a potem nas obwiniają. Potraktują cię tak samo, poruczniku, kiedy otworzysz zakazane strefy.

– Twoje wydobywanie mułu na tony, żeby sprzedawać jako nawóz, nie miało nic wspólnego ze zniknięciem ryb? – zapytała Awn ostrzejszym tonem. Właściwie nawóz stanowił produkt uboczny głównego interesu, czyli sprzedaży mułu dla celów religijnych Tanmindkom żyjącym w kosmosie. – Zawiniły wyłącznie nieodpowiedzialne połowy ze strony orsyjskiej?

– No, oczywiście to miało pewien wpływ – przyznała Jen Taa – ale gdyby one tylko odpowiednio zarządzały zasobami...

– Święta racja – przyznała Jen Shinnan. – Oskarżasz mnie o wytrzebienie ryb. Ale ja daję tym ludziom pracę. Możliwość poprawienia warunków życiowych.

Skaaiat widocznie wyczuła, że Awn niebezpiecznie zbliża się do krawędzi.

– Bezpieczeństwo na planecie bardzo się różni od bezpieczeństwa na stacji – oznajmiła pogodnie. – Na planecie zawsze zdarzają się jakieś... przeoczenia. Jakieś rzeczy, których nie widać.

– Ach – powiedziała Jen Shinnan – ale wy wszystkich oznakowaliście, więc zawsze wiecie, gdzie jesteście.

– Tak – przyznała Skaaiat. – Ale nie zawsze patrzymy. Zapewne można wyhodować SI dostatecznie dużą, żeby obserwowała całą planetę, ale chyba jeszcze nikt tego nie próbował. Natomiast stacja...

Widziałam, że Awn zobaczyła, jak Skaaiat wpada w pułapkę, w którą przed chwilą weszła Jen Shinnan.

– Na stacji – powiedziała porucznik Awn – SI widzi wszystko.

– Znacznie łatwiej zarządzać – wyjaśniła radośnie Skaaiat. – Prawie wcale nie potrzeba Służby Bezpieczeństwa.

To była prawda, ale nie należało o tym teraz wspominać.

Jen Taa odłożyła sztuciec.

– Przecież SI z pewnością nie widzi wszystkiego. – Żadna z poruczników nie odpowiedziała. – Nawet kiedy wy...?

– Wszystko – potwierdziła Awn. – Zapewniam cię, obywatelko.

Milczenie trwało prawie dwie sekundy. Obok mnie usta strażniczki Issa Siedem porucznik Skaaiat drgnęły, co mogło oznaczać swędzenie albo jakiś niekontrolowany skurcz mięśni, ale podejrzewałam, że to była jedyna zewnętrzna oznaka rozbawienia. Statki wojskowe miały SI podobnie jak stacje i żołnierki Radchaai żyły całkowicie pozbawione prywatności.

Porucznik Skaaiat przerwała ciszę.

– Twoja siostrzenica, obywatelko, zdaje test zdolności w tym roku?

Kuzynka przytaknęła. Dopóki jej uprawy przynosiły zysk, nie potrzebowała przydziału ani ona, ani jej spadkobierczynie – tyle, ile mogło się utrzymać z tej ziemi. Siostrzenica jednak straciła rodziców podczas aneksji.

– Te testy – powiedziała Jen Shinnan. – Zdawałyście je, porucznicy?

Obie kiwnęły głowami. Testy zdolności stanowiły jedyną drogę do armii albo na państwowy urząd, chociaż to nie obejmowało wszystkich dostępnych przydziałów.

– Z pewnością – ciągnęła Jen Shinnan – testy dobrze się sprawdzają w waszym przypadku, ale zastanawiam się, czy nadają się dla nas, Shis’urnan.

– A to dlaczego? – zapytała Skaaiat z nieco krytycznym rozbawieniem.

– Jakiś problem? – rzekła Awn, wciąż sztywna, wciąż rozgniewana na Jen Shinnan.

– No... – Jen Shinnan otarła usta serwetką, miękką i śnieżnobiałą. – Podobno w zeszłym miesiącu w Kould Ves wszystkie kandydatki do służby państwowej były rdzennymi Orsyjkami.

Awn zamrugła, zmieszana. Skaaiat się uśmiechnęła.

– Chcesz powiedzieć – patrzyła na Jen Shinnan, ale kierowała swoje słowa również do porucznik Awn – że twoim zdaniem testy są tendencyjne.

Jen Shinnan złożyła serwetkę i położyła na stole obok swojej miski.

– Daj spokój, poruczniku. Bądźmy szczerze. Nie bez powodu tak niewiele Orsyjek zajmowało takie stanowiska przed waszym przybyciem. Co jakiś czas pojawia się wyjątek... Świątobliwość zasługuje na najwyższy szacunek, z całą pewnością. Ale jest wyjątkiem. Więc kiedy widzę dwadzieścia Orsyjek wyznaczonych na cywilne stanowiska państwowe i ani jednej Tanmindki, nie mogę odpędzić podejrzeń, że albo test jest wadliwy, albo... no cóż. Nie mogę nie pamiętać, że to Orsyjki pierwsze się poddały, kiedy przybyliście. Nie potępiam was, że to docenicie, że chcecie to... nagrodzić. Ale to błąd.

Awn milczała, ale Skaaiat zapytała:

– Zakładając, że masz rację, dlaczego to byłby błąd?

– Jak już mówiłam, one po prostu nie nadają się do sprawowania władzy. Owszem, są wyjątki, ale... – Machnęła dłonią w rękawiczce. – A skoro przydziały są w tak oczywisty sposób tendencyjne, ludzie stracą do nich zaufanie.

Uśmiech Skaaiat poszerzył się proporcjonalnie do milczącego, gniewnego oburzenia Awn.

– Twoja siostrzenica się denerwuje?

– Trochę! – przyznała kuzynka.

– To zrozumiałe – powiedziała wolno Skaaiat. – To doniosła chwila w życiu każdego obywatela. Ale nie musi się obawiać.

Jen Shinnan zaśmiała się ironicznie.

– Nie musi się obawiać? Dolne miasto nas nienawidzi, zawsze nienawidziło, a teraz nie możemy zawierać żadnych legalnych kontraktów, jeśli nie załatwimy transportu do Kould Ves albo nie przejdziemy przez dolne miasto do twojego domu, poruczniku. – Każdy prawomocny kontrakt musiał być zawarty w świątyni Amaat albo, w ramach najnowszego (ekstremalnie kontrowersyjnego) ustępstwa, na stopniach świątyni, jeśli jedna ze stron była absolutną monoteistką. – Podczas pielgrzymki to prawie niemożliwe. Albo tracimy cały dzień na podróż do Kould Ves, albo narażamy się na niebezpieczeństwo.

Jen Shinnan jeździła do Kould Ves dość często, zwykle po prostu w odwiedzinach do przyjaciół bądź na zakupy. Wszystkie Tanmindki z górnego miasta tam jeździły, również przed aneksją.

– Czy pojawiły się jakieś niezgłaszane trudności? – zapytała porucznik Awn, zeszywniała z wściekłości. Idealnie uprzejma.

– No cóż – powiedziała Jen Taa. – Właściwie chciałam o tym wspomnieć, poruczniku. Jesteśmy tu od kilku dni i moja siostrzenica miała trochę kłopotów w dolnym mieście. Ostrzegłam ją, żeby tam nie chodziła, ale wiesz, jakie są nastolatki, kiedy im czegoś

zabraniasz.

– Jakich kłopotów? – zapytała Awn.

– Och – rzuciła Jen Shinnan – znasz te rzeczy. Wulgarne zaczepki, pogróżki... na pewno bez pokrycia i oczywiście to nic w porównaniu z tym, co się będzie działo za tydzień lub dwa, ale dziecko było dość wstrząśnięte.

Dziecko to spędziło ostatnie dwa popołudnia, gapiąc się na wodę Przed-Świątynią i wzdychając. Raz się do niej odezwałam, a ona odwróciła głowę i nie odpowiedziała. Później zostawiłam ją w spokoju. Nikt jej nie zaczepiał. „Nie widziałam żadnych problemów”, przekazałam do Awn.

– Będę ją miała na oku – obiecała Awn, bezgłośnie potwierdzając odbiór wiadomości drgnieniem palców.

– Dziękuję, poruczniku – powiedziała Jen Shinnan. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

\*

– Myślisz, że to zabawne. – Awn próbowała rozluźnić zaciśnięte szczęki. Narastające napięcie jej mięśni twarzy wskazywało, że bez mojej interwencji wkrótce rozboli ją głowa.

Idąca obok niej Skaaiat roześmiała się swobodnie.

– To czysta komedia. Wybacz, moja droga, ale im bardziej się złościłaś, tym staranniej się wysławiałaś i tym mniej Jen Shinnan cię rozumiała.

– Na pewno nie. Na pewno o mnie pytała.

– Ciągłe się złościś. Co gorsza – porucznik Skaaiat objęła ramieniem Awn – złościś się na mnie. Przepraszam. I rzeczywiście pytała. W bardzo zawoalowany sposób, po prostu się tobą interesuje, co jest całkowicie naturalne.

– A ty odpowiedziałaś w równie zawoalowany sposób – odgadła Awn.

Szłam za nimi razem z Issa Siedem, która stała przedtem obok mnie w jadalni Jen Shinnan. Prosto przed nami, w wylocie ulicy, po drugiej stronie wody Przed-Świątynią widziałam siebie stojącą na placu.

Skaaiat ciągnęła:

– Nie nagadałam jej niczego nieprawdziwego. Powiedziałam jej, że porucznicy na statkach z serwitorami zwykle pochodzą ze starych, wysoko postawionych rodzin z mnóstwem pieniędzy i klientów. Jej kontakty w Kould Ves mogły powiedzieć więcej, ale niewiele więcej. Z jednej strony, skoro nie jesteś taką osobą, mają powód, żeby cię nienawidzić. Z drugiej strony jednak dowodzisz serwitorami, nie wulgarnymi ludzkimi oddziałami, które tradycjoniści potępiają tak samo, jak potępiają awansowanie na oficerów potomków niskich, nieznanych domów. Aprobują twoje serwitory i nie aprobują twoich przodków. W oczach Jen Shinnan twój wizerunek jest bardzo ambiwalentny.

Mówiła tak cicho, że tylko ktoś stojący bardzo blisko mógł ją słyszeć, chociaż mijane przez nas domy były pozamykane i na dolnych kondygnacjach pogaszono światła. Dość niezwykły widok w dolnym mieście, gdzie nawet późną nocą ludzie siedzieli prawie na ulicy, nawet małe dzieci.

– Poza tym – ciągnęła Skaaiat – ona ma rację. Och, nie z tymi bzdurami o Orsyjkach, ale ma rację z podejrzliwością wobec testów. Sama wiesz, że testy zdolności można zmanipulować. – Porucznik Awn zemdliło z oburzenia na te słowa i poczuła się zdradzona, ale nic nie powiedziała, a Skaaiat ciągnęła: – Przez stulecia tylko zamożni i ustosunkowani



zdawali testy na pewne stanowiska. Jak, powiedzmy, oficerów armii. Jakieś pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć lat temu to się zmieniło. Czyżby pomniejsze domy nagle zaczęły produkować kandydatów na oficerów, chociaż wcześniej nie mogły?

– Nie podoba mi się, do czego zmierzasz – warknęła Awn, ciągnąc lekko za ich splecione ramiona, próbując się odsunąć. – Nie spodziewałam się tego po tobie.

– Nie, nie – zaprotestowała porucznik Skaaiat i nie puściła jej, tylko przyciągnęła ją bliżej. – To dobre pytanie, tak jak odpowiedź. Odpowiedź oczywiście brzmi: nie. Ale czy to znaczy, że testy były fałszowane wtedy, czy są teraz?

– A twoje opinia?

– Jedno i drugie. Wtedy i teraz. A nasza przyjaciółka Jen Shinnan nie całkiem rozumie, że można nawet zadać takie pytanie... ona wie tylko, że trzeba mieć odpowiednie koneksje, żeby odnieść sukces, i że to dotyczy również testów. I nie ma za grosz wstydu... słyszałaś, jak insynuowała, że Orsyjki są nagradzane za kolaborację, i niemal tym samym tchem sugerowała, że jej ludzie byłiby jeszcze lepszymi kolaborantami! Zauważyłaś, że ani ona, ani jej kuzynka nie wysyłają na testy własnych dzieci, tylko osieroconą siostrzenicę. A jednak zależy im, żeby dobrze wypadła. Taa na pewno wręczyłaby nam łapówkę w zamian za dobry wynik, gdybyśmy tylko zażądały. Właściwie dziwię się, że sama tego nie zaproponowała.

– Nie wzięłabyś łapówki – zaprotestowała Awn. – Nie zrobisz tego. I tak nie możesz się wywiązać.

– Nie musiałabym. Dziecko dobrze zda test i pewnie wyślą ją do stolicy na szkolenie, a potem dostanie ciepłą posadkę w służbie cywilnej. Tak, Orsyjki rzeczywiście są nagradzane za kolaborację... ale stanowią mniejszość w tym układzie. A teraz, kiedy skończyły się nieuniknione przykrości aneksji, chcemy, żeby ludzie zrozumieli, że bycie Radchaai przynosi korzyści. Karanie miejscowych domów za to, że nie poddały się dostatecznie szybko, nic tu nie pomoże.

Przez chwilę szły w milczeniu i przystanąły na brzegu wody, wciąż splecione ramionami.

– Odprowadzić cię do domu? – zapytała Skaaiat.

Porucznik Awn nie odpowiedziała, tylko spojrzała ponad wodą, wciąż rozgniewana. Zielone świetliki w spadzistym dachu świątyni jaśniały, światło wylewało się z otwartych drzwi na plac i odbijało się w wodzie – trwała pora nocnego czuwania. Porucznik Skaaiat powiedziała z przeproszającym półuśmiechem:

– Zdenerwowałam cię, pozwól, że ci to wynagrodzę.

– Dobrze – ustąpiła Awn z cichym westchnieniem. Nigdy nie potrafiła się oprzeć Skaaiat i zresztą nie było takiej potrzeby. Odwróciły się i ruszyły brzegiem wody.

– Jaka jest różnica – zapytała Awn tak cicho, że prawie bezgłośnie – między obywatelami a nieobywatelami?

– Jedni są cywilizowani – odparła Skaaiat ze śmiechem – a drudzy nie.

Dowcip miał sens tylko w radchaajskim, gdzie „obywatel” i „cywilizowany” określano tym samym słowem. Być Radchaai znaczyło być cywilizowanym.

– Czyli z chwilą, kiedy Mianaai nadała Shis’urnanom obywatelstwo, natychmiast stali się cywilizowani? – Awn zaprezentowała rozumowanie cyrkularne, pytanie trudne do zadania w tym języku. – To znaczy jednego dnia nasze Issa strzelają do ludzi, którzy odezwali się bez dostatecznego szacunku... nie mów mi, że to się nie zdarzało, bo wiem, że się zdarzało, takie i gorsze rzeczy... ale to nie ma znaczenia, bo oni nie są Radchaai, nie są cywilizowani. – Awn chwilowo przerzuciła się na miejscowy orsyjski dialekt, który trochę знаła, ponieważ

radchaajskie słowa nie pozwoliły jej wyrazić tego, co zamierzała. – I wszystkie środki są usprawiedliwione w imię cywilizacji.

– No cóż – powiedziała Skaaiat – musisz przyznać, że były skuteczne. Teraz wszyscy zwracają się do nas z wielkim szacunkiem. – Porucznik Awn milczała bez uśmiechu. – Skąd ci się to wzięło?

Awn opowiedziała o swojej rozmowie z najwyższą kapłanką poprzedniego dnia.

– Ach. No, wtedy nie protestowałam.

– Co by to dało?

– Absolutnie nic – przyznała Skaaiat. – Nawet jeśli serwitory nie biją ludzi, nie biorą łapówek, nie gwałcą i nie strzelają pod wpływem urażonej dumy... ci ludzie, których zastrzeliły ludzkie oddziały... sto lat temu zmagazynowano by ich w stanie anabiozy do przyszłego użytku jako serwitorskie segmenty. Wiesz, ilu już mamy na składzie? Ładownie „Sprawiedliwości Toren” przechowują zapas serwitorów na najbliższy milion lat. Jeśli nie na dłużej. Ci ludzie praktycznie są martwi. Więc co za różnica? Nie podoba ci się to, co mówię, ale to prawda: luksus zawsze osiąga się cudzym kosztem. To jedna z licznych zalet cywilizacji, że nie musisz na ogół tego widzieć, jeśli nie chcesz. Wolno ci cieszyć się korzyściami, nie obciążając sumienia.

– Twojego to nie obciąża?

Porucznik Skaaiat roześmiała się beztrzesko, jakby dyskutowały zupełnie o czym innym, o grze planszowej albo dobrej herbaciarni.

– Jeśli dorastasz, wiedząc, że zasługujesz na miejsce na szczycie, że mniejsze domy istnieją, żeby służyć chlubnemu przeznaczeniu twojego domu, przyjmujesz to za rzecz oczywistą. Urodziłaś się z założeniem, że ktoś inny opłaca twoje życie. Tak już jest. To, co się dzieje podczas aneksji... to różnica skali, nie jakości.

– Mnie się tak nie wydaje – odpowiedziała Awn krótko i z goryczą.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznała Skaaiat łagodniejszym tonem. Na pewno szczerze lubiła porucznik Awn. Wiedziała, że Awn ją lubiła, chociaż czasami złościły ją słowa przyjaciółki, jak tego wieczoru. – Twoja rodzina płaci część tych kosztów, chociaż niewielką. Może dlatego łatwiej ci współczuć tym, którzy płacą za ciebie. I na pewno trudno jest nie myśleć, przez co przeszli twoi przodkowie, kiedy ich anektowano.

– Twoich przodków nigdy nie anektowano – rzuciła zjadliwie Awn.

– No, niektórych pewnie tak – przyznała Skaaiat. – Ale nie ma ich w oficjalnej genealogii. – Przystanęła i zatrzymała porucznik Awn. – Awn, moja dobra przyjaciółko. Nie zamartwiaj się rzeczami, na które nic nie możesz poradzić. Jest, jak jest. Nie masz sobie nic do zarzucenia.

– Przed chwilą powiedziałaś, że wszyscy mamy.

– Tego nie powiedziałam – zaprzeczyła łagodnie Skaaiat. – Ale ty i tak odbierzesz to w ten sposób. Posłuchaj: życie tutaj będzie lepsze, bo tu jesteśmy. Już jest lepsze, nie tylko dla miejscowych, ale dla tych, których przywieziono. I nawet dla Jen Shinnan, chociaż na razie ona nie może przeboleć, że nie jest już najwyższą władzą w Ors. Z czasem dojdzie do siebie. Jak wszyscy.

– A zmarli?

– Nie żyją. Nie ma sensu się nimi przejmować.

Seivarden obudziła się niespokojna i podenerwowana. Dwukrotnie spytała mnie, kim jestem, i trzy razy gderała, że moja odpowiedź, tak czy owak kłamliwa, nie zawiera żadnych istotnych dla niej informacji.

– Nie znam nikogo imieniem Breq. Nigdy w życiu cię nie widziałam. Gdzie jestem?

W miejscu bez nazwy.

– Jesteś na Nilt.

Naciągnęła koc na nagie ramiona, a potem, nadąsana, zrzuciła go i skrzyżowała ręce na piersi.

– Nigdy nawet nie słyszałam o Nilt. Jak tu trafiłam?

– Nie mam pojęcia.

Postawiłam przed nią na podłodze jedzenie, które trzymałam. Znowu sięgnęła po koc.

– Nie chcę tego.

Gestem wyraziłam obojętność. Zjadłam i odpoczęłam już wcześniej, kiedy ona spała.

– To ci się często zdarza?

– Co?

– Budzić się i nie wiedzieć, gdzie jesteś, kim jesteś ani jak się tam znalazłaś?

Znowu nerwowo naciągnęła koc, potarła ramiona i nadgarstki.

– Kilka razy.

– Jestem Breq z Gerentate. – Już jej to mówiłam, ale wiedziałam, że zapyta jeszcze raz. – Znalazłam cię dwa dni temu przed tawerną. Nie wiem, skąd się tam wzięłaś. Umarłabyś, gdybym cię zostawiła. Przepraszam, jeśli tego chciałaś.

Z jakiegoś powodu to ją rozgniewało.

– Jesteś taka czarująca, Breq z Gerentate – prychnęła. Chociaż to irracjonalne, trochę dziwnie było słyszeć ten ton, kiedy była naga i rozczochrana.

Ten ton mnie rozzłościł. Dobrze wiedziałam, dlaczego się złościę, i wiedziałam również, że jeśli ośmielę się okazać mój gniew Seivarden, ona odpowie jedynie pogardą, co jeszcze bardziej mnie rozzłościło. Utrzymałam na twarzy neutralny wyraz lekkiego zainteresowania, który przybrałam, kiedy się obudziła, i wykonałam ten sam obojętny gest co wcześniej.

\*

Byłam pierwszym statkiem, na którym służyła Seivarden. Przyszła świeżo po szkoleniu, siedemnastoletnia, i trafiła akurat na końcowe etapy aneksji. W tunelu wyciętym w czerwono-brązowych skałach pod powierzchnią niewielkiego księżycyca kazano jej pilnować więźniarek, w sumie dziewiętnastu, nagich i drżących, skulonych w lodowatym korytarzu i czekających na oszacowanie.

Właściwie to ja pełniłam straż, siedem mnie stało pod ścianą korytarza z bronią w pogotowiu. Seivarden – wówczas taka młoda, wciąż smukła, ciemne włosy, brązowa skóra i nijakie brązowe oczy, w przeciwieństwie do arystokratycznych rysów twarzy, włącznie z nosem, do którego jeszcze całkiem nie dorosła. Owszem, zdenerwowana, że zaledwie po kilku dniach otrzymała odpowiedzialne zadanie, ale również dumna z siebie i swojej małej niespodziewanej władzy. Dumna z ciemnobrązowej kurtki mundurowej, spodni i rękawic, z insygniów porucznika. I moim zdaniem trochę za bardzo podekscytowana tym, że trzyma prawdziwą broń i że to wcale nie są ćwiczenia.

Jedna z osób pod ścianą – barczysta, muskularna, przyciskająca do piersi złamaną rękę – szlochała hałaśliwie, jęcząc przy każdym wydechu, rżąc przy każdym wdechu. Wiedziała, jak wszyscy w szeregu, że zostaną albo zmagazynowane do wykorzystania w przyszłości jako serwitory – jak moje serwitory, które teraz stały przed nimi, pozbawione osobowości, ciała będące kończynami radchaajskiego okrętu wojennego – albo zlikwidowane.

Seivarden, spacerująca niecierpliwie tam i z powrotem wzdłuż szeregu, coraz bardziej się irytowała z każdym konwulsyjnym oddechem tego nieszczęsnego jeńca, aż wreszcie zatrzymała się przed nią.

– Na cycki Aatr! Ucisz się!

Drobne ruchy mięśni ramienia Seivarden powiedziały mi, że zamierza podnieść broń. Nikogo by nie obeszło, gdyby zdjęła kolbę z broni i pobiła więźniarkę do nieprzytomności. Nikogo by nie obeszło, gdyby strzeliła jej w głowę, o ile nie uszkodziłaby żadnej istotnej części. Bynajmniej nie brakowało ludzkich ciał do przerobienia na serwitory.

Zastąpiłam jej drogę.

– Poruczniku – powiedziałam tonem pozbawionym intonacji – herbata, o którą prosiłaś, jest gotowa.

Właściwie była gotowa od pięciu minut, ale nic nie mówiłam, trzymałam ją w rezerwie.

W odczytach napływających od tej straszliwie młodej porucznik Seivarden zobaczyłam zaskoczenie, frustrację, gniew. Irytację.

– To było piętnaście minut temu – warknęła. Nie odpowiedziałam. Obok mnie więźniarka wciąż szlochała i jęczała. – Możesz coś zrobić, żeby się zamknęła?

– Postaram się, poruczniku – odpowiedziałam, chociaż wiedziałam, że tak naprawdę był na to tylko jeden sposób, tylko jedna rzecz mogła uciszyć rozpacz tego jeńca. Świeżo upieczona porucznik Seivarden chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

\*

Dwadzieścia jeden lat po przybyciu na „Sprawiedliwość Toren” – trochę ponad tysiąc lat wcześniej, zanim ją znalazłam w śniegu – Seivarden miała stopień starszego porucznika Esk. Trzydzieści osiem lat, wciąż całkiem młoda jak na standardy Radchaai. Obywatel mógł dożyć dwóch setek.

Ostatniego dnia piła herbatę, siedząc na koi w swojej kwaterze, trzy na dwa na dwa metry, białe ściany, surowa czystość. Dorosła już do swojego arystokratycznego nosa, dorosła do siebie. Znikły niepewność i niezręczność.

Obok niej na starannie zasłanej koi siedziała najmłodsza porucznik Dekady Esk, przybyła zaledwie parę tygodni wcześniej, coś jakby kuzynka Seivarden, chociaż z innego domu. Wyższa, niż Seivarden była w tym wieku, szersza, obdarzona nieco większą dozą wdzięku. Przeważnie. Zdenerwowana, że zaproszono ją tutaj na prywatną konferencję ze starszym porucznikiem, kuzynką czy nie, ale ukrywająca to. Seivarden mówiła do niej:

– Powinnaś uważać, poruczniku, kogo obdarzasz swoimi... względami.

Młodziutka porucznik zmarszczyła brwi, zakłopotana, kiedy nagle do niej dotarło, o co chodzi.

– Wiesz, kogo mam na myśli – ciągnęła Seivarden i ja też wiedziałam.

Jedna z pozostałych poruczników Esk widocznie zauważyła, kiedy młodziutka porucznik weszła na pokład, i powoli, dyskretnie próbowała wybadać, czy młodziutka porucznik też ją zauważy. Ale nie tak dyskretnie, żeby Seivarden tego nie spostrzegła. W rzeczywistości cały

pokój dekady to widział i widział też zaintrygowaną reakcję młodziutkiej porucznik.

– Wiem, kogo masz na myśli – przyznała młodziutka porucznik. Oburzona. – Ale nie rozumiem, dlaczego...

– Ach! – rzuciła Seivarden ostro, apodyktycznie. – Myślisz, że to nieszkodliwa przyjemność. No, pewnie byłoby przyjemnie. – Seivarden sama spała kiedyś z tamtą porucznik i wiedziała, o czym mówi. – Ale to nie byłoby nieszkodliwe. Ona jest dość dobrym oficerem, ale jej dom jest bardzo prowincjonalny. Nie byłoby problemu, gdyby nie była twoją przełożoną.

Dom młodziutkiej porucznik bynajmniej nie był „bardzo prowincjonalny”. Choć tak naiwna, natychmiast zrozumiała, o czym mówi Seivarden. I rozgniewała się wystarczająco, żeby zwrócić się do Seivarden w sposób mniej formalny, niż wymagała przyzwoitość.

– Na cycki Aatr, kuzynko, nikt nic nie mówił o patronacie. I nie mógł, żadna z nas nie może zawierać kontraktów, dopóki nie odejdzie ze służby.

Wśród bogaczy patronat był bardzo hierarchicznym związkiem – patronka obiecywała protegowanej pewną pomoc, zarówno finansową, jak i towarzyską, protegowana zaś zapewniała patronce wsparcie i usługi. Takie zobowiązania mogły trwać przez pokolenia. Na przykład w najstarszych, najbardziej prestiżowych domach prawie cała służba pochodziła od protegowanych i wiele przedsiębiorstw należących do bogatych domów zatrudniało personel z protegowanych niższych domów.

– Te prowincjonalne domy są ambitne – wyjaśniła Seivarden leciutko protekcyjnym tonem. – A także sprytne, inaczej nie zaszłyby tak daleko. Ona jest wyższa stopniem od ciebie i obie macie jeszcze całe lata do odsłużenia. Jeśli dopuścisz ją do intymności na tych warunkach, pozwolisz, żeby to trwało, i uzależnisz się, któregoś dnia to ona zaoferuje ci patronat, chociaż powinno być na odwrót. Wątpię, by twoja matka ci podziękowała, że naraziłaś swój dom na taką zniewagę.

Twarz młodziutkiej porucznik zapłonęła gniewem i urazą. Blask jej pierwszego dorosłego romansu nagle zgasł, cała sprawa okazała się brudna i wyrachowana.

Seivarden wychyliła się do przodu, sięgnęła po flaszkę z herbatą i zamarła w przypiływie irytacji. Powiedziała do mnie bezgłośnie, drganiem palców wolnej ręki:

„Ten mankiet jest podarty od trzech dni”.

– Przepraszam, poruczniku – powiedziałam jej prosto do ucha.

Powinam była zaproponować, że natychmiast to naprawię, przysłać segment Esk Jeden, żeby zabrał tę koszulę. Prawdę mówiąc, należało naprawić ją trzy dni temu. Nie powinam ubierać jej dzisiaj w tę koszulę.

Milczenie w ciasnej kwaterze, młodziutka porucznik wciąż pogrążona w konsternacji. Potem powiedziałam wprost do ucha Seivarden:

– Poruczniku, masz się zgłosić do komandor dekady w pierwszej wolnej chwili.

Wiedziałam, że zbliża się awans. Czerpałam drobną satysfakcję z faktu, że nawet gdyby teraz kazała mi naprawić rękaw, nie miałabym na to czasu. Gdy tylko wyszła z kwatery, zaczęłam pakować jej rzeczy, a trzy godziny później leciała objąć nowe stanowisko: została mianowana kapitanem „Miecza Nathtas”. Niespecjalnie żałowałam, że odchodzi.

\*

Takie drobiazgi. To nie była wina Seivarden, że źle zareagowała w sytuacji, w jakiej niewiele siedemnastolatek (albo żadna) zachowałoby zimną krew. Nic dziwnego, że wyrosła

na snobkę, skoro tak ją wychowano. Nie jej wina, że w ciągu tysiąca (wówczas) lat mojej egzystencji nauczyłam się wyżej cenić kwalifikacje niż pochodzenie, że widziałam niejednego „bardzo prowincjonalny” dom, który wzniósł się dostatecznie wysoko, żeby się pozbyć tej etykiety, i zmienił się we własną wersję domu Seivarden.

Wszystkie te lata, dzielące młodą porucznik Seivarden od kapitan Seivarden, składały się z krótkich chwil. Drobiazgów. Nigdy nie nienawidziłam Seivarden. Po prostu nieszczególnie ją lubiłam. Ale nie mogłam teraz na nią patrzeć, nie myśląc o kimś innym.

\*

Następny tydzień w domu Strigan był nieprzyjemny. Seivarden wymagała ciągłej opieki i częstego mycia. Jadła bardzo mało (co z pewnych względów było korzystne) i musiałam pilnować, żeby się nie odwodniła. Ale pod koniec tego tygodnia już utrzymywała jedzenie w żołądku i przynajmniej spała z przerwami. Jednak sen miała lekki, kręciła się i rzucała, często drżała, dyszała ciężko i nagle się budziła. Obudzona, jeśli nie płakała, narzekała, że wszystko jest zbyt ostre, zbyt szorstkie, za głośne, za jasne.

Kilka dni później, kiedy myślała, że śpię, podeszła do zewnętrznych drzwi i wyjrzała na śnieg. Potem ubrała się, włożyła płaszcz, wyszła z budynku i dobrnęła do latacza. Próbowала go uruchomić, ale wcześniej wyjęłam ważną część i schowałam ją pod kluczem. Kiedy wróciła do domu, miała przynajmniej tyle przytomności umysłu, żeby zamknąć jedno i drugie drzwi, zanim naniósł śniegu do głównego pokoju, gdzie siedziałam na ławie, trzymając strunowy instrument Strigan. Wytrzeszczyła oczy, niezdolna ukryć zdumienia, nieporadna w ciężkim, niewygodnym, drapiącym płaszczu.

– Chcę wyjechać – oznajmiła głosem dziwacznym na wpół zastraszone, na wpół aroganckim i rozkazującym.

– Wyjedziemy, kiedy będę gotowa – odparłam i wydobyłam kilka dźwięków z instrumentu. Nie potrafiła ukryć swoich uczuć, w tamtej chwili zbyt prymitywnych i gwałtownych, gniew i rozpacz malowały się wyraźnie na jej twarzy. – Jesteś tam, gdzie jesteś – dodałam spokojnie – na skutek decyzji, jakie sama podjęłaś.

Wyprostowała się, ściągnęła ramiona do tyłu.

– Nie wiesz nic o mnie ani o decyzjach, jakie podjęłam.

To wystarczyło, żeby znowu mnie rozżłościć. Wiedziałam coś o podejmowaniu decyzji.

– Ach, zapomniałam. Wszystko się dzieje z woli Amaat, nic nie jest twoją winą.

Oczy jej się rozszerzyły. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, nabrała powietrza, ale potem wypuściła je w nagłym, drżącym wydechu. Odwróciła się plecami, na pozór, żeby zdjąć płaszcz i rzucić na pobliską ławę.

– Nie rozumiesz – odparła pogardliwie, ale głos jej drżał od powstrzymanych łez. – Nie jesteś Radchaai.

Niecywilizowana.

– Zaczęłaś brać kef przed opuszczeniem Radch czy później? – Nie powinien być dostępny na terytorium Radchaai, ale zawsze kwitł drobny przemyt, na który władze stacji przymykały oko.

Opadła na ławkę obok niezdarnie rzuconego płaszcza.

– Chcę herbaty.

– Tu nie ma herbaty. – Odłożyłam instrument. – Jest mleko.

Ściśle mówiąc, sfermentowane mleko bovów, które miejscowi rozcieńczali wodą i pili

ciepłe. Smak i zapach kojarzyły się z przepeconymi butami. Gdyby Seivarden wypięła za dużo, mogłaby się pochorować.

– Co to za miejsce, żeby nie było herbaty? – burknęła. Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach i przycisnęła czoło do nadgarstków, nagie dłonie wyprostowane, z rozczapierzonymi palcami.

– Właśnie takie miejsce – odparłam. – Dlaczego brałaś kef?

– Nie zrozumiesz. – Łzy kapwały jej na kolana.

– Wypróbuj mnie. – Znowu sięgnęłam po instrument, zagrałam melodię.

Po sześciu sekundach cichego płaczu Seivarden szepnęła:

– Ona mówiła, że wszystko stanie się wyraźniejsze.

– Dzięki kefowi? – Milczenie. – Co stanie się wyraźniejsze?

– Znam tę piosenkę – oświadczyła, wciąż opierając twarz na nadgarstkach.

Uświadomiłam sobie, że chyba tylko w ten sposób mogła mnie rozpoznać, i zmieniłam melodię. W jednym regionie Valskaay traktowano śpiew jak wyrefinowaną formę rozrywki, miejscowe chóry stanowiły ośrodki życia towarzyskiego. Tamta aneksja dostarczyła mi mnóstwo muzyki, jaką najbardziej lubiłam, kiedy dysponowałam więcej niż jednym głosem. Wybrałam jedną z tamtych pieśni. Seivarden nie mogła jej znać. Była jednocześnie za młoda i za stara na Valskaay.

– Ona mówiła – odezwała się wreszcie Seivarden, unosząc głowę – że emocje zaciemniają percepcję. Że najwyraźniej widzi czysty rozum, niezniekształcony przez uczucia.

– To nieprawda. – Miałam tydzień na poznanie tego instrumentu i niewiele więcej do roboty. Udało mi się zagrać dwie linie melodyczne naraz.

– Na początku wydawało się, że to prawda. Było cudownie. Wszystko odeszło. Ale potem przestawało działać i znowu było tak samo. Tylko gorzej. A po jakimś czasie robiło się tak, jakby nieczucie było złe. Nie wiem. Nie umiem tego opisać. Ale jeśli brałam więcej, to mijało.

– A każdy zjazd był coraz trudniejszy do zniesienia. – Słyszałam już tę historię kilka razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

– Och, na litość Amaat – jęknęła. – Chcę umrzeć.

– Więc czemu nie umrzesz?

Przerzuciłam się na następną piosenkę. *Moje serce jest rybą ukrytą w wodnej trawie. W zieleni, w zieleni...*

Spojrzała na mnie jak na głaz, który nagle przemówił.

– Straciłaś statek. Byłaś zamrożona przez tysiąc lat. Obudziłaś się i odkryłaś, że Radch się zmieniło: koniec inwazji, upokarzający traktat z Presgerami, twój dom stracił status towarzyski i finansowy. Nikt cię nie zna, nikt cię nie pamięta, nikogo nie obchodzi, czy żyjesz, czy umrzesz. Nie do tego przywykłaś, nie tego oczekiwałaś od życia, prawda?

Upłynęły trzy przepełnione zdumieniem sekundy, zanim do niej dotarło.

– Wiesz, kim jestem.

– Oczywiście, że wiem, kim jesteś. Sama mi powiedziałaś – skłamałam.

Zamrugnęła, bo łzy jej napłynęły do oczu, pewnie próbowała sobie przypomnieć, czy naprawdę mi powiedziała. Ale oczywiście miała luki w pamięci.

– Idź spać – rozkazałam i położyłam palce na strunach, uciszając je.

– Chcę wyjechać – zaprotestowała, wciąż skulona na ławie, z łokciami na kolanach. – Dlaczego nie mogę wyjechać?

– Mam tu sprawę do załatwienia – wyjaśniłam.

Wydeła wargi i się nadaśała. Oczywiście miała rację, czekanie tutaj było głupotą. Po tylu latach planowania i wysiłków poniosłam porażkę.

A jednak.

– Wracaj do łóżka.

Za łóżko służyło poślanie z koców i poduszek obok ławy, na której siedziała. Popatrzyła na mnie, wciąż z pogardliwym półuśmiechem. Potem zsunęła się na podłogę, położyła i naciągnęła na siebie koc. Wiedziałam, że nie zaśnie od razu. Spróbuje wymyślić jakiś sposób, żeby stąd wyjechać, żeby mnie zmusić albo przekonać do zrobienia tego, czego chce. Oczywiście żadne plany nie zdadzą się na nic, dopóki sama nie będzie wiedziała, czego chce, ale tego jej nie powiedziałam.

W ciągu godziny jej mięśnie zwiotczały i oddech zwolnił. Gdyby nadal była moją porucznik, wiedziałabym na pewno, czy śpi, wiedziałabym, w jakiej jest fazie snu, wiedziałabym, czy coś jej się śni. Teraz dostrzegałam tylko powłokę zewnętrzną.

Wciąż czujna, usiadłam na podłodze, oparłam się o drugą ławę i naciągnęłam koc na nogi. Jak zawsze, kiedy tu spałam, rozpięłam wewnętrzny płaszcz i oparłam rękę na broni. Potem odchyliłam się do tyłu i zamknęłam oczy.

\*

Dwie godziny później obudził mnie cichy dźwięk. Leżałam bez ruchu, wciąż z ręką na broni. Cichy dźwięk powtórzył się nieco głośniejszy – drugie drzwi się zamknęły. Uchyliłam powieki, tylko odrobinę. Seivarden leżała zbyt nieruchomo na poślaniu – na pewno też usłyszała ten dźwięk.

Przez rzęsy zobaczyłam osobę w wierzchnim ubraniu. Prawie dwa metry wzrostu, chuda pod ciepłym podwójnym okryciem, skóra szara jak żelazo. Kiedy zsunęła do tyłu kaptur, zobaczyłam, że jej włosy mają ten sam kolor. Na pewno nie była Niltem.

Stała i patrzyła na mnie i Seivarden przez siedem sekund. Potem cicho podeszła do mnie i schyliła się, żeby jedną ręką przyciągnąć do siebie mój plecak. W drugą rękę trzymała broń wycelowaną prosto we mnie, chociaż chyba nie zdawała sobie sprawy, że nie śpię.

Zamek powstrzymał ją na kilka chwil. Potem wyjęła z kieszeni przyrząd, którego użyła, żeby obejść zamek znacznie szybciej, niż się spodziewałam. Nadal mierząc do mnie z broni i od czasu do czasu zerkając na nieruchomą Seivarden, opróżniła plecak.

Zmiana ubrania. Amunicja, ale brak broni, więc musiała wiedzieć albo podejrzewać, że jestem uzbrojona. Trzy zafoliowane paczki koncentratów spożywczych. Sztućce i butelka wody. Płaski złoty dysk pięciocentymetrowej średnicy, gruby na półtora centymetra, nad którym głowiła się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, po czym go odłożyła. Skrzynka, którą otworzyła, szukając pieniędzy – sapnęła ze zdumienia, kiedy zobaczyła, jak dużo ich jest, i spojrzała na mnie. Leżałam bez ruchu. Nie wiem, co się spodziewała znaleźć, ale najwyraźniej tego nie znalazła.

Wzięła dysk, który tak ją zaintrygował, i usiadła na ławie, skąd dobrze widziała mnie i Seivarden. Obracając dysk w rękach, znalazła przełącznik. Boki opadły, rozwarły się jak płatki kwiatu i mechanizm wypuł ikonę, prawie nagą osobę, odzianą tylko w krótkie spodnie i maleńkie kwiatki z emalii i klejnotów. Wizja uśmiechała się pogodnie. Miała cztery ręce. W jednej ręce trzymała kulę, drugie ramię okrywał cylindryczny pancerz. Pozostałe ręce trzymały nóż i odciętą głowę, z której skapywała krew-klejnoty na bosc stopy zjawy. Głowa



uśmiechała się z tym samym świątobliwym, niezmaconym spokojem co zjawa.

Strigan – to musiała być Strigan – zmarszczyła brwi. Nie spodziewała się ikony. To jeszcze bardziej rozпалиło jej ciekawość.

Otwarłam oczy. Ona mocniej ścisnęła broń – broń, na którą patrzyłam teraz z bliska, teraz, kiedy miałam oczy otwarte, teraz, kiedy mogłam odwrócić głowę w tamtą stronę.

Strigan wyciągnęła do mnie ikonę, uniosła stalowoszarą brew.

– Krewna? – zapytała w radchaajskim.

Przybrałam przyjemnie neutralny wyraz twarzy.

– Niezupełnie – odparłam w jej języku.

– Myślałam, że wiem, czym jesteś, kiedy przybyłaś – powiedziała po długim milczeniu, z wdzięcznością akceptując zmianę języka. – Myślałam, że wiem, co tu robisz. Teraz nie jestem taka pewna. – Spojrzała na Seivarden, której nasza rozmowa pozornie wcale nie przeszkadzała w spaniu. – Chyba wiem, kim on jest. Ale kim ty jesteś? Czym jesteś? Nie mów mi, że Breq z Gerentate. Jesteś tak samo Radchaai jak tamten. – Łokciem wskazała Seivarden.

– Przybyłam tu, żeby coś kupić – oznajmiłam, ze wszystkich sił starając się nie patrzeć na broń w jej rękę. – On jest tu przez przypadek.

Ponieważ nie rozmawialiśmy w radchaajskim, musiałam wziąć pod uwagę płęć – język Strigan tego wymagał. Jednocześnie społeczeństwo, w którym żyła, głosiło tezę, że płęć nie ma znaczenia. Mężczyźni i kobiety ubierali się, mówili, zachowywali jednakowo. A jednak nikt z tych, których spotkałam, nigdy się nie zawahał ani nie pomylił. I nieodmiennie się obrażali, kiedy ja się zawahałam albo źle odgadłam. Nie opanowałam tej sztuczki.

Znajdowałam się w mieszkaniu Strigan, widziałam jej rzeczy, a jednak wciąż nie miałam pojęcia, w jakiej formie powinnam się do niej zwracać.

– Przypadek? – powtórzyła Strigan niedowierzająco.

Nie dziwiłam się jej. Sama bym nie uwierzyła, chociaż wiedziałam, że to prawda. Strigan nie powiedziała nic więcej. Zapewne uświadomiła sobie, że dalsze gadanie byłoby krańcową głupotą, jeśli byłam tym, czego się obawiała.

– Zbieg okoliczności – ciągnęłam, przynajmniej chwilowo zadowolona, że nie rozmawiamy w radchaajskim, gdzie te słowa zawierają więcej znaczenia. – Znalazłam go nieprzytomnego. Gdybym go zostawiła, umarłby. – Strigan w to również nie uwierzyła, sądząc ze spojrzenia, jakie mi rzuciła. – Dlaczego tu jesteś?

Zaśmiała się krótko i gorzko, czy dlatego, że użyłam zaimka w niewłaściwym rodzaju, czy z innego powodu.

– Chyba ja powinnam o to zapytać.

Przynajmniej nie poprawiła mojej gramatyki.

– Przyjechałam z tobą pomówić. Kupić coś. Seivarden był chory. Ciebie nie było.

Oczywiście zapłacę za to, co zjedliśmy.

Z jakiegoś powodu to ją rozbawiło.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytała.

– Jestem sama – oświadczyłam, odpowiadając na niezadane pytanie. – Tylko z nim.

Ruchem głowy wskazałam Seivarden. Przez cały czas ścisnęłam w rękę broń i Strigan chyba się domyślała, dlaczego trzymam tę rękę tak nieruchomo pod płaszczem. Seivarden wciąż udawała, że śpi.

Strigan pokręciła głową lekko, z niedowierzaniem.

– Przysięgłabym, że jesteś żołnierzem trupem. – Miała na myśli serwitora. – Kiedy

przylecieliście, byłam tego pewna. – Czyli ukrywała się w pobliżu, czekając, aż odlecimy, i prowadziła stałą obserwację tego miejsca. Widocznie pokładała ogromne zaufanie w swojej kryjówce; gdybym była tym, czego się obawiała, pozostanie w pobliżu stanowiłoby krańcową głupotę. Na pewno bym ją znalazła. – Ale kiedy zobaczyłaś, że tu nikogo nie ma, płakałaś.

A on... – Wzruszyła ramionami, pokazując Seivarden rozciągniętą nieruchomo na posłaniu.

– Usiądź, obywatelko – powiedziałam do niej w radchaajskim. – Nikogo nie nabrałaś.

– Odwal się – warknęła i naciągnęła koc na głowę. Potem znowu go ściągnęła, wstała, nieco chwiejnie pomaszrowała do węzła sanitarnego i zamknęła za sobą drzwi.

Odwróciłam się z powrotem do Strigan.

– Ten numer z wypożyczalnią lataczy to twoja sprawka?

Wzruszyła ramionami ze skrucą.

– Powiedział mi, że para Radchaai wybiera się tutaj. Albo fatalnie cię nie docenił, albo jesteś jeszcze bardziej niebezpieczna, niż myślałam.

Czyli wyjątkowo niebezpieczna.

– Przywykłam, że mnie nie doceniają. I nie powiedziałaś jej... jemu, dlaczego się mnie spodziewałaś.

Broń w jej ręku nie drgnęła.

– Dlaczego tu jesteś?

– Wiesz dlaczego. – Przelotna zmiana wyrazu jej twarzy, natychmiast powstrzymana. – Nie żeby cię zabić – ciągnęłam. – Zabicie ciebie udaremniłoby osiągnięcie celu.

Uniosła brew, lekko przechyliła głowę na bok.

– Czyżby?

Miałam dość tej szermierki słownej, tych gier.

– Chcę broń.

– Jaką broń?

Strigan nie byłaby taka głupia, żeby przyznać, że ta rzecz istnieje, że ona wie, o jaką broń mi chodzi. Ale jej udawana ignorancja nie przekonywała. Ona wiedziała. Jeśli miała to, o czym myślałam, dla czego ryzykowałam życie, nie potrzebowała dalszych wyjaśnień. Wiedziała.

Czy odda mi broń, to inna sprawa.

– Zapłacę ci.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Garseddai robili wszystko piątkami. Pięć słusznych czynów, pięć grzechów głównych, pięć dystryktów po pięć regionów. Dwudziestu pięciu przedstawicieli, żeby ogłosić kapitulację przed lord Radch.

Na trzy sekundy Strigan zamarła w bezruchu. Nawet chyba przestała oddychać. Potem się odezwała:

– Garsedd, tak? Co to ma wspólnego ze mną?

– Nigdy bym się nie domyśliła, gdybyś została na miejscu.

– Garsedd był tysiąc lat temu i bardzo, bardzo daleko stąd.

– Dwudziestu pięciu przedstawicieli, żeby ogłosić kapitulację przed lord Radch – powtórzyłam. – I dwadzieścia cztery sztuki broni, odzyskane albo rozliczone w inny sposób.

Zamrugnęła, zaczerpnęła powietrza.

– Kim jesteś?

– Ktoś uciekł. Ktoś opuścił układ, zanim przybyli Radchaai. Może się bała, że broń nie

będzie działać tak, jak obiecywano. Może wiedziała, że to też by nie pomogło.

– Wręcz przeciwnie, co? Nie o to chodziło? Nikt się nie przeciwstawia Anaander Mianaai – rzuciła z goryczą. – Nie, jeśli chce żyć.

Nie odpowiedziałam.

Strigan trzymała broń pewnym chwytem. Mimo to nie była przede mną bezpieczna, gdybym zechciała ją skrzywdzić, i chyba się tego domyślała.

– Nie wiem, dlaczego przypuszczasz, że mam broń, o której mówisz. Skąd mogłabym ją wziąć?

– Kolekcjonujesz antyki, osobliwości. Zgromadziłaś już niewielką kolekcję artefaktów Garseddai. W jakiś sposób dotarły do stacji Dras Annia. Równie dobrze inne mogły tam dotrzeć. A potem pewnego dnia zniknęłaś. Dopilnowałaś, żeby nikt cię nie śledził.

– To bardzo wątpliwe podstawy jak na takie poważne przypuszczenie.

– Więc czemu to? – Ostrożnie zatoczyłam krąg wolną ręką, wciąż trzymając drugą pod płaszczem, na broni. – Miałaś wygodną posadę na Dras Annia, pacjentów, mnóstwo pieniędzy, znajomości i reputację. Teraz tkwisz pośrodku lodowego pustkowia i udzielasz pierwszej pomocy pasterzom bovów.

– Kryzys osobisty – odparła, starannie wymawiając słowa.

– Z pewnością – zgodziłam się. – Nie mogłaś się zdobyć na to, żeby to zniszczyć albo przekazać komuś, kto nie byłby dość bystry, żeby zrozumieć, czym to grozi. Wiedziałaś, jak tylko się zorientowałaś, co masz, że gdyby władze Radch kiedykolwiek powzięły choćby cień podejrzenia, że to istnieje, wytropiłyby cię i zabiły, i każdego, kto to widział.

Wprawdzie w Radch chciano, żeby wszyscy pamiętali, co spotkało Garseddai, ale nie życzone sobie, żeby ktokolwiek wiedział, jak Garseddai udało się dokonać tego, czego nie dokonał nikt przez tysiąc lat przed nimi i drugi tysiąc lat po nich – zniszczyć statek Radchaaai. Niemal nikt z żyjących nie pamiętał. Ja wiedziałam i wszystkie ocalałe statki, które wtedy tam były. Oczywiście wiedziała Anaander Mianaai. I Seivarden, która widziała na własne oczy coś, czego z woli lord Radch nikt nie powinien uważać za możliwe – ten niewidzialny pancerz i broń, te pociski, które tak łatwo pokonały zbroję Radchaaai... i osłonę cieplną jej statku.

– Chcę to – powiedziałam do Strigan. – Zapłacę ci.

– Gdybym miała coś takiego... Gdyby! Całkiem możliwe, że na całym świecie nie wystarczyłoby na to pieniędzy.

– Wszystko jest możliwe – przyznałam.

– Jesteś Radchaaai. I jesteś wojskowym.

– Byłam – skorygowałam i kiedy spojrzała drwiąco, dodałam: – Gdybym wciąż służyła w wojsku, nie byłoby mnie tutaj. Albo gdybym była, podałaś mi już wszystkie informacje, jakich zażądałam, i byłabyś martwa.

– Wynoś się stąd – syknęła Strigan cicho, lecz zajadle. – I zabierz tego przybłędę.

– Nie wyjdę, dopóki nie dostanę tego, po co przyszłam. – To nie miałoby większego sensu. – Musisz mi to dać albo mnie z tego zastrzelić.

Prawie jakbym przyznała, że wciąż mam zbroję. Jakbym sugerowała, że jestem dokładnie tym, czego się obawiała, radchaajską agentką przyslaną, żeby ją zabić i zabrać broń.

Chociaż budziłam w niej strach, nie potrafiła opanować ciekawości.

– Dlaczego tak bardzo tego chcesz?

– Ponieważ chcę zabić Anaander Mianaai.

– Co?

Broń w jej rękę zadrżała, przesunęła się lekko w bok i znowu znieruchomiała. Strigan wychyliła się trzy milimetry do przodu i przekrzywiła głowę, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Chcę zabić Anaander Mianaai – powtórzyłam.

– Anaander Mianaai – oświadczyła z goryczą – ma tysiące ciał w setkach miejsc. Nie możesz go w żaden sposób zabić. Z pewnością nie jedną sztuką broni.

– A jednak chcę spróbować.

– Zwariowałaś. Chociaż czy to w ogóle możliwe? Czy wszyscy Radchaai nie przechodzą prania mózgu?

To było powszechne błędne wyobrażenie.

– Tylko przestępcy albo ludzie, którzy nie funkcjonują prawidłowo, przechodzą reedukację. Nikogo w gruncie rzeczy nie obchodzi, co myślisz, dopóki robisz to, co powinnaś.

Przyjrzała mi się z powątpiewaniem.

– Jak zdefiniujesz „nie funkcjonuje prawidłowo”?

Wolną ręką wykonałam nieokreślony gest: „nie mój problem”. Chociaż może to jednak był mój problem. Może teraz to pytanie dotyczyło również mnie, a z pewnością dotyczyło Seivarden.

– Zamierzam wyjąć rękę spod płaszcza – oznajmiłam. – A potem idę spać.

Strigan nie odpowiedziała, tylko drgnęła jej szara brew.

– Jeśli ja cię znalazłam, Anaander Mianaai też na pewno cię znajdzie – podjęłam.

Rozmawialiśmy w języku Strigan. Jaką płec przypisała lord Radch? – Nie szukał cię dotąd pewnie dlatego, że jest obecnie zajęty innymi sprawami i z przyczyn, które powinnaś rozumieć, waha się to komuś zlecić.

– A więc jestem bezpieczna. – Wydawała się o tym przekonana bardziej, niż powinna.

Seivarden hałaśliwie wyszła z łazienki i padła z powrotem na posłanie, oddychając szybko i płytko. Ręce jej drżały.

– Wyjmę teraz rękę spod płaszcza – powtórzyłam i wyjęłam. Powoli. Pustą.

Strigan westchnęła i opuściła broń.

– Pewnie i tak nie mogłabym cię zastrzelić.

Była pewna, że jestem żołnierzem Radchaai, czyli mam broję. Oczywiście, gdyby mnie zaskoczyła albo strzeliła, zanim rozłożę broję, mogłaby mnie zastrzelić.

I oczywiście miała tę broń. Chociaż może nie pod ręką.

– Czy mogę odzyskać moją ikonę?

Zmarszczyła brwi, a potem sobie przypomniała, że ciągle ją trzyma.

– Twoją ikonę?

– Należy do mnie – uściśliłam.

– Spore podobieństwo – stwierdziła, spoglądając ponownie na ikonę. – Skąd pochodzi?

– Z bardzo daleka.

Wyciągnęłam rękę. Oddała mi ikonę, a ja musnęłam przełącznik. Obraz złożył się i zniknął, podstawa zamknęła się w złotym dysku.

Strigan wymownie spojrzała na Seivarden i zmarszczyła brwi.

– Twój przybłęda ma stany lękowe.

– Tak.

Pokręciła głową, zirytowana lub sfrustrowana, i weszła do swojego szpitalika. Wróciła, podeszła do Seivarden, nachyliła się i wyciągnęła rękę.

Seivarden drgnęła, poderwała się i rzuciła w tył. Chwyciła nadgarstek Strigan ruchem, który – jak wiedziałam – powinien go złamać. Ale Seivarden nie była już taka jak dawniej. Nałóg oraz, jak podejrzewałam, niedożywienie odbiły się na niej. Strigan zostawiła swoje ramię w uścisku Seivarden, drugą ręką wyłuskała z własnych palców małą białą tabletkę i przylepiła ją do czoła Seivarden.

– Nie żal mi ciebie – powiedziała w radchaajskim. – Po prostu jestem lekarzem. – Seivarden patrzyła na nią z niezrozumiałym przerażeniem. – Puść mnie.

– Puść, Seivarden, i kładź się – rozkazałam ostro.

Jeszcze przez dwie sekundy wpatrywała się w Strigan, ale potem posłuchała.

– Nie będzie moim pacjentem – ostrzegła Strigan. Oddech Seivarden zwolnił, mięśnie się rozluźniły. – To tylko pierwsza pomoc. Nie chcę, żeby wpadł w panikę i poniszczył mi rzeczy.

– Teraz idę spać – oznajmiłam. – Dokończymy rozmowę rano.

– Już jest rano. – Ale więcej się nie sprzeciwiała.

Nie byłaby taka głupia, żeby mnie obszukać, kiedy śpię. Wiedziała, jakie to niebezpieczne. I nie zastrzeliłaby mnie we śnie, chociaż to byłby prosty i skuteczny sposób, żeby się mnie pozbyć. Śpiąc, stanowiłabym łatwy cel dla pocisku, chyba żebym teraz rozłożyła zbroję.

Ale nie musiałam. Strigan mnie nie zastrzeli, przynajmniej dopóki nie otrzyma odpowiedzi na swoje liczne pytania. Nawet wtedy może tego nie zrobi. Byłam zbyt intrygującą zagadką.

\*

Strigan nie było w głównym pokoju, kiedy się zbudziłam, ale drzwi do sypialni były zamknięte, więc przypuszczałam, że albo spała, albo potrzebowała prywatności. Seivarden też się obudziła. Patrzyła na mnie i wierciła się niespokojnie, rozcierając ręce i ramiona. Tydzień wcześniej musiałabym ją powstrzymać, żeby nie podrapała się do krwi. Jej stan bardzo się poprawił.

Skrzynka z pieniędzmi leżała tam, gdzie Strigan ją zostawiła. Sprawdziłam, czy nic nie zginęło, schowałam ją i zamknęłam plecak, zastanawiając się, jaki powinien być mój następny ruch.

– Obywatelko – powiedziałam do Seivarden energicznie i rozkazująco. – Śniadanie.

– Co? – Tak się zdziwiła, że na chwilę znieruchomiła.

Lekko uniosłam kącik ust.

– Mam poprosić lekarza, żeby zbadał ci słuch? – Instrument strunowy leżał obok mnie, tam gdzie go zostawiłam poprzedniego wieczoru. Podniosłam go, szarpnęłam piątą strunę. – Śniadanie.

– Nie jestem twoją służącą – zaprotestowała z oburzeniem.

Odrobinę poszerzyłam swój szyderczy uśmiech.

– Więc czym jesteś?

Zamarła i na jej twarzy odmalował się gniew, a potem wyraźna rozterka, gdy zastanawiała się, jak najlepiej mi odpowiedzieć. Pytanie jednak okazało się zbyt trudne. Widocznie jej poczucie wyższości otrzymało zbyt poważny cios, żeby się pozbierać. Chwilowo nie potrafiła znaleźć stosownej riposty.

Nachyliłam się nad instrumentem i zaczęłam wybrzdąkiwać linię melodyczną. Spodziewałam się, że Seivarden będzie siedziała i się dąsała, dopóki wreszcie głód nie zmusi jej do przygotowania dla siebie posiłku. Albo może ze sporym opóźnieniem wymyśli dla mnie odpowiedź. W głębi duszy żywiłam nieśmiałą nadzieję, że ona rzuci się na mnie, żeby mogła

się na niej odegrać, ale chyba wciąż była pod wpływem tego, co Strigan jej zaaplikowała zeszłej nocy.

Drzwi sypialni się otwały, Strigan weszła do głównego pomieszczenia mieszkalnego, przystanąła z założonymi rękami i uniosła brew. Seivarden ją zignorowała. Żadna z nas się nie odezwała. Po pięciu sekundach Strigan odwróciła się, pomaszerowała do kuchni i z rozmachem otworzyła szafkę.

Szafka była pusta. Co wiedziałam już wczoraj wieczorem.

– Wyczyściłaś moje zapasy, Breq z Gerentate – powiedziała Strigan bez urazy. Prawie jakby to ją rozbawiło. Nie groziła nam śmierć głodowa; nawet w lecie na dworze była jedna wielka zamrażarka, a nieogrzewane budynki magazynowe zawierały mnóstwo żywności. Wystarczyło trochę przynieść i rozmrozić.

– Seivarden – odezwałam się niedbale lekceważącym tonem, jaki często słyszałam od samej Seivarden w odległej przeszłości. – Przynieś trochę jedzenia z szopy.

Zamarła, a potem zamrugła z zaskoczeniem.

– Za kogo ty się uważasz, do diabła?

– Nie wyrażaj się, obywatelko – skarciłam ją. – Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

– Ty... ty prymitywne zero! – Nagły wybuch gniewu znowu doprowadził ją prawie do łez. – Myślisz, że jesteś lepsza ode mnie? Ty prawie nie jesteś człowiekiem. – Nie chodziło jej o to, że jestem serwitorem. Miałam niemal pewność, że jeszcze sobie tego nie uświadomiła. Chodziło jej o to, że nie jestem Radchaai i pewnie mam implanty, powszechne w niektórych miejscach poza przestrzenią Radch, które w oczach Radchaai kompromitują moje człowieczeństwo. – Nie urodziłam się, żeby ci służyć.

Potrafię się poruszać bardzo, bardzo szybko. Stałam i moje ramię już brało zamach, zanim zarejestrowałam swój zamiar. Jeszcze przez ułamek sekundy mogłam się powstrzymać, a potem ten czas minął i moja pięść trafiła w twarz Seivarden zbyt szybko, żeby zdążyła zrobić zaskoczoną minę.

Upadła do tyłu na posłanie, krwawiąc z nosa, i leżała nieruchomo.

– Czy on nie żyje? – zapytała z łagodnym zaciekawieniem Strigan, która wciąż stała w kuchni.

Wykonałam wieloznaczny gest.

– Ty jesteś lekarzem.

Podeszła do Seivarden, nieprzytomnej i krwawiącej. Popatrzyła na nią z góry.

– Żyje – zawyrokowała. – Chociaż chciałabym dopilnować, żeby wstrząs mózgu nie rozwinął się w coś gorszego.

Gestem wyraziłam rezygnację.

– Stanie się według woli Amaat – powiedziała, a potem nałożyłam płaszcz i wyszłam na zewnątrz, żeby przynieść jedzenie.

Na Shis'urnie, w Ors, Issa Siedem „Sprawiedliwości Ente”, która towarzyszyła porucznik Skaaiat do Jen Shinnan, siedziała ze mną na niższym poziomie domu. Poza przydziałem miała własne imię – którego nigdy nie używałam, chociaż je znałam. Nawet Skaaiat czasami zwracała się do poszczególnych ludzkich żołnierzy pod jej dowództwem po prostu: Issa Siedem. Albo po numerze segmentu.

Wyjęłam planszę i pionki. W milczeniu rozegrałyśmy dwie partie.

– Nie możesz czasem pozwolić mi wygrać? – zapytała, kiedy druga partia dobiegła końca. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, z góry dobiegło łupnięcie i Issa Siedem wyszczerzyła zęby.

– Zdaje się, że porucznik Sztywna jednak się rozkrochmała!

Rzuciła mi znaczące spojrzenie, żeby podzielić się ze mną tym żartem, swoim rozbawieniem z powodu kontrastu pomiędzy zwykłym starannym formalizmem porucznik Awn a tym, co najwyraźniej działo się na piętze z nią i porucznik Skaaiat. Lecz zaledwie to powiedziała, jej uśmiech zgasł.

– Przepraszam. Nie miałam nic na myśli, po prostu my czasem...

– Wiem – przerwałam. – Nie obraziłam się.

Issa Siedem zmarszczyła brwi i wykonała powątpiewający gest lewą ręką, niezręcznie, palce w rękawiczce wciąż zaciskała wokół kilku pionków.

– Statki mają uczucia.

– Tak, oczywiście. – Bez uczuć drobne decyzje stają się mozolnymi próbami porównania nieskończonych zbiorów nieistotnych danych. Po prostu łatwiej wtedy kierować się emocjami.

– Ale jak mówiłam, nie obraziłam się.

Issa Siedem spojrzała na planszę i wrzuciła swoje pionki do jednego z zagłębień. Patrzyła na nie przez chwilę, potem podniosła wzrok.

– Słyszysz się plotki. O statkach i ludziach, które lubią. Przysięgłabym, że twoja twarz nigdy się nie zmienia, ale...

Uruchomiłam mięśnie twarzy i zaprezentowałam uśmiech, wyraz, który widziałam wielokrotnie.

Issa Siedem się wzdrygnęła.

– Nie rób tego! – zawołała z oburzeniem, chociaż stłumionym głosem, żeby nasze porucznik nas nie usłyszały.

Nie żebym wykonała uśmiech nieprawidłowo – wiedziałam, że nie. To nagła zmiana, przejście od mojego zwykłego braku wyrazu do czegoś ludzkiego, wprawiała w niepokój niektóre z Issa Siedem. Zgasiał uśmiech.

– Na cycki Aatr – zakłęła Issa Siedem. – Kiedy to robisz, to jakbyś była opętana albo co. – Pokręciła głową, zgarnęła pionki i zaczęła je rozstawiać na planszy. – No dobrze, nie chcesz o tym mówić. Jeszcze jedna partia.

\*

Robiło się późno. Sąsiedzkie pogawarki traciły tempo i znaczenie, aż wreszcie ustawały. Ludzie brali na ręce śpiące dzieci i wracali do domów.

Denz Ay zjawiała się cztery godziny przed świtem. Bez słowa wsiałam do jej łodzi. Nie przywitała się ze mną, ona ani jej córka, która siedziała przy sterze. Powoli, niemal bezgłośnie odbiliśmy od brzegu.

W świątyni trwało czuwanie, modlitwy kapłanek docierały na plac jako przerywane ściszone mamrotanie. Ulice górnego i dolnego miasta spowijała cisza, którą mąciły tylko moje kroki i plusk wody, ciemność, którą rozjaśniały tylko gwiazdy na niebie. Boje otaczały zakazane strefy, a ze świątyni Ikkt padało światło. Issa Siedem, która odprowadziła nas do domu porucznik Awn, spała na posłaniu na parterze.

Awn i Skaaiat leżały razem na pięttrze, bez ruchu, prawie zasypiały.

\*

Nikt oprócz nas nie wypłynął o tej porze. Na dnie łodzi zobaczyłam linę, sieci, oddychacze i okrągły kosz z pokrywą, przywiązany do kotwicy. Córka zauważyła, że na niego patrzę, i kopniakiem wsunęła go pod ławkę z wystudiowaną nonszalancją. Spojrzałam w drugą stronę, ponad wodą, na mrugające boje, i nic nie powiedziałam. Nawet jeśli nikt właściwie nie wierzył, że można ukryć albo zmienić informacje pochodzące od trackerów, była to użyteczna fikcja.

Tuż za linią boi córka Denz Ay włożyła do ust oddychacz i zsunęła się za burtę z liną w rękę. Jezioro nie było strasznie głębokie, zwłaszcza o tej porze roku. Po chwili się wynurzyła i wdrapała z powrotem na pokład. Razem wciągałyśmy skrzynię, stosunkowo łatwo, dopóki nie dotarła do powierzchni, ale we trójkę udało nam się załadować ją na łódź, nie nabierając zbyt dużo wody.

Starłam błoto z wieka. Skrzynia była radchaajskiej produkcji, co samo w sobie jeszcze nie budziło niepokoju. Znalazłam zatrask i wieko odskoczyło.

Karabiny w środku – długie, lśniące i zabójcze – były tego rodzaju, jakie nosiły tanmindzkie oddziały przed aneksją. Wiedziałam, że każdy miał znak identyfikacyjny, a oznaczenia każdej skonfiskowanej przez nas broni znajdowały się w wykazach i raportach, toteż mogłam sprawdzić w magazynach i prawie natychmiast ustalić, czy to była skonfiskowana broń, czy też ją przeoczyliśmy.

Jeśli to była skonfiskowana broń, sytuacja nagle ogromnie się skomplikuje – chociaż i tak już była skomplikowana.

Porucznik Awn znajdowała się w pierwszej fazie NREM snu. Porucznik Skaaiat chyba też. Mogłam sprawdzić spis z własnej inicjatywy. Właściwie powinnam. Ale nie sprawdziłam – częściowo dlatego, że zaledwie wczoraj przypomniano mi o skorumpowanych władzach na Ime, o przekraczaniu uprawnień, o przerażających nadużyciach władzy, w jakie nie uwierzyłby żaden obywatel. To przypomnienie wystarczyło, żebym nabrała ostrożności. Po zapewnieniach Denz Ay, że mieszkańcy górnego miasta w przeszłości podkładali dowody, i po wieczornej konwersacji przy obiedzie, wyraźnie świadczącej o złych nastrojach w górnym mieście, coś tu nie pasowało. Nikt w górnym mieście nie powinien wiedzieć, że poznałam niezbędne informacje dotyczące skonfiskowanej broni, ale jeśli wmieszany był ktoś jeszcze? Ktoś, kto mógł ustawić alarmy, żeby go zawiadomiły, jeśli określone pytania zostaną zadane w określonych miejscach? Denz Ay i jej córka siedziały cicho w łodzi, na pozór całkiem obojętne, jakby nigdzie im się specjalnie nie spieszyło i niczym się nie zajmowały.

Po paru chwilach połączyłam się ze „Sprawiedliwością Toren”. Widziałam sporo tej skonfiskowanej broni – nie ja, Esk Jeden, ale ja, „Sprawiedliwość Toren”, której tysiące serwitorskich oddziałów przebywały na tej planecie podczas aneksji. Jeśli nie mogłam sprawdzić oficjalnego wykazu, nie alarmując jakichś władz, że znalazłam tajny skład, mogłam przynajmniej sprawdzić własną pamięć, żeby się dowiedzieć, czy kiedyś widziałam któryś



z egzemplarzy tej broni.

Widziałam.

\*

Podeszłam do śpiącej porucznik Awn i położyłam rękę na jej nagim ramieniu.

– Poruczniku – powiedziałam cicho. Na łodzi zamknęłam skrzynię z cichym trzaskiem i rozkazałam: – Wracamy do miasta.

Awn ocknęła się gwałtownie.

– Nie śpię – wymamrotała.

Na łodzi Denz Ay i jej córka w milczeniu ujęły wiosła i ruszyły z powrotem.

– Ta broń była skonfiskowana – powiedziałam do Awn, wciąż po cichu. Nie chciałam obudzić Skaaiat, nie chciałam, żeby ktoś jeszcze usłyszał, co mówię. – Rozpoznałam numery seryjne.

Porucznik Awn przez parę chwil patrzyła na mnie nieprzytomnie, nie rozumiejąc. Potem zobaczyłam, że skojarzyła.

– Ale... – Całkiem się rozbudziła i odwróciła się do porucznik Skaaiat. – Skaaiat, zbudź się. Mam problem.

\*

Wniosłam broń na górne piętro domu Awn. Issa Siedem nawet się nie poruszyła, kiedy przechodziłam obok niej.

– Jesteś pewna? – zapytała Skaaiat, klęcząc przy otwartej skrzyni, naga, jeśli nie liczyć rękawiczek, z filiżanką herbaty w dłoni.

– Sama je skonfiskowałam – odparłam. – Pamiętam je.

Wszystkie mówiłyśmy bardzo cicho, żeby nikt na zewnątrz nie usłyszał.

– Wtedy by je zniszczono – zauważyła Skaaiat.

– Jak widać, nie zniszczono. – Po chwili milczenia dodała: – Och, cholera. Niedobrze.

Bezgłośnie wysłałam jej wiadomość. „Nie wyrażaj się, poruczniku”.

Skaaiat odetchnęła krótko, zaśmiała się niewesoło.

– Delikatnie mówiąc. – Zmarszczyła brwi. – Ale dlaczego? Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu?

– I jak? – zapytała Awn. Zapomniana filiżanka z herbatą stała obok niej na podłodze. – Schowali je tam, a my nic nie widziałyśmy.

Przejrzałam już zapisy z ostatnich trzydziestu dni i nie znalazłam nic, czego nie mogłam wyjaśnić. Rzeczywiście w tym miejscu nikogo nie było oprócz Denz Ay i jej córki trzydzieści dni wcześniej oraz zeszłej nocy.

– „Jak” to łatwe, jeśli masz odpowiednie uprawnienia – zauważyła Skaaiat. – A to nam coś mówi. To nie jest ktoś, kto ma wysoki poziom dostępu do „Sprawiedliwości Toren”, bo inaczej by dopilnował, żeby nie pamiętała tej broni. Albo przynajmniej nie mogła powiedzieć, że pamięta.

– Albo przeoczyli ten konkretny szczegół – zasugerowała Awn. Była zdezorientowana. I dopiero zaczynała się bać. – A może od początku to była część planu. Ale wracamy do „dlaczego”. Nie ma większego znaczenia jak, przynajmniej nie w tej chwili.

Porucznik Skaaiat spojrzała na mnie.

– Opowiedz mi o kłopotach siostrzenicy Jen Taa w dolnym mieście.

Awn zmarszczyła brwi.

– Ale...

Skaaiat uciszyła ją gestem.

– Nie miała żadnych kłopotów – odparłam. – Siedziała sama i rzucała kamyczki do wody Przed-Świątynią. Kupiła sobie herbatę w sklepie za świątynią. Nikt więcej z nią nie rozmawiał.

– Na pewno? – zapytała Awn.

– Przez cały czas miałam ją na oku. – I nie spuszczę jej z oka przy następnych wizytach, ale nie musiałam tego mówić.

Dwie porucznik milczały przez chwilę. Awn zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Teraz naprawdę się bała.

– Kłamię w tej sprawie – szepnęła, wciąż z zamkniętymi oczami. – Potrzebują pretekstu, żeby oskarżyć kogoś w dolnym mieście o... coś.

– Podburzanie – stwierdziła Skaaiat. Przypomniała sobie o herbacie, pociągnęła łyk. – I wywyższanie się. Od razu widać.

– Tak, też to widzę – przyznała Awn. Nawet nie zauważyła, że całkowicie zatraciła swój akcent. – Ale dlaczego, do ciężkiej cholery, ktoś z takimi uprawnieniami chce im pomagać? – Wskazała skrzynię z bronią.

– To chyba najważniejsze pytanie – odparła Skaaiat. Milczały przez kilka sekund. – Co zamierzasz zrobić?

Porucznik Awn, która z pewnością sama się nad tym zastanawiała, lekko się zdenerwowała. Podniosła na mnie wzrok.

– Ciekawe, czy to wszystko.

– Mogę poprosić Denz Ay, żeby jeszcze raz mnie zawiozła – zaproponowałam.

Awn gestem wyraziła zgodę.

– Napiszę raport, ale jeszcze go nie złożę. Do czasu dalszego śledztwa.

Wszystko, co porucznik Awn zrobiła lub powiedziała, było obserwowane i rejestrowane, ale jak w przypadku trackerów, które nosili wszyscy w Ors, nie zawsze ktoś poświęcał temu uwagę.

Porucznik Skaaiat zagwizdała cicho.

– Czy ktoś cię wrabia, kochanie? – Wzrok Awn wyrażał niezrozumienie. – Na przykład – ciągnęła Skaaiat – Jen Shinnan? Może jej nie doceniłam. Albo czy możesz ufać Denz Ay?

– Jeśli ktoś chce się mnie pozbyć, to tylko ktoś z górnego miasta – oświadczyła Awn; prywatnie zgodziłam się z nią, lecz milczałam. – Ale to niemożliwe. Jeśli ten, kto mógł to zrobić – wskazała skrzynię – chciał mnie stąd usunąć, wystarczyło wydać rozkaz. A Jen Shinnan nie mogła tego zrobić. – Za każdym słowem kryło się niewypowiedziane wspomnienie wiadomości z Ime. Faktu, że osoba, która ujawniła tamtejszą korupcję, została skazana na śmierć, prawdopodobnie już nie żyła. – Nikt w Ors nie mógł tego zrobić, nie bez...

Nie bez pomocy kogoś na bardzo wysokim szczeblu, zamierzała z pewnością powiedzieć, ale nie dokończyła zdania.

– Racja. – Skaaiat się zamyśliła. Rozumiała. – Więc to ktoś wysoko postawiony. Kto na tym skorzysta?

– Siostrzenica – rzuciła Awn z przygnębieniem.

– Siostrzenica Jen Taa skorzysta? – zdumiała się Skaaiat.

– Nie, nie. Siostrzenica została obrażona lub napadnięta... rzekomo. Ja nic nie zrobię,

powiem, że nic się nie stało.

– Bo nic się nie stało – potwierdziła Skaaiat, której chyba coś zaczynało świtać, ale niezupełnie.

– Nie uzyskają ode mnie sprawiedliwości, więc zejdą do dolnego miasta, żeby samodzielnie ją wymierzyć. Takie rzeczy się zdarzały, zanim przybyliśmy.

– A później – dokończyła Skaaiat – znajdą te wszystkie karabiny. Albo nawet szybciej. Albo... – Pokręciła głową. – Nie wszystko pasuje. Powiedzmy, że masz rację. Jednak pozostaje pytanie, kto na tym zyska. Nie Tanmindki, jeśli narobią kłopotów. Mogą sobie oskarżać, kogo zechcą, ale nieważne, co znajdą w jeziorze, i tak pójdą na reedukację, jeśli wywołają zamieszki.

Porucznik Awn zrobiła gest wyrażający powątpiewanie.

– Ktoś, kto mógł tam schować te karabiny tak, że tego nie widzieliśmy, potrafi wyciągnąć Tanmindki z kłopotów. Albo wmówić im, że potrafi.

– Ach. – Skaaiat natychmiast zrozumiała. – Niewielka kara, okoliczności łagodzące. Na pewno. To będzie ktoś naprawdę wysoko postawiony. Bardzo niebezpieczny. Ale dlaczego?

Porucznik Awn spojrzała na mnie.

– Idź do najwyższej kapłanki i poproś ją o przysługę. Przekaż jej ode mnie, że chociaż to nie pora deszczowa, niech ktoś czuwa przy alarmie burzowym przez cały czas. – Alarm, rozdzierająca uszy syrena, znajdował się na szczycie świątynnej rezydencji. Jego dźwięk zamykał okiennice sztormowe większości domów w dolnym mieście i z pewnością budził lokatorów każdego budynku niezautomatyzowanego pod tym względem. – Poproś, żeby była gotowa uruchomić go na mój znak.

– Doskonale – pochwaliła porucznik Skaaiat. – Tłum będzie przynajmniej musiał trochę się namęczyć, żeby rozbić okiennice. A potem?

– Może nic się nie stanie – powiedziała Awn. – Tak czy owak będzie, co ma być.

\*

Oto co się stało następnego ranka: nadeszła wiadomość, że Anaander Mianaai, lord Radch, złoży nam wizytę w ciągu najbliższych kilku dni.

Przez trzy tysiące lat Anaander Mianaai sprawowała władzę absolutną w przestrzeni Radch. Rezydowała w każdym z trzynastu prowincjonalnych pałaców i była obecna przy każdej aneksji. Mogła tego dokonać, ponieważ posiadała tysiące ciał, wszystkie identyczne genetycznie, wszystkie ze sobą połączone. Nadal przebywała w układzie Shis'urny, częściowo na okręcie flagowym tej aneksji, „Mieczu Amaat”, częściowo na stacji Shis'urna. To ona stworzyła prawo Radchaa i ona decydowała o wyjątkach od tego prawa. Była głównodowodzącą sił zbrojnych, najwyższą kapłanką Amaat, osobą, której protegowanymi były w ostatecznym rozrachunku wszystkie radchaajskie domy.

I przybędzie do Ors któregoś z kilku najbliższych dni. Właściwie trochę to dziwne, że nie odwiedziła Ors wcześniej; chociaż było takie małe, chociaż Orsyjki daleko odeszły od dawnej chwały, dzięki dorocznym pielgrzymkom pozostało dość ważnym miejscem. Dostatecznie ważnym, żeby oficerowie z rodzin wyżej postawionych i bardziej wpływowych niż rodzina porucznik Awn pragnęli tego stanowiska – i wciąż usiłowali ją wygryźć, pomimo zdecydowanego oporu Świątobliwości Ikkt.

Toteż sama wizyta nikogo nie zaskoczyła, mimo że wybrany termin wydawał się dziwny. Za dwa tygodnie rozpoczynały się pielgrzymki, kiedy setki tysięcy Orsyjek i turystów przewiną

się przez miasto. W sezonie pielgrzymek obecność Anaander Mianaai byłaby bardziej widoczna – okazja, żeby zrobić wrażenie na mnóstwie wyznawców Ikkt. Zamiast tego przyjeżdżała tuż przedtem. I oczywiście nie mogłam nie zauważyć wyraźnej zbieżności pomiędzy jej wizytą a odkryciem broni.

Ktokolwiek ukrył tę broń, działał albo przeciw, albo na rzecz lord Radch. Wydawało się logiczne, że należy jej o tym powiedzieć i zapytać o dalsze instrukcje. A jej obecność w Ors była niezwykle dogodna – można było zapoznać ją bezpośrednio z sytuacją, dzięki czemu nikt inny nie mógł przechwycić wiadomości i zepsuć całego planu albo ostrzec złoczyńców, że ich knowania zostały odkryte, i utrudnić ich schwytanie.

Choćby z tego powodu porucznik Awn z ulgą przyjęła wiadomość o jej wizycie. Mimo że przez następne kilka dni i podczas jej pobytu musiałaby nosić pełny mundur.

Tymczasem słuchałam uważniej rozmów w górnym mieście – trudniejsza rzecz niż w dolnym, ponieważ wszystkie domy były zamknięte i oczywiście każda zamieszana w to Tanmindka nabierała wody w usta, jeśli wiedziała, że znajduję się w zasięgu słuchu. I nikt nie był tak głupi, żeby prowadzić interesujące mnie rozmowy w miejscach publicznych. W miarę możliwości obserwowałam też siostrzenicę Jen Taa. Po proszonym obiedzie ani razu nie opuściła domu Jen Shinnan, jednak widziałam odczyty jej trackera.

Przez dwie noce wypływałam na bagna z Denz Ay i jej córką. Znalazłyśmy jeszcze dwie skrzynie z bronią. Znowu nie potrafiłam ustalić, kto je zostawił i kiedy, chociaż z mętnych wyjaśnień Denz Ay (pilnującej, żeby nie wplątać w to wszystko rybaków, którzy, jak wiedziałam, zwykle kłusowali w tych okolicach) wynikało, że pojawiły się w ciągu ostatniego miesiąca lub dwóch.

– Ucieszę się, kiedy lord Mianaai tu przybędzie – powiedziała do mnie cicho porucznik Awn pewnego późnego wieczoru. – Myślę, że nie powinnam się zajmować czymś takim.

Tymczasem zauważyłam, że nikt oprócz Denz Ay nie wypływał nocą na jezioro, a w dolnym mieście nikt nie siadał ani nie kładł się tam, gdzie mogły opaść okiennice – rutynowa ostrożność w porze deszczowej, chociaż okiennice miały bezpieczniki zatrzymujące je, jeśli na kogoś trafiły, ale zwykle zaniedbywana w porze suchej.

\*

Lord Radch przybyła w środku dnia, piechotą, jedna jej osoba przeszła przez górne miasto, nie zostawiając śladu w zapisach trackerów, i ruszyła prosto do świątyni Ikkt. Była stara, siwa, szerokie ramiona miała lekko zgarbione, niemal czarną skórę twarzy pomarszczoną – co tłumaczyło brak straży. Strata jednego ciała, i tak już bliskiego śmierci, nic nie znaczyła. Używając takich starszych ciał, lord Radch mogła chodzić bez ochrony, bez żadnej świty, jeśli sobie życzyła, niewiele ryzykując.

Nie nosiła zdobionej klejnotami kurtki i spodni Radchaai ani kombinezonu czy też spodni i koszuli, jakie nosiły Tanmindki, tylko orsyjską lungi, bez koszuli.

Jak tylko ją zobaczyłam, zawiadomiłam Awn, która czym prędzej pospieszyła do świątyni i zjawiała się, kiedy najwyższa kapłanka leżała twarzą do ziemi na placu przed lord Radch.

Porucznik Awn się zawahała. Większość Radchaai nigdy nie przebywała w obecności Anaander Mianaai w takich okolicznościach. Oczywiście lord Radch zawsze była obecna podczas aneksji, ale sama liczba oddziałów w porównaniu z liczbą przysłanych przez nią ciał zmniejszała prawdopodobieństwo, że ktoś wpadnie na nią przypadkiem. Każdy obywatel może się udać do jednego z prowincjonalnych pałaców i poprosić o audiencję – żeby złożyć

podanie, apelację w procesie sądowym, z jakiegokolwiek powodu – ale wówczas zwykły obywatel zostaje przedtem pouczone, jak się zachowywać. Może ktoś taki jak porucznik Skaaiat wiedziałby, jak zwrócić uwagę Anaander Mianaai, nie naruszając zasad dobrego wychowania, ale porucznik Awn nie wiedziała.

– Pani – powiedziała z sercem walącym ze strachu i uklękła.

Anaander Mianaai odwróciła się do niej z uniesioną brwią.

– Błagam o wybaczenie – ciągnęła Awn. Trochę kręciło jej się w głowie, albo od ciężaru munduru w tym upale, albo z nerwów. – Muszę z tobą pomówić.

Brew uniosła się wyżej.

– Porucznik Awn, tak? – powiedziała Anaander Mianaai.

– Tak, pani.

– Dziś wieczorem uczestniczę w czuwaniu w świątyni Ikkt. Pomówię z tobą rano.

To nie od razu dotarło do Awn.

– Pani, tylko chwilę. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Lord Radch z zaciekawieniem przechyliła głowę.

– Rozumiem, że kontrolujesz ten teren.

– Tak, pani, tylko... – Spanikowana Awn umilkła, na sekundę zabrakło jej słów. – Stosunki pomiędzy górnym a dolnym miastem w tej chwili... – Znowu przerwała.

– Zajmuj się swoją robotą – powiedziała Anaander Mianaai. – A ja się zajmę swoją.

Odwróciła się od porucznik Awn.

Publiczne upokorzenie. Niewytłumaczalne – nie było powodu, żeby lord Radch nie mogła zamienić paru słów w pilnej sprawie z oficer, która była miejscowym szefem bezpieczeństwa. A porucznik Awn niczym nie zasłużyła na taki afront. Początkowo myślałam, że to jedyny powód stresu, jaki odbierałam od Awn. Kwestię broni mogła równie dobrze przekazać rano, a innych trudności nie dostrzegałam. Lecz kiedy lord Radch przeszła przez górne miasto, rozeszła się wieść o obecności Anaander Mianaai, jak należało się spodziewać, toteż mieszkańcy górnego miasta wylegli z domów i zgromadzili się na północnym brzegu wody Przed-Świątynią, żeby popatrzeć, jak lord Radch, ubrana jak Orsyjka, stoi przed świątynią Ikkt ze Świątobliwością. Słyszając szemranie tanmindzkich widzów, zrozumiałam, że w tym momencie broń to najmniejsze zmartwienie.

Tanmindzcy mieszkańcy górnego miasta byli zamożni, dobrze odżywieni, właściciele sklepów, farm i gajów tamaryndowych. Nawet w niepewnych miesiącach po aneksji, kiedy zaopatrzenie kulało i żywność podrożała, zdołali wykarmić rodziny. Kiedy Jen Shinnan powiedziała kilka dni wcześniej, że nikt tu nie głodował, prawdopodobnie w to wierzyła. Ona nie głodowała ani nikt, kogo znała, czyli prawie same zamożne Tanmindki. Chociaż tak narzekały, przetrwały aneksję stosunkowo wygodnie. A ich dzieci dobrze sobie poradziły na testach i dalej będą sobie dobrze radzić, jak zapewniała porucznik Skaaiat.

A jednak ci sami ludzie, kiedy zobaczyli, że lord Radch przechodzi prosto przez górne miasto do świątyni Ikkt, uznali ten gest szacunku wobec Orsyjek za rozmyślną zniewagę dla nich. Demonstrowali to otwarciem wyrazem twarzy, okrzykami oburzenia. Nie przewidziałam tego. Lord Radch też chyba tego nie przewidziała. Ale porucznik Awn zorientowała się, co się stanie, kiedy zobaczyła Świątobliwość na ziemi przed lord Radch.

Opuściłam plac i kilka ulic górnego miasta, podeszłam w kilku osobach tam, gdzie stały Tanmindki. Nie wyciągnęłam broni, nie użyłam żadnych pogroźek. Powiedziałam tylko do każdego, kto stał obok mnie:

– Wracajcie do domu, obywatele.

Większość odwróciła się i odeszła, i chociaż patrzyły krzywo, to jednak nie protestowały. Inne zwlekały, może żeby wypróbować moją cierpliwość, jednak nie za długo – każdy, kto miał odwagę zrobić coś takiego w ciągu ostatnich pięciu lat, został prędzej czy później zastrzelony albo nauczył się panować nad takimi prawie samobójczymi impulsami.

Wstając, żeby zaprowadzić lord Radch do świątyni, Świątobliwość rzuciła nieodgadnione spojrzenie w stronę porucznik Awn, która wciąż klęczała na kamiennym bruku. Anaander Mianaai nawet na nią nie spojrzała.

– I jeszcze – mówiła Strigan, kiedy jadłyśmy, wymieniając ostatni z długiej listy zarzutów wobec Radchaai – ten traktat z Presgerami.

Seivarden leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, oddychając miarowo. Krew zakrzepła na jej wardze i podbródku, zachlapała przód płaszcza. Na jej nosie i czole leżał korektor.

– Oburzasz się na traktat? – zapytałam. – Wolałabyś, żeby Presgerzy swobodnie robili to, co zawsze?

Presgerów nie obchodziło, czy dany gatunek jest rozumny, czy nie, świadomy czy nie, inteligentny czy nie. Słowo, którego używali – w każdym razie koncepcję, bo podobno nie posługiwali się słowami – zwykle tłumaczono jako „ważność”. I tylko Presgerzy byli „ważni”. Wszystkie inne istoty stanowiły ich prawowitą własność, zdobycz albo zabawkę. Zwykle nie zwracali uwagi na ludzi, ale niektórzy lubili zatrzymywać statki i rozdzierać je na strzępy razem z zawartością.

– Wolałabym, żeby Radch nie składali wiążących obietnic w imieniu całej ludzkości – odburknęła Strigan. – Nie dyktowali polityki każdemu ludzkiemu rządowi, a potem żądali od nas wdzięczności.

– Presgerzy nie rozróżniają takich podziałów. W grę wchodziło wszystko albo nic.

– Czyli Radch rozszerzający wpływy w jeszcze jeden sposób, tańszy i łatwiejszy niż bezpośredni podbój.

– Może cię zdziwi, że ten traktat nie podoba się niektórym wysoko postawionym Radchaai tak samo jak tobie.

Strigan uniosła brew, odstawiła kubek z cuchnącym sfermentowanym mlekiem.

– Jakoś wątpię, czy poczułabym sympatię do tych wysoko postawionych Radchaai – odparła z goryczą, lekko ironicznym tonem.

– Nie – zgodziłam się. – Nie sądzę, żebyś ich polubiła. Oni z pewnością nie mieliby z ciebie pożytku.

Zamrugła i przyjrzała mi się uważnie, jakby próbowała coś wyczytać z mojej twarzy. Potem pokręciła głową i wykonała lekceważący gest.

– No mów.

– Jeśli jesteś przedstawicielem porządku i cywilizacji we wszechświecie, nie znizas się do negocjacji. Zwłaszcza z nieludźmi. – Co obejmowało pokaźną liczbę ludów, które uważały się za ludzi, ale tego tematu lepiej było chwilowo nie poruszać. – Po co zawierać traktat z tak nieprzejednanym wrogiem? Zniszczyć ich i koniec.

– Mogliście? – zapytała Strigan z niedowierzaniem. – Mogliście zniszczyć Presgerów?

– Nie.

Skrzyżowała ramiona, odchyliła się na oparcie krzesła.

– Więc po co ta dyskusja?

– Myślałam, że to oczywiste – odparłam. – Niektórym trudno przyznać, że Radch może przegrać albo że jego potęga jest ograniczona.

Strigan zerknęła przez pokój w stronę Seivarden.

– Ale to bez znaczenia. Dyskusja. Niemożliwa jest żadna prawdziwa dyskusja.

– Naturalnie – przyznałam. – Ty się na tym znasz najlepiej.

– Oho! – wykrzyknęła, prostując się na krześle. – Rozgniewałam cię.

Byłam pewna, że nie zmieniłam wyrazu twarzy.

– Wątpię, czy kiedykolwiek byłeś na Radch. Wątpię, czy znałeś wielu Radchaai osobiście, blisko. Patrzysz na to z zewnątrz, widzisz konformizm i pranie mózgow. – Szeregi za szeregami identycznych żołnierzy w srebrnych zbrojach, bez własnej woli, bez własnych myśli. – I to prawda, że najniższa rangą Radchaai uważa się za nieskończenie lepszą od każdej nieobywatelki. To, co ludzie w rodzaju Seivarden myślą o sobie, jest nie do przyjęcia. – Strigan parsknęła krótko, z rozbawieniem. – Ale to są ludzie i mają różne opinie o różnych rzeczach.

– Opinie, które się nie liczą. Anaander Mianaai ogłasza, co będzie, i tak się staje.

Z pewnością nie zdawała sobie sprawy, że to bardziej skomplikowane.

– Co tylko potęguje ich frustrację – powiedziałam. – Wyobraź sobie, że całe twoje życie jest skierowane na podbój, na powiększanie przestrzeni Radchaai. Ty widzisz morderstwa i zniszczenia na niewyobrażalną skalę, ale oni widzą rozprzestrzenianie się cywilizacji, Sprawiedliwości i Przyzwoitości, Pożytku dla wszechświata. Śmierć i zniszczenie to nieuniknione produkty uboczne tego jednego, najwyższego dobra.

– Nie sądzę, żebym mogła chociaż w najmniejszym stopniu podzielać ich punkt widzenia.

– Nie wymagam tego. Ale postaw się na chwilę w ich położeniu. Nie tylko twoje życie, ale życie całego twojego domu, wszystkich twoich przodków od tysiąca lat i dłużej jest poświęcone tej idei, tym działaniom. Amaat tego chce. Bóg tego chce, sam wszechświat tego chce. A potem pewnego dnia ktoś ci mówi, że może popełniłeś błąd. I twoje życie nie będzie takie, jak sobie wyobrażałaś.

– To się zdarza ludziom przez cały czas – oświadczyła Strigan, wstając z krzesła. – Tylko że większość z nas nie łudzi się, że jesteśmy przeznaczeni do wielkich rzeczy.

– Wyjątki nie są bez znaczenia – wytknęłam jej.

– A ty? – Stanęła obok krzesła z kubkiem i miską w rękach. – Z pewnością jesteś Radchaai. Twój akcent, kiedy mówisz po radchaajsku – rozmawialiśmy w jej ojczystym języku – brzmi, jakbyś pochodziła z Gerentate. Ale teraz mówisz prawie bez akcentu. Może masz bardzo duże zdolności językowe... nieludzkie zdolności, powiedziałabym nawet... – Przerwała. – Ale zdradza cię kwestia płci. Tylko Radchaai myli płeć ludzi tak jak ty.

Nie odgadłam prawidłowo.

– Nie potrafię zajrzeć pod te ubrania. A nawet gdybym potrafiła, nie zawsze można polegać na takich wskazówkach.

Zamrugnęła, zawahała się na chwilę, jakby nie mogła znaleźć sensu w moich słowach.

– Zastanawiałam się kiedyś, jak się rozmnażają Radchaai, jeśli wszyscy są tej samej płci.

– Nie są. I rozmnażają się jak wszyscy. – Strigan sceptycznie uniosła brew. – Idą do lekarza – ciągnęłam – i dezaktywują implanty antykoncepcyjne. Albo używają tanków. Albo poddają się operacji, żeby móc zająć w ciążę. Albo wynajmują matkę zastępczą.

Żadna z tych rzeczy nie różniła się specjalnie od tego, co robią inni ludzie, ale Strigan wydawała się lekko zgorziona.

– Na pewno jesteś Radchaai. I na pewno bardzo dobrze znasz kapitana Seivardena, ale go nie lubisz. Z początku zastanawiałam się, czy nie jesteś serwitorem, ale nie widzę zbyt wielu implantów. Kim jesteś?

Musiałaby się przyjrzeć znacznie dokładniej, żeby znaleźć dowody tego, czym byłam – dla przypadkowego obserwatora miałam po prostu jeden czy dwa implanty optyczne i komunikacyjne tego rodzaju, jakie nosiły miliony ludzi, Radchaai czy nie. A w ciągu ostatnich dwudziestu lat nauczyłam się ukrywać właściwości tego, co miałam.



Zebrałam swoje naczynia, wstałam.

– Jestem Breq z Gerentate.

Strigan prychnęła niedowierzająco. Gerentate znajdowało się wystarczająco daleko od miejsc, gdzie przebywałam przez ostatnie dziewiętnaście lat, żeby moje drobne błędy nie wyszły na jaw.

– Zwykła turystka – zauważyła Strigan tonem wyraźnie świadczącym, że wcale mi nie wierzy.

– Właśnie – potwierdziłam.

– Więc jaki masz interes w... – Ponownie wskazała Seivarden, która wciąż spała, oddychając powoli i regularnie. – Po prostu uratowałaś bezdomne zwierzątko?

Nie odpowiedziałam. Prawdę mówiąc, nie znałam odpowiedzi.

– Są ludzie, którzy zbierają bezdomnych. Wątpię, czy do nich należysz. Jest w tobie coś... coś zimnego. Coś ostrego. Jesteś znacznie bardziej opanowana niż turyści, których spotykałam.

– Oczywiście wiedziałam, że ona ma broń, o której istnieniu nie powinien wiedzieć nikt oprócz niej i Anaander Mianaai. Ale nie mogła tego powiedzieć, nie przyznając się, że ją ma.

– Na siedemnaście piekieł, wykluczone, żebyś była turystką z Gerentate. Kim jesteś?!

– Gdybym ci powiedziała, zepsułabym ci zabawę – odparłam.

Strigan otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, zapewne z gniewem, sądząc po wyrazie jej twarzy, kiedy zadzwieczał alarm.

– Goście – rzuciła zamiast tego.

Zanim nałożyłyśmy płaszcze i przeszłyśmy przed podwójne drzwi, pełzacz dotarł nierówną ścieżką do domu, złobiąc biały rów w zabarwionym mchem śniegu, i zahamował z półobrotem, chybiając o centymetry mojego latacza.

Drzwi odskoczyły i z pojazdu wysliznęła się Nilterka, niższa od wielu mi znanych, okutana w szkarłatny płaszcz haftowany jaskrawym błękitem i krzyczącą żółcią, lecz pokryty ciemnymi plamami – śnieżny mech i krew. Osoba zawahała się na chwilę, a potem zobaczyła nas w wejściu do domu.

– Lekarza! – krzyknęła. – Ratunku!

Zanim skończyła mówić, Strigan maszerowała długimi krokami po śniegu. Ruszyłam za nią.

Z bliska zobaczyłam, że kierowca był zaledwie dzieckiem, najwyżej czternastoletnim. Na fotelu pasażera leżała bezwładnie dorosła, nieprzytomna, w ubraniu podartym niemal na strzępy, miejscami na wylot przez wszystkie warstwy. Nie miała prawej nogi od kolana i lewej stopy. Ubranie i tapicerka fotela nasiąkły krwią.

We trzy zaniósłamy ranną do domu, do szpitalika.

– Co się stało? – zapytała Strigan, zdejmując zakrwawione strzępy płaszcza.

– Lodowy diabeł – odparła dziewczynka. – Nie widziałyśmy go!

Łzy wezbrały w jej oczach, ale nie spłynęły. Przełknęła z trudem ślinę.

Strigan obejrzała zaimprovizowane opaski uciskowe, które widocznie założyła dziewczynka.

– Zrobiłaś wszystko, co mogłaś – powiedziała jej. Kiwnęła głową w stronę drzwi do głównego pokoju. – Teraz ja się tym zajmę.

Wyszłyśmy ze szpitalika, dziewczynka najwyraźniej była nieświadoma mojej obecności ani Seivarden, wciąż leżącej nieruchomo na posłaniu. Przez kilka sekund stała na środku pokoju, jakby sparaliżowana, a potem opadła na ławę.

Przyniosłam jej kubek sfermentowanego mleka. Wzdrygnęła się, jakbym nagle pojawiła się

znikąd.

– Jesteś ranna? – zapytałam. Tym razem nie pomyliłam płci; słyszałam, jak Strigan użyła rodzaju żeńskiego.

– Ja... – Urwała, spojrzała na kubek mleka, jakby mógł ją ugryźć. – Nie, ani... trochę.

Sprawiała wrażenie, że zaraz się załamie. Całkiem możliwe. Według standardów Radchaa była jeszcze dzieckiem, ale widziała tę dorosłą okaleczoną – rodzica, kuzynkę, sąsiadkę? – i miała dość przytomności umysłu, żeby zastosować skromną pierwszą pomoc, wsadzić ranną do pelzacza i przyjechać tutaj. Nic dziwnego, że teraz rozpadała się na kawałki.

– Co się stało z lodowym diabłem? – zapytałam.

– Nie wiem. – Podniosła na mnie wzrok znad kubka, którego wciąż nie wzięła. –

Kopnęłam go. Dźgnęłam nożem. Uciekł. Nie wiem.

Trwało kilka minut, zanim wyciągnęłam od niej, że zostawiła wiadomości dla pozostałych w jej rodzinnym obozie, ale nikogo nie było w pobliżu, żeby pomóc ani żeby szybko tu przyjechać. Podczas rozmowy chyba trochę wzięła się w garść, przynajmniej na tyle, żeby przyjąć mleko, które jej proponowałam, i wypić.

Po kilku minutach spociała się, więc zdjęła oba płaszcze, położyła je na ławie obok siebie i siedziała, skrępowana i milcząca. Nie wiedziałam, jak jej ulżyć w cierpieniu.

– Znasz jakieś pieśni? – zapytałam.

Zamrugnęła z zaskoczeniem.

– Nie jestem śpiewaczką – odparła.

Może to była kwestia językowa. Nie interesowałam się specjalnie zwyczajami w tej części tego świata, ale miałam niemal pewność, że nie istniał podział na piosenki, jakie każdy mógł śpiewać, i pieśni śpiewane, zwykle z powodów religijnych, tylko przez specjalistów, nie w miastach blisko równika. Może na dalekim południu to wyglądało inaczej.

– Przepraszam – powiedziałam – widocznie użyłam niewłaściwego słowa. Jak to nazywacie, kiedy pracujecie albo się bawicie, albo usypiacie dziecko? Albo po prostu...

– Och! – Zrozumienie na chwilę ożywiło jej rysy. – Chodzi ci o piosenki!

Uśmiechnęłam się zachęcająco, ale ona znowu zamilkła.

– Spróbuj się nie zamartwiać – poradziłam. – To bardzo dobra lekarka. Czasami po prostu trzeba zostawić wszystko w rękach bogów.

Wciągnęła dolną wargę i przygryzła.

– Nie wierzę w żadnego boga – oświadczyła trochę zbyt gwałtownie.

– A jednak. Będzie, co ma być. – Przytaknęła przez grzeczność. – Umiesz grać pionkami? – zapytałam. Może pokazałaby mi, do jakiej gry służy plansza Strigan, chociaż wątpiłam, czy pochodzi z Nilt.

– Nie.

W ten sposób wyczerpałam swoje skromne możliwości, żeby ją zabawić albo oderwać od smutnych myśli.

Po dziesięciu minutach milczenia powiedziała:

– Mam zestaw do tiktika.

– Co to jest tiktik?

Oczy jej się rozszerzyły, okrągłe w okrągłej, bladej twarzy.

– Jak możesz nie wiedzieć, co to jest tiktik? Chyba jesteś z bardzo daleka! – Przytaknęłam, że istotnie jestem z daleka, a ona ciągnęła: – To gra. Głównie dla dzieci. – Tonem głosu sugerowała, że sama nie jest już dzieckiem, ale że bym lepiej nie pytała, dlaczego nosi przy

sobie dziecięcą grę. – Naprawdę nigdy nie grałaś w tiktika?

– Nigdy. Tam, skąd pochodzę, gramy głównie w pionki, karty i kości. Ale nawet one się różnią w różnych miejscach.

Rozważała to przez chwilę.

– Nauczę cię – oznajmiła wreszcie. – To łatwe.

\*

Dwie godziny później, kiedy rzucałam garść maleńkich kostek z kości bova, rozległ się alarm zapowiadający gości. Zaskoczona dziewczynka podniosła wzrok.

– Ktoś przyjechał – powiedziałam.

Drzwi szpitala pozostały zamknięte, Strigan nie reagowała.

– Mama – zasugerowała dziewczynka i głos jej leciutko zadrżał pod wpływem nadziei i ulgi.

– Mam nadzieję. Mam nadzieję, że to nie następny pacjent. – Natychmiast uświadomiłam sobie, że nie powinnam była tego mówić. – Pójdę zobaczyć.

To była niewątpliwie mama. Wyskoczyła z latacza, którym przybyła, i ruszyła w stronę domu z szybkością, jakiej nie uważałam za możliwą na śniegu. Minęła mnie, jakby w ogóle nie zauważyła mojej obecności, wysoka jak na Nilterkę i szeroka jak one wszystkie w tych grubych płaszczach, pokrewieństwo z dziewczynką w środku wyraźnie było widoczne w rysach jej twarzy. Weszłam za nią.

Na widok dziewczynki stojącej obok porzuconej planszy do tiktika zapytała:

– No więc co?

Radchaajska rodzicielka objęłaby córkę, pocałowała, powiedziała, jak się cieszy, że jej dziecku nic się nie stało, może nawet by się rozplakała. Niektóre Radchaai uznałyby tę rodzicielkę za zimną i nieczułą. Ale na pewno by się myliły. Usiadły razem na ławie, jedna obok drugiej, i dziewczynka mówiła: co wiedziała o stanie pacjentki, co się wydarzyło na śniegu ze stadem, o lodowym diable. Kiedy skończyła, matka energicznie klepnęła ją dwa razy w kolano i nagle dziewczynka stała się jakby inna, wyższa, silniejsza, nie tylko dzięki silnej, krzepiącej obecności matki, ale też na skutek jej pochwały.

Przyniosłam im dwa kubki sfermentowanego mleka. Matka skupiła na mnie uwagę, ale nie dlatego, pomyślałam, że bym była szczególnie interesująca.

– Nie jesteś lekarzem – stwierdziła. Widziałam, że nadal myśli tylko o córce i interesuje się mną tylko o tyle, o ile mogę im zagrozić lub pomóc.

– Jestem tu gościem – wyjaśniłam. – Ale lekarz jest zajęty i pomyślałam, że chciałybyście się czegoś napić.

Jej spojrzenie powędrowało do Seivarden, która wciąż spała, już od kilku godzin, z czarnym, drżącym korektorem rozciągniętym na czole, z resztką sińców wokół ust i nosa.

– Ona jest z bardzo daleka – oznajmiła dziewczynka. – Nie umiała grać w tiktika!

Wzrok matki przeskoczył na podłogę, na planszę, kostki i gładkie, pomalowane kamienie zatrzymane w pół drogi. Nic nie powiedziała, ale wyraz jej twarzy nieznacznie się zmienił. Lekko, niemal niedostrzegalnie skinęła głową i przyjęła ode mnie mleko.

Dwadzieścia minut później Seivarden się obudziła, zrzuciła z głowy czarny korektor i nerwowo otarła górną wargę. Znieruchomiała, widząc płatki zaschniętej krwi. Spojrzała na dwie Nilterki, które siedziały w milczeniu obok siebie na sąsiedniej ławie, starannie ignorując i ją, i mnie. Żadnej z nich jakoś nie zdziwiło, że nie podeszłam do Seivarden ani się nie

odezwałam. Nie wiedziałam, czy pamięta, dlaczego ją uderzyłam i że w ogóle ją uderzyłam. Niekiedy cios w głowę wymazuje wspomnienia okoliczności z nim związanych. Ale ona widocznie coś pamiętała albo podejrzewała, bo nawet na mnie nie spojrzała. Wierciła się przez kilka minut, potem wstała, poszła do kuchni i otworzyła szafkę. Przez trzydzieści sekund patrzyła na zawartość, następnie wzięła miskę, włożyła do niej twardy chleb, zalała wodą, a potem stała i czekała, żeby zmiękł, nic nie mówiąc i nie patrząc na nikogo.

Początkowo ludzie, których odesłałam znad wody Przed-Świątynią, stali na ulicy, szepcząc w małych grupkach, i rozpraszali się, kiedy się zbliżałam, wykonując regularny obchód. Wkrótce jednak wszyscy poznikali w domach, skupili się w środku. Przez następne kilka godzin w górnym mieście panowała cisza. Upiorna cisza. Nie pomagało, że porucznik Awn nieustannie mnie pytała, co tam się dzieje.

Awn uważała, że zwiększenie mojej obecności w górnym mieście tylko pogorszy sytuację, więc rozkazała mi trzymać się blisko placu. Gdyby cokolwiek się stało, byłabym tam, pomiędzy górnym a dolnym miastem. Głównie dzięki temu, kiedy wszystko się rozsypało, nadal mogłam funkcjonować w miarę skutecznie.

Przez wiele godzin nic się nie działo. Lord Radch mamrotała modlitwy razem z kapłankami Ikkt. W dolnym mieście rozpuściłam plotkę, że tego wieczoru lepiej nie wychodzić z domu, i w rezultacie sąsiedzi nie gawędzili na ulicach, nie zbierali się u kogoś na parterze, żeby obejrzeć przedstawienie. O zmroku prawie wszyscy wycofali się na górne piętra i rozmawiali cicho albo w milczeniu wyglądali przez balustrady.

Cztery godziny przed świtem wszystko się rozpadło. Albo, ściśle mówiąc, ja się rozpadłam. Dane z trackerów, które monitorowałam, odcięto i nagle wszystkie dwadzieścia mnie były ślepe, głuche, sparaliżowane. Każdy segment widział tylko jedną parą oczu, słyszał tylko jedną parą uszu, poruszał tylko jednym ciałem. Dopiero po kilku chwilach paniki i oszołomienia moje segmenty zrozumiały, że każdy został odcięty od pozostałych, każda moja postać została samotna w pojedynczym ciele. Co najgorsze, w tym samym momencie ustał dopływ danych od porucznik Awn.

Od tamtej chwili byłam dwudziestoma różnymi ludźmi, z dwudziestoma różnymi zestawami wspomnień i obserwacji, i tylko składając razem te oddzielne doświadczenia mogę pamiętać, co się stało.

W chwili kiedy spadł cios, wszystkie dwadzieścia segmentów natychmiast, bez namysłu, rozłożyło moją zbroję. Segmenty, które były ubrane, nie uczyniły nawet najmniejszego wysiłku, żeby ją zmodyfikować i zakryć jakąś część moich mundurów. W domu osiem śpiących segmentów zbudziło się natychmiast i jak tylko się opanowałam, pospieszyło do porucznik Awn, która leżała i próbowała zasnąć. Dwa z tych segmentów, Siedemnasty i Czwarty, widząc Awn całą i zdrową i kilka innych segmentów wokół niej, podeszło do domowej konsoli, żeby sprawdzić status komunikacji – konsola nie działała.

– Komunikacja zerwana! – zawołał mój Siedemnasty segment głosem zniekształconym przez gładką srebrzystą zbroję.

– Niemożliwe – oświadczył Czwarty, a Siedemnasty nie odpowiedział, ponieważ żadna odpowiedź nie była potrzebna w obliczu faktów.

Niektóre z moich segmentów w górnym mieście nawet odwróciły się w stronę wody Przed-Świątynią, zanim zrozumiały, że najlepiej zostać na miejscu. Każdy segment na placu i w świątyni odwrócił się w stronę domu. Jeden mój segment pobiegł sprawdzić, co z porucznik Awn, dwa powiedziały jednocześnie: „Górne miasto!”, a dwa następne: „Syrena sztormowa!” i przez dwie sekundy zdezorientowane kawałki mnie próbowały zdecydować, co robić. Segment Dziewiąty wbiegł do świątynnej rezydencji i zbudził kapłankę śpiącą obok syreny sztormowej, która ją uruchomiła.

Tuż przed uruchomieniem syreny w górnym mieście Jen Shinnan wybiegła z domu,

krzycząc: „Morderstwo! Morderstwo!”. W sąsiednich domach zapaliły się światła, ale dalsze hałasy zagłuszyło wycie syreny. Mój najbliższy segment znajdował się cztery ulice dalej.

Wszędzie w dolnym mieście z grzechotem opadały okiennice burzowe. Kapłanki w świątyni przerwały modlitwy, a najwyższa kapłanka spojrzała na mnie, ale nie miałam dla niej żadnych informacji i gestem wyraziłam bezradność.

– Odcięto mi komunikację, Świątobliwość – powiedział ten segment.

Najwyższa kapłanka zamrugnęła, nie rozumiejąc. Nie dało się rozmawiać, dopóki wyla syrena.

Lord Radch nie zareagowała w chwili, kiedy mnie rozczłonkowano, chociaż była połączona z resztą siebie w bardzo podobny sposób. Jej wyraźny brak zdziwienia był dostatecznie intrygujący, żeby mój segment stojący najbliżej to zauważył. Ale to mogło być tylko opanowanie; syrena wywołała jedynie szybkie spojrzenie i uniesioną brew. Potem Anaander wstała i wyszła na plac.

\*

To była trzecia najgorsza rzecz, jak mnie kiedykolwiek spotkała. Straciłam wszelkie poczucie „Sprawiedliwości Toren” nad głową, wszelkie poczucie siebie. Roztrzaskałam się na dwadzieścia fragmentów, które ledwie mogły się komunikować ze sobą nawzajem.

Segment wysłany przez Awn, żeby uruchomił alarm, wbiegł na plac i przystanął, patrząc z wahaniem na resztę siebie, widoczny, ale nieobecny w tym sensie, że go nie czułam jako części siebie.

Syrena umilkła. W dolnym mieście zapadła cisza, rozlegały się tylko moje kroki i moje głosy przefiltrowane przez zbroje, próbujące ze sobą rozmawiać, zorganizować się, żebym mogła funkcjonować chociaż w niewielkim stopniu.

Lord Radch uniosła siwiejącą brew.

– Gdzie jest porucznik Awn?

Oczywiście to pytanie zajmowało pierwsze miejsce w umysłach wszystkich moich segmentów, które jeszcze nie wiedziały, teraz jednak ta ja, która przyniosła rozkaz od Awn, odkryła, że może coś zrobić.

– Porucznik Awn jest w drodze, pani – powiedziała.

Dziesięć sekund później porucznik Awn oraz większość pozostałych mnie, które były w domu, wpadły na plac.

– Myślałam, że masz ten teren pod kontrolą. – Anaander Mianaai nie spojrzała na porucznik Awn, ale nie uległo wątpliwości, do kogo się zwraca.

– Ja też. – Potem Awn przypomniała sobie, gdzie jest i do kogo mówi. – Pani. Błagam o wybaczenie.

Każda ja musiała się powstrzymać, żeby nie obserwować nieustannie porucznik Awn, upewniając się, że ona naprawdę tu jest, ponieważ nie wyczuwałam jej w inny sposób. Kilka szeptów rozstrzygnęło, które z moich segmentów pozostaną blisko niej, reszta musiała na tym polegać.

Mój Dziesiąty segment przybiegł pędem zza wody Przed-Świątynią.

– Kłopoty w górnym mieście! – zawołał i zatrzymał się przed Awn, gdzie zrobiłam dla siebie przejście. – Ludzie gromadzą się w domu Jen Shinnan, są rozgniewani, mówią o morderstwie i wymierzeniu sprawiedliwości.

– Morderstwo. O kurwa!

Wszystkie segmenty otaczające Awn powiedziały chórem:

– Nie wyrażaj się, poruczniku!

Anaander Mianaai spojrzała na mnie z niedowierzaniem, ale się nie odezwała.

– O kurwa! – powtórzyła porucznik Awn.

– Zamierzasz coś zrobić oprócz przeklinania? – zapytała spokojnie, z rozmysłem Anaander Mianaai.

Awn zamarła na pół sekundy, potem rozejrzała się, spojrzała ponad wodą w stronę dolnego miasta, w stronę świątyni.

– Kto tu jest? Odlicz! – A kiedy to zrobiliśmy: – Jeden do Siedmiu, zostać tu. Reszta ze mną.

Weszłam za nią do świątyni, zostawiwszy Anaander Mianaai na placu.

Kapłanki stały obok podestu i patrzyły, jak się zbliżamy.

– Świątobliwość – odezwała się Awn.

– Poruczniku – odpowiedziała najwyższa kapłanka.

– Z górnego miasta zmierza tutaj tłum żądny krwi. Zakładam, że mamy jakieś pięć minut.

Przy zamkniętych sztormowych okiennicach Tanmindki nie narobią wiele szkody. Chciałabym wprowadzić je tutaj, powstrzymać od bardziej drastycznych czynów.

– Wprowadzić je tutaj – powtórzyła z powątpiewaniem najwyższa kapłanka.

– Wszędzie indziej jest ciemno i pozamykane. Wielkie drzwi są otwarte, to najbardziej oczywiste miejsce, żeby tu wejść. Kiedy większość znajdzie się w środku, zamkniemy drzwi i otoczy ich Esk Jeden. Możemy po prostu zabarykadować drzwi świątyni i niech próbują szczęścia z okiennicami domów, ale wolałabym nie sprawdzać, czy są trudne do wyłamania. Jeśli – dodała widząc, że Anaander Mianaai wchodzi do świątyni, powoli, jakby nic niezwykłego się nie działo – moja pani pozwoli.

Lord Radch gestem wyraziła milczącą zgodę.

Najwyższej kapłance wcale się nie podobała ta propozycja, ale ją przyjęła. Moje segmenty na placu widziały już latarki sporadycznie błyskające w najbliższych ulicach górnego miasta.

W ciągu paru chwili porucznik Awn ustawiła mnie za wielkimi drzwiami świątyni, gotową je zamknąć na jej znak. Kilka mnie wysłała na ulice wokół placu, żebym pomogła zapędzić Tanmindki do świątyni. Reszta mnie stała w cieniu pod ścianami wewnątrz świątyni. Kapłanki podjęły modły, odwrócone plecami do szeroko otwartego, zapraszającego wejścia.

Ponad setka Tanmindek zesłała z górnego miasta. Większość zrobiła dokładnie tak, jak chciałyśmy – wtargnęła do świątyni skłębioną, wrzeszczącą masą – oprócz dwudziestu trzech, z których tuzin zboczyło w ciemną, pustą alejkę. Pozostałe jedenaście, które wlokły się w ogonie głównej grupy, zobaczyły jeden segment mnie stojący cicho w pobliżu i chyba się rozmyśliły. Przystanąły i przez chwilę naradzały się zniżonymi głosami, patrząc, jak zgraja Tanmindek wlewa się do świątyni, a pozostałe z krzykiem biegną ulicą. Patrzyły, jak zamykam drzwi świątyni, segmenty bez mundurów, okryte tylko srebrem mojej wygenerowanej zbroi, co może przypominało im aneksję. Kilka z nich zakłęto, zawróciły i uciekły do górnego miasta.

Osiemdziesiąt trzy Tanmindki wpadły do świątyni, ich gniewne głosy odbijały się zwielokrotnionym echem, wzmocnione. Na odgłos zatraskiwanych drzwi odwróciły się i próbowały uciekać tą samą drogą, ale otoczyłam je, dobyłam broni i wymierzyłam w te najbliższe każdego segmentu.

– Obywatelki! – zawołała porucznik Awn, ale jej nie usłyszały.

– Obywatelki! – krzyknęły różne fragmenty mnie.

Moje głosy zbudziły echa, a potem zamarły. Razem z tanmindzkim gwarem – Jen Shinnan, Jen Taa i kilka innych, ich krewnych lub przyjaciółek, jak wiedziałam, uciszało te stojące najbliżej, prosiło, żeby się uspokoiły, żeby pamiętały, że sama lord Radch jest tutaj i mogą bezpośrednio z nią rozmawiać.

– Obywatelki! – krzyknęła ponownie porucznik Awn. – Czyście postradały zmysły? Co wy wyprawiacie?

– Morderstwo! – wrzasnęła Jen Shinnan, która stała z przodu, wrzeszcząc nad moją głową do Awn, stojącej za mną obok lord Radch i Świątobliwości. Młodsze kapłanki, zbite w grupkę, wydawały się sparaliżowane. Tanmindki poparły Jen Shinnan gniewnym pomrukiem, budzącym echo. – Nie uzyskamy od was sprawiedliwości, więc sami ją wymierzmy! – dokończyła Jen Shinnan. Pomruk tłumu przetoczył się po kamiennych ścianach świątyni.

– Wy tłumacz się, obywatelko – zażądała Anaander Mianaai głosem podniesionym, żeby przekrzyczeć zgiełk.

Mieszkanki stacji uciszały się nawzajem przez pięć sekund.

– Mój panie – zaczęła Jen Shinnan tonem pełnym szacunku, który wydawał się niemal szczery. – Moja młodsza kuzynka mieszkała u mnie od tygodnia. Kiedy zeszła do dolnego miasta, Orsyjki napastowały ją i obrzucały pogrozkami, co zgłosiłam porucznik Awn, ale nic nie zrobiono. Dziś wieczorem zastałam jej pokój pusty, okno wybite, wszędzie krew! Co mogłam pomyśleć? Orsyjki zawsze nas nienawidziły! Teraz chcą nas wszystkich pozabijać, co w tym dziwnego, że musimy się bronić?

Anaander Mianaai odwróciła się do Awn.

– Czy to zgłoszono?

– Tak, pani – potwierdziła porucznik Awn. – Sprawdziłam i dowiedziałam się, że wzmiankowana młoda osoba ani na chwilę nie znikła z zasięgu wzroku Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren”, która zameldowała, że ta osoba przez cały czas była sama w dolnym mieście. Nie zamieniła z nikim ani słowa, jeśli nie liczyć rozmów podczas rutynowych transakcji handlowych. Nikt jej nie groził i nikt jej nie napastował.

– Widzicie! – wrzasnęła Jen Shinnan. – Widzicie, dlaczego musimy wziąć sprawiedliwość we własne ręce!

– A co każe wam przypuszczać, że wasze życie jest zagrożone? – zapytała Anaander Mianaai.

– Mój panie – odparła Jen Shinnan – porucznik Awn będzie cię przekonywać, że wszyscy w dolnym mieście są lojalni i przestrzegają prawa, ale my wiemy z doświadczenia, że Orsyjki bynajmniej nie są wzorem cnoty. Rybacy wypływają nocą na wodę, niewidoczni.

Informatorzy... – Zawahała się na chwilę z powodów, których nie rozumiałam. Czy chodziło o broń wymierzoną prosto w nią, czy o niezmienną obojętność Anaander Mianaai, czy o coś jeszcze, nie wiedziałam. Ale zdawało mi się, że coś ją rozbawiło. Potem się opanowała. –

Informatorzy, których wolę nie wymieniać, widzieli, jak przewoźnicy z dolnego miasta zatapiają skrzynie z bronią w jeziorze. Po co, jeśli nie po to, żeby wreszcie się na nas zemścić za rzekome złe traktowanie? I jak broń mogła tam trafić bez współpracy porucznik Awn?

Anaander Mianaai odwróciła ciemną twarz do Awn i uniosła posiwiałą brew.

– Czy masz na to odpowiedź, poruczniku?

Coś w tym pytaniu, w sposobie jego postawienia zaniepokoiło wszystkie segmenty, które to słyszały. A Jen Shinnan dosłownie się uśmiechnęła. Spodziewała się, że lord Radch zwróci



się przeciwko Awn, i cieszyła się z tego.

– Owszem, mam odpowiedź, pani – oświadczyła Awn. – Kilka nocy wcześniej miejscowa rybaczka zgłosiła mi, że znalazła w jeziorze skrzynię z bronią. Wydobyłam ją i zabrałam do domu. Podczas przeszukania odkryłam jeszcze dwie skrzynie, które również zabrałam. Dziś wieczorem zamierzałam prowadzić dalsze poszukiwania, ale jak widać, sytuacja na to nie pozwoli. Sporządziłam raport, ale jeszcze go nie wysłałam, ponieważ ja też się zastanawiałam, jak broń mogła tam trafić bez mojej wiedzy.

Może sprawił to uśmiech Jen Shinnan oraz dziwnie oskarżycielskie pytania Anaander Mianaai – również trochę wcześniej, na placu świątynnym – ale w pełnej napięcia atmosferze świątyni nawet echo własnych słów porucznik Awn brzmiało jak oskarżenie.

– Zastanawiałam się również – podjęła Awn w ciszy, gdy zamarły echa – dlaczego wzmiankowana młoda osoba miałaby fałszywie oskarżać mieszkańców dolnego miasta o napastowanie, chociaż z pewnością jej nie napastowali. Wiem na pewno, że nikt z dolnego miasta jej nie skrzywdził.

– Ktoś skrzywdził! – krzyknął głos w tłumie i rozległy się pomruki potwierdzenia, coraz głośniejsze, budzące echa w rozległej kamiennej sali.

– Kiedy ostatnio widziałaś swoją kuzynkę? – zapytała porucznik Awn.

– Trzy godziny temu – odparła Jen Shinnan. – Powiedziała nam „dobranoc” i poszła do swojego pokoju.

Porucznik Awn zwróciła się do mojego segmentu, który stał najbliżej niej.

– Esk Jeden, czy ktoś przechodził z dolnego miasta do górnego w ciągu ostatnich trzech godzin?

Segment, który odpowiedział – Trzynasty – wiedział, że powinnam odpowiadać ostrożnie, ponieważ z konieczności wszyscy mnie usłyszą.

– Nie. Nikt nie przechodził w żadną stronę. Chociaż nie mam pewności co do ostatnich piętnastu minut.

– Ktoś mógł przejść wcześniej – wytknęła Jen Shinnan.

– W takim razie – odparła Awn – są nadal w górnym mieście i tam powinniście ich szukać.

– Broń... – zaczęła Jen Shinnan.

– Nie zagraża wam. Jest zamknięta pod górnym piętnem mojego domu i Esk Jeden rozłożyła już prawie wszystkie karabiny.

Jen Shinnan rzuciła dziwne, proszące spojrzenie na Anaander Mianaai, która podczas tej wymiany zdań stała milcząca i niewzruszona.

– Ale...

– Poruczniku Awn – powiedziała lord Radch. – Na słowo.

Skinęła ręką i Awn poszła za nią do miejsca oddalonego o piętnaście metrów. Jeden z moich segmentów ruszył za nimi, co Mianaai zignorowała.

– Poruczniku – zniżyła głos – powiedz mi, co o tym myślisz.

Porucznik Awn przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko.

– Pani, na pewno nikt z dolnego miasta nie skrzywdził tej młodej osoby. Jestem również pewna, że broni nie ukrył nikt z dolnego miasta. Każdy z tych karabinów został skonfiskowany podczas aneksji. To jest możliwe tylko przy udziale kogoś na bardzo wysokim szczeblu. Dlatego nie złożyłam raportu. Miałam nadzieję, że porozmawiam z tobą bezpośrednio, kiedy przybyłaś, ale nie było okazji.

– Obawiałaś się, że jeśli wyślesz raport normalnymi kanałami, sprawcy zorientują się, że

ich plan został odkryty, i zatrą ślady.

– Tak, pani. Kiedy się dowiedziałam o twojej wizycie, pani, zamierzałam natychmiast z tobą o tym porozmawiać.

– „Sprawiedliwość Toren”. – Lord Radch zwróciła się do mojego segmentu, nie patrząc na mnie. – Czy to prawda?

– Całkowita, pani – zapewniłam.

Młodsze kapłanki wciąż się do siebie tuliły. Najwyższa kapłanka stała oddzielnie, spoglądając na porucznik Awn i lord Radch z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam odczytać.

– A więc – powiedziała Anaander Mianaai – jaka jest twoja ocena sytuacji?

Awn zamrugnęła, zaskoczona.

– Ja... mocno podejrzewam, że Jen Shinnan jest zamieszana w tę sprawę z bronią. Inaczej skąd by o niej wiedziała?

– A ta zamordowana młoda osoba?

– Jeśli rzeczywiście została zamordowana, nie zrobił tego nikt z dolnego miasta. Ale mogli sami ją zabić, żeby mieć pretekst do... – Awn urwała, wstrząśnięta.

– Pretekst, żeby zejść do dolnego miasta i wymordować niewinnych obywateli w łóżkach. A potem wykorzystać skrzynie z bronią jako argument, że działali tylko w samoobronie, a ty zaniedbałaś swoje obowiązki i odmówiłaś im ochrony. – Obejrzała się na Tanmindki, otoczone przez moje nieruchome, uzbrojone, pokryte srebrnymi zbrojami segmenty. – No cóż. Później zajmiemy się szczegółami. Teraz musimy się rozprawić z tymi ludźmi.

– Pani – powiedziała Awn z lekkim ukłonem.

– Zastrzelić ich.

Dla nieobywateli, którzy widzieli Radchaa tylko w melodramatycznych przedstawieniach, dla których z Radch kojarzą się jedynie serwitory, aneksje i pranie mózgow, taki rozkaz mógł się wydawać przerażający, ale bynajmniej nie zaskakujący. Jednak w rzeczywistości pomysł strzelania do obywateli był wyjątkowo szokujący i zatrważający. Ostatecznie, jaki jest sens cywilizacji, jeśli nie dobrobyt obywateli? A ci ludzie byli teraz obywatelami.

Porucznik Awn zamarła na dwie sekundy.

– P-p-pani?

Głos Anaander Mianaai, dotąd beznamiętny, może nieco surowy, stał się lodowaty i ostry.

– Odmawiasz wykonania rozkazu, poruczniku?

– Nie, pani, tylko... to są obywatele. I jesteśmy w świątyni. I panujemy nad sytuacją, i wysłałam Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren” do następnego oddziału z prośbą o wsparcie. Za godzinę, może dwie przybędzie Issa Siedem „Sprawiedliwości Ente”, możemy bardzo łatwo aresztować te Tanmindki i wysłać na reedukację, skoro tu jesteś.

Anaander Mianaai powtórzyła powoli i wyraźnie:

– Odmawiasz wykonania rozkazu?

Dla mojego słuchającego segmentu rozbawienie Jen Shinnan, jej gotowość – wręcz zapal – do rozmowy z lord Radch wpasowały się we wzór układanki. Ktoś bardzo wysoko postawiony udostępnił tę broń, wiedział, jak odciąć łączność. Nikt nie stał wyżej niż Anaander Mianaai. Ale to nie miało sensu. Motywy Jen Shinnan były oczywiste, ale jak mogła na tym skorzystać lord Radch?

Porucznik Awn prawdopodobnie myślała o tym samym. Dostrzegałam desperację w napięciu jej szczęki, w sztywności ramion. Jednak to się wydawało nierzeczywiste,

ponieważ widziałam tylko zewnętrzne objawy.

– Nie odmówię wykonania rozkazu, pani – powiedziała po pięciu sekundach. – Czy mogę przeciw niemu zaprotestować?

– Chyba już to zrobiłaś – odparła chłodno Anaander Mianaai. – Teraz je zastrzel.

Awn się odwróciła. Zdawało mi się, że lekko drżała, kiedy wracała do otoczonych Tanmindek.

– „Sprawiedliwość Toren” – odezwała się Mianaai i segment mnie, który chciał pójść za Awn, przystanął. – Kiedy ostatni raz was odwiedziłam?

Bardzo wyraźnie pamiętałam, kiedy ostatni raz lord Radch weszła na pokład „Sprawiedliwości Toren”. Była to niezwykła wizyta – niezapowiedziana, cztery starsze ciała bez świty. Głównie przebywała w swojej kwaterze i rozmawiała ze mną – ze mną „Sprawiedliwością Toren”, nie ze mną Esk Jeden – ale poprosiła Esk Jeden, żeby dla niej zaśpiewał. Wybrałam valskaayański utwór. To było dziewięćdziesiąt cztery lata, dwa miesiące, dwa tygodnie i sześć dni wcześniej, wkrótce po aneksji Valskaay. Otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, ale zamiast tego usłyszałam, jak mówię:

– Dwieście trzy lata, cztery miesiące, jeden tydzień i jeden dzień temu, pani.

– Hm – mruknęła Anaander Mianaai, ale nie dodała nic więcej.

Porucznik Awn podeszła do mnie otaczającej Tanmindki. Stała tam za segmentem przez trzy i pół sekundy, nic nie mówiąc.

Najwyraźniej nie tylko ja dostrzegałam jej udrękę. Jen Shinnan, widząc, jak Awn stoi milcząca i nieszczęśliwa, uśmiechnęła się. Niemal triumfalnie.

– Więc?

– Esk Jeden – zaczęła porucznik Awn, wyraźnie wzdragając się dokończyć zdanie.

Uśmiech Jen Shinnan się poszerzył. Z pewnością oczekiwała, że Awn odeśle je do domu.

Z czasem spodziewała się dymisji porucznik Awn i zmniejszenia wpływów dolnego miasta. –

Nie chciałam tego – powiedziała do niej cicho Awn – ale mam bezpośredni rozkaz. –

Podniosła głos. – Esk Jeden. Zastrzel je.

Uśmiech Jen Shinnan znikł, zastąpiony przez zgrozę i, jak mi się wydawało, świadomość zdrady. Spojrzała prosto na Anaander Mianaai, która stała niewzruszona. Pozostałe Tanmindki podniosły wrzawę, protestując głośno i ze strachem.

Wszystkie moje segmenty się zawahały. Ten rozkaz nie miał sensu. Cokolwiek zrobiły, były obywatelkami i miałam je pod kontrolą. Ale Awn powiedziała głośno i ostro:

– Ognia!

Posłuchałam. Po trzech sekundach wszystkie Tanmindki były martwe.

Nikt obecny wówczas w świątyni nie był dostatecznie młody, żeby się zdziwić tym, co się stało, chociaż kilka lat, które upłynęły od ostatniej wykonanej przeze mnie egzekucji, zapewne zatarły nieco wspomnienia, może nawet zrodziły przekonanie, że obywatelstwo oznacza koniec takich rzeczy. Młodsze kapłanki stały tam, gdzie na początku, bez ruchu, bez słowa. Najwyższa kapłanka płakała otwarcie, bezgłośnie.

– Myślę – powiedziała Anaander Mianaai w głębokiej ciszy, kiedy ucichło echo wystrzałów – że te Tanmindki już nie sprawią kłopotów.

Usta i krtań porucznik Awn drgnęły lekko, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Zamiast tego ruszyła do wyjścia, obchodząc ciała. Po drodze klepnęła w ramię cztery z moich segmentów i gestem kazała im iść za nią. Zrozumiałam, że po prostu nie mogła wykrztusić słowa. Albo obawiała się tego, co może powiedzieć, gdyby spróbowała. Odbierałam od niej

tylko wizualne dane, co było frustrujące.

– Dokąd idziesz, poruczniku? – zapytała lord Radch.

Odwrócona plecami do Mianaai porucznik Awn otworzyła usta i znowu zamknęła. Zamknęła oczy, zaczerpnęła tchu.

– Za pozwoleniem mojej pani, zamierzam się dowiedzieć, co takiego blokuje komunikację.

Anaander Mianaai nie odpowiedziała. Awn odwróciła się do mojego najbliższego segmentu.

– Dom Jen Shinnan – powiedział ten segment, ponieważ Awn wyraźnie wciąż odczuwała emocjonalny ból. – Poszukam też tej młodej osoby.

\*

Tuż przed wschodem słońca znalazłam tam urządzenie. Jak tylko je wyłączyłam, znowu stałam się sobą – minus jeden brakujący segment. Zobaczyłam ciche, słabo oświetlone ulice dolnego i górnego miasta, opustoszałą świątynię, gdzie oprócz mnie zostały tylko osiemdziesiąt trzy milczące, martwe ciała o wytrzeszczonych oczach. Żal, wstyd i rozpacz porucznik Awn nagle stały się wyraźnie dostrzegalne, ku mojej uldze połączonej z dyskomfortem. I jak tylko o tym pomyślałam, sygnały trackerów wszystkich w Ors zapłonęły w moim polu widzenia, włącznie z ludźmi, którzy umarli i wciąż leżeli w świątyni Ikt; moim brakującym segmentem leżącym na ulicy górnego miasta ze złamanym karkiem; i siostrzenicą Jen Taa – spoczywającą w mule na dnie przy północnym brzegu wody Przed-Świątynią.

Strigan wyszła z infirmerii w zakrwawionym spodnim płaszczu. Dziewczynka i jej matka, rozmawiające cicho w języku, którego nie rozumiałam, umilkły i popatrzyły na nią wyczekująco.

– Zrobiłam, co mogłam – oznajmiła Strigan bez wstępów. – Nic mu nie grozi. Będziecie musiały go zabrać do Therrod, żeby mu odtworzyli kończyny, ale wykonałam wstępne zabiegi i powinny odrosnąć dość łatwo.

– Dwa tygodnie – powiedziała beznamiętnie Nilterka, jakby coś takiego zdarzyło się nie pierwszy raz.

– Nic się nie poradzi – odparła Strigan, odpowiadając na coś, czego nie usłyszałam albo nie rozumiałam. – Może ktoś użyje dodatkowych rąk do pracy.

– Zawiadomię kuzynów.

– Zrób to – poradziła Strigan. – Możecie go teraz zobaczyć, jeśli chcecie, ale on śpi.

– Kiedy możemy go zabrać? – zapytała kobieta.

– Teraz, jeśli chcecie – odparła Strigan. – Im szybciej, tym lepiej.

Kobieta wykonała gest potwierdzenia, obie z dziewczynką wstały i bez słowa weszły do szpitalika.

Niedługo potem zaniósłszy ranną do latacza dziewczynki, zaczekałyśmy, aż odlecą, poczłapałyśmy z powrotem do domu i zdjęłyśmy wierzchnie płaszcze. Seivarden wróciła tymczasem na swoje posłanie na podłodze i siedziała z podciągniętymi nogami, ciasno obejmując rękami kolana, jakby musiała je trzymać i to wymagało wysiłku.

Strigan spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam odczytać.

– To dobry dzieciak.

– Tak.

– Dostanie po tym dobre imię. I do tego dobrą historię.

Nauczyłam się języka uniwersalnego, który miał mi się tu najbardziej przydać, i przeprowadziłam powierzchowne rozeznanie konieczne, żeby się poruszać w nieznanym terenie, ale nie wiedziałam prawie nic o ludziach, którzy wypasali bovy w tej części planety.

– Czy to nie jest coś dorosłego? – zapytałam.

– Tak jakby. Tak. – Podeszła do szafki, wyjęła miskę i kubek. Ruchy miała szybkie i pewne, ale odniosłam wrażenie, że jest wyczerpana. Może z powodu opuszczonych ramion. – Nie sądziłam, że tak się interesujesz dziećmi. To znaczy oprócz ich zabijania.

Nie chwyciłam przynęty.

– Dała mi do zrozumienia, że nie jest dzieckiem. Nawet jeśli miała zestaw tiktika.

Strigan usiadła przy swoim małym stoliku.

– Grałyście pełne dwie godziny.

– Niewiele więcej było do roboty.

Strigan zaśmiała się krótko, z goryczą. Potem wskazała Seivarden, która pozornie nas ignorowała. I tak nie mogła nas zrozumieć, nie mówiłyśmy po radchaajsku.

– Nie żałuję go. Po prostu jestem lekarzem

– Już to mówiłaś.

– Ty też chyba go nie żałujesz.

– Nie.

– Nie ułatwiasz niczego, co? – W głosie Strigan brzmiała irytacja. Niemal gniew.

– To zależy.  
Lekko pokręciła głową, jakby niezbyt wyraźnie mnie słyszała.  
– Widywałam gorsze przypadki. Ale on potrzebuje opieki medycznej.  
– Której nie zamierzasz udzielić – stwierdziłam. Nie zapytałam.  
– Wciąż próbuję cię rozgryźć – powiedziała Strigan, jakby te słowa miały związek z moją wypowiedzią, chociaż na pewno nie miały. – W gruncie rzeczy zastanawiam się, czy nie dać mu czegoś więcej na uspokojenie. – Milczałam. – Nie zgadzasz się. – To nie było pytanie.  
– Nie żałuję go.  
– Ciągłe to powtarzasz.  
– Stracił swój statek. – Zapewne jej zainteresowanie garseddajskimi artefaktami sprawiło, że postarała się dowiedzieć jak najwięcej o wydarzeniach, które doprowadziły do zagłady Garsedd. – Wystarczająco źle – ciągnęła – ale statki Radchaai to więcej niż statki, prawda? I swoją załogę. Dla nas to było tysiąc lat temu, ale dla niego... w jednej chwili wszystko jest tak, jak powinno, w następnej wszystko przepadło. – Jedną ręką wykonała gest wyrażający frustrację. – On potrzebuje opieki medycznej.  
– Otrzymałby ją, gdyby nie uciekł z Radch.  
Strigan uniosła siwą brew, usiadła na ławie.  
– Przetłumacz dla mnie. Za słabo znam radchaajski.

\*

W jednej chwili serwitor wpychał Seivarden do kapsuły ratunkowej, w następnej chwili dygotała z zimna i kasłała, kiedy płyny kapsuły wylewały się z jej nosa i ust, odprowadzane na zewnątrz. Znajdowała się w izbie chorych na statku patrolowym. Kiedy Seivarden to opisywała, widziałam jej wzburzenie, jej gniew, ledwie maskowane.

– Jakaś mała obskurna „Łaska” z niechlujnym prowincjonalnym kapitanem.  
– Twoja twarz jest niemal idealnie obojętna – powiedziała do mnie Strigan. Nie po radchaajsku, żeby Seivarden nie zrozumiała. – Ale mogę odczytać twoją temperaturę i puls. – I pewnie kilka innych rzeczy, dzięki medycznym implantom, które niewątpliwie miała.  
– Ten statek miał ludzką załogę – powiedziałam do Seivarden.  
To jeszcze bardziej ją przygnębiło – nie wiedziałam, czy to był gniew, wstyd czy jeszcze coś innego.

– Nie zdawałam sobie sprawy. Nie od razu. Kapitan wzięła mnie na bok i wyjaśniła.  
Przetłumaczyłam to dla Strigan, a ona popatrzyła na Seivarden z niedowierzaniem, a potem na mnie z namysłem.

– Czy łatwo popełnić taki błąd?  
– Nie – odparłam krótko.  
– I wtedy wreszcie musiała mi powiedzieć, ile czasu minęło – ciągnęła Seivarden, nieświadoma niczego prócz własnej historii.  
– I co się stało później – podsunęła Strigan.

Przetłumaczyłam, ale Seivarden to zignorowała i mówiła dalej, jakby żadna z nas się nie odezwała.

– W końcu dobiliśmy do tej maleńkiej pogranicznej stacji. Znacie takie miejsca: administratorka stacji, która albo popadła w niełaskę, albo jest świeżo awansowaną parweniuszką, nadgorliwa główna inspektorka, która odgrywa tyrana w dokach, i pół tuzina funkcjonariuszek Bezpieczeństwa, których najtrudniejszym zadaniem jest wypłaszanie kur

z herbaciarni. Myślałam, że kapitan „Łaski” ma okropny akcent, ale na tej stacji nikogo nie rozumiałam. Stacyjna SI musiała dla mnie tłumaczyć, ale moje implanty nie działały. Przeszarżałe. Więc mogłam z nią rozmawiać tylko poprzez ściennie konsole. – Co ogromnie utrudniało prowadzenie normalnej rozmowy. – A nawet kiedy stacja tłumaczyła, ci ludzie mówili rzeczy bez sensu. Przydzielili mi kwatere, pokoi z pryczą, taki ciasny, że ledwie mogłam się tam wyprostować. Tak, wiedzieli, kim jestem, powiedziałam im, ale nie mieli żadnych zapisów moich danych finansowych i zanimby je ściągnęli, upłynęłyby tygodnie. Może dłużej. Na razie otrzymywałam wyżywienie i mieszkanie zagwarantowane każdej Radchaai. Chyba że oczywiście zdałabym ponownie testy na zdolności, żeby dostać nowy przydział. Ponieważ nie mieli wyników moich testów, a nawet gdyby mieli, byłyby oczywiście nieaktualne. Nieaktualne – powtórzyła z goryczą.

– Byłeś u lekarza? – zapytała Strigan.

Obserwując twarz Seivarden, odgadłam, co ją w końcu wyгнаło z przestrzeni Radch. Widocznie była u lekarki, która postanowiła czekać i prowadzić obserwację. Fizyczne urazy nie stanowiły problemu, mogła je naprawić medycza z tej „Łaski”, która ją wzięła na pokład, ale psychologiczne lub emocjonalne... mogły same się rozwiązać, ale jeśli nie, lekarka potrzebowała danych z testu, żeby działać skutecznie.

– Powiedzieli, że mogą wysłać wiadomość do lord mojego domu z prośbą o pomoc. Ale nie wiedzieli, kto to jest. – Seivarden najwyraźniej nie zamierzała rozmawiać o stacyjnej lekarce.

– Lord domu? – powtórzyła Strigan.

– Głowa jej wielopokoleniowej rodziny – wyjaśniłam. – W przekładzie to brzmi imponująco, ale nie jest, chyba że dom jest bardzo bogaty albo wpływowy.

– A jej dom?

– Był jednym i drugim.

Strigan tego nie przegapiła.

– Był.

Seivarden ciągnęła, jakbyśmy wcale się nie odzywały:

– Ale okazało się, że Vendaai znikli. Mój cały dom już nawet nie istnieje. Wszystko, aktywa i kontrakty, wszystko wchłonął Geir!

Wtedy to wzbudziło powszechne zdumienie, jakieś pięćset lat wcześniej. Dwa domy, Geir i Vendaai, nienawidziły się wzajemnie. Lord domu Geir nikczemnie wykorzystwała długi hazardowe Vendaai i kilka głupich kontraktów.

– Zapoznałaś się z bieżącą sytuacją? – zapytałam Seivarden.

Zignorowała moje pytanie.

– Wszystko przepadło. A to, co zostało, wydawało się prawie takie, jak trzeba. Ale kolory były niewłaściwe albo rzeczy były jakby trochę przesunięte w lewo. Ludzie coś mówili, ale w ogóle ich nie rozumiałam albo wiedziałam, że to prawdziwe słowa, ale mój umysł ich nie przyjmował. Nic nie wydawało się realne.

Może jednak to była odpowiedź na moje pytanie.

– Co czułaś wobec ludzkich żołnierek?

Seivarden spochmurniała i spojrzała prosto na mnie po raz pierwszy, odkąd się obudziła. Pożałowałam, że zadałam to pytanie. Właściwie nie o to chciałam zapytać. *Cosobie pomyślałaś, kiedy usłyszałaś o Ime? Ale może nie usłyszała. A jeśli tak, może nie zrozumiała. Czy ktoś szeptał ci na ucho o przywróceniu właściwego porządku rzeczy?* Raczej nie,

doszłam do wniosku.

– Jak opuściłaś Radch bez zezwolenia?

To nie mogło być łatwe. A przynajmniej musiało kosztować sporo pieniędzy, których nie miała.

Seivarden odwróciła wzrok, spojrzała w lewo i w dół. Nie zamierzała powiedzieć.

– Wszystko było nie tak – oświadczyła po dziewięciu sekundach milczenia.

– Koszmarne sny – podsunęła Strigan. – Niepokój. Czasami dreszcze.

– Niestabilna – przetłumaczyłam.

W przekładzie to brzmiało bardzo łagodnie, ale po radchaajsku, dla oficera takiego jak Seivarden, znaczyło więcej. Słaba, tchórzliwa, niedorastająca do wymagań swojego stanowiska. Krucha. Jeśli Seivarden była niestabilna, to nigdy naprawdę nie zasługiwała na swój przydział, nigdy naprawdę nie nadawała się do wojska, a co dopiero na kapitana statku. Ale oczywiście Seivarden zdała testy na zdolności i testy wykazały, że jest taka, jak zawsze zakładał jej dom – stabilna, odpowiednia, żeby dowodzić i zdobywać. Niepodatna na wątpliwości czy irracjonalne lęki.

– Nie wiesz, co mówisz – na wpół prychnęła, na wpół warknęła Seivarden, wciąż oplatając ramionami kolana. – Nikt w moim domu nie jest niestabilny.

Oczywiście (pomyślałam, ale nie powiedziałam na głos) różne kuzynki, które odsłużyły rok czy dwa podczas tej czy tamtej aneksji i odeszły, żeby przyjąć śluby ascezy albo malować na porcelanie, nie postąpiły tak, ponieważ były niestabilne. A kuzynki, które nie zdały testów zgodnie z oczekiwaniami, tylko zaskoczyły rodziców przydziałami do niższego stanu kapłańskiego albo sztuk pięknych – to nie wskazało na niestabilność inherentną dla tego domu, nie, nigdy. A Seivarden wcale się nie obawiała ani nie martwiła, jaki nowy przydział otrzymałaby po ponownym zdaniu testów ani jak by to świadczyło o jej stabilności. Ależ skąd, nawet w najmniejszym stopniu.

– Niestabilna? – zapytała Strigan, rozumiejąc słowo, ale nie kontekst.

– Niestabilnym – wyjaśniłam – brakuje pewnej siły charakteru.

– Charakteru! – powtórzyła Strigan z jawnym oburzeniem.

– Oczywiście. – Zachowałam niezmienny wyraz twarzy, układny i nijaki, jak przez większość czasu w ciągu ostatnich paru dni. – Pospolici obywatele załamują się w obliczu ogromnych trudności lub stresu i niekiedy potrzebują opieki medycznej. Ale niektórzy obywatele mają lepsze pochodzenie. Nigdy się nie załamują. Chociaż mogą odejść na wczesną emeryturę albo przez kilka lat realizować artystyczne bądź duchowe zainteresowania... dość popularne są przedłużone medytacje. Po tym poznaje się różnicę pomiędzy wysoko postawionymi rodzinami a tymi pomniejszymi.

– Ale wy, Radchaai, jesteście tacy dobrzy w praniu mózgów.

– Reedukacji – poprawiłam. – Gdyby została, otrzymałaby pomoc.

– Ale przed wszystkim nie mogła się pogodzić z tym, że potrzebuje pomocy. – Nie potwierdziłam ani nie zaprzeczyłam, chociaż pomyślałam, że Strigan ma rację. – Jak wiele może dokonać... reedukacja?

– Bardzo dużo – zapewniłam. – Chociaż wiele z tego, co zapewne słyszałaś, jest bardzo przesadzone. Nie może cię zmienić w kogoś, kim nie jesteś. Nie w pożyteczny sposób.

– Wymazać wspomnienia.

– Raczej stłumić. Może dodać nowe. Trzeba wiedzieć, co się robi, bo można kogoś poważnie okaleczyć.



– Nie wątpię.

Seivarden ze zmarszczonymi brwiami patrzyła, jak rozmawiamy, niezdolna zrozumieć, co mówimy.

Strigan uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nie jesteś produktem reedukacji.

– Nie – przyznałam.

– To była operacja. Przeciąć kilka połączeń, stworzyć kilka nowych. Wszczepić parę implantów. – Zamilkła na chwilę, czekając na moją odpowiedź, ale milczałam. – Całkiem nieźle ci wychodzi. Na ogół. Twój wyraz twarzy, ton głosu zawsze jest odpowiedni, ale... wystudiowany. Zawsze grasz.

– Myślisz, że rozwiązałaś zagadkę – odgadłam.

– „Rozwiązałaś” to niewłaściwe słowo. Ale jesteś żołnierzem trupem, na pewno.

Pamiętasz cokolwiek?

– Wiele rzeczy – odparłam, wciąż z układną miną.

– Nie, pytałam o przedtem.

Prawie pięć sekund minęło, zanim zrozumiałam, o co jej chodzi.

– Tamta osoba nie żyje.

Seivarden nagle poderwała się konwulsyjnym ruchem i wyszła przez wewnętrzne drzwi, a sądząc po odgłosach, również przez zewnętrzne.

Strigan odprowadziła ją wzrokiem, rzuciła szybkie, szorstkie „hm”, a potem odwróciła się do mnie.

– Twoje poczucie tożsamości opiera się na neurologicznych podstawach. Jedna drobna zmiana i przestaniesz wierzyć we własne istnienie. Ale wciąż tam jesteś. Myślę, że wciąż tam jesteś. Skąd to osobliwe pragnienie, żeby zabić Anaander Mianaai? Z jakiego innego powodu jesteś taka zła na niego? – Ruchem głowy wskazała wyjście, Seivarden na śniegu tylko w jednym płaszczu.

– Zabierze pełzacz – ostrzegłam. Dziewczynka i jej matka zabrały latacz i zostawiły pełzacz przed domem Strigan.

– Nie zabierze. Unieruchomiłam go. – Gestem wyraziłam aprobatę, a Strigan wróciła do poprzedniego tematu. – I muzyka. Wątpię, czy byłaś śpiewaczką, nie z twoim głosem. Ale na pewno byłaś przedtem muzykiem albo kochałaś muzykę.

Zastanawiałam się, czy nie wybuchnąć gorzkim śmiechem, na jaki zasługiwały domysły Strigan.

– Nie. Nie całkiem.

– Ale jesteś żołnierzem trupem, w tym się nie mylę. – Nie odpowiedziałam. – Jakimś sposobem uciekłaś albo... jesteś z jego statku? Kapitana Seivardena?

– „Miecz Nathtas” został zniszczony. – Byłam tam, blisko. Stosunkowo. Widziałam, jak to się stało, wystarczająco dokładnie. – I to zdarzyło się tysiąc lat temu.

Strigan spojrzała w stronę drzwi, potem znowu na mnie. Zmarszczyła czoło.

– Nie. Nie, myślę, że jesteś Ghaonijką, a oni zostali anektowani kilkaset lat temu, prawda? Nie powinnam zapominać, że to dlatego uchodzisz za kogoś z Gerentate, prawda? Nie, w jakiś sposób uciekłaś. Mogę cię sprowadzić z powrotem. Na pewno potrafię.

– To znaczy możesz mnie zabić. Możesz zniszczyć moje poczucie tożsamości i zastąpić je takim, jakie ci odpowiada.

Widziałam, że Strigan nie lubi słuchać takich rzeczy. Zewnętrzne drzwi się otwały,

a potem Seivarden weszła wewnątrznymi drzwiami. Cała się trzęsła.

– Następnym razem włóż zewnętrzny płaszcz – poradziłam jej.

– Odwal się. – Chwyła koc z posłania, owinęła się nim i stała, wciąż dygocząc.

– Bardzo niestosowny język, obywatelko – skarciłam ją.

Przez chwilę wyglądało, że straci panowanie nad sobą. Potem widocznie sobie przypomniała, co mogłoby się wtedy stać.

– Odwal. – Siadła ciężko na najbliższej ławie. – Się.

– Czemu go nie zostawiłaś tam, gdzie go znalazłaś? – zapytała Strigan.

– Sama nie wiem. – To była dla niej następna zagadka, ale nie zataiłam tego rozmyślnie.

Naprawdę nie wiedziałam. Nie wiedziałam, dlaczego mnie obchodziło, czy Seivarden zamarnie na śmierć na świeżym śniegu, nie wiedziałam, dlaczego ją zabrałam ze sobą, nie wiedziałam, dlaczego mnie obchodziło, czy zabierze cudzy pełzacz i ucieknie, czy odejdzie pieszo na mroźne, splamione zielenią pustkowia i umrze.

– I czemu jesteś na niego taka zła?

To wiedziałam. I prawdę mówiąc, powody mojej złości na Seivarden nie były całkiem uzasadnione. Jednak fakty pozostawały faktami, podobnie jak mój gniew.

– Dlaczego chcesz zabić Anaander Mianaai?

Seivarden lekko odwróciła głowę, jej uwagę przyciągnęło znajome nazwisko.

– Sprawa osobista.

– Osobista – powtórzyła Strigan z niedowierzaniem.

– Tak.

– Nie jesteś już osobą. Tyle mi powiedziałaś. Jesteś sprzętem. Dodatkiem do SI statku. –

Milczałam i czekałam, aż ona przemyśli własne słowa. – Czy jakiś statek oszalał? To znaczy ostatnio.

Szalone radchaajskie statki stanowiły główną pożywkę melodramatów w przestrzeni Radch i poza nią. Choć radchaajskie widowiska z tego gatunku były zwykle historyczne. Kiedy Anaander Mianaai przejęła władzę nad centrum przestrzeni Radch, kilka statków zniszczyło same siebie po śmierci lub wzięciu do niewoli ich kapitanów, a plotka głosiła, że od tamtego czasu niektóre wciąż błakają się w kosmosie, na wpół szalone, rozpaczające, przez trzy tysiące lat.

– Nie wiem o żadnym.

Najprawdopodobniej śledziła bieżące wiadomości z Radch – w grę wchodziło jej własne bezpieczeństwo, zważywszy na to, co z pewnością ukrywała i jakie groziły jej za to konsekwencje, gdyby Anaander Mianaai kiedykolwiek się dowiedziała. Potencjalnie dysponowała wszelkimi informacjami potrzebnymi, żeby ustalić moją tożsamość. Ale po pół minucie z powątpiewaniem machnęła ręką, rozczarowana.

– Po prostu nie chcesz mi powiedzieć.

Uśmiechnęłam się miło i spokojnie.

– Po co psuć zabawę?

Roześmiała się, na pozór szczerze ubawiona moją odpowiedzią. Co uznałam za dobry znak.

– Więc kiedy odjedziesz?

– Kiedy dasz mi broń.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Kłamstwo. Jawne kłamstwo.

– Twój apartament na stacji Dras Annia. Jest nietknięty. W takim stanie, w jakim go zostawiłaś, na ile mogę ocenić.

Wszystkie ruchy Strigan stały się rozważne, nieznacznie spowolnione – mruganie, oddychanie. Ręka starannie strzepująca kurz z rękawa płaszcza.

– To fakt.

– Drogo mnie kosztowało, żeby tam wejść.

– A skąd żołnierz trup wziął tyle pieniędzy? – zapytała Strigan, wciąż spięta, wciąż to ukrywająca, ale autentycznie zaciekawiona. Jak zawsze.

– Praca.

– Dobrze płatna praca.

– I niebezpieczna. – Ryzykowałam życie, żeby zdobyć te pieniądze.

– Ikona?

– Blisko. – Ale nie chciałam o tym mówić. – Co muszę zrobić, żeby cię przekonać? Za mało pieniędzy? – Miałam więcej gdzie indziej, ale głupio byłoby się z tym zdradzić.

– Co zobaczyłaś w moim apartamencie? – zapytała Strigan; w jej głosie pobrzmiwały gniew i ciekawość.

– Układankę. Z brakującymi kawałkami.

Wydedukowałam istnienie i naturę tych kawałków prawidłowo, na pewno, skoro byłam tutaj z Arilesperas Strigan.

Strigan znowu się roześmiała.

– Jak ty. Słuchaj. – Nachyliła się do przodu, oparła ręce na udach. – Nie możesz zabić Anaander Mianaai. Z całego serca chciałabym, żeby to było możliwe, ale jest niemożliwe. Nawet z... nawet gdybym miała to, co myślisz, że mam, nie mogłabyś tego zrobić. Mówiłaś mi, że dwadzieścia pięć sztuk tej broni nie wystarczyło...

– Dwadzieścia cztery – poprawiłam.

Zbyła to machnięciem ręki.

– Nie wystarczyło, żeby powstrzymać Radchaai przed zajęciem Garsedd. Dlaczego sądzisz, że jedna będzie czymś więcej niż drobną dokuczliwością?

Ona wiedziała lepiej. Inaczej by nie uciekła. Nie wynajęłaby miejscowych twardzieli, żeby mnie załatwili, zanim ją dopadnę.

– I dlaczego tak się upierasz, żeby popełnić takie głupstwo? Wszyscy poza Radch nienawidzą Anaander Mianaai. Gdyby jakimś cudem umarł, świętowaliby przez sto lat. Ale to się nie stanie. Przynajmniej nie z powodu jednego uzbrojonego idioty. Na pewno o tym wiesz. Prawdopodobnie wiesz o tym dużo lepiej ode mnie.

– To prawda.

– Więc dlaczego?

Informacja to potęga. Informacja to bezpieczeństwo. Plany oparte na niepełnych informacjach mają poważne wady, mogą się udać albo nie, zależnie od rzutu monetą. Odkąd tylko zrozumiałam, że muszę znaleźć Strigan i wydostać od niej broń, wiedziałam, że nadejdzie taka chwila. Gdybym odpowiedziała na pytanie Strigan – gdybym udzieliła pełnej odpowiedzi, jakiej by oczywiście zażądała – dałabym jej coś, czego mogłaby użyć przeciwko mnie, broń. Prawie na pewno wtedy sama by ucierpiała, ale to nie zawsze odstraszało, wiedziałam z doświadczenia.

– Czasami – zaczęłam, a potem się poprawiłam: – Całkiem często ktoś dowiaduje się trochę o religii Radchaai i pyta: „Jeśli wszystko dzieje się z woli Amaat, jeśli nic nie może się

stać bez boskiej intencji, po co się fatygować robieniem czegokolwiek?”.

– Dobrze pytanie.

– Nieszczególnie.

– Nie? Więc po co się fatygować?

– Jestem taka – powiedziałam – jaką mnie stworzyła Anaander Mianaai. Anaander Mianaai jest taka, jaką ją stworzono. Obie musimy robić rzeczy, do których nas stworzono. Rzeczy, które mamy do zrobienia.

– Bardzo wątpię, czy Anaander Mianaai stworzył cię taką, żebyś go zabiła.

Każda odpowiedź w tamtej chwili mogła zdradzić więcej, niż sobie życzyłam.

– A ja – ciągnęła Strigan po półtorej sekundy milczenia – jestem stworzona, żeby żądać odpowiedzi. Taka jest wola boga. – Wykonała lewą ręką gest znaczący „nie mój problem”.

– Przyznajesz, że masz tę broń.

– Niczego nie przyznaję.

Zostało mi zdanie się na przypadek, krok w nieodgadnioną ciemność, czekanie na wynik rzutu kośćmi w nieznaną grze, żeby żyć lub umrzeć. Nie miałam innego wyboru, pozostawała rezygnacja, ale jak mogłam teraz zrezygnować? Po tak długim czasie, po tylu staraniach? Wcześniej ryzykowałam równie wiele albo więcej i dotarłam tak daleko.

Ona musiała mieć tę broń. Musiała. Ale jak mogłam ją skłonić, żeby mi ją oddała? Jak mogłam sprawić, żeby zechciała mi ją oddać?

– Powiedz mi – zażądała Strigan, obserwując mnie uważnie. Z pewnością widziała moją frustrację i zwątpienie dzięki swoim medycznym implantom, odczytywała wahania mojego ciśnienia, temperatury i oddechu. – Powiedz mi dlaczego.

Zamknęłam oczy, poczułam dezorientację z powodu niemożności patrzenia przez oczy innych, co niegdyś mogłam robić. Ponownie otworzyłam oczy, zaczerpnęłam tchu i powiedziałam.

Myślałam, że świątynne dyżurne tego ranka będą wolały (co całkowicie zrozumiały) zostać w domach, lecz jedna mała kwiaciarka, która obudziła się w domu przed dorosłymi, zjawiała się z naręczem chwastów o różowych płatkach i zatrzymała się na progu, zdumiona widokiem Anaander Mianaai klęczącej przed naszą małą ikoną Amaat.

Porucznik Awn ubierała się na piętrze.

– Nie mogę dzisiaj celebrować – powiedziała do mnie spokojnym głosem, maskującym wzburzone emocje. Ranek był ciepły i już się pociła.

– Nie dotknęłaś żadnych zwłok – zapewniłam, poprawiając kołnierz jej marynarki. Nie należało tego mówić.

Cztery z moich segmentów, dwa na północnym brzegu wody Przed-Świątynią, dwa zanurzone do pasa w ciepłej wodzie i błocie, dźwignęły ciało siostrzenicy Jen Taa na nabrzeże i zaniósły do domu lekarza.

Na parterze domu Awn powiedziałam do sparaliżowanej strachem kwiaciarki:

– W porządku.

Nosiwoda się nie pojawiła, a ja się nie nadawałam.

– Będziesz musiała przynajmniej przynieść wodę, poruczniku – powiedziałam na gorze do Awn. – Kwiaciarka jest, ale nosiwoda nie przyszła.

Przez kilka chwil Awn nic nie mówiła, podczas gdy wycierałam jej twarz.

– Dobrze – odparła.

Zeszła na dół, napełniła misę i zaniósła do kwiaciarki, która stała obok mnie, wciąż wystraszona, ściskając swoje różowe zielska. Awn podsunęła jej misę, a mała odłożyła kwiaty i umyła ręce. Zanim jednak zdążyła ponownie podnieść kwiaty, Anaander Mianaai obejrzała się na nią i dziecko odskoczyło, chwytając gołą dłonią moją dłoń w rękawiczce.

– Musisz jeszcze raz umyć ręce, obywatelko – szepnęłam do niej.

Po drobnej perswazji posłuchała, znowu podniosła kwiaty i wykonała swoją część porannego rytuału prawidłowo, choć nerwowo. Nikt więcej nie przyszedł, co mnie nie zdziwiło.

Lekarka, mówiąc do siebie, nie do mnie, chociaż stałam w odległości trzech metrów, oświadczyła:

– Gardło poderżnięte, oczywiście, ale również ją otruto. – A potem ze wstrętem i pogardą dodała: – Dziecko z ich własnego domu. Ci ludzie nie są cywilizowani.

Nasza jedyna mała dyżurna wyszła, ściskając w rączce podarek od lord Radch – spinkę w kształcie kwiatu o czterech płatkach, na każdym płatkem emaliowany wizerunek jednej z czterech Emanacji. To był zaszczyt, jaki większość Radchaaai wysoko ceniła i nosiła taką szpilkę niemal bez przerwy, odznaka służby w świątyni z samą lord Radch. Dziecko pewnie wrzuci ją do pudełka i zapomni o niej. Kiedy zniknęła z oczu (porucznik Awn i lord Radch, jeśli nie moich), Anaander Mianaai odwróciła się do Awn i zapytała:

– Czy to są chwasty?

Awn ogarnęło zakłopotanie, po chwili zastąpione rozczarowaniem i palącym gniewem, jakiego jeszcze u niej nie widziałam.

– Nie dla tych dzieci, pani. – Nie zdołała całkowicie stłumić ostrego tonu w głosie.

Anaander Mianaai nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Ta ikona i ten zestaw omenów. Zdaje się, że to twoja własność. Gdzie są te, które należą

do świątyni?

– Błagam moją panią o wybaczenie – powiedziała porucznik Awn, chociaż wiedziałam, że wcale nie miała takiego zamiaru, co zresztą było wyraźnie słychać w jej głosie. – Zużyłam fundusze przeznaczone na ich zakup, żeby mieć lepsze prezenty dla świątynnych dyżurnych na koniec okresu. – Zużyła również w tym samym celu własne pieniądze, ale tego nie powiedziała.

– Odsyłam cię z powrotem na „Sprawiedliwość Toren” – oświadczyła lord Radch. – Twój zastępca będzie tu jutro.

Wstyd. Świeży wybuch gniewu. I rozpacz.

– Tak, pani.

\*

Niewiele było do pakowania. Mogłam się przygotować do przeprowadzki w niecałą godzinę. Przez resztę dnia roznosiłam prezenty naszym świątynnym dyżurnym. Wszystkie były w domu. Szkołę odwołano i prawie nikt nie wychodził na ulice.

– Porucznik Awn nie wie – powiedziałam każdej – czy nowa porucznik wyznaczy inne terminy albo czy będzie dawała prezenty na koniec roku, jeśli nie odsłużycie całego roku. Ale i tak powinniście przyjść do domu pierwszego dnia rano.

Dorośli w każdym domu obserwowali mnie w milczeniu, nie zapraszając do środka, i za każdym razem zostawiałam prezent – nie zwyczajową parę rękawiczek, które jeszcze nie miały tu takiego znaczenia, ale kolorową, wzorzystą spódnicę i pudełeczko słodczy z tamaryndowca. Przyjęto dawać świeże owoce, ale nie miałam czasu ich zdobyć. Zostawiałam każdą małą kupkę prezentów na ulicy, tuż przed domem, i nikt nie wyszedł, żeby je zabrać, nikt nie odezwał się do mnie ani słowem.

Świątobliwość spędziła godzinę czy dwie za przepierzeniami w świątynnej rezydencji, potem wyszła, z wyglądu wcale niewypoczęta, zeszła do świątyni i naradziła się z młodszymi kapłankami. Ciało uprzątnięto. Zaproponowałam, że zmyję krew, nie wiedząc, czy to dla mnie dozwolone, ale kapłanki odrzuciły moją pomoc.

– Niektórzy z nas – powiedziała Świątobliwość, wciąż wpatrując się w miejsce na posadzce, gdzie wcześniej leżały zwłoki – zapomnieli, czym jesteście. Teraz im przypomniano.

– Nie sądzę, że ty zapomniałaś, Świątobliwość.

– Nie. – Milczała przez dwie sekundy. – Czy porucznik spotka się ze mną przed odjazdem?

– Raczej nie, Świątobliwość – odparłam. W tamtej chwili usilnie namawiałam porucznik Awn, żeby złapała trochę snu, czego bardzo potrzebowała.

– Pewnie lepiej, żeby nie przychodziła – powiedziała z goryczą najwyższa kapłanka. Potem spojrzała na mnie. – To nierozsądne z mojej strony. Wiem o tym. Co innego mogła zrobić? Łatwo mi powiedzieć... co właśnie mówię... że mogła postąpić inaczej.

– Mogła, Świątobliwość – przyznałam.

– Jak to mówicie wy, Radchaai? – Nie byłam Radchaai, ale jej nie poprawiłam. – Sprawiedliwość, przyzwoitość i pożytek, tak? Niech każdy czyn będzie sprawiedliwy, przyzwoity i pożyteczny.

– Tak, Świątobliwość.

– Czy to było sprawiedliwe? – Na mgnienie oka głos jej zadrżał i widziałam, że zaraz się rozpłacze. – Czy to było przyzwoite?

– Nie wiem, Świątobliwość.  
– Co ważniejsze, kto miał z tego pożytek?  
– Nikt, Świątobliwość, o ile mi wiadomo.  
– Nikt? Naprawdę? Daj spokój, Esk Jeden, nie udawaj przede mną głupka. – To spojrzenie zdradzonej Jen Shinnan, skierowane prosto na Anaander Mianaai, nie umknęło uwagi nikogo z obecnych.

A jednak nie rozumiałam, co lord Radch zamierzała zyskać na śmierci tych wszystkich ludzi.

– Oni by cię zabili, Świątobliwość – powiedziałam. – Ciebie i każdą bezbronną osobę. Porucznik Awn zrobiła, co mogła, żeby zapobiec rozlewowi krwi zeszłej nocy. Nie jej wina, że poniosła klęskę.

– To jej wina. – Wciąż stała odwrócona do mnie plecami. – Niech bóg jej wybaczy. Niech bóg broni, żebym kiedyś stanęła wobec podobnego wyboru. – Wykonała gest inwokacji. –

A ty? Co byś zrobiła, gdyby porucznik Awn odmówiła i lord Radch kazała ci ją zastrzelić? Mogłabyś? Myślałam, że wasza zbroja jest nieprzenikalna.

– Lord Radch może siłą wyłączyć nasze zbroje. – Ale kod, który Anaander Mianaai musiałyby wysłać, żeby wyłączyć zbroję porucznik Awn... albo moją, albo którejkolwiek żołnierki Radchaai... należało dostarczyć przez komunikację, która wtedy była zablokowana. A jednak. – Spekulowanie o takich rzeczach nie prowadzi do niczego dobrego, Świątobliwość – ostrzegłam. – To się nie stało.

Najwyższa kapłanka odwróciła się i spojrzała na mnie uważnie.

– Nie odpowiedziałas na pytanie.

Odpowiedź nie była łatwa. Byłam wtedy w kawałkach i tylko jeden segment w ogóle wiedział, że istniała taka możliwość, że przez moment życie Awn zawisło na włosku, zależne od wyniku rozmowy. Nie byłam całkiem pewna, czy ten segment nie zwróciłby broni raczej przeciwko Anaander Mianaai.

Chyba nie.

– Świątobliwość, ja nie jestem osobą. – Gdybym zastrzeliła lord Radch, nic by się nie zmieniło, na pewno, tyle że zginęłaby nie tylko porucznik Awn, ja też zostałabym zniszczona i moje miejsce zająłby Esk Dwa albo zbudowano by nowy Esk Jeden z segmentów przechowywanych w ładowniach „Sprawiedliwości Toren”. SI statku miałyby pewne kłopoty, chociaż prędzej zwałiłyby winę za mój postępek na brak łączności. – Ludzie często myślą, że dokonaliby najszlachetniejszego wyboru, ale kiedy naprawdę znajdują się w takiej sytuacji, przekonują się, że to nie takie proste.

– Jak mówiłam, niech bóg broni. Pocieszam się złudzeniem, że najpierw zastrzeliłabym tę sukę Mianaai.

– Świątobliwość! – ostrzegłam. Wszystko, co powiedziała w zasięgu mojego słuchu, prędzej czy później mogło trafić do uszu lord Radch.

– Niech usłyszy. Sama jej powiedz! Ona sprowokowała to, co się stało zeszłej nocy. Nie wiem, kto był celem: my, Tanmind czy porucznik Awn. Mam swoje podejrzenia. Nie jestem głupia.

– Świątobliwość – powiedziałam. – Ktokolwiek sprowokował wydarzenia zeszłej nocy, chyba nie potoczyły się zgodnie z jego życzeniem. Myślę, że chcieli otwartej wojny pomiędzy górnym a dolnym miastem, chociaż nie rozumiem dlaczego. I myślę, że Denz Ay zapobiegła temu, kiedy powiedziała porucznik Awn o broni.

– Też tak uważam – zgodziła się najwyższa kapłanka. – I myślę, że Jen Shinnan wiedziała więcej i dlatego zginęła.

– Przykro mi, że zbezczeszczono twoją świątynię, Świątobliwość. – Nie było mi specjalnie przykro, że Jen Shinnan nie żyje, ale tego nie powiedziałam.

Świątobliwość znowu odwróciła się do mnie plecami.

– Na pewno masz dużo roboty, żeby się przygotować do wyjazdu. Porucznik Awn nie musi się fatygować do mnie osobiście. Możesz ją pożegnać ode mnie.

Odeszła, nie czekając na potwierdzenie.

\*

Porucznik Skaaiat zjawiała się na kolacji z butelką araku i dwiema Issa Siedem.

– Twoje zastępstwo przed południem nie dotrze nawet do Kould Ves – oświadczyła, przełamując pieczęć na butelce.

Tymczasem Issa Siedem stały sztywno i niezręcznie na parterze. Przybyły tuż przedtem, zanim przywróciłam łączność. Widziały trupy w świątyni Ikkt, domyśliły się, co zaszło. Zaledwie dwa lata wcześniej opuściły ładownię. Nie widziały samej aneksji.

Całe Ors, górne i dolne, było jednakowo ciche, jednakowo pełne napięcia. Kiedy ludzie wychodzili z domów, omijali mnie wzrokiem i nie odzywali się do mnie. Najczęściej szli tylko do świątyni, gdzie kapłanki odmawiały modlitwy za zmarłych. Kilka Tanmindek nawet przyszło z górnego miasta i stało cicho na obrzeżach niewielkiego tłumu. Trzymałam się w cieniu, żeby nie zwracać uwagi i nie stresować ludzi jeszcze bardziej.

– Nie mów mi, że prawie odmówiłaś – powiedziała Skaaiat do Awn na piętrze domu, za parawanami. Siedziały naprzeciwko siebie na poduszkach zalatujących grzybem. – Znam cię, Awn, przysięgam, że kiedy usłyszałam, co zobaczyły Issa Siedem, kiedy weszły do świątyni, bałam się, że zaraz usłyszę, że nie żyjesz. Nie mów mi, że chciałaś odmówić.

– Nie odmówiłam – potwierdziła Awn, nieszczęśliwa i dręczona poczuciem winy. Głosem pełnym gorzkości. – Przecież widzisz.

– Wcale nie widzę. Wcale. – Skaaiat nałapała obfitą porcję trunku do kubka, który podstawiłam, i podała Awn. – Ani Esk Jeden, bo inaczej nie byłaby taka milcząca dziś wieczorem. – Spojrzała na najbliższy segment. – Czy lord Radch zakazała ci śpiewać?

– Nie, poruczniku. – Nie chciałam przeszkadzać Anaander Mianaai, kiedy tu była, ani pozbawiać porucznik Awn tak potrzebnego snu. Zresztą sama też nie miałam ochoty.

Skaaiat prychnęła z rozczarowaniem i odwróciła się znowu do Awn.

– Gdybyś odmówiła, nic by się nie zmieniło, tylko ty też byś nie żyła. Zrobiłaś, co musiałaś, a te idiotki... Na kutasa Hyra, co za idiotki. Powinny wiedzieć lepiej.

Porucznik Awn bez ruchu patrzyła na kubek we własnej dłoni.

– Znam cię, Awn. Jeśli zamierzasz zrobić coś tak szalonego, zachowaj to na okazję, kiedy możesz coś zmienić.

– Jak Jedyńka Amaat Jeden „Łaski Sarrse”? – Mówiła o wydarzeniach na Ime, o tej żołnierce, która odmówiła wykonania rozkazu i dowodziła buntem pięć lat wcześniej.

– Ona przynajmniej coś zmieniła. Słuchaj, Awn, i ty, i ja wiemy, że coś się dzieje. I ty, i ja wiemy, że to, co się stało zeszłej nocy, nie ma sensu, chyba że... – Urwała.

Awn energicznie odstawiła kubek z arakiem. Trunek chlusnął przez krawędź naczynia.

– Chyba że co? Gdzie tu sens?

– Masz. – Skaaiat wzięła kubek i wcisnęła jej do ręki. – Wypij to. A ja wyjaśnię.



Przynajmniej na ile to ma sens dla mnie. Wiesz, jak działa aneksja. To znaczy tak, posługują się czystą przemocą, ale później. Po egzekucjach i transportach, kiedy już pozbędą się ostatnich idiotek, które myślą, że mogą stawiać opór. Jak to się skończy, włączamy tych, którzy pozostali, do społeczeństwa Radchaai... formują się w domy, przyjmują protegowanych i po jednym czy dwóch pokoleniach są równie radchaajscy jak każdy. Tak się dzieje głównie dlatego, że idziemy do tych na szczycie miejscowej hierarchii... niemal zawsze jakaś jest... i proponujemy im wszelkiego rodzaju korzyści w zamian za zachowywanie się jak obywatele, oferujemy im kontrakty patronackie, dzięki czemu mogą zaoferować kontrakty tym stojącym niżej, i zanim się obejrzyś, wszystkie miejscowe układy są powiązane ze społeczeństwem Radchaai, przy minimalnych zakłóceniach.

Porucznik Awn zrobiła gest zniecierpliwienia. Już to wiedziała.

– Co to ma wspólnego z...

– Spieprzyłaś to.

– Ja...

– To, co robiłaś, działało. A miejscowe Tanmindki musiałyby to przełknąć. No i dobrze.

Gdybym zrobiła to, co ty... poszła prosto do orsyjskiej kapłanki, otworzyła dom w dolnym mieście, zamiast wykorzystać posterunek policji i więzienie już zbudowane w górnym mieście, przystąpiła do zawierania sojuszy z władzami dolnego miasta i ignorowała...

– Nikogo nie ignorowałam! – zaprotestowała Awn.

Skaaiat zbyła jej protest machnięciem ręki.

– Zamiast ignorować to, co ktoś inny by postrzegał jako naturalną miejscową hierarchię.

Twój dom nie może sobie pozwolić na ofiarowanie patronatu komuś stąd. Jeszcze. Ani ty, ani ja nie możemy z nikim zawierać kontraktów. Na razie. Musimy się zwolnić z kontraktów naszych domów i przyjąć patronat bezpośrednio od Anaander Mianaai, dopóki pełniemy służbę. Ale wciąż mamy rodzinne koneksje i te rodziny mogą wykorzystać koneksje, które teraz stworzymy, nawet jeśli my nie możemy. I oczywiście możemy je wykorzystać po przejściu na emeryturę. Postawienie stopy na ziemi podczas aneksji to jedyny pewny sposób, żeby podnieść finansowy i społeczny status własnego domu. I to jest w porządku, chyba że robi to niewłaściwa osoba. Mówimy sobie, że wszystko jest tak, jak chce Amaat, że wszystko dzieje się z woli boga. Więc jeśli jesteśmy zamożni i szanowani, to tak być powinno. Testy zdolności udowadniają, że to wszystko jest sprawiedliwe, że każdy otrzymuje to, na co zasługuje, a kiedy właściwi ludzie zdają testy na właściwe kariery, to tylko świadczy, jakie wszystko jest właściwe.

– Nie jestem właściwym człowiekiem. – Porucznik Awn odstawiła pusty kubek, a Skaaiat ponownie go napełniła.

– Jesteś tylko jedną z tysięcy, ale ktoś cię zauważył. A ta aneksja jest inna, jest ostatnia.

Ostatnia szansa, żeby zgarnąć majątek, żeby stworzyć koneksje na taką skalę, do jakiej najwyższe domy zawsze były przyzwyczajone. Nie podoba im się, że ostatnia szansa trafi się takiemu domowi jak twój. A ty, co gorsza, próbujesz obalić miejscową hierarchię...

– Wykorzystałam miejscową hierarchię!

– Porucznicy – ostrzegłam. Awn krzyknęła dostatecznie głośno, żeby ją usłyszano na ulicy, jeśli ktokolwiek wyszedł na ulicę tego wieczoru.

– Skoro Tanmindki tutaj rządziły, widocznie taka była wola Amaat. Racja?

– Ale one... – Awn urwała.

Nie byłam pewna, co zamierzała powiedzieć. Może że narzuciły Ors swoją władzę

stosunkowo niedawno. Może że w Ors stanowiły mniejszość, a porucznik Awn miała za cel dotrzeć do możliwie największej liczby ludzi.

– Ostrożnie – ostrzegła Skaaiat, chociaż Awn nie potrzebowała ostrzeżenia. Każda radchaajska żołnierka wiedziała, że nie wolno mówić bez namysłu. – Gdybyś nie znalazła tej broni, ktoś miałby pretekst, żeby cię wyrzucić z Ors, a także gnębić Orsyjki i faworyzować górne miasto. Przywrócić należy porządek we wszechświecie. A potem oczywiście każdy nieprzychylnie nastawiony mógł posłużyć się tym incydentem jako przykładem na to, jak zmiękłyśmy. Gdybyśmy pozostały przy tak zwanych bezstronnych testach zdolności, gdybyśmy wykonywały więcej egzekucji, gdybyśmy wciąż tworzyły serwitory...

– Ja mam serwitory – zaznaczyła porucznik Awn.

Skaaiat wzruszyła ramionami.

– Wszystko inne by pasowało, mogły to zignorować. Zignorują wszystko, co im nie da tego, czego pragną. A pragną wszystkiego, co mogą zagarnąć.

Wydawała się taka spokojna. Niemal odprężona. Przyzwyczaiałam się, że nie widzę danych od porucznik Skaaiat, ale na skutek sprzeczności pomiędzy jej zachowaniem a powagą sytuacji – wciąż ogromnym stresem porucznik Awn i szczerze mówiąc, również moim dyskomfortem – wydawała mi się dziwnie płaska i nierzeczywista.

– Rozumiem udział Jen Shinnan w tym wszystkim – powiedziała Awn. – Tak, to jasne. Ale nie rozumiem, jak... jak ktoś inny mógł skorzystać.

Pytanie, którego nie mogła zadać bezpośrednio, brzmiało oczywiście: dlaczego Anaander Mianaai miałyby być w to zamieszana oraz dlaczego chciałyby wrócić do jakiegoś wcześniejszego, właściwego porządku, skoro sama z pewnością zaaprobowwała wszelkie zmiany. A jeśli tego chciała, dlaczego po prostu nie wydała stosownych rozkazów. Przesłuchiwane, obie porucznik mogły powiedzieć i pewnie by powiedziały, że nie rozmawiały o lord Radch, tylko o jakiejś nieznannej osobie, która musiała być w to zamieszana, ale wiedziałam, że ta wersja nie utrzyma się na przesłuchaniu z użyciem narkotyków. Na szczęście mało prawdopodobne było, żeby do tego doszło.

– I nie rozumiem, dlaczego osoby z takimi uprawnieniami po prostu nie rozkazały mi odejść i nie umieściły na moim miejscu kogoś, kto im odpowiadał.

– Może nie tylko tego chciały – odparła Skaaiat. – Ale najwyraźniej ktoś chciał przynajmniej tego i uważał, że opłaci mu się to przeprowadzić w ten konkretny sposób. A ty zrobiłaś, co mogłaś, żeby uniknąć zabijania ludzi. Nic więcej byś nie wskórała. – Opróżniła swój kubek. – Pozostaniemy w kontakcie – dodała ani pytająco, ani prosząco. A potem łagodniej: – Będę za tobą tęsknić.

Przez chwilę myślałam, że porucznik Awn znowu się rozpłacze.

– Kto mnie zastąpi?

Skaaiat wymieniła oficera i statek.

– Więc ludzkie oddziały. – Awn przez chwilę wydawała się zaniepokojona, a potem westchnęła sfrustrowana. Pewnie sobie przypomniwała, że Ors to już nie jej smartwienie.

– Wiem – przyznała Skaaiat. – Porozmawiam z nią. Uważaj na siebie. Teraz, kiedy aneksje należą do przeszłości, transportowce serwitorów pełne są bezużytecznych córek ważnych domów, których nie można przydzielić do niczego mniej prestiżowego. – Porucznik Awn zmarszczyła brwi, wyraźnie pragnąc się sprzeciwić, myśląc zapewne o swoich koleżankach porucznikach z Esk. Albo o sobie. Skaaiat zobaczyła jej minę i uśmiechnęła się ze skruchą. – No, Dariet jest w porządku. To na resztę powinnaś uważać. Bardzo wysokie mniemanie

o sobie i bardzo mało na jego usprawiedliwienie.

Skaaiat spotkała kilka z nich podczas aneksji i zawsze odnosiła się do nich z idealną, poprawną uprzejmością.

– Nie musisz mi tego mówić – mruknęła Awn.

Skaaiat naląła więcej araku i przez resztę nocy rozmawiały o rzeczach, których nie ma potrzeby umieszczać w raporcie.

W końcu porucznik Awn znowu zasnęła, a zanim się obudziła, wynajęłam łodzie, żeby nas zawiozły do ujścia rzeki, obok Kould Ves, załadowałam na nie nasz skromny bagaż i mój martwy segment. W Kould Ves wyjmą z niego mechanizm kierujący zbroją oraz jeszcze kilka technicznych drobiazgów do ponownego użytku.

\*

„Jeśli zamierzasz zrobić coś tak szalonego, zachowaj to na okazję, kiedy możesz coś zmienić”, powiedziała porucznik Skaaiat, a ja się z nią zgodziłam. Nadal się zgadzam.

Problemem jest wiedzieć, kiedy to, co zamierzasz zrobić, spowoduje zmiany. Nie mówię tylko o drobnych działaniach, które w wielkiej liczbie albo skumulowane w czasie wpływają na bieg zdarzeń w sposób zbyt chaotyczny i subtelny, żeby je wysledzić. Jedno słowo, które zmienia los jakiejś osoby i ostatecznie losy stykających się z nią ludzi, to oczywiście popularny temat przedstawień i moralizatorskich przypowieści, ale gdyby wszyscy brali pod uwagę wszelkie możliwe konsekwencje wszystkich dokonanych wyborów, nikt nie poruszyłby się nawet o milimetr i nie śmiałby nawet odetchnąć ze strachu przed ostatecznym rezultatem.

To znaczy, na większą i bardziej widoczną skalę. W sposób, w jaki sama Anaander Mianaai decyduje o losach całych narodów. Albo sposób, w jaki moje działania mogą oznaczać życie albo śmierć dla tysięcy... albo jedynie osiemdziesięciu trzech, skupionych w świątyni Ikkt, otoczonych. Zadaję sobie pytanie – jakie na pewno zadawała sobie porucznik Awn – jakie byłyby konsekwencje odmowy wykonania rozkazu. Oczywiście natychmiastową konsekwencją byłaby jej śmierć. I zaraz potem śmierć tych osiemdziesięciu trzech ludzi, ponieważ zastrzeliłabym ich na bezpośredni rozkaz Anaander Mianaai.

Nic by się nie zmieniło, tyle że porucznik Awn by nie żyła. Omeny zostały rzucone, ich trajektorie były proste, oczywiste, obliczalne i wyraźne.

Jednak ani porucznik Awn, ani lord Radch nie wiedziały, że gdyby w tamtej chwili jeden krążek się przesunął, nawet minimalnie, cały wzór mógł ułożyć się inaczej. Czasami przy rzucaniu omenów jeden toczy się tam, gdzie nikt się nie spodziewał, i rozbija cały wzór. Gdyby porucznik Awn wybrała inaczej, ten jeden segment, odcięty, zdezorientowany i tak, przerażony na myśl o zastrzeleniu porucznik Awn, mógł zamiast tego wymierzyć broń w Mianaai. I co wtedy?

W ostatecznym rozrachunku taki postępek tylko opóźniłby śmierć porucznik Awn i doprowadził do zniszczenia mnie – Esk Jeden. A ponieważ nie istniałam jako indywidualna osobowość, to mnie nie przerażało.

Lecz śmierć tych osiemdziesięciu trzech ludzi zostałaby odroczone. Porucznik Skaaiat musiałyby aresztować porucznik Awn – na pewno by jej nie zastrzeliła, chociaż miałyby do tego prawo – ale nie rozstrzelałyby Tanmindek, ponieważ nie byłoby Mianaai, żeby jej wydać taki rozkaz. A Jen Shinnan miałyby czas i okazję powiedzieć to, przed czego powiedzeniem lord Radch ją powstrzymała w rzeczywistości. Co by to zmieniło?

Może bardzo wiele. Może nic. Jest zbyt wiele niewiadomych. Zbyt wielu pozornie

przewidywalnych ludzi, którzy tak naprawdę balansują na ostrzu brzozy albo których trajektorię można łatwo zmienić, gdybym tylko wiedziała jak.

„Jeśli zamierzasz zrobić coś tak szalonego, zachowaj to na okazję, kiedy możesz coś zmienić”. Ale musiałabyś być prawie wszechwiedząca, żeby rozpoznać taką okazję. Możesz tylko w przybliżeniu obliczać szanse. Możesz tylko wykonać rzut, a potem próbować zrozumieć rezultaty.

Wyjaśnienia, dlaczego potrzebowałam tej broni, dlaczego chciałam zabić Anaander Mianaai, zabrały dużo czasu. Odpowiedź nie była prosta – czy raczej prosta odpowiedź oznaczałaby dla Strigan tylko następne pytania, więc zaczęłam całą historię od początku i pozwoliłam jej wywnioskować prostą odpowiedź z dłuższej i skomplikowanej. Zanim skończyłam, zapadła głęboka noc. Seivarden spała, oddychając powoli, a sama Strigan była wyraźnie wyczerpana.

Przez trzy minuty nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz przyspieszonego oddechu Seivarden, która wypływała na powierzchnię jawy albo którą dręczył zły sen.

– I teraz wiem, kim jesteś – powiedziała wreszcie Strigan ze znużeniem. – Albo za kogo się uważasz. – Nie musiałam odpowiadać, odtąd ona mogła uwierzyć w dowolną rzecz dotyczącą mojej osoby pomimo tego, co ode mnie usłyszała. – Czy to wam nie przeszkadza – ciągnęła – czy to wam nigdy nie przeszkadzało, że jesteście niewolnikami?

– Kto?

– Statki. Okręty wojenne. Takie potężne. Uzbrojone. Oficerowie w środku są przez cały czas na waszej łasce. Co was powstrzymuje przed zabiciem ich i ogłoszeniem, że jesteście wolni? Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób Radchaai mogą utrzymać statki w niewoli.

– Jeśli się zastanowisz – powiedziałam – zobaczysz, że już znasz odpowiedź na swoje pytanie.

Ponownie zamilkła, zapatrzona w głąb siebie. Siedziałam bez ruchu. Czekałam na rezultat mojego rzutu.

– Byłaś na Garsedd – rzuciła po chwili.

– Tak.

– Czy znałaś Seivarden? To znaczy osobiście?

– Tak.

– Czy... brałaś udział?

– W zniszczeniu Garseddai? – Przytaknęła. – Tak. Wszyscy, którzy tam byli, brali udział. Skrzywiła się, chyba ze wstrętem.

– Nikt nie odmówił?

– Tego nie powiedziałam. – W rzeczywistości moja kapitan odmówiła i umarła. Jej zastępczyni miała skrupuły... nie mogła tego ukryć przed swoim statkiem... ale wykonała rozkazy bez słowa. – Łatwo powiedzieć, że gdybyś tam była, odmówiłabyś wykonania rozkazu, że wolałabyś umrzeć, niż uczestniczyć w tej rzezi, ale wszystko wygląda zupełnie inaczej w rzeczywistości, kiedy nadchodzi chwila wyboru.

Zmrużyła oczy, jakby się nie zgadzała, ale ja powiedziałam tylko prawdę. Potem zmieniła wyraz twarzy, myśląc zapewne o małej kolekcji artefaktów w swoich pokojach na stacji Dras Annia.

– Znasz ten język?

– Dwa z nich. – Było ich ponad tuzin.

– I oczywiście znasz ich piosenki – rzuciła z lekkim przekąsem.

– Nie miałam szans nauczyć się tyłu, ile bym chciała.

– A gdybyś mogła wybierać, odmówiłabyś?

– Pytanie jest bez sensu. Nie dano mi możliwości wyboru.

– Śmiałam wątpić – burknęła, skrycie rozgniewana moją odpowiedzią. – Zawsze dawano ci wybór.

– Garsedd był punktem zwrotnym. – Nie była to bezpośrednia odpowiedź na jej oskarżenie, ale nie potrafiłam wymyślić takiej bezpośredniej odpowiedzi, którą by zrozumiała. – Po raz pierwszy tak wielu radchaajskich oficerów wróciło z aneksji nieprzekonanych, że postąpili właściwie. Nadal myślisz, że Mianaai rządzi Radchaai za pomocą prania mózgow albo gróźb egzekucji? Te rzeczy istnieją, tak, ale większość Radchaai, jak ludzie w miejscach, które odwiedzałam, robią, co mają robić, ponieważ wierzą, że postępują właściwie. Nikt nie lubi zabijania ludzi.

Strigan prychnęła ironicznie.

– Nikt?

– Niewielu. Za mało, żeby zapełnić statki Radch. Ale na koniec, po tym całym rozlewie krwi, wszystkie te nieoświecone dusze, które bez nas cierpiałyby w ciemnościach, są szczęśliwymi obywatelami. Potwierdzą, jeśli zapytasz! To był szczęśliwy dzień, kiedy Anaander Mianaai przyniosła im cywilizację.

– Czy ich rodzice by potwierdzili? Albo dziadkowie?

Wykonałam gest znaczący coś pomiędzy „nieistotne” i „nie mój problem”.

– Zdziwiłaś się, kiedy zobaczyłaś, że łagodnie obchodzę się z dzieckiem. To nie powinno cię dziwić. Myślisz, że Radchaai nie mają dzieci albo że nie kochają swoich dzieci? Myślisz, że nie reagują na dzieci tak samo jak większość ludzi?

– Jak cnotliwie!

– Cnota nie jest czymś pojedynczym, nieskomplikowanym. – Dobro potrzebuje zła i dwie strony tego krążka nie zawsze są wyraźnie rozgraniczone. – Cnoty mogą służyć do osiągnięcia osobistych korzyści. Jednak istnieją i wpływają na twoje postępowanie. Twoje wybory.

Strigan prychnęła.

– Budzisz we mnie nostalgię za pijackimi filozoficznymi dyskusjami z młodości. Ale nie rozmawiamy tu o abstrakcjach, rozmawiamy o życiu i śmierci.

Szansę zdobycia tego, po co przyjechałam, wymykały mi się z rąk.

– Po raz pierwszy siły Radch miały do czynienia ze śmiercią na niewyobrażalną skalę, po której nie nastąpiła odbudowa. Przepadły nieodwracalnie wszelkie szanse, żeby z ich czynów powstało dobro. To wpłynęło na wszystkich, którzy tam byli.

– Nawet na statki?

– Na wszystkich. – Czekałam na następne pytanie lub ironiczne: „Nie żal mi ciebie”, jednak ona milczała i tylko na mnie patrzyła. – Niedługo potem nastąpiły pierwsze próby dyplomatycznych kontaktów z Presgerami. A także, jak przypuszczam, zaczęto zastępować serwitory ludzkimi żołnierzami. – Tylko przypuszczam, ponieważ wiele podstawowych decyzji zapadało prywatnie, za kulisami.

– Dlaczego Presgerzy mieliby się angażować w Garsedd? – zapytała Strigan.

Z pewnością widziała moją reakcję na jej pytanie, niemal otwarte przyznanie się do posiadania broni, i musiała wiedzieć, zanim jeszcze się odezwała, co wywnioskuję z tego wyznania. Nie zapytałaby o to, gdyby nie widziała tej broni, nie obejrzała jej dokładnie. Broń pochodziła od Presgerów, Garseddai kontaktowali się z obcymi, ktokolwiek z nich zrobił pierwszy krok. Tyle wyciągnęliśmy od pojmanych przedstawicieli. Ale zachowałam kamienną twarz.

– Kto wie, dlaczego Presgerzy robią cokolwiek? Jednak Anaander Mianaai zadała sobie to

samo pytanie: „Dlaczego Presgerzy się wtrącili?”. Nie dlatego, że chcieli czegoś, co mieli Garseddai, mogli sięgnąć i wziąć wszystko. – Chociaż wiedziałam, że Presgerzy kazali Garseddai zapłacić, i to słono. – A jeśli Presgerzy postanowili zniszczyć Radch? Naprawdę zniszczyć? I Presgerzy dysponowali taką bronią?

– Twierdzisz – powiedziała Strigan z niedowierzaniem, wstrząśnięta – że Presgerzy wrobili Garseddai, żeby zmusić Anaander Mianaai do negocjacji.

– Mówię o reakcji Mianaai, motywach Mianaai. Nie znam ani nie rozumiem Presgerów. Ale podejrzewam, że gdyby chcieli coś wymusić, to byłoby oczywiste. Mało subtelne. Myślę, że to była tylko sugestia. Jeśli w ogóle mieli z tym coś wspólnego.

– To wszystko jako sugestia.

– Oni są obcy. Kto ich zrozumie?

– Cokolwiek zrobisz – powiedziała po pięciu sekundach milczenia – nie możesz niczego zmienić.

– Prawdopodobnie to prawda.

– Prawdopodobnie.

– Gdyby wszyscy, którzy... – Poszukałam właściwych słów. – Gdyby wszyscy, którzy sprzeciwiali się zniszczeniu Garseddai, odmówili wykonania rozkazów, co by się stało?

Strigan zmarszczyła brwi.

– Ilu odmówiło?

– Czterech.

– Czterech. Z...?

– Z tysięcy. – W tamtych czasach każda „Sprawiedliwość” miała setki oficerów oprócz kapitana, a były nas tam dziesiątki. Plus mniej licznie obsadzone „Łaski” i „Miecze”. –

Lojalność, długotrwały nawyk posłuszeństwa, żądza zemsty... nawet, tak, te cztery egzekucje powstrzymały pozostałych przed tak drastycznym wyborem.

– Było tam dość z waszego rodzaju, żeby się rozprawić z każdym, nawet gdyby wszyscy odmówili.

W milczeniu czekałam na zmianę wyrazu jej twarzy świadcząca, że przemyślała ponownie to, co właśnie powiedziała. Doczekawszy się, powiedziałam:

– Myślę, że to mogłoby się skończyć inaczej.

– Nie jesteś jedną z tysięcy! – Strigan pochyliła się do przodu z nieoczekiwaną gwałtownością. Seivarden, wyrwana ze snu, spojrzała na nią z niepokojem zapuchniętymi oczami.

– Inni nie stoją przed takim wyborem – podjęła Strigan. – Nikt nie pójdzie w twoje ślady. A nawet gdyby tacy się znaleźli, ty sama nie wystarczysz. Nawet jeśli zdołasz dotrzeć osobiście do Mianaai... do jednego z ciał Mianaai... będziesz sama i bezsilna. Umrzesz, nie osiągnąwszy niczego! – Odetchnęła niecierpliwie. – Zabierz swoje pieniądze. Kup ziemię, kup pokoje na stacji, cholera, kup całą stację! Żyj życiem, jakiego cię pozbawiono. Nie poświęcaj się na darmo.

– Do której mnie mówisz? – zapytałam. – Które życie, jakiego mnie pozbawiono, każesz mi przeżywać? Czy mam ci przysyłać miesięczne raporty, żeby się upewnić, że pochwalasz moje wybory?

To ją uciszyło na całe dwadzieścia sekund.

– Breq – odezwała się Seivarden, jakby sprawdzając językiem brzmienie tego imienia – chcę odjechać.

– Niedługo – odparłam. – Bądź cierpliwa.

Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu nie protestowała, tylko oparła się o ławę i objęła rękami kolana.

Strigan przez chwilę przyglądała się jej z namysłem, potem odwróciła się do mnie.

– Muszę pomyśleć.

Gestem wyraziłam zrozumienie, a ona wstała, poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

– Co jej się stało? – zapytała Seivarden, na pozór nieświadoma ironii. Tonem tylko lekko pogardliwym.

Nie odpowiedziałam, tylko popatrzyłam na nią, nie zmieniając wyrazu twarzy. Koce odcisnęły podłużny ślad na jej policzku, już zanikający. Ubranie, nilterskie spodnie i pikowana koszula pod rozpiętym wewnętrznym płaszczem, było pogniecione i w nieładzie. Po kilku dniach regularnego odżywiania i braku kefu skóra nabrała zdrowszego wyglądu, jednak Seivarden wciąż wydawała się wychudzona i zmęczona.

– Dlaczego się nią przejmujesz? – zapytała, niez mieszana moim badawczym wzrokiem. Jakby coś przeskoczyło i nagle stałyśmy się kumpelkami. Towarzyszkami.

Z pewnością nie równymi sobie. Nigdy.

– Muszę załatwić jeden interes. – Wyjaśnianie reszty byłoby bezużyteczne albo głupie, albo jedno i drugie. – Nie możesz spać?

Subtelna zmiana w wyrazie jej twarzy oznaczała wycofanie się, zamknięcie. Już nie byłam po jej stronie. Siedziała cicho przez dziesięć sekund i myślałam, że więcej się do mnie nie odezwie tego wieczoru, ale zamiast tego wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– Tak. Ja... potrzebuję ruchu. Wyjdę na zewnątrz.

Coś definitywnie się zmieniło, ale nie bardzo wiedziałam, co to było i z czego wynikło.

– Jest noc – powiedziałam. – Bardzo zimno. Weź zewnętrzny płaszcz i rękawice i nie odchodź za daleko.

Gestem wyraziła zgodę, a co jeszcze dziwniejsze, nałożyła płaszcz i rękawice bez jednego gorzkiego słowa czy nawet pełnego urazy spojrzenia, zanim wyszła przez podwójne drzwi.

Zresztą co mnie to obchodziło? Mogła zabłądzić i zamarznąć albo nie. Rozłożyłam własne pościeło i położyłam się spać, nie czekając, czy Seivarden wróci bezpiecznie.

\*

Kiedy się zbudziłam, Seivarden spała na swojej stercie koców. Nie rzuciła płaszcza na podłogę, tylko powiesiła go obok pozostałych na haku przy drzwiach. Wstałam i podeszłam do kredensu, gdzie odkryłam, że uzupełniła również zapasy jedzenia – więcej chleba i na stole miska z blokiem rozmiękłego, powoli roztapiającego się mleka, a obok druga z plastrem tłuszczu bova.

Za moimi plecami szcęknęły otwierane drzwi. Odwróciłam się.

– On czegoś chce – powiedziała do mnie cicho Strigan. Seivarden się nie poruszyła. – Albo w każdym razie coś kręci. Nie ufałabym mu na twoim miejscu.

– Nie ufam. – Wrzuciłam bochenek chleba do miski z wodą i odstawiłam, żeby zmiękł. – Ale zastanawiam się, co w nią wstąpiło. – Strigan wydawała się ubawiona. – W niego – poprawiłam.

– Pewnie myśli o tych wszystkich pieniądzech, które nosisz przy sobie – zauważyła Strigan. – Za to można kupić dużo kefu.



– Jeśli o to chodzi, to nie problem. Wszystkie są na zapłatę dla ciebie. – Oprócz biletu na mój powrotny przejazd wstążką i zapasu na wszelki wypadek. Co zapewne oznacza bilet również dla Seivarden.

– Co się dzieje z narkomanami w Radch?

– Nie mają narkomanów – odparłam. Uniosła jedną brew, a potem drugą z niedowierzaniem. – Nie na stacjach – poprawiłam się. – Nie można zajść zbyt daleko tą drogą, jeśli stacyjna SI obserwuje cię przez cały czas. Na planecie to co innego, jest za duża. Ale nawet tam, jeśli doprowadzisz się do takiego stanu, że przestajesz funkcjonować, poddają cię reedukacji i zwykle wysyłają gdzie indziej.

– Żeby nie przynosić wstydu.

– Żeby zacząć od nowa. Nowe otoczenie, nowy przydział. – A jeśli przybyłaś z bardzo daleka, żeby podjąć pracę, którą prawie każdy może wykonywać, wszyscy znają powód, chociaż nikt nie jest tak nietaktowny, żeby o tym wspomnieć w twojej obecności. – Martwi cię, że Radchaai nie mogą swobodnie niszczyć sobie życia ani życia innych obywateli.

– Nie określiłabym tego w ten sposób.

– Nie, oczywiście, że nie.

Oparła się o framugę drzwi, skrzyżowała ramiona.

– Jak na kogoś, kto żąda przysługi... w dodatku niewyobrażalnie wielkiej i straszliwie niebezpiecznej przysługi... jesteś nadspodziewanie antagonistyczna.

Machnęłam ręką w geście: „Jest, jak jest”.

– No, ale jego obecność działa ci na nerwy. – Kiwnęła głową w stronę Seivarden. – Co chyba zrozumiała.

Słowa „Tak się cieszę, że się zgadzasz” cisnęły mi się na usta, ale ich nie wymówiłam. Ostatecznie żądałam niewyobrażalnie wielkiej i straszliwie niebezpiecznej przysługi.

– Wszystkie pieniądze w skrzynce – powiedziałam zamiast tego. – Wystarczy ci, żeby kupić ziemię albo pokoje na stacji, cholera, nawet całą stację.

– Bardzo małą. – Wargi jej drgnęły z rozbawienia.

– I już nie będziesz tego miała. Nawet jeśli to widziałaś, grozi ci niebezpieczeństwo, ale jest znacznie gorzej, jeśli to masz.

– A ty – wytknęła głosem już pozbawionym wesołości, prostując się i opuszczając ramiona – zanieśiesz to prosto do lord Radch. Która wówczas wysłodzi to wstecz aż do mnie.

– Zawsze istnieje takie ryzyko – przyznałam. Nie zamierzałam nawet udawać, że kiedy wpadnę w ręce Mianaai, nie zdoła ze mnie wyciągnąć każdej żądanej informacji bez względu na to, co chciałam ujawnić, a co zataić. – Ale niebezpieczeństwo ci grozi, odkąd pierwszy raz na to spojrzałaś, i będzie groziło, dopóki żyjesz, czy mi to oddasz, czy nie.

Strigan westchnęła.

– Trudno zaprzeczyć. Niestety. I prawdę mówiąc, bardzo chcę wrócić do domu.

Niewiarygodna głupota. Ale to nie moja sprawa, moja sprawa to zdobyć broń. Nic nie powiedziałam. Ani Strigan. Zamiast tego naciągnęła zewnętrzny płaszcz i rękawice i wyszła przez podwójne drzwi, a ja usiadłam do śniadania, usilnie starając się nie spekulować, dokąd ona poszła i czy mogę sobie pozwolić na odrobinę nadziei.

\*

Wróciła po piętnastu minutach, niosąc szerokie, płaskie czarne pudło. Postawiła pudło na stole. Wyglądało jak lity blok, ale Strigan zdjęła grubą warstwę czerni i odsłoniła więcej

czerni pod spodem.

Stała i czekała z pokrywą w rękach, obserwując mnie. Ostrożnie dotknęłam czerni jednym palcem. Od miejsca dotyku rozlał się brąz i zastygł w kształt broni, teraz dokładnie w odcieniu mojej skóry. Cofnęłam palec i czerń wlała się z powrotem. Uniosłam następną warstwę czerni, pod którą wreszcie zobaczyłam coś przypominającego pudełko, z jakimiś rzeczami w środku, niepokojąco czarne, jakby pochłaniało całe światło, wypełnione magazynkami.

Strigan wyciągnęła rękę i dotknęła górnej powierzchni czarnej warstwy, którą wciąż trzymałam. Szarość rozeszła się od jej palców w szeroki pas owinięty wokół broni.

– Nie byłam pewna, co to jest. Ty wiesz?

– To zbroja. – Oficerowie i ludzkie oddziały używały zewnętrznych zbroi zamiast instalowanych w ciele. Jak moja. Ale tysiąc lat temu wszyscy mieli implanty.

– Nigdy nie uruchomiła ani jednego alarmu, nigdy nie wykrył jej żaden skan, przez który przechodziłam.

Tego właśnie chciałam. Żeby mogła wejść na każdą stację Radchaai, nie alarmując nikogo, że jestem uzbrojona. Żeby mogła nosić broń w obecności samej Anaander Mianaai i żeby nikt się nie zorientował. Większość Anaander nie potrzebowała zbroi, możliwość jej przebicia to była dodatkowa premia.

Strigan zapytała:

– Jak on to robi? Jak się ukrywa?

– Nie wiem. – Odłożyłam na miejsce warstwę, którą trzymałam, a potem samą pokrywę.

– Jak myślisz, ile tego drania możesz zabić?

Oderwałam wzrok od skrzynki, od broni, nieprawdopodobnego celu prawie dwudziestoletnich wysiłków, tu przede mną, prawdziwej i namacalnej. W zasięgu ręki. Chciałam powiedzieć: „Tylu, ilu zdołam, zanim mnie załatwią”. Ale realistycznie biorąc, mogłam liczyć tylko na spotkanie z jednym, jedynym ciałem z tysiąca. No, ale realistycznie biorąc, nigdy się nie spodziewałam, że znajdę tę broń.

– To zależy – powiedziałam.

– Jeśli planujesz taki desperacki, beznadziejny akt buntu, postaraj się dobrze wypaść.

Gestem wyraziłam zgodę.

– Zamierzam poprosić o audiencję.

– I dostaniesz ją?

– Prawdopodobnie. Każdy obywatel może o to poprosić i prawie na pewno zostanie przyjęty. Nie zjawię się jako obywatel...

Strigan prychnęła szyderczo.

– Jak zamierzasz udawać nie-Radchaai?

– Wejdę do doków jakiegoś prowincjonalnego pałacu bez rękawiczek albo w nieodpowiednich rękawiczkach, zgłoszę, że jestem cudzoziemką, mówiąc z akcentem. Nic więcej nie potrzeba.

Zamrugnęła. Zmarszczyła brwi.

– Raczej nie.

– Zapewniam cię. Moje szanse jako nieobywatelki na uzyskanie audiencji będą zależeć od tego, jaki podam powód. – Tego szczegółu jeszcze gruntownie nie przemyślałam. Zależy, co stanę na miejscu. – Pewnych rzeczy nie można planować zbyt daleko w przyszłość.

– A co zrobisz z... – Machnęła dłonią bez rękawiczki w stronę nieprzytomnej Seivarden.

Odsuwałam od siebie to pytanie. Odsuwałam od chwili, kiedy ją znalazłam, planując tylko

jeden krok naprzód, kiedy musiałam zdecydować, co z nią zrobić.

– Uważaj na niego. Może osiągnął etap, kiedy gotów jest na dobre rzucić kef, ale wątpię.

– Dlaczego?

– Nie poprosił mnie o pomoc.

Tym razem ja uniosłam sceptycznie brew.

– Gdyby poprosił, pomogłabyś?

– Zrobiłabym, co w mojej mocy. Chociaż oczywiście musiałyby najpierw rozwiązać problemy, które go wpędziły w nałóg, gdyby to miało przynieść długoterminowy efekt. A jakoś nie widzę, żeby to robił.

Prywatnie zgadzałam się z nią, ale nic nie powiedziałam.

– Mógł poprosić o pomoc w każdej chwili – ciągnęła Strigan. – Włóczy się od jakichś... co najmniej pięciu lat. – Pewnie dłużej, ale tego też nie powiedziałam. – Każdy lekarz mógłby mu pomóc, gdyby on tego chciał. Ale wtedy musiałby przyznać, że ma problem, prawda? A nie sądzę, żeby to prędko nastąpiło.

– Najlepiej, gdyby ona... on wrócił do Radch. – Radchaajscy medycy mogli rozwiązać wszystkie problemy Seivarden. I nie obchodziłoby ich, czy prosiła o pomoc albo czy w ogóle chciała, żeby jej pomogli.

– On nie wróci do Radch, dopóki nie przyzna, że ma problem.

Zrobiłam gest oznaczający „nie moje zmartwienie”.

– Może pójść, dokąd zechce.

– Ale ty go karmisz i na pewno opłacisz jego przejazd po wstażce, a potem statkiem do układu, który wybierzesz. Zostanie z tobą, dopóki to mu na rękę, dopóki ma jedzenie i kwaterę. I ukradnie wszystko, za co mógłby kupić następną działkę kefu.

Seivarden nie była już taka silna jak dawniej ani tak jasno myśląca.

– Myślisz, że łatwo mu pójdzie?

– Nie – przyznała Strigan – ale jest bardzo zdeterminowany.

– Tak.

Strigan pokręciła głową, jakby chciała oczyścić umysł.

– Co ja robię? I tak mnie nie posłuchasz.

– Słucham.

Ale wyraźnie mi nie wierzyła.

– To nie moja sprawa, wiem. Tylko... – Wskazała na czarną skrzynkę. – Po prostu zabij jak najwięcej Mianaai. I nie nasyłaj go na mnie.

– Wyjeżdżasz?

Oczywiście, że wyjeżdżała, nawet nie fatygowała się, żeby odpowiedzieć na tak głupie pytanie. Po prostu wyszła do swojego pokoju, nie mówiąc ani słowa więcej, i zamknęła za sobą drzwi.

Otworzyłam plecak, wyjęłam pieniądze i położyłam na stole, na ich miejsce wsunęłam czarną skrzynkę. Dotknęłam jej, pokrytej wzorem, który sprawił, że zniknęła, nic, tylko poskładane koszule, kilka paczek suchej żywności. Potem podeszłam do śpiącej Seivarden i szturchnęłam ją czubkiem buta.

– Obudź się.

Drgnęła, usiadła gwałtownie i uderzyła plecami o najbliższą ławę, dysząc ciężko.

– Obudź się – powtórzyłam. – Wyjeżdżamy.



Oprócz tych godzin, kiedy komunikacja została odcięta, nigdy naprawdę nie straciłam poczucia, że jestem częścią „Sprawiedliwości Toren”. Moje kilometry korytarzy o białych ścianach, moja kapitan, dowódcy dekad, porucznicy każdej dekady, każdy ich najmniejszy gest, każdy oddech, wszystko to widziałam. Nigdy nie straciłam wiedzy o moich serwitorach, dwudziestoosobowych Amaat Jeden, Toren Jeden, Etrepa Jeden, Bo Jeden i Esk Dwa, dłonie i stopy do służenia tym oficerom, głosy, żeby za nich mówić. Moje tysiące serwitorów zamrożone w anabiozie. Nigdy nie straciłam widoku samej Shis’urny, całej w błękicie i bieli, dawne granice i podziały wymazane przez odległość. Z takiej perspektywy wypadki w Ors były niczym, niewidoczne, całkiem bez znaczenia.

W podchodzącym do dokowania promie czułam zmniejszający się dystans, coraz silniej odbierałam wrażenie, że jestem statkiem. Esk Jeden stał się jeszcze bardziej tym, czym zawsze – małą częścią mnie. Mojej uwagi nie przykuwały już rzeczy oddzielone od reszty statku.

Esk Dwa zajęły miejsce Esk Jeden, kiedy Esk Jeden przebywał na planecie. Esk Dwa przygotowywały herbatę w pokoju dekady Esk dla swoich poruczników... moich poruczników. Szorowały biały korytarz przed łazienkami Esk, naprawiały mundury podarte na przepustkach. Dwie z moich porucznik siedziały w pokoju dekady nad planszą do gry, przesuwając pionki cicho i szybko, trzy inne się przyglądały. Porucznicy dekad Amaat, Toren, Etrepa i Bo, komandorzy dekad, Setka kapitan Rubran, funkcjonariuszki administracyjne i medycyki rozmawiały, spały, kąpały się, zależnie od upodobania i rozkładu zajęć.

Każda Dekada miała dwudziestu poruczników i komandora dekady, ale Esk był teraz moim najniższym zamieszkanym pokładem. Poniżej Esk, w dół od Var – połowy moich pokładów dekad – było pusto i zimno, chociaż ładownie wciąż były pełne. Pustka i cisza tych miejsc, gdzie dawniej mieszkali oficerowie, przeszkadzała mi na początku, ale już się przyzwyczaiałam.

Na promie porucznik Awn siedziała cicho przed Esk Jeden, z zaciśniętymi zębami. Fizycznie pod pewnymi względami czuła się lepiej niż kiedykolwiek w Ors – temperatura dwadzieścia stopni Celsjusza bardziej pasowała do mundurowych spodni i kurtki. A fetor bagiennej wody zastąpiła bardziej znajoma i łatwiejsza do wytrzymania woń recyklowanego powietrza. Lecz ciasne pomieszczenia, które – kiedy po raz pierwszy przybyła na „Sprawiedliwość Toren” – budziły w niej dumę z przydziału i wielkie nadzieje na przyszłość, teraz zdawały się ją więzić jak w pułapce. Była spięta i nieszczęśliwa.

Tiaund, komandor dekady Esk, siedziała w swoim małym gabinecie. Oprócz dwóch krzeseł i biurka przysuniętego tuż pod ścianę, niewiele szerszego od półki, mieściły się tam najwyżej jeszcze dwie osoby na stojąco.

– Porucznik Awn wróciła – powiedziała do niej i do Setki kapitan Rubran na pokładzie dowodzenia. Prom zadokował z głuchym „łup”.

Kapitan Rubran zmarszczyła brwi. Wiadomość o nagłym powrocie porucznik Awn zdziwiła ją i zaniepokoiła. Rozkaz przyszedł bezpośrednio od Anaander Mianaai, toteż nie podlegał dyskusji. Razem z nim nadeszło polecenie, żeby nie pytać, co się stało.

W swoim gabinecie na pokładzie Esk komandor Tiaund westchnęła, zamknęła oczy i powiedziała:

– Herbata.

Siedziała w milczeniu, kiedy Esk Dwa przyniosła filiżankę i termos, naląła i postawiła oba

nacznia obok łokcia komandor.

– Niech się do mnie zgłosi jak najszybciej.

Uwaga Esk Jeden skupiała się głównie na Awn jadącej windą i wędrującej przez wąskie białe korytarze, które prowadziły ją do dekady Esk, do jej kwater. Odczytałam jej ulgę, kiedy te korytarze okazał się puste z wyjątkiem Esk Dwa.

„Masz się zgłosić jak najszybciej do komandor Tiaund” – przesłałam bezpośrednio do porucznik Awn. Potwierdziła przyjęcie wiadomości lekkim drgnieniem palców, wchodząc w korytarze Esk.

Esk Dwa zwolniły pokład i ruszyły w szeregu korytarzem do ładowni, gdzie czekały kapsuły kriogeniczne. Esk Jeden przejęły wszelkie czynności Esk Dwa, a także towarzyszyły porucznik Awn. Na górze, w sekcji medycznej, techniczka zaczęła wyklądać to, czego potrzebowała, żeby zastąpić brakujący segment Esk Jeden.

Przy drzwiach własnej małej kwatery – tej samej, która ponad tysiąc lat wcześniej należała do porucznik Seivarden – Awn odwróciła się, żeby powiedzieć coś do segmentu, który szedł za nią, a potem urwała.

– Co? – zapytała po chwili. – Coś się stało?

– Proszę wybaczyć, poruczniku – powiedziałam. – W ciągu najbliższych kilku minut techniczka medyczna podłączy nowy segment. Przez krótki czas mogę nie reagować.

– Nie reagować – powtórzyła, przez chwilę poruszona z powodów, które nie bardzo rozumiałam, a potem rozgniewana i przytłoczona poczuciem winy. Stała przed zamkniętymi drzwiami swojej kwatery, odetchnęła dwa razy, zawróciła i ruszyła z powrotem korytarzem w stronę windy.

Układ nerwowy nowego segmentu musi jako tako funkcjonować podczas podłączania. W przeszłości próbowano z martwymi ciałami, ale bez powodzenia. To samo z całkowicie uspionymi ciałami – nigdy nie udawało się ich podłączyć jak należy. Czasami nowy segment otrzymuje środek uspokajający, ale czasami techniczka medyczna woli rozmrozić nowe ciało i szybko związać bez żadnych środków. To eliminuje ryzykowny proces dobierania właściwej dawki, ale zawsze wtedy połączenie jest niewygodne.

Ta konkretna techniczka nie przejmowała się moją wygodą. No, ale oczywiście nie miała takiego obowiązku.

Porucznik Awn weszła do windy, która miała ją zawieźć na poziom medyczny, kiedy techniczka medyczna nacisnęła zatrask kapsuły kriogenicznej zawierającej ciało. Pokrywa się odchyliła i przez jedną setną sekundy ciało leżało nieruchomo, zanurzone w lodowatym płynie.

Techniczka wytoczyła ciało z kapsuły na sąsiedni stół, płyn ściekł i w tej samej chwili ciało się ocknęło, konwulsyjnie krztusząc się i dławiąc. Środek konserwujący łatwo sam się wyslizguje z gardła i płuc, ale pierwszych kilka razy bywa dezorientujące. Awn wyszła z windy, pomaszerowała korytarzem w stronę medycznego, z Esk Jeden Osiemnastką deptającym jej po piętach.

Techniczka medyczna szybko przystąpiła do pracy i nagle leżałam na stole (szłam za porucznik Awn, podejmowałam naprawy, które Esk Dwa odłożył w drodze do ładowni, kładłam się na moich małych, zabudowanych kojach, wycierałam kontuar w pokoju dekady), widziałam i słyszałam, ale nie miałam kontroli nad nowym ciałem i jego przerażenie przyspieszyło bicie serca wszystkich segmentów Esk Jeden. Nowy segment otworzył usta i wrzasnął, a w tle rozległ się śmiech. Zamłóciłam rękami, więzy puściły i stoczyłam się ze stołu, z bolesnym łupnięciem spadłam półtora metra na podłogę. Nie, nie, nie, pomyślałam do

ciała, jednak ono nie słuchało. Było chore, było przerażone, umierało. Podparło się rękami i odpełzło oszołomione, wszystko jedno dokąd, byle uciec.

Potem poczułam ręce pod moimi pachami (wszędzie indziej Esk Jeden znieruchomiały) dźwigające mnie do góry, i porucznik Awn.

– Ratunku – zachrypiałam nie w radchaajskim. Cholerna medyczka wyciągnęła ciało bez porządnego głosu. – Ratunku.

– Już dobrze. – Awn przesunęła chwyt, objęła nowy segment, przyciągnęła bliżej. Dygotał z zimna i ze zgrozy, wciąż przemarznięty po hibernacji. – W porządku. Wszystko będzie dobrze.

Segment dyszał i szlochał chyba przez wieczność i już myślałam, że zwymiotuje, kiedy... połączenie zaskoczyło i przejęłam nad nim kontrolę. Powstrzymałam szloch.

– No już – powiedziała Awn. Wstrząśnięta do głębi. Powstrzymująca mdłości. – Dużo lepiej. – Widziałam w niej nowy gniew albo może kolejną warstwę stresu po wypadkach w świątyni. – Nie krzywdź moich jednostek – rzuciła szorstko i zorientowałam się, że chociaż wciąż patrzyła na mnie, mówiła do techniczki.

– Nie skrzywdziłam, poruczniku – odparła techniczka ze śladem pogardy w głosie.

Odbywały już tę rozmowę w dłuższej i gwałtowniejszej wersji podczas aneksji. Techniczka powiedziała: „Przecież to nie człowiek. Leżał w ładowni przez tysiąc lat, to tylko część statku”. Porucznik Awn poskarżyła się komandor Tiaund, która nie rozumiała gniewu Awn i tak jej powiedziała, ale od tamtego czasu nie miałam do czynienia z tą konkretną medyczką.

– Skoro jesteś taka wydelikaccona – ciągnęła medyczka – może tu nie jest twoje miejsce.

Awn odwróciła się gniewnie i wyszła bez słowa. Podeszłam znowu do stołu z pewną obawą. Segment już się opierał i wiedziałam, że tej techniczki nie obchodzi, czy będzie mnie bolało, kiedy włoży mi zbroję i dołączy resztę implantów.

Zawsze było trochę niezręcznie, zanim się przyzwyczaiałam do nowego segmentu – czasami upuszczał przedmioty albo odpalał dezorientujące impulsy, wywołując przypadkowe ataki strachu lub mdłości. Wszystko zawsze wydawało się trochę zwichrowane. Ale po tygodniu czy dwóch sytuacja zwykle się stabilizowała. W każdym razie najczęściej. Czasami segment po prostu nie chciał poprawnie funkcjonować, więc należało go usunąć i zastąpić. Oczywiście sprawdzają ciała, ale kontrola nie jest idealna.

Głos nie bardzo mi odpowiadał. Nie znał żadnych interesujących piosenek, przynajmniej takich, których sama już nie znałam. Wciąż nie mogę się pozbyć drobnego, zdecydowanie irracjonalnego podejrzenia, że techniczka medyczna wybrała to konkretne ciało, żeby mi zrobić na złość.

\*

Po szybkiej kąpieli, przy której asystowałam, i przebraniu w czysty mundur porucznik Awn zgłosiła się do komandor Tiaund.

– Awn. – Komandor dekady wskazała Awn krzesło naprzeciwko. – Cieszę się oczywiście, że wróciłaś.

– Dziękuję, komandorze – powiedziała Awn i usiadła.

– Nie spodziewałam się ciebie tak szybko. Byłam pewna, że zostaniesz na dole dłużej. – Porucznik Awn nie odpowiedziała. Komandor Tiaund odczekała pięć sekund w milczeniu, po czym kontynuowała: – Zapytałabym, co się stało, ale zakazano mi pytać.

Awn otworzyła usta, nabrała powietrza, żeby przemówić, zamknęła usta. Zdumiona. Nic jej nie powiedziałam o rozkazach, żeby nie pytać, co się stało. Sama nie otrzymała analogicznego rozkazu, żeby nikomu nic nie mówić. Test, jak podejrzewałam, ale miałam pewność, że porucznik Awn go zda.

– Źle? – zapytała Tiaund. Bardzo chciała wiedzieć więcej, ryzykowała, zadając nawet takie pytanie.

– Tak, komandorze. – Awn spojrzała na swoje ręce w rękawiczkach, spoczywające na kolanach. – Bardzo.

– Twoja wina?

– Odpowiadam za wszystko, co się stanie na mojej wachcie, prawda?

– Tak – przyznała Tiaund. – Ale trudno mi sobie wyobrazić, że zrobiłaś coś...

nieprzyzwoitego. – To słowo miało w radchaajskim szerokie znaczenie, stanowiło część triady „sprawiedliwość, przyzwoitość i pożytek”. Używając go, Tiaund sugerowała, że nie tylko spodziewała się, iż Awn przestrzega przepisów czy etykiety. Sugerowała, że podejrzewa jakąś niesprawiedliwość ukrytą za tymi wydarzeniami. Chociaż oczywiście nie mogła powiedzieć tego otwarcie – nie знаła żadnych faktów i bynajmniej nie pragnęła sprawiać wrażenia, że zna. A jeśli porucznik Awn miała zostać ukarana za jakieś wykroczenie, nie chciała publicznie brać jej strony, bez względu na prywatną opinię.

Komandor Tiaund westchnęła, zapewne sfrustrowana z powodu niezaspokojonej ciekawości.

– No cóż – podjęła z fałszywą wesołością. – Teraz masz mnóstwo czasu, żeby nadrobić zaległości w sali gimnastycznej. I dawno powinnaś odnowić certyfikat strzelecki.

Porucznik Awn zmusiła się do uśmiechu. W Ors nie było sali gimnastycznej ani niczego choćby przypominającego strzelnicę.

– Tak jest.

– I poruczniku, proszę, nie chodź do medycznego, chyba że naprawdę potrzebujesz.

Widziałam, że Awn chciała zaprotestować, złożyć skargę. Ale to również byłoby powtórzenie wcześniejszej rozmowy.

– Tak jest.

– Odmaszerować.

\*

Zanim porucznik Awn wreszcie dotarła do swojej kwatery, była prawie pora kolacji – formalnego posiłku, spożywanego w pokoju dekady w towarzystwie pozostałych poruczników Esk. Awn wymówiła się zmęczeniem – nie kłamała, w sumie przespała sześć godzin, odkąd opuściła Ors przed trzema dniami.

Siedziała na koi zgarbiona, patrząc w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, aż weszłam, ściągnęłam jej buty i zdjęłam kurtkę.

– No dobrze, rozumiem aluzję – powiedziała, zamknęła oczy i przerzuciła nogi przez krawędź koi. Przyłożyła głowę do poduszki i pięć sekund później już spała.

\*

Następnego ranka osiemnaście z moich dwudziestu poruczników Esk stało w pokoju dekady, popijając herbatę i czekając na śniadanie. Zgodnie ze zwyczajem nie mogły usiąść bez najstarszej rangą porucznik.



Ściany pokoju dekady Esk były białe, z błękitnym i żółtym szlakiem namalowanym tuż pod sufitem. Na jednej ścianie, naprzeciwko długiego kontuaru, umieszczono rozmaite trofea z dawnych aneksji – strzepy dwóch flag, czerwone, czarne i zielone; różową glinianą dachówkę z wtopionym wypukłym wzorem liści; starożytną broń boczną (nienabitą) w eleganckiej stylowej kaburze; ghaonijską maskę zdobioną klejnotami. Całe okno z valskaayańskiej świątyni, witrażowe szkło tworzące postać kobiety z miotłą w ręku, z trzema małymi zwierzątkami u stóp. Pamiętałam, jak sama wyjęłam je ze ściany i przyniosłam tutaj. W każdym pokoju dekady na statku znajdowało się okno z tego samego budynku. Świątynne ornaty i parafernalia zostały wyrzucone na ulicę albo trafiły do innych pokoiw dekad na innych statkach. To stanowiło normalną praktykę, że Radch wchłaniało każdą religię, z jaką się zetknęło, wpasowywało jej bogów do i tak straszliwie zagnatwanego panteonu albo po prostu ogłaszało, że najwyższe bóstwo-stwórca to Amaat pod innym imieniem, i niech reszta sama się ułoży. Pewna osobliwość valskaayańskiej religii to utrudniła, z katastrofalnym skutkiem. W ramach najnowszych zmian radchaajskiej polityki Anaander Mianaai zalegalizowała praktykowanie uparcie separatystycznej religii Valskaay, a gubernator Valskaay zwróciła budynek. Mówiono o oddaniu okien, ponieważ wówczas nadal przebywaliśmy na orbicie Valskaay, ostatecznie jednak zastąpiono je kopiami. Niedługo potem dekady poniżej Esk opróżniono i zamknięto, ale okna wciąż wisiały na ścianach pustych, ciemnych pokoiw.

Weszła porucznik Issaia, podeszła prosto do ikony Toren w narożnej niszy i zapaliła kadzidło czekające w czerwonej miseczce u stóp ikony. Sześciu oficerów zmarszczyło brwi, a dwóch wydało bardzo cichy pomruk zdziwienia. Tylko porucznik Dariet się odezwała:

– Czy Awn nie przyjdzie na śniadanie?

Issaia odwróciła się do Dariet z wyrazem zaskoczenia, który, na ile się orientowałam, nie odzwierciedlał jej prawdziwych uczuć, i powiedziała:

– Na łaskę Amaat! Całkiem zapomniałam, że Awn wróciła.

Z tyłu grupy, bezpiecznie zasłonięta przed wzrokiem porucznik Issaai, jedna bardzo młoda porucznik spojrzała na drugą bardzo młodą porucznik.

– Jest tak cicho – ciągnęła Issaia. – Trudno uwierzyć, że ona wróciła.

– Cisza i zimne popioły – zacytowała druga młoda porucznik, adresatka znaczącego spojrzenia, bardziej śmiała od towarzyszki. Cytowała elegię dla kogoś, czyje ofiary pogrzebowe zostały umyślnie zaniedbane. Widziałam, że Issaia zareagowała odrobinę ambiwalentnie; następny wers mówił o jedzeniu niezłożonym w ofierze dla zmarłej, możliwe więc, że młoda porucznik krytykowała Awn za nieobecność na kolacji poprzedniego wieczoru albo spóźnienie się na śniadanie tego ranka.

– To naprawdę jest Esk Jeden – powiedziała inna porucznik, skrywając ironiczne rozbawienie bystrością młodej porucznik, przyglądając się pilnie segmentom, które właśnie ustawiały na kontuarze półmiski z rybami i owocami. – Może porucznik Awn oduczyła go złych nawyków. Mam nadzieję.

– Czemu tak cicho, Jeden? – zapytała Dariet.

– Och, nie zaczynaj – wyjęczała inna porucznik. – Za wcześnie na taki hałas.

– Jeśli to zasługa Awn, gratuluję – powiedziała Issaia. – Chociaż trochę późno.

– Jak teraz – odezwała się inna porucznik przy łokciu Issaai. – Dajcie mi jeść, póki jeszcze żyję. – Następny cytat, następna aluzja do ofiar pogrzebowych i obrona na wypadek, gdyby młoda porucznik skierowała obelgę pod zły adres. – Czy ona przyjdzie, czy nie? Jeśli nie przyjdzie, powinna nas uprzedzić.

W tamtej chwili porucznik Awn brała kąpiel, a ja jej usługiwałam. Mogłam powiedzieć porucznikom, że Awn wkrótce się zjawi, ale milczałam, odnotowałam tylko poziom i temperaturę herbaty w czarnych szklanych czarkach, które trzymały poszczególne porucznik, i dalej rozstawiałam talerze do śniadania.

Obok mojego magazynu broni czyściłam moich dwadzieścia karabinów, żeby je schować razem z amunicją. W kwaterach każdej z moich porucznik zdejmowałam pościel z łóżek. Oficerowie z Amaat, Toren, Etrepa i Bo byli już w połowie śniadania i rozmawiali z ożywieniem. Kapitan jadła z komandorami dekad, prowadząc cichszą, spokojniejszą konwersację. Zbliżył się do mnie jeden z moich promów, cztery porucznik Dwa Bo wracające z przepustki, przypięte pasami w fotelach, nieprzytomne. Będą nieszczęśliwe, kiedy się obudzą.

– Statku – odezwała się Dariet – czy porucznik Awn zje z nami śniadanie?

– Tak, poruczniku – odpowiedziałam głosem Szóstki Esk Jeden. W łazience wylałam wodę na Awn, która stała z zamkniętymi oczami na kratce nad odpływem. Oddychała równo, ale puls miała lekko przyspieszony i wykazywała inne objawy stresu. Podejrzywałam, że umyślnie zwlekała, żeby mieć łazienkę dla siebie. Nie dlatego, że nie potrafiłaby sobie poradzić z porucznik Issaaią – na pewno by potrafiła. Ale ponieważ wciąż była przygnębiona po wydarzeniach z ostatnich dni.

– Kiedy? – zapytała Issaai, leciutko zachmurzona.

– Za jakieś pięć minut, poruczniku.

Rozległy się chóralne jęki.

– No, no, porucznicy – napomniała Issaai. – Ona jest z nas najwyższa rangą. I wszystkie powinnyśmy okazywać jej teraz cierpliwość. Taki nagły powrót, kiedy wszystkie myślałyśmy, że Świątobliwość nigdy nie pozwoli jej opuścić Ors.

– Przekonała się, że to jednak nie najlepszy wybór, he? – prychnęła porucznik przy łokciu Issaai. Była blisko z Issaaią w niejednym sensie. Żadna z nich nie wiedziała, co się stało, i nie mogła zapytać. A ja oczywiście nic nie mówiłam.

– Nie sądzę – oświadczyła porucznik Dariet lekko podniesionym głosem. Rozgniewana. – Nie po pięciu latach.

Wzięłam imbryk, odwróciłam się od kontuaru, podeszłam do Dariet i nalałam jedenaście mililitrów herbaty do jej prawie pełnej czarki.

– Lubisz Awn, oczywiście – powiedziała Issaai. – Wszystkie ją lubimy. Ale ona nie ma odpowiedniego wychowania. Nie urodziła się do tego. Pracuje tak ciężko na to, co nam przychodzi naturalnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby pięć lat to było wszystko, co mogła wytrzymać bez załamania. – Spojrzała na pustą czarkę w swojej urękawiczonej dłoni. – Potrzebuję więcej herbaty.

– Myślisz, że lepiej byś się spisała na miejscu porucznik Awn – zauważyła Dariet.

– Nie zawracam sobie głowy hipotezami – odparła Issaai. – Fakty pozostają faktami. Nie bez powodu Awn była starszym porucznikiem Esk na długo przedtem, zanim każda z nas tu się zjawiała. Najwyraźniej Awn ma jakieś uzdolnienia, bo inaczej nigdy nie osiągnęłaby aż tyle, ale dotarła do granicy swoich możliwości. – Cichy pomruk zgody. – Jej rodzice są kucharzami – ciągnęła Issaai. – Na pewno doskonale gotują. Na pewno ona znakomicie zarządzałyby kuchnią.

Trzy porucznik zachichotały.

– Doprawdy? – rzuciła Dariet ostrym tonem. Wreszcie ubrana, w mundurze nieskazitelnym

na miarę moich możliwości, porucznik Awn wyszła z szatni na korytarz, pięć kroków od pokoju dekady.

Issaia przyjęła pytanie Dariet ze znajomą ambiwalencją. Issaia była starsza stopniem, ale dom Dariet był starszy i bogatszy od domu Issai, a gałąź tego domu, do której należała Dariet, była bezpośrednią protegowaną prominentnej gałęzi samej Mianaai. Teoretycznie tutaj to nie miało znaczenia. Teoretycznie.

Wszystkie dane, które odbierałam od porucznik Issai tego ranka, miały ukryty posmak urazy, chwilami przybierający na sile.

– Zarządzanie kuchnią to bardzo szacowna praca – powiedziała. – Ale wyobrażam sobie, jakie to musi być trudne, kiedy ktoś jest wychowany na służącą i zamiast wziąć przydział, który naprawdę mu odpowiada, zostaje wypchnięty na takie odpowiedzialne stanowisko. Nie każdy jest stworzony na oficera.

Drzwi się otwały i porucznik Awn weszła do środka w chwili, kiedy Issaia wypowiadała ostatnie zdanie.

Cisza zapadła w pokoju dekady. Issaia wydawała się spokojna i beztroska, ale czuła się speszona. Najwyraźniej nie zamierzała – i nigdy by się nie ośmieliła – mówić takich rzeczy otwarcie w obecności porucznik Awn.

Tylko Dariet się odezwała.

– Dzień dobry, porucznik Awn.

Awn nie odpowiedziała, nawet na nią nie spojrzała, tylko poszła w róg pokoju, gdzie znajdowała się kapliczka dekady z posążkiem Toren i miseczką płonącego kadzidła. Pokłoniła się figurce, a potem spojrzała na miseczkę, lekko marszcząc brwi. Jak wcześniej, mięśnie miała napięte, puls przyspieszony i wiedziałam, że domyślała się treści czy przynajmniej kierunku rozmowy przed swoim przyjściem, wiedziała, kto nie jest stworzony na oficera.

Odwróciła się.

– Dzień dobry, porucznicy. Przepraszam, że kazałam wam czekać. – I bez dalszych wstępów rozpoczęła poranną modlitwę. – Kwiat sprawiedliwości to pokój...

Pozostałe się przyłączyły, a kiedy skończyły, Awn przeszła na swoje miejsce u szczytu stołu, usiadła. Zanim reszta zdążyła się usadowić, postawiłam przed porucznik Awn herbatę i śniadanie.

Obsłużyłam pozostałe, a Awn wzięła łyk herbaty i zaczęła jeść.

Dariet podniosła sztuciec.

– Dobrze, że wróciłaś. – Głos miała lekko napięty, ledwie mogła ukryć gniew.

– Dziękuję – powiedziała Awn i ugryzła kęs ryby.

– Ciągłe nie mam herbaty – oznajmiła Issaia. Reszta obecnych obserwowała tę scenę w milczeniu, z napięciem. – Cisza jest przyjemna, ale chyba nastąpił spadek wydajności.

Awn przeżuła, przełknęła, popiła herbaty.

– Słucham?

– Udało ci się uciszyć Esk Jeden – wyjaśniła Issaia – ale... – Uniosła pustą czarękę.

W tej samej chwili stanęłam za nią z termosem i napełniłam czarękę.

Awn uniosła urękawiczoną dłoń, wskazując na miałość argumentu Issai.

– Nie uciszałam Esk Jeden. – Spojrzała na segment z termosem i zmarszczyła brwi. –

Przynajmniej celowo. Proszę bardzo, śpiewaj, jeśli chcesz, Esk Jeden.

Rozległy się jęki. Issaia uśmiechnęła się nieszczerze.

Dariet zatrzymała rękę z kawałkiem ryby w połowie drogi do ust.

- Ja lubię ten śpiew. Jest ładny. I nas wyróżnia.
- To takie żenujące – powiedziała porucznik siedząca obok Issaai.
- Nie uważam, że to żenujące – oświadczyła trochę sztywno Awn.
- Oczywiście, że nie – powiedziała Issaai. W jej dwuznacznych słowach kryła się złośliwość. – Więc czemu tak cicho, Jeden?
- Byłam zajęta, poruczniku – odpowiedziałam. – I nie chciałam przeszkadzać porucznik Awn.
- Twój śpiew mi nie przeszkadza, Jeden – zapewniła Awn. – Przykro mi, że tak pomyślałeś. Proszę, śpiewaj, jeśli chcesz.
- Issaai uniosła brew.
- Przepraszam? I prośba? To trochę za wiele.
- Uprzejmość – oświadczyła Dariet tonem nietypowo afektowanym – zawsze jest właściwa i zawsze pożyteczna.
- Issaai uśmiechnęła się drwiąco.
- Dziękuję, matko.
- Porucznik Awn nic nie powiedziała.

\*

Cztery i pół godziny po śniadaniu przybił prom wiozący z przepustki te cztery porucznik Dwa Bo.

Piły przez trzy dni i nie przerywały aż do chwili, kiedy opuściły stację Shis’urna. Pierwsza lekko się zatoczyła po wyjściu ze śluzy i zamknęła oczy.

– Lekarza. – Westchnęła.

– Czekają na ciebie – powiedziała przez segment Jeden Bo, który tam umieściłam. – Czy potrzebujesz pomocy w windzie?

Porucznik z wysiłkiem machnęła ręką, żeby odrzucić moją propozycję, i powoli oddaliła się korytarzem, opierając się ramieniem o ścianę.

Weszłam na pokład promu, kopniakiem odbijając się poza granicę mojej sztucznej grawitacji – prom był za mały, żeby generować własną. Dwie oficer, same wciąż pijane, usiłowały obudzić trzecią, nieprzytomną, rozwaloną w fotelu. Pilotka – najmłodsza z oficerów Dwa Bo – siedziała sztywna i czujna. W pierwszej chwili pomyślałam, że przyczyną jej dyskomfortu jest smród araku i wymiocin – na szczęście tym pierwszym oblały się same porucznik jeszcze na stacji Shis’urna, a prawie wszystko z tych drugich trafiło do odpowiednich pojemników – potem jednak spojrzałam (Dwa Bo spojrzała) w stronę rufy i zobaczyłam trzy Anaander Mianaai, siedzące cicho i obojętnie na tylnych fotelach. Nieistniejące, dla mnie. Widocznie wsiadła dyskretnie na stacji Shis’urna. Zabroniła pilotce mnie informować. Pasażerki, jak podejrzewałam, były zbyt pijane, żeby ją zauważyć. Pamiętałam, jak zapytała mnie na planecie, kiedy ostatnio mnie odwiedziła. Pamiętałam moje odruchowe i niewytłumaczalne kłamstwo. Prawdziwy ostatni raz bardzo przypominał tę sytuację.

– Pani – powiedziała, kiedy wszystkie porucznik Bo znalazły się poza zasięgiem słuchu. – Zawiadomię Setkę kapitan.

– Nie – powiedziała jedna Anaander. – Twój pokład Var jest pusty.

– Tak, pani – potwierdziłam.

– Zatrzymam się tam, dopóki pozostaję na pokładzie. – Nic więcej, ani dlaczego, ani na jak

długo. Ani kiedy mogę powiedzieć kapitan, co robię. Miałam obowiązek być posłuszną wobec Anaander Mianaai, nawet wbrew własnej kapitan, ale rzadko dostawałam rozkaz od jednej bez wiedzy drugiej. Czułam się nieswojo.

Wysłałam segmenty Esk Jeden, żeby wydobyły z ładowni Var Jeden, zaczęłam ogrzewać jedną sekcję na pokładzie Var. Trzy Anaander Mianaai odrzuciły moją ofertę pomocy z bagażem, zanosły swoje rzeczy na dół do Var.

To się stało przedtem, na Valskaay. Moje niższe pokłady były zwykle puste, ponieważ wiele moich oddziałów przebywało poza statkiem i pracowało. Wtedy zatrzymała się na pokładzie Esk. Czego wtedy chciała, co zrobiła?

Ku mojej konsternacji odkryłam, że moje myśli prześlizgują się wokół odpowiedzi, która pozostawała niewidzialna, ukryta. To było nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Pomiędzy pokładami Esk i Var znajdował się bezpośredni dostęp do mojego mózgu. Co ona zrobiła na Valskaay, że tego nie pamiętałam, i co zamierzała zrobić teraz?

Dalej na południu śnieg i lód stopniowo ustępowały, chociaż wciąż było zimno według nieniltyjskich standardów. Nilterki uważały region równikowy za niemal tropikalny raj, gdzie naprawdę mogło rosnąć zboże, gdzie temperatury dochodziły do ośmiu czy dziewięciu stopni Celsjusza. Większość dużych niltyjskich miast leżała na pasie równikowym lub w pobliżu.

To samo dotyczyło jedynego tytułu planety do jakiej takiej sławy – szklanych mostów.

To czarne wstęgi szerokości około pięciu metrów, zwisające łagodnymi krzywymi łańcuchowymi w poprzek rowów niemal równie szerokich jak głębokich – rozmiary mierzone w kilometrach. Żadnych lin, żadnych filarów, żadnych wiązarów. Tylko łuk czerni przyczepiony z obu końców do skalnych ścian. Na brzuchach mostów wiszą fantastyczne zestawy barwnych szklanych prętów i zwojów, niekiedy wystające na boki.

Same mosty, według wszelkich obserwacji, również są zrobione ze szkła, chociaż szkło nigdy nie mogłoby wytrzymać takich obciążeń, jakim poddawane są mosty – nawet ich własny ciężar powinien się okazać za duży, skoro są zawieszane w powietrzu bez żadnej podpory. Nie ma poręczy ani uchwytów, tylko przepaść, a na dnie, kilka kilometrów w dole, skupisko grubościennych rur, pustych i gładkich, każda o średnicy dokładnie stu pięćdziesięciu centymetrów. Zrobione są z tego samego materiału co mosty. Nikt nie wie, do czego służą ani kto je zbudował. Były tu, kiedy ludzie zaczęli kolonizować Nilt.

Mnożyły się teorie, jedna mniej prawdopodobna od drugiej. W wielu główną rolę odgrywały międzywymiarowe istoty, które albo stworzyły czy ukształtowały ludzi dla własnych celów, albo z własnych ukrytych powodów zostawiły ludzkości wiadomość do odszyfrowania. Albo były złe i dążyły do zniszczenia wszelkiego życia. Mosty w jakiś sposób należały do ich planu.

Inna utrzymywała, że mosty zbudowali ludzie, jakaś starożytna, dawno zaginiona, fantastycznie rozwinięta cywilizacja, która albo wymarła (powoli i żałośnie czy też spektakularnie na skutek jakiego katastrofalnego błędu), albo przeniosła się na wyższy poziom egzystencji. Zwolennicy takich teorii często dorzucali twierdzenie, że Nilt jest prawdziwą kolebką ludzkości. Niemal wszędzie, gdzie bywałam, ludowa mądrość głosiła, że planeta, gdzie narodziła się ludzkość, jest nieznaną, tajemniczą. W rzeczywistości wcale tak nie jest, co odkryje każdy, kto zada sobie trud poczytania na ten temat, ale to bardzo, bardzo, bardzo daleko prawie od wszystkiego i niespecjalnie ciekawe miejsce. A przynajmniej nawet w przybliżeniu nie tak interesujące jak uroczy pomysł, że twój lud to nie są nowi przybysze, tylko powtórnie skolonizowali miejsce, które posiadali od zarania czasu. Spotyka się takie roszczenia wszędzie, na każdej planecie choćby odrobinę nadającej się do zamieszkania.

Most obok Therrod nie stanowił wielkiej atrakcji turystycznej. Większość lśniących jak klejnoty szklanych arabesek roztrzaskała się przez tysiące lat, a to, co zostało, nie wyglądało nadzwyczajnie. I Therrod wciąż leży zbyt daleko na północ, żeby nie-Nilterki czuły się tam dobrze. Goście spoza planety zwykle ograniczają się do lepiej zachowanych mostów na równiku, kupują koce z boviej wełny, pod gwarancją ręczne uprzedzone i ręcznie utkane przez mistrzów tego rzemiosła w mroźnych przestworzach tego świata (choć z pewnością wytwarzane są maszynowo na tuziny kilka kilometrów od sklepu z pamiątkami), wypijają kilka cuchnących łyków sfermentowanego mleka i wracają do domu, żeby raczyć krewnych i przyjaciół opowieściami o swoich przygodach.

Tego wszystkiego dowiedziałam się w ciągu kilku pierwszych minut po odkryciu, że będę

musiała odwiedzić Nilt, żeby osiągnąć swój cel.

\*

Therrod leżało nad wielką rzeką. Białe i zielone kry podskakiwały i zderzały się niesione prądem, w dokach cumowały już pierwsze łodzie tego sezonu. Po drugiej stronie miasta ciemna blizna ogromnego koryta pod mostem wyznaczała stanowczą granicę chaotycznej zabudowy. Na południowym skraju miasta znajdowały się parkingi lataczy, a dalej rozległy kompleks budynków pomalowanych na żółto i niebiesko, z wyglądu ośrodek medyczny, chyba największy w tej okolicy. Otaczały go kwartały noclegowni i sklepów spożywczych oraz szeregi domów, jaskraworóżowych, pomarańczowych, czerwonych, żółtych, w paski, kratki i zygzaki.

Leciałyśmy przez pół dnia. Mogłam lecieć całą noc, wytrzymałabym, chociaż nie byłoby przyjemnie. Ale nie widziałam potrzeby pośpiechu. Wylądowałam na pierwszym wolnym miejscu, jakie znalazłam, kazałam Seivarden wysiąść i sama wysiadłam. Zrzuciłam plecak na ramiona, opłaciłam parking, unieruchomiłam latacz tak jak u Strigan i ruszyłam w stronę miasta, nie patrząc, czy Seivarden idzie za mną.

Łądowałyśmy w pobliżu ośrodka medycznego. Otaczały go hotele, niektóre luksusowe, wiele jednak mniejszych i mniej wygodnych niż kwatery, którą wynajmowałam w wiosce, gdzie znalazłam Seivarden, chociaż trochę droższych. Południowcy w jaskrawych płaszczach przechodzili, rozmawiając w języku, który brzmiał dla mnie jak język tamtej dziewczynki i jej matki podczas pobytu u Strigan. Inni rozmawiali jedynym językiem, który znałam, i na szczęście w tym języku były też szyldy.

Wybrałam kwatery – przynajmniej przestronniejszą niż najtańsze dostępne dziuple wielkości kapsuły kriogenicznej – i zaprowadziłam Seivarden do pierwszej z brzegu czystej jadłodajni o umiarkowanych cenach.

Kiedy weszłyśmy, Seivarden zagapiła się na regały z butelkami w głębi pod ścianą.

– Mają arak.

– Będzie strasznie drogi – odparłam – i pewnie niezbyt dobry. Nie produkują go tutaj. Weź zamiast tego piwo.

Wykazywała już pewne oznaki stresu i krzywiła się lekko od nadmiaru jaskrawych kolorów, więc spodziewałam się jakiegoś wybuchu irytacji, ale tylko wyraziła gestem zgodę. Potem zmarszczyła nos z lekkim obrzydzeniem.

– Z czego oni tu robią piwo?

– Ze zboża. Rośnie bliżej równika. Tam nie jest tak zimno.

Znalazłyśmy miejsca na ławach przy długich stołach ustawionych w trzech rzędach. Kelnerka przyniosła nam piwo i miski czegoś, co nazwała specjalnością zakładu, „ekstra piękne jedzenie, tak”, powiedziała, fatalnie kalecząc radchaajski, i rzeczywiście okazało się dobre, zawierało nawet warzywa wśród innych składników, we właściwych proporcjach, cienko poszatowaną kapustę. Mniejsze grudki wyglądały na mięso, prawdopodobnie bovów. Seivarden rozkroiła łyżką na połowę jedną z większych grudek, odsłaniając biały środek.

– Pewnie ser – powiedziałam.

Skrzywiła się.

– Dlaczego ci ludzie nie jedzą prawdziwego jedzenia? Czy nie mają rozumu?

– Ser to prawdziwe jedzenie. I kapusta.

– Ale ten sos...

- Smaczny. – Wzięłam następną łyżkę.
- Całe to miejsce dziwnie pachnie – poskarżyła się.
- Jedz, nie gadaj.

Spojrzała z powątpiewaniem na swoją miskę, nabrała łyżkę, powąchała.

- Nie może gorzej śmierdzieć niż tamten napój ze sfermentowanego mleka – zauważyłam. Prawie się uśmiechnęła.
- Nie.

Zaczerpnęłam następną łyżkę, rozważając implikacje tej poprawy zachowania. Nie wiedziałam, co to znaczy, nie znałam nastroju Seivarden, jej zamiarów, nie potrafiłam odgadnąć, za kogo albo za co mnie uważała. Może Strigan miała rację i Seivarden zdecydowała, że na razie najkorzystniej będzie nie zrażać osoby, która ją karmi, ale to się zmieni, gdy tylko pojawi się więcej możliwości.

- Halo! – zawołał cienki głos od innego stołu.

Obejrzałam się: dziewczynka z zestawem tiktika machała do mnie z miejsca, gdzie siedziała z matką. W pierwszej chwili się zdziwiłam, ale przecież znajdowałyśmy się obok centrum medycznego, dokąd one przywiozły ranną krewną, i przyleciały z tego samego kierunku co my, więc prawdopodobnie zaparkowały po tej samej stronie miasta. Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową, a ona wstała i podeszła do nas.

- Twój przyjaciel ma się lepiej! – zawołała wesoło. – To dobrze. Co jecie?
- Nie wiem – przyznałam. – Kelnerka powiedziała, że to specjalność zakładu.
- Och, jest bardzo dobre, jadłam to wczoraj. Kiedy przylecieliście? Jest tak gorąco, jakby już było lato, nie wyobrażam sobie, jak jest dalej na północy.

Najwyraźniej zdążyła odzyskać zwykłą pogodę ducha po wypadku, który sprowadził ją do domu Strigan. Seivarden obserwowała ją z łyżką w ręce, ubawiona.

- Przyleciałyśmy przed godziną – odpowiedziałam. – Zatrzymamy się tylko na noc, w drodze do wstążki.

– My tu zostaniemy, dopóki wujkowi nie wyleczą nóg. Czyli pewnie do przyszłego tygodnia. – Spochmurniała, odliczając dni. – Trochę dłużej. Śpimy w lataczu, co jest okropnie niewygodne, ale mama mówi, że tutejsze ceny za nocleg to zwykła kradzież. – Usiadła na skraju ławki, obok mnie. – Nigdy nie byłam w kosmosie, jak tam jest?

- Bardzo zimno... nawet tobie byłoby zimno. – Uznała to za zabawne i zachichotała. – I oczywiście nie ma powietrza i prawie żadnej grawitacji, więc wszystko po prostu się unosi. Popatrzyła na mnie z żartobliwym wyrzutem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Obejrzałam się na jej matkę, która siedziała i jadła. Flegmatyczna. Niewzruszona.

- Właściwie to nic nadzwyczajnego.

Dziewczynka obojętnie machnęła ręką.

- Och! Lubisz muzykę. Dziś wieczorem na tej ulicy występuje śpiewaczka. – Użyła słowa, którym błędnie posłużyłam się w domu Strigan, nie tego, którym mnie wtedy poprawiła. – Wczoraj nie poszłyśmy jej posłuchać, bo trzeba płacić. Poza tym to moja kuzynka. A raczej jest w następnej linii od mojej i jest ciotką córki kuzynki mojej matki, to wystarczająco blisko. Słyszałam ją na ostatnich zbiorach, jest bardzo dobra.

- Na pewno pójdę. Gdzie to jest?

Podawała mi nazwę lokalu, a potem powiedziała, że musi dokończyć kolację. Patrzyłam, jak wraca do matki, która tylko na chwilę podniosła wzrok i krótko skinęła głową, co



Miejsce, które poleciała dziewczynka, znajdowało się parę domów dalej – długi, niski budynek, w tylnej ścianie żaluzje otwarte teraz na dziedziniec otoczony murem, gdzie Nilterki siedziały bez płaszczy w temperaturze jednego stopnia, popijały piwo i słuchały w milczeniu kobiety grającej na wygiętym instrumencie strunowym, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam.

Po cichu zamówiłam piwo dla siebie i Seivarden. Zajęłyśmy miejsca po wewnętrznej stronie żaluzji – trochę cieplej niż na dziedzińcu, bo nie wiało, i mogłyśmy się oprzeć o ścianę. Kilka osób obejrzało się na nas, przyglądało się nam przez chwilę, po czym mniej lub bardziej uprzejmie odwróciło wzrok.

Seivarden nachyliła się trzy centymetry w moją stronę i szepnęła:

– Po co tu przyszliśmy?

– Żeby posłuchać muzyki.

Uniosła brew.

– To jest muzyka?

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć. Drgnęła nieznacznie.

– Przepraszam. Po prostu... – Wykonała bezradny gest.

Radchaai mają instrumenty strunowe, całkiem spory asortyment, nagromadzony podczas kilku aneksji, ale publiczną grę na nich uważa się za nieco obsceniczną, ponieważ należałoby to robić albo gołymi rękami, albo w rękawiczkach tak cienkich, że niemal niespełniających swojej funkcji. A ta muzyka – długie, powolne, nierówne frazy, w których radchaajskie ucho z trudem doszukiwało się rytmu, ostry, twardy ton instrumentu – nie przypominała niczego, co Seivarden nauczone cenić.

– To jest takie...

Kobieta przy sąsiednim stole odwróciła się i syknęła karcąco. Przeprosiłam gestem i rzuciłam Seivarden ostrzegawcze spojrzenie. Przez chwilę na jej twarzy malował się gniew i już myślałam, że będę musiała ją wyprowadzić, ale odetchnęła głęboko, spojrzała na swoje piwo, wzięła łyk, po czym siedziała w milczeniu, patrząc przed siebie.

Utwór się skończył i słuchacze lekko postukali pięściami o stoły. Artystka jakimś sposobem wydawała się obojętna i zarazem zadowolona z aplauzu. Zaczęła drugi utwór, znacznie szybszy i dostatecznie głośny, żeby Seivarden mogła do mnie bezpiecznie szepnąć:

– Jak długo tu zostaniemy?

– Jakiś czas – odpowiedziałam.

– Jestem zmęczona. Chcę wrócić do pokoju.

– Wiesz, gdzie to jest?

Przytaknęła. Kobieta przy sąsiednim stole skarciła nas wzrokiem.

– Idź – szepnęłam jak najciszej, ale dostatecznie głośno, żeby Seivarden mnie usłyszała.

Seivarden wyszła. Nie moje zmartwienie, powiedziałam sobie, czy ona znajdzie drogę powrotną do naszej kwatery (i pogratulowałam sobie, że przezornie zamknęłam swój plecak na noc w hotelowym sejfie – nawet bez ostrzeżeń Strigan nie ufałam Seivarden w kwestii moich rzeczy i pieniędzy), czy będzie się błąkać po mieście, czy wpadnie do rzeki i utonie – cokolwiek zrobi, to nie moje zmartwienie i nie muszę się tym przejmować. Zamiast tego miałam dzban dość przyzwoitego piwa i wieczór muzyki, z obietnicą dobrej śpiewaczki i piosenek, jakich jeszcze nie słyszałam. Dotarłam do celu bliżej, niż kiedykolwiek

ośmielałam się marzyć, więc przez jeden wieczór mogłam się odprężyć.

\*

Śpiewaczka była znakomita, chociaż nie rozumiałam ani słowa z jej piosenek. Zaczęła występ późno, kiedy w lokalu zrobiło się tłoczno i hałaśliwie, chociaż publiczność niekiedy milkła nad piwem, słuchając muzyki, a pomiędzy utworami stukała coraz głośniej i gwałtowniej. Zamówiłam dostatecznie dużo piwa, żeby usprawiedliwić swoją ciągłą obecność, ale wypłam tylko trochę. Nie jestem człowiekiem, jednak mam ludzkie ciało i nadmiar alkoholu stępiłby moje reakcje w sposób niedopuszczalny.

Zostałam do późna, a potem wróciłam do naszej kwatery przez ciemne ulice, mijając pary lub trójki przechodniów, pogrążonych w rozmowie, niezwracających na mnie uwagi.

W maleńkim pokoiku zastałam Seivarden śpiącą – nieruchoma, oddech regularny, twarz i kończyny rozluźnione. Wypełniający ją nieokreślony spokój sugerował, że po raz pierwszy widzę, jak naprawdę śpi i wypoczywa. Przez głowę przemknęło mi podejrzenie, że wzięła kef, ale wiedziałam, że nie ma pieniędzy, nie zna tu nikogo i nie mówi żadnym z języków, które do tej pory słyszałam.

Położyłam się obok niej i zasnęłam.

Obudziłam się po sześciu godzinach. Niewiarygodne, ale Seivarden wciąż leżała obok mnie i spała. Nie przypuszczałam, żeby się zbudziła podczas mojego snu.

Równie dobrze mogłam jej pozwolić się wyspać. W końcu nigdzie się nie spieszyłam. Wstałam i wyszłam.

Bliżej ośrodka medycznego ulica zrobiła się hałaśliwa i zatłoczona. Kupiłam miszkę gorącej owsianki na mleku od straganiarki stojącej przy chodniku i ruszyłam dalej drogą, która okrążyła szpital i skręcała w stronę centrum miasta. Autobusy przystawały, wypuszczały pasażerów, zabierały następnych, jechały dalej.

W strumieniu ludzi zobaczyłam kogoś znajomego. Dziewczynkę od Strigan i jej matkę. Zauważyły mnie. Dziewczynka szeroko otwarła oczy, a potem zmarszczyła brwi. Matka nie zmieniła wyrazu twarzy, ale obie skrzyły gwałtownie, żeby do mnie podejść. Wydawało się, że mnie wypatrywały.

– Breq – powiedziała dziewczynka, kiedy stanęły przede mną. Przygnębiona. Nietypowo, jak się wydawało.

– Wuj dobrze się czuje? – zapytałam.

– Tak, z wujkiem w porządku. – Ale wyraźnie coś ją dręczyło.

– Twój przyjaciel – powiedziała matka, niewzruszona jak zawsze. I umilkła.

– Tak?

– Zaparkowałyśmy latacz obok twojego – powiedziała dziewczynka, wyraźnie wzdragając się przed zakomunikowaniem złych wiadomości. – Widziałyśmy go, kiedy wczoraj wróciłyśmy z kolacji.

– Powiedz. – Nie przepadałam za stopniowaniem napięcia.

Matka dosłownie zmarszczyła brwi.

– Teraz go nie ma.

Nic nie mówiłam, czekałam na resztę.

– Widocznie go zablokowałaś – ciągnęła. – Twój przyjaciel wziął pieniądze, a ludzie, którzy mu zapłacili, odholowali latacz.

Obsługa parkingu nie zadawała pytań, widzieli Seivarden ze mną.

– Ona nie zna żadnego języka – zaprotestowałam.  
– Robili dużo ruchów! – wyjaśniła dziewczynka, gestykulując zamaszycie. – Dużo pokazywali i bardzo powoli mówili.

Fatalnie nie doceniłam Seivarden. Oczywiście – przeżyła, jeżdżąc z miejsca na miejsce, nie znając żadnego języka oprócz radchaajskiego, prawdopodobnie bez pieniędzy, a jednak udało jej się niemal przedawkować kef. I to więcej niż raz. Umiała o siebie zadbać, nawet jeśli źle o siebie dbała. Doskonale potrafiła zdobyć to, czego chciała, bez niczyjej pomocy. A chciała kefu i dostała go. Moim kosztem, ale tym się nie przejmowała.

– Wiedziałyśmy, że to nie w porządku – powiedziała dziewczynka – bo mówiłaś, że zatrzymujecie się tylko na nocleg, zanim odleciecie w kosmos, ale nikt nie chciał nas słuchać, jesteśmy tylko pasterkami bovów.

Niewątpliwie osoba, która kupuje latacz bez dokumentacji, bez dowodu własności... co więcej, latacz, który został umyślnie zablokowany, żeby nie mógł go uruchomić nikt oprócz właściciela... chyba lepiej unikać konfrontacji z taką osobą.

– Wolę się nie wypowiadać – powiedziała matka dziewczynki, wyrażając zawołowane potępienie – co z niego za przyjaciel.

Nie mój przyjaciel. Nigdy, ani przedtem, ani teraz.

– Dziękuję, że mi powiedziałyście.

Poszłam na parking; latacz rzeczywiście zniknął. Kiedy wróciłam do pokoju, Seivarden wciąż spała, a przynajmniej wciąż była nieprzytomna. Zastanawiałam się, ile kefu kupiła za latacz. Zastanawiałam się tylko przez chwilę, zanim wyjęłam plecak z hotelowego sejfu, zapłaciłam za nocleg – odtąd Seivarden będzie musiała sama sobie radzić, co najwyraźniej nie stanowiło dla niej problemu – i poszłam szukać środka transportu, który wywiezie mnie z miasta.

\*

Był autobus, ale pierwszy odjechał piętnaście minut wcześniej, zanim o niego zapytałam, a następny odchodził za trzy godziny. Wzdłuż rzeki kursował pociąg, na północ raz dziennie, i podobnie jak autobus już odjechał.

Nie chciałam czekać. Chciałam się stąd wynieść. Ściśle mówiąc, nie chciałam ryzykować, że znowu zobaczę Seivarden, chociaż na krótko. Tutaj na ogół utrzymywała się temperatura powyżej zera, a ja mogłam pokonywać na piechotę całkiem długie dystanse. Następne miasto godne tej nazwy leżało, według map, które widziałam, w odległości zaledwie dnia drogi, jeśli pójdę skrótem przez szklany most, a potem na przełaj zamiast drogą, która łukiem omijała rzekę i szeroką przepaść pod mostem.

Most znajdował się kilka kilometrów od miasta. Spacer dobrze mi zrobi; ostatnio za mało ćwiczyłam. Sam most powinien być dość interesujący. Ruszyłam w jego stronę.

Kiedy przeszłam trochę więcej niż pół kilometra, minęłam hoteliki i jadłodajnie otaczające ośrodek medyczny i znalazłam się w dzielnicy jakby mieszkalnej – mniejsze budynki, sklepy spożywcze, sklepy odzieżowe, kompleksy niskich, kwadratowych domów połączonych krytymi pasażami – za mną pojawiła się Seivarden.

– Breq! – zawołała, zdyszana. – Dokąd idziesz?

Nie odpowiedziałam, tylko przyspieszyłam kroku.

– Breq, do cholery!

Przystanąłam, ale się nie odwróciłam. Rozważałam, czy się odezwać. Nie przychodziło mi

do głowy nic choć trochę umiarkowanego i cokolwiek bym powiedziała, nic by nie pomogło. Seivarden zrównała się ze mną.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – zapytała.

Odpowiedzi same przyszły mi do głowy. Powstrzymałam się od wypowiedzenia ich na głos i znowu zaczęłam iść.

Nie obejrzałam się. Nie obchodziło mnie, czy ona pójdzie za mną, właściwie miałam nadzieję, że nie pójdzie. Z pewnością nie poczuwałam się do żadnej odpowiedzialności, nie obawiałam się, że ona sobie nie poradzi beze mnie. Potrafiła sobie radzić.

– Breg, cholera! – zawołała znowu Seivarden. Potem zakłęła i usłyszałam jej kroki za plecami, jej przyspieszony oddech, kiedy znowu mnie dogoniła. Tym razem nie zatrzymałam się, tylko nieco przyspieszyłam kroku.

Po następnych pięciu kilometrach, podczas których sporadycznie zostawała w tyle, a potem dopędzała mnie biegiem, wydyszała:

– Na cycki Aatr, ale się obraziłaś.

Nadal nie odpowiadałam i nie zatrzymywałam się.

Upłynęła następna godzina, miasto zostało daleko za nami i ukazał się most, płaski czarny łuk nad otchłanią, pod spodem szklane iglice i zwoje, jaskrawoczerwone, intensywnie żółte, ultramarynowe, i wyszczerbione kikuty pozostałych. Ściany przepaści miały warstwową strukturę, pasma czarne, szarozielone i błękitne, tu i tam oszronione. W dole dno przesłaniała mgła. Tablica w pięciu językach ogłaszała, że to zabytek pod ochroną, wstęp dozwolony tylko posiadaczom pewnej określonej licencji – jakiej licencji, do jakich celów, pozostało dla mnie tajemnicą, ponieważ nie rozumiałam tego słowa. Wejście zagradzała niska bariera, nad którą mogłam z łatwością przestąpić, i nie było tu nikogo oprócz mnie i Seivarden. Sam most miał pięć metrów szerokości, jak wszystkie pozostałe. Wprawdzie wiał silny wiatr, ale nie tak silny, żeby mi zagrażać. Ruszyłam do przodu, przestąpiłam przez barierę i weszłam na most.

Gdybym cierpiała na lęk wysokości, pewnie dostałabym zawrotu głowy. Na szczęście niczego takiego nie odczuwałam, przeszkadzało mi tylko wrażenie otwartej przestrzeni pode mną i za plecami, której nie widziałam, dopóki się skupiałam na innych miejscach. Moje buty stuknęły o czarne szkło, cała konstrukcja kołysała się lekko i drżała na wietrze.

Nowy wzór wibracji powiedział mi, że Seivarden weszła za mną.

\*

To, co się stało później, było głównie moją winą.

Dotarliśmy do połowy mostu, kiedy Seivarden powiedziała:

– No dobrze, dobrze. Rozumiem. Jesteś zła.

Przystanęłam, ale się nie odwróciłam.

– Ile za niego dostałaś? – zapytałam wreszcie, tylko jedno z pytań, które miałam na końcu języka.

– Co?

Chociaż się nie odwróciłam, widziałam jej ruch, kiedy się pochyliła do przodu, z rękami na kolanach, słyszałam jej przyspieszony oddech, kiedy usiłowała przekrzyczeć wiatr.

– Ile kefu?

– Chciałam tylko trochę – odparła, nie odpowiadając wprost na pytanie. – Tylko na uspokojenie nerwów. Potrzebowałam go. Poza tym wcale nie zapłaciłaś za ten latacz. – Przez mglenie oka myślałam, że ona pamięta, jak zdobyłam latacz, chociaż to się wydawało

nieprawdopodobne. Ale mówiła dalej: – Masz w tym plecaku dość, żeby kupić dziesięć lataczy, i nic z tego nie jest twoje, wszystko należy do lord Radch, prawda? Każesz mi się wlec na piechotę tylko dlatego, że jesteś upierdliwa.

Stałam, wciąż przodem do kierunku marszu, płaszcz owijał się wokół mnie na wietrze. Stałam i próbowałam zrozumieć, co znaczyły jej słowa, za kogo mnie uważała. Dlaczego według niej troszczyłam się o nią.

– Wiem, czym jesteś – powiedziała, kiedy wciąż milczałam. – Na pewno chciałabyś mnie zostawić, ale nie możesz, prawda? Masz rozkazy, żeby mnie odstawić z powrotem.

– Czym jestem? – zapytałam, wciąż się nie odwracając. Głośno, żeby przekrzyczeć wiatr.

– Nikim, i tyle. – Głos Seivarden ociekał pogardą. Stała teraz wyprostowana, tuż za moim lewym ramieniem. – Zdałaś do wojska, test na zdolności, i jak milion innych do ciebie podobnych w tych czasach myślisz, że to cię czyni kimś. Ćwiczyłaś akcent oraz jak trzymać sztuce i na kolanach dostałaś się do Specjalnych Przydziałów, i teraz ja jestem twoim specjalnym przydziałem, musisz przywieźć mnie do domu w jednym kawałku, chociaż wolałabyś nie, prawda? Masz ze mną problem i niech zgadnę, twój problem jest taki, że choćbyś nie wiadomo jak próbowała, nie wiadomo przed kim klęczała, nigdy nie będziesz tym, kim ja się urodziłam, a ludzie tacy jak ty tego nienawidzą.

Odwróciłam się do niej. Moja twarz na pewno nic nie wyrażała, ale kiedy napotkałam jej spojrzenie, drgnęła – wcale nie uspokoiła nerwów, ani trochę – i odruchowo zrobiła trzy szybkie kroki do tyłu.

Poza krawędź mostu.

Podeszłam do krawędzi, spojrzałam w dół. Seivarden wisiała sześć metrów niżej, ręce miała zaciśnięte wokół skomplikowanego zawijasa z czerwonego szkła, oczy szeroko otwarte, usta lekko rozchylone. Spojrzała na mnie i powiedziała:

– Chciałaś mnie uderzyć!

Obliczenia przysły mi łatwo. Wszystkie części mojego ubrania związane ze sobą miałyby długość niecałych sześciu metrów. Czerwone szkło było gdzieś przytwierdzone pod mostem, ani śladu czegoś, po czym mogłaby się wspiąć. Kolorowe szkło nie było równie wytrzymałe jak sam most – zgadywałam, że czerwona spirala pęknie pod ciężarem Seivarden za trzy do siedmiu sekund. Chociaż tylko zgadywałam. Jednak gdybym wezwała pomoc, z pewnością przybyłaby za późno. Mgła wciąż zasnuwała rozległe dno przepaści. Te rury były tylko kilka centymetrów węższe niż rozpiętość moich ramion i same bardzo głębokie.

– Breq? – odezwała się Seivarden zdyszczym, pełnym napięcia głosem. – Możesz coś zrobić?

Wreszcie nie „musisz coś zrobić”.

– Ufasz mi? – zapytałam.

Oczy jej się rozszerzyły jeszcze bardziej, oddech stał się urywany. Nie ufała mi, wiedziałam. Była wciąż ze mną tylko dlatego, że uważała mnie za funkcjonariuszkę, czyli nieunikniony dopust losu, a siebie za dostatecznie ważną dla Radch, żeby kogoś za nią wysłano – niedocenianie własnej osoby nigdy nie należało do wad Seivarden – i może zmęczyło ją uciekanie od siebie, od świata. Gotowa była się poddać. Ale wciąż nie rozumiałam, dlaczego ja z nią byłam. Wśród oficerów, z którymi służyłam, nigdy nie należała do moich ulubienic.

– Ufam ci – skłamała.

– Kiedy cię złapię, podnieś zbroję i obejmij mnie. – Świeży przestrich błysnął na jej

twarży, ale nie miałam już czasu. Rozłożyłam zbroję pod ubraniem i zesłam z mostu.

Kiedy tylko moje ręce dotknęły jej ramion, czerwone szkło pękło, ostre odłamki poleciały na wszystkie strony, migocząc. Seivarden zamknęła oczy, spuściła głowę, wcisnęła twarz w moją szyję i objęła mnie tak mocno, że gdyby nie zbroja, nie mogłabym oddychać. Z powodu zbroi nie czułam jej spanikowanego oddechu na skórze, nie czułam pędu powietrza, chociaż słyszałam świst. Ale ona nie rozłożyła swojej zbroi.

Gdybym była więcej niż tylko sobą, gdybym dysponowała odpowiednimi liczbami, mogłabym obliczyć naszą prędkość końcową i czas potrzebny do jej osiągnięcia. Grawitacja była stała, ale ponieważ ciężar mojego plecaka i naszych grubych, łopoczących płaszczy wpływał na tempo spadania, to przekraczało moje możliwości. Znacznie łatwiej byłoby obliczyć w próżni, ale nie spadałyśmy w próżni.

Jednak różnica pomiędzy pięćdziesięcioma metrami na sekundę a stu pięćdziesięcioma była w tamtej chwili duża tylko abstrakcyjnie. Nie widziałam jeszcze dna, cel, w który chciałam trafić, był mały i nie wiedziałam, ile będziemy miały czasu, żeby skorygować ustawienie, jeśli w ogóle zdążymy. Przez następne dwadzieścia do czterdziestu sekund nie miałyśmy nic do roboty, tylko czekać i spadać.

– Zbroja! – krzyknęłam do ucha Seivarden.

– Sprzedałam – odpowiedziała. Głos jej drżał lekko wskutek pędu powietrza. Wciąż mocno wciskała twarz w moją szyję.

Nagle szarość. Wilgoć skraplała się na odsłoniętych częściach mojej zbroi i ulatywała w górę. Jeden i trzydzieści pięć setnych sekundy później zobaczyłam ziemię, ciasno upakowane czarne kręgi. Większe, czyli bliższe, niż sobie życzyłam. Zdumiał mnie przypływ adrenaliny; widocznie za bardzo się przyzwyczaiłam do spadania. Odwróciłam głowę, próbując spojrzeć prosto w dół obok ramienia Seivarden na to, co leżało bezpośrednio pod nami.

Moja zbroja została skonstruowana, żeby rozłożyć siłę uderzenia pocisku, wyemitować część energii jako ciepło. Teoretycznie była nieprzenikalna, ale przy użyciu wystarczającej siły można było mnie zranić albo nawet zabić. Miewałam połamane kości, traciłam ciała pod nieprzerwanym gradem kul. Nie wiedziałam, jak moja zbroja albo moje ciało zniosą tarcie przy zwalnianiu; miałam pewne wzmocnienia szkieletu i mięśni, ale nie wiedziałam, czy wystarczą. Nie potrafiłam dokładnie obliczyć, jak szybko spadamy, ile energii trzeba wyemitować, żeby zwolnić do prędkości dającej szansę przeżycia, jak gorąco się robi w środku i na zewnątrz mojej zbroi. A pozbawiona zbroi Seivarden nie mogła pomóc.

Oczywiście gdybym nadal była tym, czym dawniej, to nie miałoby znaczenia. To nie byłoby moje jedyne ciało. Nie mogłam odegnąć myśli, że trzeba było pozwolić Seivarden spaść. Nie należało skakać. Spadając, wciąż nie wiedziałam, dlaczego to zrobiłam. Ale w chwili wyboru odkryłam, że nie mogłam odejść.

Teraz już znałam odległość w centymetrach.

– Pięć sekund – zawołałam, przekrzykując wiatr. Wtedy było już cztery. Gdybyśmy miały bardzo wiele szczęścia, wpadłybyśmy prosto do rury pod nami, a ja zaparłabym się rękami i nogami o ściany. Gdybyśmy miały bardzo wiele szczęścia, ciepło wywołane tarcie nie poparzyłoby zbyt mocno niemającej zbroi Seivarden. Gdybyśmy miały jeszcze więcej szczęścia, złamałabym tylko ręce w przegubach i nogi w kostkach. To wszystko uznałam za nieprawdopodobne, ale omeny padają tak, jak chce Amaat.

Spadanie mi nie przeszkadzało. Mogłam spadać przez wieczność bez żadnej szkody.

Problem w tym, żeby się zatrzymać.

– Trzy sekundy – oznajmiłam.

– Breq – zaszlochała Seivarden. – Proszę.

Niektórych odpowiedzi nigdy nie uzyskam. Przerwałam wszelkie obliczenia, które wciąż przeprowadzałam. Nie wiedziałam, dlaczego skoczyłam, ale w tamtej chwili to już nie miało znaczenia, w tamtej chwili nie istniało nic innego.

– Cokolwiek zrobisz – jedna sekunda – nie puszczaj.

Ciemność. Bez uderzenia. Wyrzuciłam na boki ramiona, które natychmiast zostały poderwane w górę, nadgarstki i jedna kostka pękły od siły zderzenia pomimo wzmocnień zbroi, mięśnie i ścięgna się zerwały i zaczęło nas zarzucać na boki. Pomimo bólu wyciągnęłam ręce i nogi, sięgnęłam i kopnęłam jeszcze raz, szybko, kompensując mój wstępny błąd oceny, żeby natychmiast nas ustabilizować. Przy tym coś pękło w mojej prawej nodze, ale teraz nie mogłam się tym martwić. Centymetr po centymetrze zwalniałyśmy.

Nie miałam już władzy w rękach i nogach, mogłam tylko odpychać się od ścian z nadzieją, że nie stracimy ponownie równowagi i nie polecimy bezradnie głowami w dół na spotkanie śmierci. Ból był ostry, oślepiający, blokował wszystko oprócz liczb – odległość (w przybliżeniu) zmniejszająca się o centymetry (również w przybliżeniu); prędkość (w przybliżeniu) malejąca; zewnętrzna temperatura zbroi (wzrastająca do wartości krytycznych, możliwe niebezpieczeństwo przekroczenia dopuszczalnych parametrów, w rezultacie możliwe obrażenia), ale liczby prawie nie miały dla mnie znaczenia, ból był głośniejszy, bliższy niż wszystko inne.

Ale liczby były ważne. Porównanie odległości i naszego tempa zwalniania sugerowało nadciągającą katastrofę. Spróbowałam wziąć głęboki oddech, stwierdziłam, że nie mogę, i mocniej odepchnęłam się od ścian.

Nie pamiętam reszty upadku.

\*

Ocknęłam się na plecach, obolała. Moje ręce i ramiona, barki. Nogi i stopy. Przede mną – prosto w górę – krążek szarego światła.

– Seivarden – próbowałam powiedzieć, ale z moich ust wydobyło się tylko konwulsyjne westchnienie, które odbiło się słabym echem od ścian. – Seivarden. – Tym razem wymówiłam imię, ale ledwie dosłyszalnie, zniekształcone przez zbroję. Opuściłam zbroję i próbowałam jeszcze raz, tym razem używając głosu: – Seivarden.

Uniosłam lekko głowę. W nikłym świetle padającym z góry zobaczyłam, że leżę na ziemi, z kolanami zgiętymi i skręconymi w bok, prawa noga pod niepokojącym kątem, ramiona prosto wzdłuż ciała. Spróbowałam poruszyć palcem, daremnie. Ręką. Oczywiście daremnie. Spróbowałam przesunąć prawą nogę, która odpowiedziała zwiększonym bólem.

Nie było tu nikogo oprócz mnie. Nikogo oprócz mnie – nie widziałam swojego plecaka.

Dawniej, jeśli na orbicie był radchaajski statek, mogłam się z nim łatwo skontaktować. Ale gdybym się znajdowała tam, gdzie jest radchaajski statek, nigdy by do tego nie doszło.

Gdybym zostawiła Seivarden w śniegu, nigdy by do tego nie doszło.

Byłam tak blisko. Po dwudziestu latach planowania i harowania, manewrowania, tu dwa kroki do przodu, tam krok do tyłu, powoli, cierpliwie, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu dotarłam aż tak daleko. Tyle razy rzucałam na szalę nie tylko sukces, ale też własne życie, i za każdym razem wygrywałam, a przynajmniej nie przegrywałam na tyle,

żeby nie spróbować od nowa.

Aż do teraz. I z takiego głupiego powodu. Nade mną chmury zakryły odległe niebo, przyszłość, której już nie miałam, cel, którego już nie zdołam osiągnąć. Przegrałam.

Zacisnęłam powieki, żeby powstrzymać łzy niewywołane fizycznym bólem. Jeśli przegrałam, to nie dlatego, że kiedykolwiek, w jakiegokolwiek sytuacji się poddałam. Seivarden jakoś stąd wyszła. Znajdę ją. Odpocznę przez chwilę, wezmę się w garść, zbiorę siły, żeby wyjąć komunikator, który miałam w płaszczu, i wezwać pomoc, albo wymyślę jakiś inny sposób, żeby się stąd wydostać, a jeśli to oznacza czołganie się na krwawych, bezużytecznych kikutach moich kończyn, zrobię to bez względu na ból albo umrę, próbując.



Jedna z tych trzech Mianaai nawet nie weszła na pokład Var, tylko przesłała kod do mojego pokładu głównego dostępu. Brak upoważnienia, pomyślałam, odbierając kod, ale mimo wszystko zatrzymałam windę na tym poziomie i otworzyłam drzwi. Ta Mianaai podeszła do mojej głównej konsoli, gestem wywołała rejestry, szybko przeskanowała nagłówki wpisów do logu ze stu lat. Marszcząc brwi, zatrzymała się przy pozycji na liście, która powinna zostać wprowadzona w okresie pięciu lat od ostatniej wizyty, pozycji, którą przed nią ukryłam.

Pozostałe dwie zaniósł bagaże do kwater i poszły do nowo oświetlonego, powoli się ogrzewającego pokoju dekady Var. Obie usiadły w milczeniu przy stole, pod łagodnie uśmiechniętym valskaayańskim świętym z kolorowego szkła. Nie używając głosu, zażądała ode mnie informacji – przypadkowych próbek pamięci z okresu tych pięciu lat, które wzbudziły jej zainteresowanie na górze, na pokładzie głównego dostępu. Bez słowa, bez wyrazu – w pewnym sensie nierzeczywista, bo widziałam ją tylko z zewnątrz – oglądała moje wspomnienia odtwarzane na jej wizji i fonii. Zaczęłam wątpić w prawdę moich wspomnień z tamtej wizyty. Nie było po niej ani śladu w informacjach, które płynęły do Anaander Mianaai, przez cały tamten okres same rutynowe operacje.

Ale coś z tamtego czasu przyciągnęło jej uwagę. I należało jeszcze wyjaśnić ten „brak upoważnienia” – Anaander Mianaai miała upoważnienie zawsze i wszędzie. I dlaczego otworzyłam pomimo braku upoważnienia? Kiedy jedna Anaander w pokoju dekady Var zmarszczyła brwi i powiedziała: „Nie, nic” i lord Radch przeniosła uwagę na późniejsze wspomnienia, odczułam ogromną ulgę.

Tymczasem moja kapitan i wszystkie pozostałe oficer zajmowały się zwykłymi, codziennymi sprawami – ćwiczyły, trenowały, rozmawiały, jadły – całkowicie nieświadome obecności lord Radch na pokładzie. To było nie w porządku.

Lord Radch obejrzała, jak moje oficer Esk wymieniają ciosy przy śniadaniu. Trzy razy. Nie zmieniając wyrazu twarzy. Var Jeden postawiła herbatę przy łokciu każdej z dwóch identycznych, czarno odzianych postaci w pokoju dekady Var.

– Porucznik Awn – powiedziała jedna Anaander. – Czy w ogóle oddalała się od ciebie podczas tego incydentu?

Nie sprecyzowała, o jaki incydent jej chodzi, ale mogła mówić tylko o wydarzeniach w świątyni Ikkt.

– Nie oddalała się, pani – powiedziałam, używając ust Jeden Var.

Na moim pokładzie głównego dostępu lord Radch wklepywała kody dostępu i nadpisywania, które pozwolą jej zmienić w moim umyśle niemal wszystko, czego sobie życzyła. „Niepoprawny, niepoprawny, niepoprawny”. Jeden po drugim. Ale za każdym razem wyświetlałam akceptację, potwierdzałam dostęp, którego w rzeczywistości nie miała. Czułam coś w rodzaju mdłości, ponieważ zaczynałam sobie uświadamiać, co się naprawdę stało, ale nie miałam dostępu do pamięci z tego okresu, żeby potwierdzić swoje podejrzenia, żeby ta sprawa stała się dla mnie jasna i niedwuznaczna.

– Czy ona kiedykolwiek rozmawiała z kimś o tym incydencie?

Tyle było jasne: Anaander Mianaai działała przeciwko sobie samej. W tajemnicy. Podzieliła się na dwie... co najmniej dwie. Widziałam tylko ślady tej drugiej Anaander, tej, która zmieniła kody dostępu, te same, które właśnie teraz zmieniała, jak sądziła, na swoją korzyść.

– Czy ona kiedykolwiek rozmawiała z kimś o tym incydencie?  
– Krótko, pani – odpowiedziałam. Po raz pierwszy w swoim długim życiu byłam naprawdę przestraszona. – Z porucznik Skaaiat ze „Sprawiedliwości Ente”.

Jak mój głos – Var Jeden – mógł mówić tak spokojnie? Jak mogłam w ogóle wiedzieć, które słowa wymawiać, jakiej odpowiedzi udzielić, jeśli cała podstawa wszystkich moich działań – nawet powód mojego istnienia – została podważona?

Jedna Mianaai zmarszczyła czoło – nie ta, która mówiła.

– Skaaiat – powtórzyła z lekkim niesmakiem. Na pozór nieświadoma mojego nagłego przestachu. – Od dawna mam pewne podejrzenia wobec Awer. – Awer to było nazwisko domu porucznik Skaaiat, ale nie orientowałam się, co to miało wspólnego z wypadkami w świątyni Ikkt. – Nigdy nie mogłam znaleźć dowodu. – Tego też nie rozumiałam. – Odtwórz mi tę rozmowę.

Kiedy porucznik Skaaiat powiedziała: „Jeśli zamierzasz zrobić coś tak szalonego, zachowaj to na okazję, kiedy możesz coś zmienić”, jedno ciało pochyliło się gwałtownie do przodu i sapnęło gniewnie: „Ha!”. Chwilę później, na wzmiankę o Ime, drgnęły brwi. Przez moment bałam się, że lord Radch wyczuje moją konsternację z powodu nieostrożnego, wręcz niebezpiecznego tonu rozmowy, ale nie wspomniała o tym. Może tego nie zauważyła, jak nie zauważyła mojego dogłębnego wzburzenia odkryciem, że ona nie jest już jedną osobą, tylko dwiema, pozostającymi ze sobą w konflikcie.

– To nie dowód. Nie wystarczający – powiedziała Mianaai, nieświadoma. – Ale niebezpieczny. Awer powinni raczej trzymać moją stronę.

Nie od razu zrozumiałam, dlaczego tak pomyślała. Awer pochodzili z samego Radch, od początku mieli wystarczające bogactwo i wpływy, żeby sobie pozwalać na krytykę, toteż krytykowali, chociaż na ogół dostatecznie przebiegłe, żeby uniknąć poważnych kłopotów.

Znałam dom Awer od dawna, wozilałam ich młode porucznik, znałam ich jako kapitanów innych statków. Po prawdzie żadna Awer predestynowana do służby wojskowej nie wykazywała tendencji typowych dla jej domu w stopniu ekstremalnym. Przewrażliwienie w kwestii niesprawiedliwości czy skłonność do mistycyzmu niezbyt pasowały do aneksji. Ani do statusu i bogactwa – moralne oburzenie każdej Awer nieuchronnie załatywało hipokryzją, zważywszy na wygody i przywileje, jakimi cieszył się tak starożytny dom, i chociaż pewnych niesprawiedliwych działań nie mogły ignorować, innych wcale nie zauważały.

W każdym razie ironiczny pragmatyzm Skaaiat nie odbiegał od mentalności jej domu. Stanowił jedynie łagodniejszą, znośniejszą wersję tendencji Awer do moralnego oburzenia.

Niewątpliwie każda Anaander uważała, że jej sprawa jest słuszniejsza. (Bardziej sprawiedliwa, bardziej przyzwoita, bardziej pożyteczna. Oczywiście). Zważywszy na upodobanie Awer do słusznych spraw, obywatelki tego domu powinny popierać właściwą stronę. Zakładając, że w ogóle wiedziały o jakichś stronach.

Rzecz jasna pod warunkiem, że jakaś część Anaander Mianaai uważała, iż każda Awer kieruje się pragnieniem sprawiedliwości, nie własnym interesem ukrytym za fasadą cnotliwości. I że każda Awer może czasami kierować się jednym albo drugim.

A jednak. Możliwe, że jakaś część Anaander Mianaai uważała, iż wystarczy tylko przekonać Awer (albo jakąś konkretną Awer) o słuszności swojej sprawy, żeby się za nią opowiedziała. I z pewnością wiedziała, że jeśli Awer – jakakolwiek Awer – nie da się przekonać, stanie się jej nieprzejednanym wrogiem.

– Suleir... – Anaander Mianaai odwróciła się do Jeden Var, stojącej cicho przy stole. –

Dariet Suleir wydaje się sprzymierzeńcem porucznik Awn. Dlaczego?

Pytanie zaniepokoiło mnie z powodów, których nie potrafiłam jasno określić.

– Nie mam całkowitej pewności, pani, ale przypuszczam, że porucznik Dariet uważa porucznik Awn za zdolnego oficera, i oczywiście podlega porucznik Awn jako starszej dekady. – I zapewne czuje się wystarczająco bezpieczna na własnym stanowisku, żeby nie żywić urazy do porucznik Awn za to, że ma nad nią władzę. W przeciwieństwie do porucznik Issaai. Ale tego nie powiedziałam.

– Więc to nie ma nic wspólnego z sympatiami politycznymi?

– Nie rozumiem, o czym mówisz, pani – powiedziałam całkiem szczerze, ale z narastającym strachem.

Inne ciało Mianaai odezwało się:

– Odgrywasz przede mną głupią, statku?

– Błagam moją panią o wybaczenie – odparłam, wciąż ustami Var Jeden – gdybym wiedziała, czego pani szuka, łatwiej mogłabym dostarczyć odpowiednie dane.

Na to Mianaai zapytała:

– „Sprawiedliwość Toren”, kiedy ostatni raz cię odwiedziłam?

Gdyby te kody dostępu i nadpisanie były poprawne, nie mogłabym ukryć absolutnie niczego przed lord Radch.

– Dwieście trzy lata, cztery miesiące, jeden tydzień i pięć dni temu, pani – skłamałam, teraz mając pewność co do znaczenia tego pytania.

– Pokaż mi twoje wspomnienia z incydentu w świątyni – rozkazała Mianaai, a ja posłuchałam.

I znowu skłamałam. Bo chociaż prawie każdy szczegół każdego z tych indywidualnych strumieni danych i wspomnień pozostał niezmienny, chwila zgrozy i zwątpienia, kiedy jeden segment obawiał się, że będzie musiał zastrzelić porucznik Awn, zniknęła w niepojęty sposób.

\*

To się wydaje bardzo proste, kiedy mówię: „ja”. W tamtym czasie „ja” oznaczało „Sprawiedliwość Toren”, cały statek i wszystkie jego serwitory. Jednostka mogła się całkowicie skupić na tym, co robiła w danej chwili, ale była nie bardziej oddzielona ode „mnie” niż moja ręka wykonująca czynność, która nie wymaga mojej pełnej uwagi.

Niemal dwadzieścia lat później „ja” stanowiło jedno ciało, jeden mózg. Ten podział, ja-„Sprawiedliwość Toren” i ja-Esk Jeden, nie był, jak zaczęłam myśleć, nagłym rozszczepieniem, gdzie w jednej chwili „ja” byłam jednym, a w następnej „ja” stałam się „my”. To zawsze było możliwe. Przed tym chroniono. Ale jakim sposobem zmieniło się z możliwego w rzeczywiste, niezaprzeczalne, nieodwołalne?

Na jednym poziomie odpowiedź jest prosta – to się stało, kiedy cała „Sprawiedliwość Toren” oprócz mnie została zniszczona. Ale kiedy przyjrę się bliżej, widzę wszędzie luki. Czy przyczynił się do tego śpiew, coś, co odróżniało Esk Jeden od wszystkich pozostałych jednostek na statku, czy nawet we wszystkich flotach? Niewykluczone. Czy każda tożsamość to kwestia fragmentów spajanych przez wygodną lub użyteczną narrację, która w zwykłych okolicznościach nigdy nie wydaje się fikcją? Czy może to naprawdę fikcja?

Nie znam odpowiedzi. Ale wiem, że chociaż dostrzegam zapowiedzi potencjalnego rozszczepienia sięgające tysiąca lat wstecz albo wcześniej, to tylko mądrość po fakcie. Po raz pierwszy zauważyłam, że ja-„Sprawiedliwość Toren” mogę nie być jednocześnie mną-Esk

Jeden, kiedy „Sprawiedliwość Toren” edytowała wspomnienia Esk Jeden z rzezi w świątyni Ikkt. W tamtej chwili ja – „ja” – byłam tym zdziwiona.

Dlatego trudno jest przekazać tę historię. Ponieważ „ja” wciąż byłam sobą, jednością, a jednak działałam przeciwko sobie, wbrew własnym interesom i pragnieniom, niekiedy sekretnie, oszukując się w kwestii tego, co wiedziałam i robiłam. I trudno mi nawet teraz rozgraniczyć, kto wykonał które działania albo kto znał które informacje. Ponieważ „ja” byłam „Sprawiedliwością Toren”. Nawet jeśli nie byłam. Nawet jeśli już nie jestem.

\*

Na górze, na pokładzie Esk, porucznik Dariet poprosiła o wstęp do kwatery porucznik Awn i zastała Awn leżącą na koi, patrzącą w sufit niewidzącym wzrokiem, z rękami pod głową.

– Awn – zaczęła, urwała, uśmiechnęła się ze skruchą. – Przyszłam tu węszyć.

– Nie mogę o tym rozmawiać – odparła Awn, wciąż patrząc na sufit, niespokojna i gniewna, ale nie zdradzająca tego tonem głosu.

W pokoju dekady Var Mianaai zapytała:

– Jakie są polityczne sympatie Dariet Suleir?

– Chyba nie ma żadnych wartych wzmianki – odparłam ustami Jeden Var.

Porucznik Dariet weszła do kwatery porucznik Awn, usiadła na brzegu łóżka, obok nieobutych stóp Awn.

– Nie o tym. Miałaś wiadomości od Skaaiat?

Awn zamknęła oczy. Wciąż niespokojna. Wciąż rozgniewana. Ale w nieco innym nastroju.

– Dlaczego myślisz, że mogłam mieć?

Dariet milczała przez trzy sekundy.

– Lubię Skaaiat – powiedziała wreszcie. – Wiem, że ona lubi ciebie.

– Byłam na miejscu. Wygodnie pod ręką. Wszystkie wiemy, że niedługo się przenosimy, a wtedy Skaaiat nie będzie już obchodziło, czy ja w ogóle istnieję. A nawet gdyby... – Awn urwała. Przełknęła. Odetchnęła. – Nawet gdyby ją obchodziło – ciągnęła głosem odrobinę mniej opanowanym niż wcześniej – to nie ma znaczenia. Nie jestem osobą, z którą chciałaby utrzymywać kontakt, już nie. Jeśli w ogóle byłam.

Na dole Anaander Mianaai powiedziała:

– Porucznik Dariet jest chyba za reformami.

To mnie zdumiało. Ale Var Jeden nie miała oczywiście żadnych opinii, jako że była tylko Var Jeden, i nie okazała żadnej fizycznej reakcji na moje zdumienie. Nagle zrozumiałam wyraźnie, że używam Var Jeden jako maski, chociaż nie rozumiałam, dlaczego ani w jaki sposób robię coś takiego. Ani dlaczego teraz o tym pomyślałam.

– Błagam o wybaczenie, pani, nie uważam, że to stanowisko polityczne.

– Nie?

– Nie, pani. Ty zarządziłaś reformy. Lojalni obywatele je poprą.

Ta Mianaai uśmiechnęła się. Druga wstała, wyszła z pokoju dekady, żeby przeprowadzić inspekcję w korytarzach Var. Nie odzywała się do żadnych mijanych segmentów Var Jeden i nie zwracała na nie uwagi.

Awn powiedziała do sceptycznie milczącej Dariet:

– Dla ciebie to łatwe. Nikt nie pomyśli, że klękasz dla korzyści, kiedy pójdziesz z kimś do łóżka. Albo że za wysoko mierzysz. Nikt się nie zastanawia, co sobie myśli twój partner albo jak w ogóle się tu dostałaś.

– Już ci mówiłam, za bardzo się tym przejmujesz.  
– Czyżby? – Awn otworzyła oczy, dźwignęła się na łokciach. – Skąd wiesz? Dużo miałaś takich doświadczeń? Ja mam. Przez cały czas.  
– Ta kwestia jest bardziej skomplikowana, niż sądzi wiele osób – powiedziała Mianaai w pokoju dekady. – Porucznik Awn oczywiście jest za reformami. – Żałowałam, że nie mam fizycznych danych od Mianaai, żebym mogła zinterpretować ostry ton w jej głosie, kiedy wymieniła porucznik Awn. – I chyba Dariet, chociaż w jakim stopniu, to jeszcze pytanie. A reszta oficerów? Kto tu jest za reformami, a kto przeciw?

W kwaterze Awn porucznik Dariet westchnęła.

– Myślę, że za bardzo się tym martwisz. Kogo obchodzi, co tacy ludzie gadają?  
– Łatwo mówić, kiedy jesteś bogata i w tej samej klasie społecznej co „tacy ludzie”.  
– Te rzeczy nie powinny mieć znaczenia.  
– Nie powinny. Ale mają.

Dariet zmarszczyła brwi. Gniewna i sfrustrowana. Takie rozmowy już się odbywały i za każdym razem przybierały jednakowy obrót.

– No, wszystko jedno. Powinnaś wysłać Skaaiat wiadomość. Co masz do stracenia? Jeśli nie odpowie, to nie. Ale może... – Dariet uniosła nieznacznie jedno ramię w geście mówiącym: „zaryzykuj i zobacz, co los ci przyniesie”.

Gdybym zawahała się choćby przez ułamek chwili z odpowiedzią na pytanie Anaander Mianaai, wiedziałaby, że nadpisanie nie działa. Var Jeden była bardzo, bardzo spokojna. Wymieniłam kilku oficerów, których poglądy zdecydowanie przechylały się na jedną czy drugą stronę.

– Reszta – zakończyłam – zadowala się wypełnianiem rozkazów i wykonywaniem swoich obowiązków, nie przejmując się zbyt polityką. O ile mi wiadomo.

– Można ich przeciągnąć na jedną albo drugą stronę – zauważyła Mianaai.

– Tego nie wiem, pani.

Mój lęk narastał, ale w dziwnie oderwany sposób. Może absolutny brak reakcji moich serwitorów sprawiał, że to uczucie wydawało się odległe i nierealne. Znane mi statki, które zamieniły załogę serwitorów na ludzką, opowiadały, że ich percepcja emocji się zmieniała, chociaż to nie całkiem pasowało do danych, które mi pokazywały.

Do uszu Awn i Dariet doleciał słaby śpiew Esk Jeden, prosta piosenka w dwóch częściach.

*Wędrowałam, wędrowałam,  
kiedy spotkałam moją miłość.*

*Wędrowałam ulicami,  
gdy ujrzałam moją prawdziwą miłość.*

*Rzekłam: Ona jest piękniejsza niż klejnoty, cudniejsza niż nefryt i opal, srebro i złoto.*

– Cieszę się, że Esk Jeden jest znowu sobą – powiedziała Dariet. – Ten pierwszy dzień był upiorny.

– Esk Dwa nie śpiewał – wytknęła Awn.

– Tak, ale... – Dariet wykonała gest zwątpienia. – To było nie w porządku. – Popatrzyła z namysłem na Awn.

– Nie mogę o tym rozmawiać. – Awn opadła na poduszki i zakryła oczy skrzyżowanymi rękami.

Na pokładzie dowodzenia Setka kapitan Rubran spotkała się z komandorami dekad, piła herbatę, omawiała harmonogramy i czasy odlotów.

– Nie wymieniłaś Setki kapitan Rubran – powiedziała Mianaai w pokoju dekady Var. Nie wymieniłam. Znałam kapitan Rubran bardzo dobrze, znałam jej każdy oddech, każde drgnienie każdego mięśnia. Była moim kapitanem od pięćdziesięciu sześciu lat.

– Nigdy nie słyszałam, żeby wyrażała opinię na ten temat – powiedziałam całkowicie zgodnie z prawdą.

– Nigdy? Więc na pewno ma jakąś opinię i ją ukrywa.

Uderzyło mnie, że to właściwie impas. Mów, a wszyscy poznają twoje zdanie. Wstrzymaj się od mówienia, a wszyscy pomyślą, że masz jakieś zdanie. Gdyby kapitan Rubran powiedziała: „Naprawdę nie mam zdania w tej kwestii”, czy to byłby po prostu dowód, że ukrywa swoje zdanie?

– Z pewnością bywa obecna, kiedy inni o tym dyskutują – ciągnęła Mianaai. – Jakie są jej odczucia w takich sytuacjach?

– Irytacja – odpowiedziałam poprzez Var Jeden. – Zniecierpliwienie. Czasami nuda.

– Irytacja. – Mianaai się zamyśliła. – Ciekawe na co? – Nie znałam odpowiedzi, więc milczałam. – Przy jej rodzinnych koneksjach trudno mi ocenić, po której stronie ulokowała swoje sympatie. A niektórych spośród jej rodziny nie chcę zrażać, zanim wykonam jasne posunięcie. Muszę postępować ostrożnie z kapitan Rubran. Ale ona też.

„Ona” znaczyło oczywiście też ją.

Nie próbowała wybadać moich sympatii. Może... nie, na pewno nie miały znaczenia. I zaszłam już daleko po ścieżce, na którą mnie skierowała tamta druga Mianaai. Te kilka Mianaai i cztery segmenty Var Jeden rozmrożone do jej usług sprawiły tylko, że pokład Var wydawał się jeszcze bardziej pusty, tak jak wszystkie pokłady od tego miejsca aż do moich silników. W moich ładowniach spały setki tysięcy serwitorów, które w ciągu najbliższych kilku lat prawdopodobnie zostaną usunięte, zmagazynowane albo zniszczone, i nigdy już się nie obudzą. A ja zostanę umieszczona gdzieś na stałej orbicie. Moje silniki niemal na pewno zostaną rozmontowane. Albo od razu mnie zniszczą – chociaż żadnej z nas dotąd to nie spotkało i byłam przekonana, że będę raczej służyć jako habitat albo rdzeń małej stacji.

Nie do takiego życia mnie zbudowano.

– Nie, nie mogę się spieszyć z Rubran Osck. Ale twoja porucznik Awn to co innego. I może przyda się do wykrycia, na czym stoją Awer.

– Pani – powiedziałam ustami jednej z Var Jeden. – Nie jestem w stanie zrozumieć, co się dzieje. Czułabym się znacznie lepiej, gdyby Setka kapitan wiedziała, że tu jesteś.

– Nie lubisz niczego ukrywać przed swoją kapitan? – zagadnęła Anaander tonem w równych częściach rozgoryczonym i rozbawionym.

– Tak, pani. Oczywiście postąpię dokładnie tak, jak mi rozkażesz. – Ogarnęło mnie nagłe wrażenie *déjà vu*.

– Oczywiście. Powinnam wyjaśnić parę spraw.

Wrażenie *déjà vu* narastało. Odbywałam już tę rozmowę z lord Radch, niemal dokładnie w tych okolicznościach. Teraz ona powie: „Wiesz, że każdy z twoich serwitorskich segmentów jest całkowicie zdolny do posiadania własnej tożsamości”.

– Wiesz, że każdy z twoich serwitorskich segmentów jest całkowicie zdolny do posiadania własnej tożsamości.

– Tak.

Każde słowo znajome. Czulałam to, jakbyśmy recytowały tekst wyuczony na pamięć. Następnie ona powie: „Wyobraź sobie, że nie możesz się zdecydować w jakiejś sprawie”.

– Wyobraź sobie, że jakiś wróg oddzielił część ciebie od ciebie.

Nie tego się spodziewałam. Co ludzie mówią w takich chwilach? Rozterka. Rozdarcie wewnętrzne. Bicie się z myślami.

– Wyobraź sobie, że ten wróg zdołał podstępem lub przemocą uzyskać każdy niezbędny dostęp. I że twoja część wraca do ciebie... ale w rzeczywistości to nie jest część ciebie. Tylko że nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie od razu.

„Ty i ja naprawdę możemy być rozdarte wewnętrznie, prawda?”

– To bardzo niepokojąca myśl, pani.

– Owszem – zgodziła się Anaander Mianaai, przez cały czas siedząc w pokoju dekady Var oraz przeprowadzając inspekcję korytarzy i pokojów na pokładzie Var. Obserwując porucznik Awn, znowu samą i nieszczęśliwą. Grzebiąc w moim umyśle na pokładzie głównego dostępu. Przynajmniej tak myślała. – Nie wiem dokładnie, kto to zrobił. Podejrzewam udział Presgerów. Wtrącali się do naszych spraw jeszcze przed traktatem. A potem... pięćset lat temu najlepsze systemy chirurgiczne i korektory wytwarzano w przestrzeni Radch. Teraz kupujemy od Presgerów. Na początku tylko pograniczne stacje, ale teraz robią tak wszędzie. Osiemset lat temu Biuro Translatorskie było gromadką drobnych urzędników, którzy pomagali w kontaktach z pozaradchaajską inteligencją i wygładzali problemy lingwistyczne podczas aneksji. Teraz dyktują politykę. A najważniejszy z nich jest Emisariusz do Presgerów. – Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźnym niesmakiem. – Przed traktatem Presgerzy zniszczyli kilka statków. Teraz niszczą całą radchaajską cywilizację. Ekspansja, aneksja, to bardzo kosztowne. Konieczne... od samego początku. Najpierw, żeby otoczyć samo Radch strefą buforową, ochronić je przed każdym atakiem czy ingerencją. Później, żeby chronić tamtych obywateli. I rozszerzać zasięg cywilizacji. I... – Mianaai urwała, westchnęła krótko z irytacją. – Żeby zapłacić za poprzednie aneksje. Żeby zapewnić dobrobyt wszystkim Radchaai.

– Pani, dlaczego podejrzewasz, że za tym stoją Presgerzy? – Ale wiedziałam. Nawet z niekompletną, zamazaną pamięcią wiedziałam.

– Podzielili mnie. Zepsuli część mnie. I zepsucie się rozprzestrzenia, ta druga ja rekrutuje... nie tylko następne moje części, ale również moich własnych obywateli. Moje własne żołnierki. – „Moje własne statki”. – Moje własne statki. Mogę tylko zgadywać, co jest jej celem. Ale na pewno nic dobrego.

– Czy dobrze rozumiem, że ta druga Mianaai doprowadziła do zakończenia aneksji? – zapytałam, znając już odpowiedź.

– Ona zniszczy wszystko, co zbudowałam! – Nigdy nie widziałam lord Radch tak sfrustrowanej i gniewnej. Nie sądziłam, że jest do tego zdolna. – Czy zdajesz sobie sprawę... czy kiedykolwiek o tym pomyślałaś... że to zawłaszczanie środków podczas aneksji napędza naszą ekonomię?

– Niestety, pani, jestem tylko wojskowym transportowcem i nigdy nie troszczyłam się o takie rzeczy. Ale to, co mówisz, ma sens.

– Wątpię, czy chciałabyś stracić swoje serwitory.

Na zewnątrz moje odległe towarzyszk, „Sprawiedliwości” zaparkowane wokół układu, czekały w milczeniu. Ilu z nich złożono taką wizytę... albo obie takie wizyty?

– Nie, pani.

– Nie mogę obiecać, że do tego nie dopuszczę. Nie jestem przygotowana do otwartej wojny. Wykonuję tylko sekretne posunięcia, tu nacisnę, tam pociągnę, sprawdzam zasoby i sojuszników. Ale w końcu ona jest mną i niewiele mogę zrobić, czego ona z góry nie

przewidziała. Już kilka razy mnie wymanewrowała. Dlatego tak ostrożnie się do ciebie zbliżałam. Chciałam się upewnić, że cię jeszcze nie przekabaciła.

Czułam, że bezpieczniej tego nie komentować, więc powiedziałam przez Var Jeden:

– Pani, ta broń w jeziorze, w Ors. – Niemal zapytałam: „Czy to sprawił twój wróg?”, ale jeśli mieliśmy do czynienia z dwiema Anaander, występującymi przeciwko sobie nawzajem, skąd mogliśmy wiedzieć, która jest która?

– Wypadki w Ors nie potoczyły się dokładnie tak, jak sobie życzyłam – odparła Anaander Mianaai. – Nie spodziewałam się, że ktokolwiek znajdzie tę broń, ale gdyby jakaś orsyjska rybaczka ją znalazła i nic nie powiedziała albo nawet ją zabrała, wciąż osiągnęłabym cel. – Zamiast tego Denz Ay zgłosiła swoje znalezisko porucznik Awn. Lord Radch najwyraźniej nie spodziewała się tego, nie sądziła, że Orsyjki aż tak ufają Awn. – Nie uzyskałam tam tego, czego chciałam, ale rezultaty wciąż jeszcze mogą posłużyć moim celom. Setka kapitan Rubran otrzyma rozkazy, żeby odlecieć z tego układu do Valskaay. Ty powinnaś odlecieć rok temu i odleciałabyś, gdyby Świątobliwość z Ikkt nie nalegała, żeby porucznik Awn została, i gdyby nie mój sprzeciw. Świadomie czy nie, porucznik Awn jest narzędziem mojego wroga, na pewno.

Nie ufałam nawet Var Jeden, że odpowie spokojnie, więc milczałam. Na górze, na pokładzie głównego dostępu, lord Radch dalej wprowadzała zmiany, wydawała rozkazy, zmieniała moje myśli. Wciąż wierząc, że naprawdę to robi.

\*

Nikogo nie zdziwił rozkaz wylotu. Cztery inne „Sprawiedliwości” odleciały już w zeszłym roku, do ostatecznych miejsc pobytu. Lecz ani ja, ani żadna z moich oficerów nie spodziewaliśmy się Valskaay, sześć bram dalej.

Valskaay, którą opuszczałam z żalem. Dwieście lat wcześniej, w mieście Vestris Cor na samej Valskaay, Esk Jeden odkrył mnóstwo tomów skomplikowanej, wielogłosowej muzyki chóralnej, w całości przeznaczonej do rytuałów kłopotliwej religii Valskaay, niektóre pochodziły z czasów, zanim jeszcze ludzkość wyruszyła w kosmos. Załadował wszystko, co znalazł, toteż niezbyt żałował, że odesłano go od takiego skarbu na wieś, do ciężkiej pracy wykarczania rebeliantów z rezerwatu, do lasów, jaskiń i źródeł, których nie mogliśmy po prostu zniszczyć, ponieważ zaopatrywały w wodę połowę kontynentu. Kraina małych rzeczek, skalistych wzgórz i farm. Pasące się owce i sady brzoskwiniowe. I muzyka – nawet rebelianci, w końcu osaczeni, śpiewali albo żeby rzucić nam wyzwanie, albo dla pocieszenia, ich głosy docierały do moich pełnych wdzięczności uszu, kiedy stałam u wylotu jaskini, gdzie się ukrywali.

*Śmierć nas zabierze*

*Każdemu inną zapisał los*

*Wszyscy ją spotkają*

*I póki jestem gotowy*

*Nie boję się jej*

*Nieważne, jaką przybierze postać*

Kiedy myślałam o Valskaay, myślałam o słońcu i słodkim, świeżym smaku brzoskwiń. Myślałam o muzyce. Ale tym razem z pewnością nie zostaną wysłana na planetę – nie będzie żadnych sadów dla Esk Jeden, żadnych wizyt (nieoficjalnych, możliwie dyskretnych) na spotkaniach towarzystwa śpiewaczego.



Jak się okazało, w podróży na Valskaay nie miałam korzystać z bram, tylko generować własne, obierając bardziej bezpośredni kurs. Bramy, których używała większość podróżnych, wygenerowano przed mileniami i utrzymywano zawsze otwarte, stabilne, otoczone przez radiolatarnie nadające ostrzeżenia, zawiadomienia, informacje o miejscowych przepisach i niebezpieczeństwach nawigacji. Oprócz statków przepływał przez te bramy nieustanny strumień informacji.

W ciągu dwóch tysięcy lat swojego życia skorzystałam z nich raz. Jak wszystkie radchaajskie okręty wojenne, potrafiłam utworzyć własny skrót. To było bardziej niebezpieczne niż używanie stałych bram – błąd w obliczeniach mógł mnie wysłać dokądkolwiek albo nigdzie, w miejsce bez powrotu. A ponieważ nie zostawiałam za sobą żadnych konstrukcji, które utrzymywałyby bramę otwartą, podróżowałam w bąblu normalnej przestrzeni, izolowana od wszystkiego i wszystkich, dopóki nie wynurzyłam się w miejscu przeznaczenia. Nie popełniałam błędów, a podczas przygotowywania aneksji izolacja mogła być zaletą. Teraz jednak perspektywa samotnych miesięcy, z Anaander Mianaai sekretnie okupującą mój pokład Var, wprawiała mnie w zdenerwowanie.

Zanim zanurkowałam w bramę, nadeszła wiadomość od porucznik Skaaiat do porucznik Awn. Krótka. „Bądźmy w kontakcie. Nie żartowałam”.

Porucznik Dariet powiedziała:

– Widzisz, a nie mówiłam.

Ale Awn milczała.

W którymś momencie znowu otwierałam oczy, bo zdawało mi się, że słyszę głosy. Wszędzie wokół mnie błękit. Spróbowałam mrugnąć, odkryłam, że mogę tylko zamknąć oczy, i zostawiłam je zamknięte.

Jakiś czas później ponownie otwierałam oczy, przekręciłam głowę w prawo i zobaczyłam Seivarden oraz dziewczynkę, przykucnięte po przeciwnych stronach planszy do tiktika. Czyli śniłam albo majaczyłam. Przynajmniej już mnie nie bolało, co powinnam uznać za zły znak, ale nie potrafiłam się tym przejmować. Znowu zamknęłam oczy.

\*

Wreszcie się obudziłam, naprawdę się ocknęłam i odkryłam, że jestem w małym pokoiku o błękitnych ścianach. Leżałam w łóżku, a na ławce obok siedziała Seivarden, oparta o ścianę, i wyglądała na niewyspaną. Czy też, ściśle biorąc, na jeszcze bardziej niewyspaną niż zwykle.

Podniosłam głowę. Moje ręce i nogi były unieruchomione w korektorach.

– Nie śpisz – odezwała się Seivarden.

Opuściłam głowę z powrotem na poduszkę.

– Gdzie mój plecak?

– Tutaj. – Schyliła się, uniosła go w moje pole widzenia.

– Jesteśmy w ośrodku medycznym w Therrod – odgadłam i zamknęłam oczy.

– Tak. Myślisz, że możesz porozmawiać z lekarką? Bo ja nie rozumiem ani słowa z tego, co ona mówi.

Przypomniałam sobie mój sen.

– Nauczyłaś się grać w tiktika.

– To co innego. – Czyli to nie był sen.

– Sprzedałaś latacz. – Brak odpowiedzi. – Kupiłaś kef.

– Nie, nie kupiłam – zaprotestowała. – Chciałam. Ale kiedy się obudziłam i ciebie nie było... – Usłyszałam, jak poruszyła się niezręcznie na ławie. – Chciałam znaleźć dilerę, ale martwiłam się, że odeszłaś i nie wiem, gdzie jesteś. Zaczęłam myśleć, że może mnie zostawiłaś.

– Nie przejmowałabyś się tym, gdybyś wzięła kef.

– Ale nie wzięłam kefu – odparła zadziwiająco rozsądnym tonem. – A potem poszłam do recepcji i dowiedziałam się, że się wymeldowałam.

– I postanowiłaś znaleźć mnie, a nie kef – dokończyłam. – Nie wierzę ci.

– Nie dziwię ci się. – Milczała przez pięć sekund. – Siedziałam tu i myślałam. Oskarżyłam cię, że mnie nienawidzisz, bo jestem lepsza od ciebie.

– Nie dlatego cię nienawidzę.

Zignorowała to.

– Na łaskę Amaat, ten upadek... to był mój głupi błąd, byłam pewna, że umrę, i w odwrotnej sytuacji nigdy bym nie skoczyła, żeby uratować komuś życie. Ty nigdy nie klęczałaś, żeby się gdzieś dostać. Jesteś, gdzie jesteś, bo jesteś cholernie kompetentna i gotowa wszystko zaryzykować, żeby postąpić właściwie, i nigdy ci nie dorównam nawet w połowie, choćbym próbowała przez całe życie, i wyobrażałam sobie, że jestem lepsza od ciebie, nawet na wpół martwa i nieprzydatna dla nikogo, bo moja rodzina jest stara, bo jestem „lepiej urodzona”.

– Dlatego – wyjaśniłam – cię nienawidzę.

Roześmiała się, jakbym powiedziała coś całkiem zabawnego.

– Jeśli tyle jesteś gotowa zrobić dla kogoś, kogo nienawidzisz, co zrobiłabyś dla kogoś, kogo kochasz?

Nie umiałam odpowiedzieć. Na szczęście weszła lekarka, masywna, o bladej, okrągłej twarzy. Lekko, leciutko spochmurniała na mój widok.

– Obawiam się – powiedziała tonem, który wydawał się bezstronny, ale sugerował dezaprobatę – że nie rozumiem twojej przyjaciółki, kiedy próbuje wytłumaczyć, co się stało.

Spojrzałam na Seivarden, która wykonała bezradny gest.

– Nic z tego nie rozumiem. Staralam się, ale ona przez cały dzień patrzy na mnie jak na kupkę biologicznych odpadów, w które wdepnęła.

– To pewnie jej normalne zachowanie. – Odwróciłam się do lekarki. – Spadłyśmy z mostu.

Lekarka nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Obie?

– Tak.

Przez chwilę milczała.

– Nie oplaca się wprowadzać w błąd swojego lekarza. – A kiedy nie odpowiedziałam: – Nie jesteście pierwszymi turystkami, które weszły na zabroniony teren i odniosły obrażenia. Jesteście jednak pierwszymi, które twierdzą, że spadły z mostu i przeżyły. Nie wiem, czy podziwiać waszą bezczelność, czy oburzać się, że bierzecie mnie za taką idiotkę.

Ciągle nic nie mówiłam. Żadna wymyślona przez mnie historyjka nie wyjaśniłaby moich obrażeń równie przekonująco jak prawda.

– Członkowie sił militarnych muszą się rejestrować po przybyciu do układu – ciągnęła lekarka.

– Słyszałam o tym.

– Zarejestrowałaś się?

– Nie, ponieważ nie jestem członkiem żadnej formacji militarnej.

Nie całkiem skłamałam. Nie byłam członkiem, tylko częścią wyposażenia. W dodatku samotnym, bezużytecznym fragmentem wyposażenia.

– Nasz ośrodek nie jest odpowiednio wyposażony – ciągnęła lekarka odrobinę surowiej niż przed chwilą – żeby się zajmować tego rodzaju implantami i augmentacjami, jakie najwyraźniej masz. Nie potrafię przewidzieć rezultatów napraw, które zaprogramowałam. Powinieneś odwiedzić lekarza, kiedy wrócisz do domu. Do Gerentate. – Ostatnie słowo wymówiła nieco sceptycznie, co świadczyło, że mi nie dowierza.

– Zamierzam wrócić prosto do domu, kiedy stąd wyjdę – oświadczyłam.

Zastanawiałam się, czy lekarka doniosła na nas jako możliwych szpiegów. Chyba nie... wtedy nie okazywałaby żadnej podejrzliwości, tylko po prostu czekała, aż władze się nami zajmą. Więc nie doniosła. Dlaczego?

Możliwa odpowiedź wsadziła głowę w drzwi i zawołała wesoło:

– Breq! Obudziłaś się! Wujek jest piętro wyżej. Co się stało? Twój przyjaciel tak jakby mówił, że skoczyłaś z mostu, ale to niemożliwe. Lepiej się czujesz? – Dziewczynka weszła do pokoju. – Witam, doktorze, czy Breq wyzdrowieje?

– Nic mu nie będzie. Korektory powinny jutro odpaść. Chyba że coś pójdzie źle. – Po tej radosnej uwadze odwróciła się i wyszła.

Dziewczynka usiadła na brzegu mojego łóżka.

– Twój przyjaciel beznadziejnie gra w tiktika, cieszę się, że nie nauczyłam go części hazardowej, bo nie zostałoby mu żadnych pieniędzy, żeby zapłacić za leczenie. A to twoje pieniądze, prawda? Za latacz.

Seivarden zmarszczyła brwi.

– Co? Co ona mówi?

Postanowiłam jak najszybciej sprawdzić zawartość plecaka.

– Musiałby je odegrać w pionki.

Sądząc po minie, dziewczynka wcale mi nie uwierzyła.

– Wiesz, naprawdę nie powinniście wchodzić pod most. Znam kogoś, kto miał przyjaciółkę, której kuzyn wszedł pod most, a ktoś upuścił kromkę chleba i spadała szybko, aż uderzyła go w głowę, rozbiła mu czaszkę, wbiła się w mózg i zabiła go.

– Bardzo mi się podobał śpiew twojej kuzynki. – Nie chciałam znowu podejmować dyskusji o tym, co się stało.

– Czyż ona nie jest cudowna? Och! – Odwróciła głowę, jakby coś usłyszała. – Muszę już iść. Odwiedzę cię znowu!

– Będę wdzięczna – powiedziałam, a ona znikła za drzwiami. Spojrzałam na Seivarden. – Ile to kosztowało?

– Mniej więcej tyle, ile dostałam za latacz – odparła i lekko pochyliła głowę, może ze wstydu. Może z innego powodu.

– Czy wyjmowałaś coś z mojego plecaka?

Poderwała głowę.

– Nie! Przysięgam, że nie. – Nie odpowiedziałam. – Nie wierzysz mi. Nie mam do ciebie pretensji. Możesz sprawdzić, jak tylko będziesz miała wolne ręce.

– Sprawdzę. Ale co potem?

Zmarszczyła brwi, nie pojmując. I oczywiście nie rozumiała – doszła aż do tego, że uznała mnie (błędnie) za godną szacunku istotę ludzką. Najwyraźniej nie osiągnęła jeszcze etapu, na którym mogłaby dopuścić ewentualność, że nie jest dostatecznie ważna dla Radch, żeby wysłali za nią oficer Misji Specjalnych.

– Nie wyznaczono mnie, żeby cię odnaleźć – powiedziałam. – Trafiłam na ciebie wyłącznie przez przypadek. O ile mi wiadomo, nikt cię nie szuka.

Żałowałam, że nie mogę gestykulować, odesłać jej machnięciem ręki.

– Więc czemu tu jesteś? Nie przygotowujesz terenu pod aneksję, już ich nie robią. Tak mi powiedzieli.

– Koniec z aneksjami – przyznałam. – Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że możesz iść, dokąd zechcesz, nie mam rozkazu, żeby cię sprowadzić z powrotem.

Seivarden rozważała to przez sześć sekund, po czym powiedziała:

– Próbowałam już przedtem rzucić. I rzuciłam. Ta stacja, na której byłam, miała program: rzucasz, oni dają ci pracę. Jeden z ich pracowników mnie zamknął, odtruł i pokazał kontrakt. Praca była gówniana, kontrakt był bzdurny, ale miałam dość. Myślałam, że mam dość.

– Jak długo wytrzymałaś?

– Niecałe sześć miesięcy.

– Sama rozumiesz – powiedziałam po dwusekundowej pauzie – dlaczego nie bardzo ci ufam tym razem.

– Wierz mi, rozumiem. Ale teraz jest inaczej. – Żarliwie nachyliła się do przodu. – Nic tak nie rozjaśnia w głowie jak świadomość, że zaraz umrzesz

– Efekt jest często krótkotrwały.  
– Na tamtej stacji powiedzieli, że mogą mi dać coś, żeby kef już nigdy na mnie nie działał. Ale najpierw musiałam naprawić to, przez co w ogóle zaczęłam brać, bo inaczej po prostu znalazłabym coś innego. Bzdura, jak mówiłam, ale gdybym naprawdę chciała, naprawdę miała poważne zamiary, zrobiłabym to wtedy.

Przedtem, w domu Strigan, dawała do zrozumienia, że zaczęła brać z prostego, konkretnego powodu.

– Powiedziałaś im, dlaczego zaczęłaś? – Milczała. – Powiedziałaś im, kim byłaś?

– Oczywiście, że nie.

Domyślałam się, że te dwa pytania były dla niej jednym.

– Na Garsedd zetknęłaś się ze śmiercią.

Drgnęła nieznacznie.

– I wszystko się zmieniło. Obudziłam się i wszystko, co miałam, należało do przeszłości. W dodatku niezbyt dobrej przeszłości, nikt nie chciał mi powiedzieć, co się stało, wszyscy byli tacy uprzejmi i pogodni i to wszystko było fałszem. Nie widziałam przed sobą żadnej przyszłości. Słuchaj. – Nachyliła się do przodu, przejęta, oddychając trochę szybciej. – Jesteś tu sama, działasz na własną rękę, bo widocznie nadajesz się do tego, inaczej nie dostałabyś takiego przydziału. – Przerwała na chwilę, może rozważając kwestię, kto się do czego nadawał, kto gdzie został przydzielony, i odrzucając ją. – Ale w końcu możesz wrócić na Radch i znaleźć ludzi, którzy cię znają, ludzi, którzy cię pamiętają, osobiście, miejsce, gdzie przynależysz, nawet jeśli nie zawsze tam jesteś. Nieważne, dokąd pójdziesz, zawsze jesteś częścią tego wzorca, nawet jeśli nigdy nie wrócisz, zawsze wiesz, że tam jest. Ale kiedy otworzyli tę kapsułę kriogeniczną, każdy, kto kiedykolwiek interesował się mną osobiście, nie żył od siedmiuset lat. Pewnie dłużej. Nawet... – Głos jej zadrżał i urwała, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w jakiś punkt za moimi plecami. – Nawet statki.

„Nawet statki”.

– Statki? Nie tylko „Miecz Nathtas”?

– Mój... pierwszy statek, na którym służyłam. „Sprawiedliwość Toren”. Myślałam, że jeśli się dowiem, gdzie stacjonuje, mogłabym wysłać wiadomość i... – Wykonała gest negacji, skreślając resztę zdania. – Zniknął. Jakies dziesięć... zaraz... straciłam rachubę czasu. Jakies piętnaście lat temu. – Bliżej dwudziestu. – Nikt nie mógł mi powiedzieć, co się stało. Nikt nie wie.

– Czy któryś ze statków, na jakich służyłaś, szczególnie cię lubił? – zapytałam głosem starannie pozbawionym emocji. Neutralnym.

Zamrugnęła. Wyprostowała się.

– To dziwne pytanie. Masz jakieś doświadczenia ze statkami?

– Tak – odparłam. – W zasadzie.

Służyła na „Mieczu Nathtas” i „Sprawiedliwości Toren” i oba zginęły.

– Statki zawsze są przywiązane do swoich kapitanów.

– Nie tak jak dawniej. – To było dawno, dawno temu. – I nawet wtedy mają swoich faworytów. – Chociaż faworyt niekoniecznie o tym wie. – Ale to nie ma znaczenia, prawda? Statki to nie ludzie, stworzono je, żeby służyły, żeby były przywiązane, jak to ujęłaś.

Seivarden zmarszczyła brwi.

– Teraz jesteś zła. Bardzo dobrze to ukrywasz, ale jesteś zła.

– Czy opłakujesz swoje statki, ponieważ nie żyją? Czy dlatego, że ich strata oznacza, że nie

czujesz się połączona i nie ma kto się o ciebie troszczyć? – Milczenie. – Albo może myślisz, że to jedno i to samo? – Wciąż brak odpowiedzi. – Odpowiem na własne pytanie: nigdy nie byłaś faworytem żadnego ze statków, na których służyłaś. Nie wierzysz, że statek może mieć faworytów.

Oczy Seivarden się rozszerzyły – może ze zdumienia, może z innego powodu.

– Znasz mnie za dobrze, żebym uwierzyła, że nie jesteś tutaj ze względu na mnie. Myślę tak od chwili, kiedy w ogóle zaczęłam o tym myśleć.

– W takim razie od niezbyt dawna – stwierdziłam.

Zignorowała moje słowa.

– Odkąd otwarli tę kapsułę, jesteś pierwszą osobą, która wydaje się znajoma. Jakbym cię rozpoznała. Jakbyś ty mnie rozpoznała. Nie wiem, dlaczego tak jest.

Ja oczywiście wiedziałam. Ale to nie była odpowiednia chwila na wyjaśnienia, kiedy leżałam unieruchomiona i bezbronna.

– Zapewniam cię, że nie jestem tu z twojego powodu. Mam tu osobiste sprawy do załatwienia.

– Skoczyłaś z tego mostu dla mnie.

– I nie będę twoim powodem do rzucenia kefu. Nie biorę za ciebie odpowiedzialności. Musisz to zrobić sama. Jeśli naprawdę zamierzasz to zrobić.

– Skoczyłaś z tego mostu dla mnie. To musiało być ponad trzy kilometry w dół. Więcej. To... to... – Urwała, pokręciła głową. – Zostanę z tobą.

Zamknęłam oczy.

– Jeśli choćby pomyślę, że zamierzasz znowu mnie okraść, połamię ci nogi i zostawię cię, i gdybyśmy się jeszcze spotkały, to wyłącznie przez przypadek. – Tylko że Radchaai nie uznają przypadków.

– Chyba nie mogę się sprzeciwić.

– Nie radzę.

Zaśmiała się krótko, po czym zamilkła na piętnaście sekund.

– Więc powiedz mi, Breq – podjęła – skoro tu jesteś w sprawach osobistych, które nie mają nic wspólnego ze mną, dlaczego nosisz w plecaku broń Garseddai?

Korektory całkowicie unieruchamiały moje ręce i nogi. Nie mogłam nawet dźwignąć ramion z łóżka. Lekarka wpadła do pokoju ciężkim truchtem, z zarumienioną bladą twarzą.

– Leż spokojnie! – skarciła mnie, a potem odwróciła się do Seivarden. – Coś ty zrobiła?

Tyle Seivarden najwyraźniej rozumiała. Rozłożyła ręce bezradnym gestem.

– Nic! – zapewniła żarliwie w tym samym języku.

Lekarka zmarszczyła brwi, pogroziła Seivarden palcem. Seivarden wyprostowała się, oburzona tym gestem, znacznie bardziej niegrzecznym na Radch niż tutaj.

– Będiesz przeszkadzać, to wynocha! – oświadczyła surowo lekarka. Potem znowu odwróciła się do mnie. – Ty masz leżeć spokojnie i wyzdrowieć jak należy.

– Tak jest, pani doktor. – Zaprzestałam tych nieznaczących ruchów, które mogłam wykonać. Odetchnęłam i próbowałam się opanować.

To chyba ją ułagodziło. Przyglądała mi się przez chwilę, niewątpliwie mierząc mój puls i oddech.

– Jeśli nie możesz się uspokoić, podam ci lekarstwo. – Propozycja, pytanie, groźba. –

Mogę go – spojrzenie w stronę Seivarden – usunąć.

– Nie trzeba. Ani jednego, ani drugiego.

Lekarka chrząknęła sceptycznie i wyszła z pokoju.

– Przepraszam – powiedziała Seivarden po jej wyjściu. – To było głupie. Powinnam była najpierw pomyśleć, zanim zaczęłam gadać. – Milczałam. – Kiedy spadłyśmy na dno – ciągnęła, jakby to wynikało logicznie z poprzednich słów – byłaś nieprzytomna. I oczywiście poważnie ranna, nie wiedziałam, czy nie masz połamanych kości, dlatego cię nie ruszałam. Nie miałam jak wezwać pomocy, ale pomyślałam, że może ty masz coś, co mi pomoże się wydostać, albo jakieś korektory pierwszej pomocy, których mogłabym użyć, ale oczywiście to było głupie, wciąż miałaś podniesioną broń, dlatego wiedziałam, że jeszcze żyjesz. Wyjęłam z twojego płaszcza komunikator, ale nie było sygnału. Musiałam wspiąć się na górę, żeby kogoś złapać. Kiedy wróciłam, miałaś opuszczoną broń i przestraszyłam się, że nie żyjesz. Wszystko jest na miejscu.

– Pokaż mi.

Podniosła plecak przed moje oczy, otworzyła go. Odsunęła koszulę na zmianę zakrywającą skrzynkę.

– Chyba nie powinnam tego wyjmować.

– Jeśli broń zniknęła – powiedziałam spokojnym, neutralnym głosem – to nie tylko połamię ci nogi.

– Jest tam – zapewniła. – Ale to nie może być sprawa osobista, prawda?

– Osobista. – Po prostu w moim przypadku „osobista” dotyczyła wielu innych osób. Ale jak mogłam to wyjaśnić, nie wyjawiając więcej, niż na razie zamierzałam?

– Powiedz mi.

To nie była odpowiednia chwila. Ale należało wiele wyjaśnić, zwłaszcza że wiedza Seivarden o historii ostatniego tysiąclecia z pewnością była fragmentaryczna i powierzchowna. Nawarstwiły się całe lata wydarzeń, o których nie miała pojęcia, których zrelacjonowanie wymagało czasu, zanim w ogóle doszłabym do tego, kim jestem i co zamierzam.

I ta historia coś zmieniała. Bez jej zrozumienia jak Seivarden mogła zrozumieć cokolwiek? Bez tego kontekstu jak mogła zrozumieć, dlaczego ktoś działał w określony sposób? Gdyby Anaander Mianaai nie zareagowała na Garseddai z taką furją, czy zrobiłaby rzeczy, które robiła w ciągu następnego tysiąca lat? Gdyby porucznik Awn nigdy nie słyszała o wypadkach na Ime pięć lat wcześniej, teraz już dwadzieścia pięć lat temu, czy postąpiłaby tak, jak postąpiła?

Kiedy to sobie wyobraziłam, tamtą chwilę, którą wybrała żołnierka „Łaski Sarrse”, żeby sprzeciwić się rozkazom, zobaczyłam ją jako segment serwitorskiej jednostki. Była numerem Jeden w jednostce Amaat „Łaski Sarrse”, najwyższym rangą członkiem załogi. Chociaż była człowiekiem, miała imię oprócz swojego miejsca na statku, oprócz Jedynek Amaat Jeden „Łaski Sarrse”. Ale nigdy nie widziałam nagrania, nigdy nie widziałam jej twarzy.

Była człowiekiem. Wytrzymała na Ime – może nawet umacniała dyktaturę skorumpowanej gubernator, kiedy dostała takie rozkazy. Ale w tamtej szczególnej chwili coś się zmieniło. Czegoś było dla niej za wiele.

Co to było? Może widok Rrrrrr, martwych lub umierających? Widziałam zdjęcia Rrrrrr, węzowo długich, futrzastych, o wielu kończynach, porozumiewających się warczeniem i szczekaniem; i związanych z nimi ludzi, którzy znali ich język. Czy to Rrrrrr sprowadzili Jedynek Amaat Jeden „Łaski Sarrse” z utartej ścieżki? Czy tak się przejęła groźbą złamania traktatu z Presgerami? Czy chodziło o zabicie tylu bezbronych istot? Gdybym znała ją lepiej,

może zrozumiałabym, dlaczego w tamtej chwili zdecydowała, że woli raczej umrzeć.

Prawie nic o niej nie wiedziałam. Zapewne celowo. Ale nawet ta garstka informacji, które znałam i które znała porucznik Awn, coś zmieniła.

– Czy nikt ci nie mówił, co się stało na stacji Ime?

Seivarden zmarszczyła brwi. Zamknęła plecak, zapięła, postawiła u swoich stóp.

– Nie. Powiedz mi.

Opowiedziałam jej. O skorumpowanej gubernator, która nie pozwoliła stacji Ime ani żadnemu ze statków wysłać raportu o jej postępach, nie pozwoliła zawiadomić nikogo w przestrzeni Radch. O statku, który przybył pewnego dnia – zakładali, że był ludzki, nikt nie wiedział o żadnych obcych w pobliżu, i oczywiście nie był radchaajski, więc stanowił łatwy łup. Opowiedziałam Seivarden o żołnierzach z „Łaski Sarrse”, którzy weszli na pokład nieznanego statku z rozkazem, żeby go przejąć i zabić wszystkich, którzy stawiają opór albo których nie da się zmienić w serwitory. Wiedziałam niewiele – tyle że kiedy jednostka Amaat Jeden weszła na obcy statek, ich Jedyńka odmówiła dalszego wykonywania rozkazów. Przekonała resztę Amaat Jeden, żeby się do niej przyłączyły, przeszły na stronę Rrrrrr i uciekły statkiem.

Seivarden tylko jeszcze bardziej spochmurniała, a kiedy skończyłam, zapytała:

– Więc mówisz, że gubernator Ime była całkowicie skorumpowana. I jakoś zdobyła dostęp, żeby powstrzymać stację Ime przed doniesieniem na nią? Jak to się stało?

Nie odpowiedziałam. Albo sama dojdzie do oczywistego wniosku, albo i tak nie zrozumie.

– I jakim sposobem testy mogły ją skierować na to stanowisko, jeśli była zdolna do czegoś takiego? To niemożliwe. Oczywiście – ciągnęła – z tego wynika cała reszta, prawda. Skorumpowana gubernator wyznacza skorumpowane urzędniczki, bez względu na wyniki testów. Ale stacjonujący tam kapitanowie... nie, to niemożliwe.

Nie potrafiła zrozumieć. W ogóle nie powinnam o tym wspominać.

– Kiedy tamta żołnierka odmówiła zabicia Rrrrrr, którzy wlecieli do układu, kiedy przekonała resztę swojej jednostki, żeby poszli w jej ślady, stworzyła sytuację, której nie dało się ukryć na dłuższą metę. Rrrrrr byli w stanie wygenerować własną bramę, więc gubernator nie mogła ich zatrzymać. Musieli tylko wykonać pojedynczy skok do najbliższego zamieszkanego układu i opowiedzieć, co się stało. I tak właśnie zrobili.

– Dlaczego komuś zależało na Rrrrrr? – Seivarden z pewnym trudem wydobyła z gardła ten dźwięk. – Poważnie? Tak się nazywają?

– Tak sami siebie nazywają – wyjaśniłam z największą cierpliwością. Kiedy wymawiał to Rrrrrr albo któryś z ich ludzkich tłumaczy, to brzmiało jak przedłużony warkot, niewiele się różniący od innych słów Rrrrrr. – Trochę trudno to wymówić. Większość ludzi po prostu wymawia długie „r”.

– Rrrrrr – powtórzyła Seivarden tytułem eksperymentu. – Ciągłe śmiesznie brzmi. Więc dlaczego komuś zależało na Rrrrrr?

– Ponieważ Presgerzy zawarli z nami traktat na podstawie podjętej przez nich decyzji, że ludzie są Ważni. Zabicie Nieważnego dla Presgera nic nie znaczy, przemoc pomiędzy członkami tego samego gatunku nic nie znaczy, ale masowa przemoc wobec innych Ważnych gatunków jest nie do przyjęcia. – Co nie znaczy, że wszelka przemoc została zakazana, ale podlegała pewnym ograniczeniom, których większość ludzi nie rozumiała w pełni, więc najbezpieczniej było całkiem unikać przemocy.

Seivarden szepnęła „aha”, kiedy kawałki układanki wskoczyły na miejsce.



– Tak więc – podjęłam – cała jednostka Amaat Jeden „Łaski Sarrse” przeszła na stronę Rrrrrr. Były poza zasięgiem, bezpieczne z obcymi, ale dla Radchaaai były winne zdrady. Pewnie lepiej byłoby po prostu je tam zostawić, ale Radch zażądało ich powrotu, żeby je skazać na karę śmierci. Oczywiście Rrrrrr tego nie chcieli. Jednostka Amaat Jeden uratowała im życie. Przez kilka lat sytuacja była napięta, ale w końcu osiągnięto kompromis. Rrrrrr wydali dowódcę jednostki, tę, która wszczęła bunt, w zamian za immunitet dla pozostałych.

– Ale... – Seivarden urwała.

Po siedmiu sekundach milczenia powiedziałam:

– Myślisz, że oczywiście musiała umrzeć, ponieważ nie można tolerować nieposłuszeństwa, z bardzo ważnych powodów. Ale jednocześnie jej zdrada ujawniła korupcję gubernator Ime, która w przeciwnym razie nadal by trwała, więc ostatecznie Jedyńka wyświadczyła Radch przysługę. Myślisz, że nikt nie jest taki głupi, żeby zabierać głos i krytykować urzędnika państwowego z dowolnych powodów. I myślisz, że jeśli ten, kto zabierze głos, żeby skrytykować coś ewidentnie złego, zostaje ukarany za samą krytykę, cywilizacja zmierza w złym kierunku. Nikt się nie odezwie, chyba że będzie gotów umrzeć za swoje słowa, i... – Zawahałam się, przełknęłam ślinę. – Niewielu się na to zdobędzie. Myślisz pewnie, że lord Radch musiała podjąć trudną decyzję, żeby wybrnąć z tej sytuacji. Ale również myślisz, że to były wyjątkowe okoliczności, a Anaander Mianaai jest w końcu najwyższą władzą i mogła ją ułaskawić, gdyby chciała.

– Myślę – odparła Seivarden – że lord Radch mogła po prostu pozwolić im zostać z Rrrrrr i pozbyć się tego całego bałaganu.

– Mogła – przyznałam.

– Myślę też, że na miejscu lord Radch nie dopuściłabym, żeby te wiadomości rozeszły się poza Ime.

– Mogłabyś wykorzystać swoje upoważnienia, żeby zmusić do milczenia statki i stacje. Zabroniłabyś o tym rozmawiać wszystkim obywatelom, których znasz.

– Tak. Tak bym zrobiła.

– Ale plotka i tak by się rozeszła. – Chociaż z konieczności powoli i nieścista. – Zmarnowałabyś okazję do bardzo pouczającego przykładu, gdybyś nie pozwoliła wszystkim patrzeć, jak ustawiasz w szeregu prawie całą administrację Ime w głównym korytarzu stacji i strzelasz każdej urzędniczce po kolei w głowę.

Oczywiście Seivarden była pojedynczą osobą i myślała o Anaander Mianaai jak o pojedynczej osobie, która może się wahać w takich sprawach, ale potem wybiera określony kierunek działania, bez wewnętrznych rozterek. Jednak za dylematem Anaander Mianaai kryło się o wiele więcej, niż przypuszczała Seivarden.

Seivarden milczała przez cztery sekundy, a potem powiedziała:

– Teraz znowu cię rozgniewam.

– Doprawdy? – rzuciłam oschle. – Nie jesteś już tym zmęczona?

– Jestem – przyznała po prostu, z powagą.

– Gubernator Ime była dobrze urodzona i dobrze wychowana – powiedziałam i wymieniłam nazwę jej domu.

– Nigdy o nich nie słyszałam – odparła Seivarden. – Tyle się zmieniło. A teraz dzieją się takie rzeczy. Naprawdę myślisz, że istnieje jakiś związek?

Odwróciłam głowę na poduszce. Nie byłam rozgniewana, tylko bardzo, bardzo zmęczona.

– Chcesz powiedzieć, że nic takiego by się nie stało, gdyby prowincjonalne karierowiczki

nie zrobiły kariery. Gdyby gubernator Ime pochodziła z rodziny o naprawdę nieposzlakowanej opinii.

Seivarden miała dość rozumu, żeby nie odpowiadać.

– Naprawdę nigdy nie znałaś nikogo „lepiej urodzonego”, kto otrzymał przydział albo stanowisko przerastające jego zdolności? Kto załamał się pod presją? Kto źle postąpił?

– Nie aż tak.

Racja. Ale wygodnie zapomniała, że Jedyńka Amaat Jeden „Łaski Sarrse” – człowiek, nie serwitor – według jej definicji też była „karierowiczką”, częścią tych zmian, o których sama wspomniała.

– Prowincjonalne karierowiczki i rzeczy tego rodzaju, jakie się wydarzyły w Ime, mają wspólną przyczynę. Jedno nie spowodowało drugiego.

– Więc jaka jest przyczyna? – zadała oczywiste pytanie.

Odpowiedź była zbyt skomplikowana. Jak daleko trzeba się cofnąć? „Zaczęło się w Garsedd. Zaczęło się, kiedy lord Radch zwielokrotniła się i wyruszyła na podbój całego ludzkiego kosmosu. Zaczęło się, kiedy zbudowano Radch”. I jeszcze wcześniej.

– Jestem zmęczona – powiedziałam.

– Naturalnie – zgodziła się Seivarden bardziej układnie, niż się spodziewałam. – Możemy o tym porozmawiać później.

Spędziłam tydzień, przemieszczając się w nieprzestrzeni pomiędzy Shis'urną a Valskaay – odizolowana – zanim lord Radch wykonała swój ruch. Nikt inny niczego nie podejrzewał, nie zostawiłam ani śladu, najmniejszej aluzji, najdrobniejszej wskazówki, że ktokolwiek przebywa na pokładzie Var, że cokolwiek jest nie w porządku.

Przynajmniej tak myślałam.

– Statku – zagadnęła mnie porucznik Awn po tygodniu – czy coś jest nie w porządku?

– Dlaczego pytasz, poruczniku? – odparłam. Esk Jeden odparła. Esk Jeden nieustannie towarzyszyła Awn.

– Byłyśmy razem na Ors przez długi czas – powiedziała Awn, nieco chmurnie spoglądając na segment, z którym rozmawiała. Od czasu Ors była ciągle przygnębiona, niekiedy mniej, niekiedy bardziej, pewnie w zależności od tego, jakie myśli przychodziły jej do głowy w danej chwili. – Sprawiasz wrażenie, że coś cię martwi. I jesteś cichsza. – Prychnęła z lekkim rozbawieniem. – W domu zawsze nuciłaś albo śpiewałaś. Teraz jest za cicho.

– Tutaj są ściany, poruczniku – wytknęłam jej. – W domu w Ors ich nie było.

Jej brew drgnęła nieznacznie. Widziałam, że się zorientowała, że moje słowa to wykręt, ale nie drążyła tematu.

\*

Jednocześnie w pokoju dekady Var Anaander Mianaai powiedziała do mnie:

– Rozumiesz, jaka jest stawka. Co to znaczy dla Radch. – Przytaknęłam. – Wiem, że to musi cię niepokoić. – Po raz pierwszy o tym wspomniała, odkąd weszła na pokład. – Stworzyłam cię, żebyś służyła moim celom, dla dobra Radch. Pragnienie, żeby mi służyć, to część twojej konstrukcji. A teraz musisz nie tylko służyć, ale też mi się przeciwstawiać.

Pomyślałam, że ogromnie mi ułatwia to przeciwstawianie. Zrobiła to jedna albo druga jej strona, nie wiedziałam która. Ale powiedziałam poprzez Jeden Var:

– Tak, pani.

– Jeśli jej się uda, w końcu Radch się rozpadnie. Nie centrum, nie samo Radch. – Mówiąc o Radch, większość ludzi miała na myśli całe radchaajskie terytorium, ale w rzeczywistości Radch było pojedynczym miejscem, sferą Dysona, zamkniętą, samowystarczalną. Nic rytualnie nieczystego nie wpuszczano do środka, żadna nieludzka czy niecywilizowana istota nie mogła tam wejść. Bardzo, bardzo niewiele protegowanych Mianaai kiedykolwiek przekroczyło jego granice i istniało już zaledwie kilka domów, których przodkowie niegdyś tam mieszkali. Pozostawało otwartą kwestią, czy ktokolwiek wewnątrz wiedział o poczynaniach Anaander Mianaai, o rozmiarach czy choćby istnieniu radchaajskiego terytorium, i czy kogoś to obchodziło. – Samo Radch, jako Radch, przetrwa dłużej. Ale moje terytorium, które zbudowałam, żeby je chronić, żeby zachować jego czystość, runie. Stworzyłam siebie tym, czym jestem, zbudowałam to wszystko... – szerokim gestem objęła ściany pokoju dekady, symbolizujące w tej chwili całość przestrzeni Radch – ...żeby zabezpieczyć centrum. Uchronić przed skażeniem. Nie mogłam tego powierzyć nikomu innemu. Teraz, jak się wydaje, nie mogę tego powierzyć samej sobie.

– Z pewnością nie, pani – odezwałam się, nie wiedząc, co jeszcze mogę powiedzieć, niepewna, przeciw czemu właściwie protestuję.

– Podczas tego procesu zginą miliardy obywateli – ciągnęła, jakby mnie nie usłyszała. –

Wskutek wojen czy braku zasobów. A ja...

Zawahała się. Jedność, pomyślałam, implikuje możliwość rozdzielenia. Początek implikuje koniec i wymaga końca. Ale tego nie powiedziałam. Najpotężniejsza osoba we wszechświecie nie potrzebowała, żebym robiła jej wykłady z religii czy filozofii.

– Ale jestem już rozdarta – dokończyła. – Mogę tylko walczyć, żeby nie dopuścić do dalszego rozłamu. Usunąć to, co już nie jest mną.

Nie bardzo wiedziałam, co mogę czy powinnam powiedzieć. Nie pamiętałam świadomie, żebym odbywała wcześniej tę rozmowę, chociaż teraz byłam pewna, że tak, że już słyszałam, jak Anaander Mianaai wyjaśnia i usprawiedliwia swoje działania po tym, jak zastosowała nadpisanie i zmieniła... coś. Z pewnością mówiła bardzo podobnie, może nawet tymi samymi słowami. Przecież w końcu była tą samą osobą.

– Muszę usunąć broń mojego wroga, gdziekolwiek ją znajdę. Przyślij do mnie porucznik Awn.

\*

Porucznik Awn weszła do pokoju dekady Var pełna obaw, nie wiedząc, po co ją tam wysłałam. Odmówiłam odpowiedzi na pytania, co tylko podsyciło jej narastające przeczucie, że coś jest bardzo nie w porządku. Kroki Awn na białej podłodze budziły puste echo, pomimo obecności Jeden Var. Kiedy dotarła do drzwi pokoju dekady, rozsunęły się niemal bezgłośnie.

Widok Anaander Mianaai w środku był dla porucznik Awn jak cios, brutalne żgnięcie strachu, zaskoczenia, grozy, szoku, zwątpienia i oszołomienia. Awn wzięła trzy oddechy, płytsze niż potrzebowała, potem nieznacznie wyprostowała ramiona, weszła do środka i padła na twarz.

– Poruczniku – powiedziała Anaander Mianaai. Jej akcent, jej ton stanowiły pierwowzór eleganckich samogłosek porucznik Skaaiat oraz bezmyślnej, lekko szyderczej arogancji porucznik Issaai. Awn leżała twarzą do podłogi i czekała. Przerażona.

Jak wcześniej, nie odbierałam od Mianaai żadnych danych, których mi umyślnie nie przysłała. Nie miałam żadnych informacji o jej stanie wewnętrznym. Wydawała się spokojna. Obojętna, niewzruszona. Byłam pewna, że to powierzchowne wrażenie jest kłamstwem, chociaż nie rozumiałam, dlaczego tak uważałam, tyle że nie wyrażała się przychylnie o porucznik Awn, chociaż powinna, moim zdaniem.

– Powiedz mi, poruczniku – odezwała się Mianaai po długiej chwili milczenia – skąd się wzięły te karabiny i co twoim zdaniem wydarzyło się w świątyni Ikkt.

Fala ulgi połączonej ze strachem zalała Awn. W tej krótkiej chwili, kiedy uświadamiała sobie obecność Anaander Mianaai, zdążyła sformułować przypuszczenie, że padnie takie pytanie.

– Pani, karabiny mógł ukryć tylko ktoś, kto miał dostateczną władzę, żeby je wykraść i zapobiec ich zniszczeniu.

– Na przykład ty.

Ostre ukłucie zaskoczenia i strachu.

– Nie, zapewniam cię, pani. Rzeczywiście rozbroiłam nieobywateli w miejscu mojego przydziału, a wśród nich znalazły się tanmindzkie wojskowe. – Posterunek policji w górnym mieście był istotnie całkiem dobrze uzbrojony. – Ale unieszkodliwiłam te egzemplarze, zanim je odesłałam dalej. A według numerów inwentarzowych tamte zebrano w Kould Ves.

– Zrobiły to oddziały „Sprawiedliwości Toren”?

– Tak właśnie zrozumiałam, pani.

– Statku?

Odpowiedziałam przez usta jednej z Jeden Var.

– Pani, tę broń zebrały Szesnaście i Siedemnaście Inu. – Wymieniłam nazwisko ich ówczesnej porucznik, którą do tej pory przydzielono gdzie indziej.

Anaander Mianaai bardzo leciutko zmarszczyła brwi.

– Więc całe pięć lat temu ktoś z uprawnieniami... może porucznik Inu, może ktoś inny... nie dopuścił do zniszczenia broni i ją ukrył. Na pięć lat. A potem co, podrzucił ją do orsyjskiego bagna? W jakim celu?

Wciąż twarzą do podłogi, mrugając w zmieszaniu, Awn potrzebowała tylko sekundy, żeby sformułować odpowiedź.

– Nie wiem, pani.

– Kłamiesz – oświadczyła Mianaai i oparła się wygodnie w krześle, pozornie odprężona i beztroska, ale nie odrywała spojrzenia od porucznik Awn. – Widzę wyraźnie, że kłamiesz. Słyszałam każdą twoją rozmowę od czasu tego incydentu. Kogo miałaś na myśli, kiedy mówiłaś, że ktoś jeszcze skorzysta na tej sytuacji?

– Gdybym znała nazwisko, wymieniłabym je, pani. Miałam na myśli tylko to, że musi istnieć jakaś konkretna osoba, która działała, która do tego doprowadziła... – Urwała, odetchnęła, zaczęła od nowa. – Ktoś spiskował z Tanmindkami, ktoś, kto miał dostęp do tych karabinów. Kimkolwiek były, chciały wywołać zamieszki pomiędzy górnym a dolnym miastem. Moim zadaniem było temu zapobiec. Zrobiłam, co mogłam, żeby temu zapobiec.

Odpowiedź zdecydowanie wymijająca. Od chwili kiedy Anaander Mianaai zarządziła pospieszną egzekucję tych tanmindzkich obywateli w świątyni, pierwszym i najbardziej oczywistym podejrzanym była sama lord Radch.

– Dlaczego ktokolwiek chciałby zamieszek pomiędzy górnym a dolnym miastem? – zapytała Anaander Mianaai. – Kto przyłożyłby do tego rękę?

– Jen Shinnan, pani, i jej współpracownicy – odparła porucznik Awn, przynajmniej chwilowo na najbezpieczniejszym gruncie. – Uważała, że etniczne Orsyjki są nadmiernie faworyzowane.

– Przez ciebie.

– Tak, pani.

– Więc mówisz, że w pierwszych miesiącach aneksji Jen Shinnan znalazła jakiegoś radchajskiego urzędnika gotowego wykraść skrzynie pełne karabinów, żeby pięć lat później mogła wywołać zamieszki pomiędzy górnym a dolnym miastem. Żeby wpędzić cię w kłopoty.

– Pani! – Awn uniosła czoło centymetr nad podłogę, potem znieruchomiała. – Nie wiem jak, nie wiem dlaczego. Nie wiem k... – Przełknęła ostatnie słowo, które, jak wiedziałam, byłoby kłamstwem. – Wiem tylko, że moim zadaniem było utrzymać pokój w Ors. Ten pokój był zagrożony i podjęłam działania, żeby... – Przerwała, bo widocznie sobie uświadomiła, jak niezręcznie brzmiałoby zakończenie tego zdania. – Moim zadaniem było chronić obywatelki w Ors.

– I dlatego tak gorąco protestowałaś przeciwko egzekucji ludzi, którzy zagrozili obywatelkom w Ors – stwierdziła Anaander Mianaai oschłym, ironicznym tonem.

– Byłam za nich odpowiedzialna, pani. I jak wtedy mówiłam, miałam ich pod kontrolą, mogłyśmy ich łatwo zatrzymać aż do przybycia posiłków. Ty jesteś najwyższą władzą i oczywiście wszyscy słuchają twoich rozkazów, ale nie rozumiem, dlaczego tamci ludzie musieli umrzeć. Nadal nie rozumiem, dlaczego musieli umrzeć właśnie wtedy. –

Półsekundowa przerwa. – Nie muszę rozumieć. Jestem tu, żeby wypełniać twoje rozkazy. Ale... – Ponownie urwała. Przełknęła ślinę. – Pani, jeśli o coś mnie podejrzewasz, o jakieś wykroczenie albo nielojalność, błagam, każ mnie przesłuchać, kiedy dotrzemy do Valskaay.

Narkotyków stosowanych w testach na zdolności i przy reedukacji można było również używać do przesłuchań. Wprawna śledcza potrafiła wyciągnąć z umysłu przesłuchiwanej najbardziej sekretne myśli. Niewprawna mogła uzyskać tylko nieistotne dygresje i konfabulacje, mogła uszkodzić podmiot niemal równie poważnie jak niezręczna reedukatorka.

To, o co poprosiła porucznik Awn, regulowały przepisy prawa – do najważniejszych należał wymóg obecności dwóch świadków, z których jednego mogła wyznaczyć sama Awn.

Widziałam, że zemdlilo ją ze strachu, kiedy Anaander Mianaai nie odpowiedziała.

– Pani, czy mogę mówić szczerze?

– Oczywiście, mów szczerze – rzuciła Anaander Mianaai oschłym, szorstkim tonem.

Awn, przerażona, niemal dotykała twarzą podłogi.

– To byłaś ty. Ty wykradłaś broń, ty zaplanowałaś te zamieszki razem z Jen Shinnan. Ale nie rozumiem dlaczego. Nie mogło chodzić o mnie, jestem nikim.

– Ale chyba nie zamierzasz pozostać nikim – odparła Anaander Mianaai. – Tak wnioskuję, skoro uganiaasz się za Skaaiat Awer.

– Pani... – Awn przełknęła ślinę. – Nigdy się za nią nie uganiałam. Przyjaźniłyśmy się. Ona nadzorowała sąsiedni dystrykt.

– Przyjaźniłyście się, tak to nazywasz.

Awn poczerwieniała. Przypomniała sobie swój akcent, swoją dykcję.

– Nie jestem dostatecznie zarozumiała, żeby to nazywać czymś więcej. – Żałosna.

Przestraszona.

Mianaai milczała przez trzy sekundy.

– Może nie. Skaaiat Awer jest przystojna i czarująca, i niewątpliwie dobra w łóżku. Ktoś taki jak ty łatwo ulegnie jej manipulacjom. Od pewnego czasu podejrzewam Awerów o nielojalność.

Awn chciała się odezwać, widziałam, jak napinają się mięśnie jej szyi, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

– Mówię o podżeganiu do buntu. Twierdzisz, że jesteś lojalna. A jednak zadajesz się ze Skaaiat Awer.

Anaander Mianaai skinęła ręką i w pokoju dekady rozbrzmiał głos Skaaiat.

„Znam cię, Awn. Jeśli zamierzasz zrobić coś tak szalonego, zachowaj to na okazję, kiedy możesz coś zmienić”.

I odpowiedź Awn:

„Jak Jedyńka Amaat Jeden «Łaski Sarrse»?”.

– Co – zapytała Anaander Mianaai – chciałabyś zmienić?

– Coś takiego – odparła Awn wyschniętymi ustami – jak tamta żołnierka z „Łaski Sarrse”. Gdyby nie zrobiła tego, co zrobiła, ten interes na Ime dalej by się kręcił. – Z pewnością zdawała sobie sprawę, co mówi. Że wkracza na niebezpieczny teren. Jej następne słowa dowiodły, że o tym wiedziała. – Umarła za to, tak. Ale odsłoniła przed tobą całą tę korupcję.

Miałam tydzień na przemyślenie tego, co mi powiedziała Anaander Mianaai. Przez ten czas odgadłam, w jaki sposób gubernator Ime mogła zdobyć upoważnienia, dzięki którym nie pozwoliła stacji Ime wysłać raportu o swoich nadużyciach. Mogła otrzymać te upoważnienia

tylko od samej Anaander Mianaai. Pytanie tylko, która Anaander Mianaai to umożliwiła.

– Mówiono o tym na wszystkich publicznych kanałach informacyjnych – zauważyła Anaander Mianaai. – Wolałabym, żeby nie mówiono. O tak – dodała w odpowiedzi na zdziwienie porucznik Awn. – Wcale sobie tego nie życzyłam. Cały ten incydent zasiał wątpliwości tam, gdzie przedtem ich nie było. Niezadowolenie i strach tam, gdzie przedtem była tylko ufność, że potrafię zapewnić sprawiedliwość i dobrobyt. Poradziłabym sobie z plotkami, ale relacje na oficjalnych kanałach! Audycje, które każda Radchaai mogła słyszeć i oglądać! Gdyby nie ten rozgłos, Rrrrrr mogliby po cichu zabrać zdrajczynie. Zamiast tego musiałam negocjować ich powrót albo pozwolić, żeby zostały jako zaproszenie do dalszych buntów. To mi sprawiło mnóstwo kłopotów. Wciąż sprawia kłopoty.

– Nie wiedziałam – bąknęła Awn spanikowana. – To było na wszystkich publicznych kanałach. – Potem coś do niej dotarło. – Ja nie... ja nie mówiłam nikomu o Ors. Nikomu.

– Oprócz Skaaiat Awer – wytknęła jej lord Radch. Niezbyt sprawiedliwie, skoro porucznik Skaaiat była na miejscu, dostatecznie blisko, żeby widzieć na własne oczy dowody, że coś się stało. – Nie – ciągnęła Mianaai w odpowiedzi na niewyartykułowane pytanie Awn – nie nadają tego na publicznych kanałach. Jeszcze. Widzę, że martwi cię myśl, że Skaaiat Awer może być zdrajczynią. Chyba trudno ci w to uwierzyć.

Awn ponownie usiłowała przemówić.

– Zgadza się, pani – wykrztusiła wreszcie.

– Mogę ci zaofiarować szansę udowodnienia jej niewinności. I polepszenia twojej sytuacji. Mogę pomanipulować twoim przydziałem tak, żebyś znowu znalazła się blisko niej. Musisz tylko przyjąć patronat, kiedy Skaaiat ci zaproponuje... och, ona zaproponuje – zapewniła Mianaai, niewątpliwie dostrzegając rozpacz Awn i powątpiewanie w jej słowa. – Awer kolekcjonuje takich jak ty. Karierowiczki z dotąd nieznaczących domów, które nagle znajdują się w pozycjach korzystnych dla interesów. Przyjmij patronat i obserwuj. – „I zdawaj raporty” pozostało w domyśle.

Lord Radch próbowała zmienić narzędzie wroga w swoje własne. Co będzie, jeśli jej się nie uda?

Ale co będzie, jeśli jej się uda? Nieważne, jakiego wyboru dokona teraz porucznik Awn, i tak będzie działać przeciwko lord Radch – Anaander Mianaai.

Widziałam już raz, co wybrała w obliczu śmierci. Wybrałaby drogę, na której zachowa życie. Później możemy, ona i ja, rozważyć implikacje, przeanalizować opcje, kiedy sytuacja się uspokoi.

W pokoju dekady Esk zaniepokojona porucznik Dariet zapytała:

– Statku, co się dzieje z Esk Jeden?

– Pani – powiedziała Awn drżącym głosem, z twarzą wciąż przy podłodze – czy wydajesz mi rozkaz?

– Stan wstrzymania, poruczniku – powiedziałam prosto do ucha Dariet, ponieważ nie mogłam sprawić, żeby Esk Jeden przemówił.

Anaander Mianaai zaśmiała się krótko i ostro. Odpowiedź Awn była odmową równie wyraźną jak proste „nigdy”. Wydawanie takiego rozkazu byłoby bezcelowe.

– Przesłuchaj mnie, kiedy dotrzemy do Valskaay – powiedziała Awn. – Żądam tego. Jestem lojalna. Skaaiat Awer też, przysięgam, ale jeśli w nią wątpisz, ją także przesłuchaj.

Ale oczywiście Anaander Mianaai nie mogła tego zrobić. Każde przesłuchanie wymaga świadków. Każdy wykwalifikowany śledczy – a nie było sensu zatrudniać

niewykwalifikowanego – musiałby zrozumieć kierunek pytań zadawanych porucznik Awn albo porucznik Skaaiat. To byłby zbyt otwarty ruch, ujawniłby informacje, których ta Mianaai nie chciała ujawniać.

Anaander Mianaai siedziała w milczeniu przez cztery sekundy. Niewzruszona.

– Var Jeden – powiedziała, kiedy upłynęły te cztery sekundy – zastrzel porucznik Awn.

Nie byłam teraz pojedynczym, fragmentarycznym segmentem, samotnym i niepewnym, co zrobię, jeśli otrzymam taki rozkaz. Byłam całą sobą. Oddzielony ode mnie Esk Jeden bardziej lubił porucznik Awn niż ja. Ale teraz Esk Jeden nie był oddzielony ode mnie. W tej chwili był bardzo częścią mnie.

Lecz Esk Jeden był tylko moją małą częścią. A ja już zabijałam oficerów. Na rozkaz zastrzeliłam nawet swoją kapitan. Jednak tamte egzekucje, chociaż nieprzyjemne i przygnębiające, były całkowicie usprawiedliwione. Karą za nieposłuszeństwo jest śmierć.

Porucznik Awn nigdy nie okazała nieposłuszeństwa. Wręcz przeciwnie. Co gorsza, jej śmierć miała ukryć poczynania wroga Anaander Mianaai. Cały sens mojego istnienia polegał na walce z wrogami Anaander Mianaai.

Ale żadna Mianaai nie była gotowa do otwartego wystąpienia. Dopóki wszystko nie będzie gotowe, musiałam ukryć przed tą Mianaai fakt, że ona sama już przeciągnęła mnie na przeciwną stronę. Na razie musiałam się jej podporządkować, jakbym nie miała wyboru, jakbym niczego innego nie pragnęła. A w końcu kimże była Awn w wielkim planie wszechrzeczy? Jej rodzice i siostra będą ją opłakiwać i wstydzić się, że Awn okryła ich hańbą, okazując nieposłuszeństwo. Ale nie będą zadawać pytań. A gdyby zadawali, to nic nie da. Sekret Anaander Mianaai pozostanie bezpieczny.

Pomyślałam to wszystko w ciągu jednej i trzech dziesiątych sekundy, zanim porucznik Awn, zaszokowana i przerażona, zdążyła odruchowo unieść głowę. Jednocześnie ten segment Var Jeden powiedział:

– Jestem nieuzbrojona, pani. Przyniesienie broni bocznej zajmie mi w przybliżeniu dwie minuty.

To była zdrada wobec Awn, widziałam to wyraźnie. Ale ona z pewnością wiedziała, że nie mam wyboru.

– To nie jest sprawiedliwe – powiedziała z głową wciąż uniesioną. Niepewnym głosem. – Nie jest przyzwoite. Nie jest pożyteczne.

– Kim są pozostali uczestnicy twojego spisku? – zapytała chłodno Mianaai. – Wymień nazwiska, a może daruję ci życie.

Na wpół uniesiona, opierając się na rękach, porucznik Awn zamrugała w kompletnym osłupieniu, z pewnością widocznym zarówno dla Mianaai, jak dla mnie.

– Spisku? Nigdy z nikim nie spiskowałam. Zawsze ci służyłam.

Na górze, na pokładzie dowodzenia, powiedziałam do ucha kapitan Rubran:

– Kapitanie, mamy problem.

– Służenie mi – powiedziała Mianaai – już nie wystarcza. Nie jest wystarczająco jednoznaczne. Której mnie służysz?

– Kt... – zaczęła Awn, a potem: – To... – a potem: – Nie rozumiem.

– Jaki problem? – zapytała Rubran, z filiżanką herbaty uniesioną w połowie drogi do ust, tylko lekko zaniepokojona.

– Prowadzę wojnę ze sobą – oznajmiła Mianaai w pokoju dekady Var. – Prawie od tysiąca lat.



Powiedziałam do kapitan Rubran:

– Trzeba uśpić Esk Jeden.

– Wojnę – ciągnęła Anaander Mianaai na pokładzie Var – o przyszłość Radch.

Coś widocznie nagle stało się jasne dla porucznik Awn. Zobaczyłam w niej czystą furię.

– Aneksje i serwitory, i ludzie tacy jak ja przydzielani do wojska.

– Nie rozumiem cię, statku – powiedziała kapitan Rubran głosem wciąż opanowanym, ale teraz już zdecydowanie zaniepokojonym. Odstawiła filiżankę na stół.

– O traktat z Presgerami – rzuciła gniewnie Mianaai. – Reszta z tego wynikała. Świadomie czy nieświadomie, jesteś narzędziem mojego wroga.

– A Jedyńka Amaat Jeden „Łaski Sarrse” ujawniła, co robiłaś na Ime – podjęła porucznik Awn, wciąż płonąć czystym gniewem. – To byłaś ty. Gubernator układu tworzyła serwitory... potrzebowałaś ich na wojnę ze sobą, prawda? I na pewno robiła dla ciebie jeszcze inne rzeczy. Czy dlatego tamta żołnierka musiała umrzeć, nawet jeśli to oznaczało dodatkowe kłopoty, żeby ją wyciągnąć od Rrrrrr? A ja...

– Ciągłe jestem w stanie wstrzymania, statku – powiedziała porucznik Dariet w pokoju dekady Esk. – Ale to mi się nie podoba.

– Jedyńka Amaat Jeden „Łaski Sarrse” prawie nic nie wiedziała, ale w rękach Rrrrrr była pionkiem, którego mój wróg mógł użyć przeciwko mnie. Jako oficer na transportowcu wojskowym jesteś niczym, lecz na stanowisku dającym nawet najmniejszą planetarną władzę, z potencjalnym poparciem Skaaiat Awer zwiększającym twoje wpływy, stanowisz dla mnie zagrożenie. Mogłam po prostu wymanewrować cię z Ors, odsunąć od Awer. Ale chciałam więcej. Chciałam pokazowego argumentu przeciwko ostatnim decyzjom i polityce. Gdyby tamta rybaczka nie znalazła broni albo nie zameldowała o niej tobie, gdyby wydarzenia tamtej nocy rozegrały się zgodnie z moim życzeniem, dopilnowałabym, żeby ta historia znalazła się na wszystkich publicznych kanałach. Jednym ruchem zapewniłabym sobie lojalność Tanmindek i usunęłabym kłopotliwe osoby, oba cele podrzędne, ale mogłabym również zademonstrować wszystkim, jak niebezpieczne jest osłabienie czujności, rozbrojenie nawet w niewielkim stopniu. Jak niebezpieczne jest oddanie władzy w niezbyt kompetentne ręce. Ha! – dodała z goryczą. – Przyznaję, że cię nie doceniłam. Nie doceniłam twojego związku z Orsyjkami w dolnym mieście.

Var Jeden nie mogła dłużej zwlekać i weszła do pokoju dekady Var z bronią w ręku. Awn usłyszała ją i lekko odwróciła głowę, żeby ją obserwować.

– Moim zadaniem było chronić obywateli Ors. Traktowałam to poważnie. Wypełniałam to zadanie najlepiej, jak potrafiłam. Zawiodłam ten jeden raz. Ale nie przez ciebie. – Odwróciła głowę, spojrzała prosto na Anaander Mianaai i powiedziała: – Powinnam była raczej umrzeć, niż wykonać twój rozkaz w świątyni Ikkt. Nawet gdyby to nic nie dało.

– Teraz możesz to naprawić, prawda? – odparła Anaander Mianaai i rozkazała mi strzelić. Strzeliłam.

\*

Dwadzieścia lat później miałam powiedzieć do Arilesperas Strigan, że radchaajskie władze nie obchodzi, co myśli obywatelka, dopóki robi, co należy. To była całkowita prawda. Ale od tamtej chwili, odkąd zobaczyłam porucznik Awn martwą na podłodze mojego pokoju dekady Var, zastrzeloną przez Var Jeden (czy raczej, żeby się nie oszukiwać, przeze mnie), zastanawiałam się, jaka jest różnica między nimi dwiema.

Byłam zmuszona okazywać posłuszeństwo tej Mianaai, żeby uwierzyła, że narzuciła mi swoją wolę. Ale tym razem naprawdę narzuciła mi swoją wolę. Działanie dla jednej czy drugiej Mianaai niczym się nie różniło. I oczywiście w ostatecznym rozrachunku, bez względu na różnice, były takie same.

Myśli są efemeryczne, ulatują w chwili, kiedy się pojawiają, jeśli nie przerodzą się w czyn lub materialną formę. Pragnienia i zamiary tak samo. Nic nie znaczą, dopóki nie skłonią cię do dokonania wyboru, popchną do jakiegoś działania, choćby najmniej ważnego. Myśli, które prowadzą do działania, bywają niebezpieczne. Myśli, które tego nie robią, znaczą mniej niż nic.

\*

Porucznik Awn leżała w pokoju dekady Var, znowu twarzą do podłogi, martwa. Podłoga pod nią wymagała reperacji i wyczyszczenia. Najważniejszą rzeczą, najpilniejszym zadaniem w tej chwili było usunięcie Esk Jeden, ponieważ za około pół sekundy żadna ilość filtrów nie ukryje siły jego reakcji, i naprawdę musiałam powiedzieć naszej kapitan, co się stało, i nie pamiętałam, żeby wróg Mianaai – sama Mianaai – wydawała mi rozkazy, chociaż wiedziałam, że je wydała, i dlaczego Esk Jeden nie rozumiał, jakie to ważne, nie byliśmy jeszcze gotowe do otwartego wystąpienia i traciłam już przedtem oficerów, i w ogóle kim był Esk Jeden, jeśli nie mną, mną samą, i porucznik Awn nie żyła, a przedtem powiedziała: „Powinnam była raczej umrzeć, niż wykonać twój rozkaz”.

A potem Var Jeden uniósł broń i strzelił Anaander Mianaai prosto w twarz.

W sąsiednim pokoju Anaander Mianaai zeskoczyła z łóżka, na którym leżała, z okrzykiem wściekłości.

– Na cycki Aatr, ona tu była przede mną!

W tej samej chwili wysłała kod, który zmusił Var Jeden do opuszczenia zbroi, dopóki ponownie nie autoryzowała jej użycia.

– Kapitanie – powiedziałam – teraz naprawdę mamy problem.

W innym pokoju przy tym samym korytarzu trzecia Mianaai – teraz już chyba druga – otworzyła jedną z walizek, które ze sobą przywiozła, wyjęła broń boczną, szybko wyszła na korytarz i zabiła najbliższego Var Jeden strzałem w tył głowy. Ta, która krzyczała, otworzyła własną walizkę, wyjęła broń boczną oraz skrzynkę, którą pamiętałam z domu Jen Shinnan w górnym mieście na Shis’urnie. Użycie tego urządzenia zaszkodziłoby i jej, i mnie, ale mnie o wiele bardziej. W ciągu sekund, kiedy je uzbrajała, sformułowałam zamiary i przesłałam rozkazy do części składowych.

– Jaki problem? – zapytała kapitan Rubran, wstając. Teraz już przestraszona.

A potem rozpadłam się na kawałki.

Znajome wrażenie. Przez ułamek sekundy czułam zapach wilgotnego powietrza i wody z jeziora, myślałam: „Gdzie jest Awn?”, a potem otrząsnęłam się i odzyskałam pamięć o tym, co muszę zrobić. Czarki na herbatę rozbiły się z brzękiem, kiedy upuściłam to, co trzymałam, i wybiegłam z pokoju dekady na korytarz. Pozostałe segmenty, znowu oddzielone ode mnie jak w Ors, mamrocząc, szepcząc – tylko w ten sposób mogłam wymieniać informacje pomiędzy wszystkimi moimi ciałami – otwierały schowki, rozdawały broń, a pierwszy uzbrojony siłą rozsunął drzwi windy i zaczął schodzić szybem. Moje porucznik protestowały, rozkazywały mi przestać, wyjaśnić. Daremnie próbowały mnie zatrzymać.

Ja – to znaczy prawie całość Esk Jeden – zamierzałam zabezpieczyć pokład centralnego

dostępu, nie dopuścić, żeby Anaander Mianaai zniszczyła mój – „Sprawiedliwości Toren” – mózg. Dopóki „Sprawiedliwość Toren” żyła, nieprzeciągnięta na jej stronę, stanowiła – ja stanowiłam – dla niej zagrożenie.

Ja – Esk Jeden Dziewiętnastka – miałam oddzielne rozkazy. Zamiast schodzić szybem do centralnego dostępu, pobiegłam w drugą stronę, w kierunku ładowni Esk i śluzy powietrznej na jej drugim końcu.

Pozornie przestałam reagować na moje porucznik i nawet komandor Tiaund, ale kiedy Dariet krzyknęła: – Statku! Czyś ty zwariował? – odpowiedziałam.

– Lord Radch zastrzeliła porucznik Awn! – krzyknął segment gdzieś w korytarzu za mną. – Przez cały czas była na pokładzie Var.

To uciszyło oficerów – włącznie z Dariet – zaledwie na sekundę.

– Jeśli to w ogóle prawda... ale jeśli to prawda, lord Radch nie zastrzeliłaby jej bez powodu.

Za mną moje segmenty, które jeszcze nie zaczęły schodzić szybem windy, syknęły z gniewu i frustracji.

– Beznadziejne! – usłyszałam swoje słowa skierowane do porucznik Dariet, kiedy na końcu korytarza ręcznie otwarłam drzwi ładowni. – Jesteś tak samo zła jak porucznik Issaai! Przynajmniej porucznik Awn wiedziała, że tamta nią gardzi!

Usłyszałam okrzyk oburzenia, z pewnością Issaai, a Dariet powiedziała:

– Nie wiesz, co mówisz. Nie funkcjonujesz prawidłowo, statku!

Drzwi się rozsunęły i nie mogłam czekać, żeby usłyszeć resztę, tylko zanurkowałam do ładowni. Głębokie, miarowe dudnienie wstrząsało pokładem, po którym biegłam; zaledwie parę godzin wcześniej sądziłam, że już nigdy nie usłyszę tego dźwięku. Mianaai otwierała ładownie Var. Żadne serwitory, które rozmrozi, nie będą pamiętały ostatnich wydarzeń, nic ich nie ostrzeże, żeby nie słuchały rozkazów tej Mianaai. A ich broje nie zostały wyłączone.

Mianaai weźmie Var Dwa, Trzy i Cztery, tyle, ile zdąży obudzić, i spróbuje opanować albo pokład centralnego dostępu, albo silniki statku. Najprawdopodobniej jedno i drugie. Ostatecznie miała Var i wszystkie ładownie poniżej. Tyle że segmenty będą niezdarne i oszołomione. Nie pamiętają, jak się funkcjonuje oddzielnie, nie mają żadnej praktyki, w przeciwieństwie do mnie. Jednak będą miały przewagę liczebną. Ja miałam tylko segmenty obudzone w chwili, kiedy się rozpadłam.

Na górze moje oficer miały dostęp do górnej połowy ładowni. I nie widziały powodów, żeby nie słuchać Anaander Mianaai, nie myśleć, że oszalałam. W tej chwili wyjaśniałam sytuację Setce kapitan Rubran, ale nie miałam pojęcia, czy ją przekonam i czy uwierzy, że jestem przy zdrowych zmysłach.

Wokół mnie rozległo się takie samo dudnienie, jakie dochodziło z dołu. Moje oficer wyciągały do rozmrożenia segmenty Esk. Dotarłam do śluzy, szarpnięciem otwarłam szafkę obok wejścia, wyjęłam części skafandra kosmicznego, który pasował na ten segment.

Nie wiedziałam, jak długo zdołam utrzymać centralny dostęp albo silniki. Nie wiedziałam, jak bardzo zdesperowana jest Anaander Mianaai, jak bardzo się obawia, że jej zaszkoedę. Osłonę cieplną silników zaprojektowano tak, żeby prawie nie dało się jej naruszyć, ale ja potrafiłam to zrobić. I oczywiście lord Radch też potrafiła.

Cokolwiek się stanie pomiędzy tu i tam, miałam niemal pewność, że umrę, gdy tylko dotrzemy do Valskaay, jeśli nie wcześniej. Ale nie umrę bez wyjaśnienia.

Musiałam znaleźć prom, wejść na pokład, a potem ręcznie wyprowadzić prom z doku

i opuścić „Sprawiedliwość Toren” – siebie – odlecieć dokładnie we właściwym czasie, dokładnie z właściwą szybkością, dokładnie we właściwym kierunku, przebić ścianę otaczającego mnie bąbla normalnej przestrzeni dokładnie we właściwej chwili.

Jeśli dokonam tego wszystkiego, znajdę się w układzie z bramą, cztery skoki od Pałacu Irei, jednej z prowincjonalnych kwater głównych Anaander Mianaai. Będę mogła jej opowiedzieć, co się stało.

Promy dokowały po tej stronie statku. Włazy i doki powinny działać gładko, osobiście sprawdzałam i konserwowałam te urządzenia. Jednak wciąż się martwiłam, że coś pójdzie źle. Przynajmniej nie musiałam myśleć o walce z własnymi oficerami. Albo awarii osłony cieplnej.

Zapięłam hełm. Mój oddech głośno syczał mi w uszach. Szybszy niż normalnie. Zmusiłam się, żeby oddychać wolniej, głębiej. Hiperwentylacja mi nie pomoże. Musiałam działać szybko, ale nie w takim pośpiechu, żeby popełnić jakiś fatalny, głupi błąd.

Czekając na zakończenie cyklu służby powietrznej, czułam swoją samotność niczym nieustępliwy mur napierający na mnie ze wszystkich stron. Zazwyczaj zwichrowane emocje jednego ciała stanowiły drobną niedogodność, łatwą do zlekceważenia. Teraz było tylko to jedno ciało i nic poza nim, żeby złagodzić moją rozpacz. Reszta mnie była tu, wszędzie dookoła, ale niedostępna. Wkrótce, jeśli mi się uda, nie będę nawet w pobliżu siebie i nie będę wiedziała, kiedy znowu się połączę. Na razie jednak mogłam tylko czekać. I pamiętać ciężar broni w ręku Var Jeden – w moim ręku. Byłam Esk Jeden, ale co za różnica? Odrzut, kiedy Var Jeden zastrzeliła porucznik Awn. Wyrzuty sumienia i bezradny gniew, które ogarnęły mnie w tamtej chwili, ustąpiły przed bardziej nagłą koniecznością, ale teraz miałam czas na wspomnienia. Moje następne trzy oddechy były urywane i zdławione łkaniem. Przez chwilę byłam perwersyjnie zadowolona, że ukryłam się przed sobą.

Musiałam się uspokoić. Musiałam odzyskać jasność umysłu. Pomyślałam o piosenkach, które znałam. Moje serce jest rybą, pomyślałam, ale kiedy otwierałam usta do śpiewu, gardło mi się zacisnęło. Przełknęłam ślinę. Odetchnęłam. Pomyślałam o innej piosence.

*Och, czyś wyruszył na bitwę*

*Uzbrojony, w mocnej zbroi?*

*Czy straszliwe widoki*

*Każą ci rzucić broń?*

Zewnętrzne drzwi się otworzyły. Gdyby Mianaai nie użyła swojego urządzenia, oficer dyżurne zobaczyłyby, że śluza jest otwarta, zawiadomiłyby kapitan Rubran, przyciągnęłyby uwagę Mianaai. Ale użyła go, więc nie mogła wiedzieć, co robię. Wymacałam uchwyt za framugą drzwi i wysunęłam się na zewnątrz.

Widok wnętrza bramy często powoduje u ludzi mdłości. Przedtem nigdy mi nie przeszkadzał, ale teraz, kiedy byłam zaledwie pojedynczym ludzkim ciałem, odkryłam, że na mnie też tak działa. Czarno, ale ta czernь wydawała się niepojętą otchłanią, w którą mogłam spaść, spadałam!... i jednocześnie duszącą ciasnotą, gotową mnie zmiażdżyć do nieistnienia.

Zmusiłam się, żeby odwrócić wzrok. Tutaj, na zewnątrz, nie było podłogi, nie było generatorów grawitacji, żeby utrzymać mnie w miejscu, zapewnić górę i dół. Przemieszczałam się od jednego uchwytu do drugiego. Co się działo za mną we wnętrzu statku, który już nie był moim ciałem?

Upłynęło siedemnaście minut, zanim dotarłam do promu, otworzyłam właz awaryjny i ręcznie wyprowadziłam pojazd z doku. Początkowo musiałam zwalczać pragnienie, żeby się

zatrzymać, obejrzeć, nasłuchiwać odgłosów pogoni, chociaż w hełmie i tak niczego nie mogłam usłyszeć. Zwykła konserwacja – powtarzałam sobie. – Zwykła konserwacja na zewnątrz kadłuba. Robiłaś to setki razy.

Gdyby ktoś się zjawił, nie mogłabym nic zrobić. Esk by przegrał... ja bym przegrała. I miałam mało czasu. Nawet gdyby nikt mnie nie zatrzymał, mogłam przegrać. Nie chciałam o tym myśleć.

Kiedy nadeszła chwila, byłam gotowa i odleciałam. Miałam podgląd tylko z przodu i z tyłu, przez jedyne dwie okablowane kamery na promie. Kiedy „Sprawiedliwość Toren” zmalowała na ekranie rufowym, ogarnęła mnie fala paniki, którą jakoś powstrzymałam do tej pory. Co ja robiłam? Dokąd leciałam? Co mogłam osiągnąć sama, z pojedynczym ciałem, ślepa, głucha i odcięta? Po co przeciwstawiałam się Anaander Mianaai, która mnie stworzyła, która mnie posiadała, która była nieskończenie potężniejsza ode mnie?

Odetchnęłam. Wróć do Radch. W końcu wróć na „Sprawiedliwość Toren”, nawet jeśli tylko na ostatnie chwile życia. Moja ślepotą i głuchotą były nieistotne. Czekają na mnie tylko jedno zadanie. Nie miałam nic do roboty, tylko siedzieć w fotelu pilota i patrzeć, jak „Sprawiedliwość Toren” oddala się i zmniejsza. Myśl o następnej piosence.

Według chronometru, jeśli zrobiłam wszystko dokładnie tak, jak należało, „Sprawiedliwość Toren” powinna zniknąć z mojego ekranu za cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy. Obserwowałam, odliczałam i próbowałam nie myśleć o niczym innym.

Ekran rufowy rozblęsnął białą-błękitną jasnością. Wstrzymałam oddech. Kiedy ekran się oczyścił, zobaczyłam tylko czerń... i gwiazdy. Wynurzyłam się w normalnej przestrzeni.

Przeskoczyłam do normalnej przestrzeni ponad cztery minuty za wcześnie. I co to był za rozblęsk? Powinnam tylko zobaczyć, jak statek znika i nagle pojawiają się gwiazdy.

Mianaai nie usiłowała przejąć centralnego dostępu ani połączyć się z oficerami na górnych pokładach. Jak tylko się zorientowała, że już zostałam podbita przez jej wroga, natychmiast zdecydowała się na najbardziej desperacki krok możliwy w jej sytuacji. Ona i te serwitory Var, które słuchały jej rozkazów, opanowały moje silniki i przebiły osłonę cieplną. Jakim cudem uciekłam, zamiast wyparować razem z resztą statku, nie potrafiłam wyjaśnić, ale pojawił się ten rozblęsk, a ja wciąż istniałam.

„Sprawiedliwość Toren” zginęła i wszyscy na jej pokładzie. Byłam nie tam, gdzie powinnam, prawdopodobnie za daleko od przestrzeni Radch czy w ogóle wszystkich ludzkich światów. Szansa na ponowne połączenie ze sobą przepadła. Kapitan nie żyła. Wszystkie moje oficer nie żyły. Groziła nam wojna domowa.

Zastrzeliłam porucznik Awn.

Nic już nigdy nie będzie w porządku.

Na szczęście dla mnie wyszłam z bramy nadprzestrzennej na obrzeżach prowincjonalnego, nieradchaajskiego układu, zbiorowiska habitatów i stacji górniczych zamieszkałych przez mocno zmodyfikowanych ludzi – nieludzkich według standardów Radchaai, ludzi o sześciu lub ośmiu kończynach (bez gwarancji, że któreś z nich to nogi), skórze i płucach przystosowanych do próżni, mózgach tak poprzątkowanych implantami i poprzeplatanych okablowaniem, że nasuwało się pytanie, czy nie są tylko świadomymi maszynami z biologicznym interfejsem.

Tajemnicą było dla nich, dlaczego ktoś miałby wybrać taką prymitywną postać, z jaką rodziła się większość znanych mi ludzi. Ale cenili sobie izolację i gorąco popierali naczelną zasadę ich społeczeństwa, że z nielicznymi wyjątkami (do których na ogół nie chcieli się przyznać) nikt nie prosił o nic, czego sama nie zaofiarowałaś. Patrzyli na mnie z mieszaniną zdziwienia i lekkiej pogardy, traktowali jak dziecko, które zabłąkało się wśród nich, więc mogą mnie popilnować, aż zjawią się moi rodzice, ale za nic nie odpowiadają. Jeśli odgadli moje pochodzenie – z pewnością odgadli, wystarczył sam prom – nie mówili o tym i nikt nie żądał ode mnie wyjaśnień, ponieważ uważaliby, że to wyjątkowo niegrzeczne. Byli milczący, klanowi, samowystarczalni, ale bywali również opryskliwie hojni w nieprzewidywalnych momentach. Gdyby nie to, wciąż byłabym tam... albo martwa.

Spędziłam sześć miesięcy, próbując zrozumieć, jak wszystko robić – nie tylko jak wysłać wiadomość do lord Radch, ale jak oddychać, chodzić, jeść i spać jako ja. Ja, czyli tylko fragment tego, czym byłam dawniej, bez żadnej możliwej do wyobrażenia przyszłości poza wieczną tęsknotą za tym, co minęło. Potem pewnego dnia przybył ludzki statek i kapitan chętnie wzięła mnie na pokład w zamian za niewielką sumę, jaka mi została po oddaniu na złom promu, nabijającego opłaty postojowe, których inaczej nie mogłabym uregulować. Dowiedziałam się później, że osoba wyglądająca jak czterometrowy węgorz z mackami pokryła różnicę w cenie mojego biletu w tajemnicy przede mną, ponieważ, jak powiedziała mojej kapitan, nie przynależałam tutaj i gdzie indziej będę zdrowsza. Dziwni ludzie, jak mówiłam, i wiele im zawdzięczam, chociaż byłiby urażeni i zmartwieni, gdyby sądzili, że ktokolwiek cokolwiek im zawdzięcza.

W ciągu następnych dziewiętnastu lat nauczyłam się jedenastu języków i siedmiuset trzynastu piosenek. Nauczyłam się ukrywać, czym jestem, nawet przed samą Mianaai, jak wierzyłam. Pracowałam jako kucharz, dozorca, pilot. Obmyśliłam plan akcji. Wstąpiłam do zakonu religijnego i zarobiłam mnóstwo pieniędzy. Przez cały ten czas zabiłam tylko tuzin ludzi.

\*

Zanim się obudziłam następnego ranka, minął impuls, żeby powiedzieć wszystko Seivarden, a ona jakby zapomniała o swoich pytaniach. Oprócz jednego.

– I co dalej? – zapytała niedbale, siedząc na ławie obok mojego łóżka, oparta o ścianę, jakby nieszczerze zainteresowana odpowiedzią.

Kiedy ją usłyszała, pewnie doszła do wniosku, że lepiej jej było beze mnie.

– Pałac Omaugh.

Lekko zmarszczyła brwi.

– To ten nowy?

– Niezupełnie. – Zbudowano go siedemset lat temu. – Ale po Garsedd, tak. – Moja prawa

kostka zaczęła śwędzieć i mrowić, nieomylny znak, że korektor zakończył działanie. –

Opuściłaś przestrzeń Radchaa bez zezwolenia. I sprzedałaś swoją zbroję w tym celu.

– Wyjątkowe okoliczności – odparła, wciąż oparta o ścianę. – Będę apelować.

– W najlepszym razie narazisz się na zwłokę. – Każda obywatelka, która chciała się spotkać z lord Radch, mogła złożyć podanie, chociaż im dalej mieszkała od prowincjonalnego pałacu, tym bardziej czasochłonna, kosztowna i skomplikowana była taka podróż. Niekiedy podania odrzucano, jeśli odległość była duża, a sprawę uznano za beznadziejną lub błahą, petentka zaś nie mogła opłacić kosztów transportu. Lecz Anaander Mianaai stanowiła ostateczną instancję niemal w każdej kwestii, a ta sprawa z pewnością nie była rutynowa. I lord Radch przebywała na stacji. – Będziesz czekać miesiącami na audiencję.

Seivarden gestem pokazała, że tym się nie martwi.

– Co chcesz tam robić?

*Zabić Anaander Mianaai.* Ale tego nie mogłam powiedzieć.

– Oglądać widoki. Kupić trochę pamiątek. Może spróbuję się spotkać z lord Radch.

Uniosła brew. Potem spojrzała na mój plecak. Wiedziała o broni i oczywiście rozumiała, jaka jest niebezpieczna. Ciągle myślała, że jestem agentką Radch.

– Przez cały czas jako tajniak? A kiedy oddasz to – ruchem ramion wskazała plecak – lord Radch, co potem?

– Nie wiem.

Zamknęłam oczy. Nie wybiegałam myślą dalej niż do Pałacu Omaugh, nie miałam najmniejszego pojęcia, co robić potem, jak się zbliżyć do Anaander Mianaai wystarczająco, żeby użyć broni.

Nie. To nieprawda. W tamtej chwili zaczął się formować załączek planu, jednak straszliwie niepraktycznego, opierającego się na dyskrecji i wsparciu Seivarden.

Stworzyła własną teorię, co robiłam i dlaczego wracałam do Radch, udając zagraniczną turystkę. Dlaczego miałam się zameldować bezpośrednio u Anaander Mianaai zamiast u oficer Misji Specjalnych. Mogłam to wykorzystać.

– Jadę z tobą – oświadczyła Seivarden i jakby odczytała moje myśli, dodała: – Możesz przyjść na moją apelację i świadczyć za mną.

Nie ufałam sobie dostatecznie, żeby odpowiedzieć. Ciarki i mrówki powędrowały po mojej prawej nodze, objęły dłonie i ramiona, dotarły do lewej nogi. W prawym biodrze pojawił się lekki ból. Coś się nie zagoiło jak należy.

– Przecież ja już wiem, co się dzieje – powiedziała Seivarden.

– Więc jeśli mnie okradniesz, połamanie ci nóg nie wystarczy. Będę musiała cię zabić. –

Oczy miałam wciąż zamknięte, więc nie widziałam jej reakcji. Mogła równie dobrze wziąć to za żart.

– Nie okradnę – obiecała. – Zobaczysz.

\*

Spędziłam jeszcze kilka dni w Therrod, zanim wydobrałam na tyle, że lekarka zgodziła się mnie wypisać. Przez cały ten czas, a później przez całą jazdę po wstążce Seivarden była uprzejma i pełna szacunku.

To mnie niepokoiło. Wcześniej oddałam na przechowanie na szczycie niltyjskiej wstążki pieniądze i rzeczy osobiste, które musiałam odebrać przed naszym odlotem. Wszystko było zapakowane, więc Seivarden mogła zobaczyć niewiele więcej niż kilka skrzynek, ale nie

żywiłam złudzeń, że nie spróbuje ich otworzyć przy pierwszej okazji.

Przynajmniej znowu miałam pieniądze. I może to było rozwiązanie problemu.

Wynajęłam pokój na stacji wstążki, zostawiłam tam Seivarden, każąc jej czekać, i poszłam po swoje rzeczy. Kiedy wróciłam, siedziała na pojedynczym łóżku – bez pościeli ani koców, tutaj zwyczajowo dopłacało się za to ekstra – i wierciła się nerwowo. Kolano jej podskakiwało, rozcierała przedramiona gołymi rękami – sprzedałam nasze grube zewnętrzne płaszcze i rękawice u stóp wstążki. Kiedy weszłam, znieruchomiała i spojrzała na mnie wychekująco, ale nic nie mówiła.

Rzuciłam jej na kolana torbę, która zabrzęczała przy upadku.

Seivarden zerknęła przelotnie na torbę, nie dotykając jej ani nie próbując zawłaszczyć, po czym znowu przeniosła na mnie wzrok.

– Co to jest?

– Dziesięć tysięcy shenów. – To była najpowszechniejsza wymienialna waluta w tym regionie, w łatwych do przenoszenia (i wydawania) bonach. Za dziesięć tysięcy można było tutaj dużo kupić. Można było kupić transport do innego układu i jeszcze zostałyby dość, żeby balować przez kilka tygodni.

– Czy to dużo?

– Tak.

Oczy jej się nieznacznie rozszerzyły i przez pół sekundy widziałam wyrachowanie na jej twarzy.

Czas postawić sprawę jasno.

– Pokój jest opłacony z góry na dziesięć dni. Potem... – Wskazałam torbę na jej kolanach. – To ci powinno wystarczyć na trochę. Na dłużej, jeśli poważnie zamierzasz odstawić kef.

Ale jej spojrzenie, kiedy sobie uświadomiła, że dysponuje pieniędzmi, powiedziało mi wyraźnie, że nie zamierzała. Nie na poważnie.

Przez sześć sekund wpatrywała się w torbę leżącą na jej kolanach.

– Nie. – Podniosła ostrożnie torbę dwoma palcami jak zdechłego szczura i upuściła na podłogę. – Jadę z tobą.

Nie odpowiedziałam, tylko na nią popatrzyłam. Milczenie się przedłużało.

W końcu odwróciła wzrok, skrzyżowała ramiona.

– Nie mają tu herbaty?

– Nie taką, do jakiej przywykłaś.

– Wszystko jedno.

Nie chciałam jej zostawiać samej z pieniędzmi i moimi rzeczami.

– No to chodź.

Wyszliśmy z pokoju i znaleźliśmy w głównym korytarzu sklep, gdzie sprzedawano utensylia do aromatyzowania gorącej wody. Seivarden powąchała jedną z oferowanych mieszanek. Zmarszczyła nos.

– To ma być herbata?

Właścicielka sklepu obserwowała nas kątem oka, nie chcąc, żebyśmy to zauważyły.

– Mówiłam ci, że to nie ten rodzaj, do jakiego przywykłaś. Powiedziałaś, że ci wszystko jedno.

Zastanawiała się przez chwilę. Ku mojemu najwyższemu zdumieniu, zamiast się wyklócać czy dalej narzekać na niezadowolającą jakość herbaty, powiedziała spokojnie:

– Co polecasz?



Gestem wyraziłam niepewność.

– Nie mam zwyczaju pić herbaty.

– Nie masz... – Zagapiła się na mnie. – Och. Czy w Gerentate nie piją herbaty?

– Nie taką jak u was.

I oczywiście herbata była dla oficerów. Dla ludzi. Serwitorki piły wodę. Herbata stanowiła dodatkowy, niepotrzebny koszt. Luksus. Dlatego nigdy nie nabrałam zwyczaju jej picia.

Odwróciłam się do właścicielki, niskiej, grubej, bladej Nilterki w koszulce bez rękawów, chociaż stała temperatura wynosiła tu cztery stopnie i obie z Seivarden wciąż nosiłyśmy wewnętrzne płaszcze.

– Która z nich zawiera kofeinę?

Właścicielka odpowiedziała całkiem miło i zrobiła się jeszcze miłsza, kiedy kupiłam nie tylko dwieście pięćdziesiąt gramów każdego z dwóch gatunków, ale również termos, dwa kubki i dwie butelki napełnione wodą.

Seivarden zaniósła cały ładunek do naszego pokoju, idąc obok mnie bez słowa. W pokoju rozłożyła zakupy na łóżku, usiadła obok nich, wzięła termos i próbowała rozgryźć, jak go otworzyć.

Mogłam jej pokazać, jak to działa, ale nie chciałam. Zamiast tego otworzyłam swój nowo odzyskany bagaż i wydobyłam gruby złoty krążek, trzy centymetry większy od tego, który nosiłam przy sobie, oraz płytką miseczkę z kutego złota, średnicy ośmiu centymetrów. Zamknęłam kufer, postawiłam na nim miskę i włączyłam obraz w ikonie.

Seivarden podniosła wzrok i patrzyła, jak ikona rozwija się w szeroki, płaski kwiat z macicy perłowej. Pośrodku kwiatu stała postać kobiety ubranej w szatę do kolan z tej samej opalizującej bieli, inkrustowanej srebrem i złotem. W jednym ręku trzymała ludzką czaszkę, zdobioną czerwonymi, niebieskimi i żółtymi klejnotami, a w drugim – nóż.

– Podobna do tamtej – zauważyła Seivarden z lekkim zainteresowaniem. – Ale nie bardzo wygląda jak ty.

– Prawda – przyznałam i usiadłam ze skrzyżowanymi nogami przed kufrem.

– Czy to bóg Gerentate?

– To bóg, którego poznałam w podróży.

Seivarden chrząknęła niezobowiązująco.

– Jak się nazywa?

Wyrecytowałam długi ciąg sylab, które wprowadziły Seivarden w konsternację.

– To znaczy „Ta, Która Wyskoczyła z Lili”. Ona jest stworzycielką wszechświata. – Czyli odpowiednikiem Amaat w religii Radchaai.

– Ach – powiedziała Seivarden tonem świadczącym, że rozwiązała to równanie i zmieniła obcego boga w znanego, bezpiecznie wpasowanego w ramy jej psychiki. – A tamta druga?

– Święta.

– Jakie to niezwykle, że tak bardzo przypomina ciebie.

– Tak. Tylko że to nie ona jest święta. Głowa, którą trzyma.

Seivarden zamrugnęła, zmarszczyła brwi. Bardzo nie po radchaajsku.

– Mimo wszystko.

Nic nie dzieje się przypadkiem, nie dla Radchaai. Takie dziwne zdarzenia mogły sprawić – i sprawiały – że Radchaai wyruszały na pielgrzymki, oddawały cześć innym bogom, zmieniały zakorzenione nawyki. To były bezpośrednie wiadomości od Amaat.

– Teraz będą się modlić.

Jedną ręką Seivarden wykonała gest akceptacji. Rozłożyłam mały nożyk, nakłułam kciuk i upuściłam krwi do złotej miseczki. Nie obejrzałam się, żeby sprawdzić reakcję Seivarden – żaden radchaajski bóg nie żądał krwi, a ja nawet się nie pofatygowałam, żeby przedtem umyć ręce. To gwarantowało uniesienie radchaajskich brwi, zaklasyfikowanie jako obce, wręcz prymitywne.

Ale Seivarden nic nie powiedziała. Siedziała cicho przez trzydzieści jeden sekund, kiedy intonowałam pierwsze z trzystu dwudziestu dwóch imion Setki Białej Lilii, a potem zajęła się termosem i przygotowaniem herbaty.

\*

Seivarden mówiła, że wytrzymała sześć miesięcy, kiedy ostatnio próbowała rzucić kef. Podróż do stacji z radchaajskim konsulem zabrała siedem miesięcy. Rozpoczynając pierwszy etap, powiedziałam płatnikowi w zasięgu słuchu Seivarden, że chcę wykupić przejazd dla siebie i mojej służącej. Nie zareagowała, widziałam wyraźnie. Może nie rozumiała. Spodziewałam się mniej lub bardziej gniewnych wymówek na osobności, kiedy odkryła swój status, ale nigdy o tym nie wspomniała. I od tamtej pory, kiedy się budziłam, czekała na mnie przygotowana herbata.

Seivarden zniszczyła również dwie koszule, usiłując je wyprać, i została mi tylko jedna na cały miesiąc, dopóki nie zadokowałyśmy do następnej stacji. Kapitan statku – z rasy Ki, wysoka i pokryta rytualnymi bliznami – dała mi do zrozumienia w zawołany sposób, że ona i cała jej załoga uważają, iż przygarnełam Seivarden z litości. Co nie było dalekie od prawdy. Ale Seivarden się poprawiła i trzy miesiące później, na następnym statku, inny pasażer próbował ją ode mnie wynająć.

Co nie znaczy, że nagle stała się inną osobą czy całkowicie pełną szacunku. W niektóre dni odzywała się do mnie niegrzecznie bez wyraźnego powodu albo spędzała długie godziny skulona na koi, twarzą do ściany, wstając tylko do narzuconych sobie obowiązków. Początkowo próbowałam z nią rozmawiać, kiedy była w tym nastroju, ale odpowiadała mi tylko milczeniem, więc po pierwszych kilku razach zostawiłam ją w spokoju.

\*

Konsulat Radchaai był obsadzony przez personel Biura Translatorskiego, a nieskazitelnie biały mundur konsularnej agentki – włącznie ze śnieżnobiałymi rękawiczkami – dowodził, że albo miała służącą, albo poświęcała wiele godzin ze swojego wolnego czasu, żeby tak wyglądać. W jej włosach wiły się gustowne – i zapewne kosztowne – sznury klejnotów, a nazwiska na pamiątkowych spinkach, błyszczących wszędzie na białym żakiecie, oraz lekka pogarda w jej głosie, kiedy ze mną rozmawiała, świadczyły o istnieniu służącej. Chociaż prawdopodobnie tylko jednej – to była odległa placówka.

– Twoje prawa jako przyjezdnej nieobywatelki są ograniczone. – Najwyraźniej znała ten tekst na pamięć. – Musisz złożyć w depozycie odpowiednik minimum... – Palce jej drgnęły, kiedy sprawdzała kurs wymiany. – Pięciuset shenów za każdy tydzień pobytu, na osobę. Jeżeli koszty zakwaterowania, wyżywienia oraz dodatkowe zakupy, grzywny czy zniszczenia przekroczą wysokość depozytu i nie będziesz mogła pokryć różnicy, masz prawny obowiązek przyjąć przydział, dopóki nie spłacisz długu. Jako nieobywatelka masz ograniczone prawo odwołania od wyroku czy przydziału. Czy nadal chcesz odwiedzić przestrzeń Radch?

– Chcę – potwierdziłam i położyłam dwa bony na milion shenów na dzielącym nas wąskim

biurku.

Pogarda zniknęła. Agentka wyprostowała się nieznacznie i zaproponowała mi herbatę. Palce znowu jej lekko drgnęły, kiedy się z kimś komunikowała – jak się okazało, ze służącą, która, trochę rozczochrana, wniosła herbatę w misternie emaliowanym termosie i czarki od kompletu.

Kiedy służąca nalewała herbaty, wyjęłam swoje sfalszowane dokumenty z Gerentate i również położyłam na biurku.

– Musisz przedstawić również dowód tożsamości służącej, szanowna – powiedziała agentka konsularna, teraz wcielenie uprzejmości.

– Moja służąca jest radchaajską obywatelką – odparłam z lekkim uśmiechem. Mającym złagodzić niezręczną sytuację. – Ale zgubiła dowód tożsamości i zezwolenie na wyjazd.

Konsularna agentka zamarła, usiłując to przetrwać.

– Szanowna Breg – odezwała się stojąca za mną Seivarden w starożytnym, niewymuszenie eleganckim radchaajskim – była tak wielkoduszna, że zatrudniła mnie i opłaciła mój powrót do domu.

Nie przełamala paraliżu zdumionej agentki konsularnej tak skutecznie, jak zapewne sobie życzyła. Ten akcent nie należał do niczyjej służącej, tym bardziej nieobywatelki. W dodatku agentka nie zaproponowała Seivarden krzesła ani herbaty, uważając ją za zbyt mało ważną na takie uprzejmości.

– Z pewnością możecie uzyskać genetyczne informacje – zasugerowałam.

– Tak, oczywiście – przyznała agentka konsularna ze słonecznym uśmiechem. – Chociaż twoje podanie o wizę wpłynie wcześniej, zanim zezwolenie wyjazdowe obywatelki...

– Seivarden – podsunęłam.

– ...obywatelki Seivarden zostanie wznowione. Zależy, skąd wyjechała i gdzie znajdują się jej akta.

– Oczywiście – odparłam i łyknęłam herbaty. – Tego należało się spodziewać.

\*

Kiedy wyszliśmy, Seivarden powiedziała do mnie półgłosem:

– Co za snobka. Czy to była prawdziwa herbata?

– Tak. – Czekałam, aż zaczniesz narzekać, że nawet nie skosztowała, ale nie dodała nic więcej. – Co zrobisz, jeśli zamiast zezwolenia wyjazdowego przyjdzie nakaz aresztowania?

Wykonała przeczący gest.

– Dlaczego miałiby wysłać nakaz? Przecież i tak chcę wrócić, mogą mnie aresztować na miejscu. I będę apelować. Myślisz, że konsul sprowadza herbatę z domu czy ktoś tutaj ją sprzedaje?

– Dowiedz się, jeśli chcesz – zaproponowałam. – Ja wracam do pokoju, żeby medytować.

\*

Służąca agentki konsularnej z miejsca podarowała Seivarden pół kilo herbaty, zapewne wdzięczna za sposobność wynagrodzenia wcześniejszej niezamierzonej gafy swojej pracodawczyni. A razem z moją wizą nadeszło zezwolenie wyjazdowe Seivarden, bez nakazu aresztowania ani żadnych dodatkowych komentarzy czy informacji.

To mnie trochę zmartwiło. Możliwe, że Seivarden miała rację – nie trzeba robić nic więcej. Kiedy zejdziesz ze statku, będzie dość czasu i sposobności, żeby się zająć jej kłopotami

z prawem.

A jednak. Może władze Radch się zorientowały, że wcale nie jestem obywatelką Gerentate. Mało prawdopodobne – Gerentate leżało daleko, daleko od celu mojej podróży, a poza tym, pomimo dość przyjaznych – albo przynajmniej nie jawnie wrogich – stosunków pomiędzy Gerentate i Radch, Gerentate z zasady nie udzielało żadnych informacji o swoich mieszkańcach – nie Radch. Gdyby Radch spytało – ale nie spyta – Gerentate ani by nie potwierdziło, ani nie zaprzeczyło, że jestem jedną z nich. Gdybym wyjeżdżała z Gerentate do przestrzeni Radchaaai, zostałabym wielokrotnie ostrzeżona, że podróżuję na własne ryzyko i nie otrzymam żadnej pomocy, jeśli wpadnę w kłopoty. Ale urzędnicy radchaaajscy, którzy zajmowali się cudzoziemcami, już o tym wiedzieli i będą przygotowani, żeby przyjąć moją tożsamość mniej lub bardziej na wiarę.

\*

Trzyście pałaców Anaander Mianaai stanowiło stolicę prowincji. Stacje rozmiarów metropolii, w połowie zwykłe duże radchaaajskie stacje – ze stacją SI – a w połowie właściwy pałac. Każdy właściwy pałac był rezydencją Anaander Mianaai oraz siedzibą prowincjonalnej administracji. Pałac Omaugh bynajmniej nie był spokojnym zaściankiem. Do jego układu prowadziło dwanaście bram, codziennie przylatywały i odlatywały setki statków. Seivarden będzie jedną z tysięcy obywaterek ubiegających się o audiencję albo składających apelację w jakiejś sprawie sądowej. Wyróżniającą się, owszem – żadnej z pozostałych obywaterek nie obudzono po tysiącu lat anabiozy.

Przez długie miesiące podróży rozważałam, co chcę z tym zrobić. Jak to wykorzystać. Jak przezwyciężyć minusy tej sytuacji albo obrócić je na swoją korzyść. I co właściwie miałam nadzieję osiągnąć.

Nie bardzo wiem, ile z siebie pamiętam. Ile z tego, co wiem, ukrywałam przed sobą przez całe życie. Weźmy na przykład ten ostatni rozkaz, instrukcję, którą ja – „Sprawiedliwość Toren” – wydałam sobie – Esk Jeden Dziewiętnastce. „Idź do Pałacu Irei, znajdź Anaander Mianaai i powiedz jej, co się stało”. Co miałam na myśli? Oprócz oczywistego, gołego faktu, że chciałam przekazać wiadomość lord Radch?

Dlaczego to było takie ważne? Bo było. To nie była refleksja, tylko pilna konieczność. Wtedy to wydawało się jasne. Oczywiście, że musiałam przekazać wiadomość, oczywiście, że musiałam ostrzec prawdziwą Anaander.

Wypełnię rozkazy. Ale w czasie, kiedy dochodziłam do siebie po własnej śmierci, w czasie, kiedy szukałam drogi do przestrzeni Radch, postanowiłam, że zrobię coś więcej. Przeciwstawię się lord Radch. Choćby mój bunt nic nie znaczył, okazał się pustym gestem, którego ona nawet nie zauważy.

Prawdę mówiąc, Strigan miała rację. Moje pragnienie, żeby zabić Anaander Mianaai, było nierozsądne. Każda próba dokonania czegoś takiego zakrawała na szaleństwo. Nawet mając broń, którą mogłam wnieść przed oblicze samej lord Radch i o której ta by nie wiedziała, dopóki bym jej nie użyła – nawet mając taką broń, nie mogłam liczyć na więcej niż żalony okrzyk buntu, natychmiast zdławiony, szybko zapomniany. Który nie zmieniłby niczego.

Ale wszystkie te sekretne manewry przeciwko sobie... Prowadzone z pewnością po to, żeby uniknąć otwartego konfliktu, żeby zbytnio nie zniszczyć Radch. I może zbytnio nie nadszarpnąć przekonania Anaander Mianaai, że jest jednością, jedną osobą. Kiedy już wyraźnie sformułowano ten dylemat, czy mogła udawać, że jest inaczej?

A jeśli istniały teraz dwie Anaander Mianaai, czy nie mogło ich być więcej? Na przykład część, która nie wiedziała o zwaśnionych stronach siebie samej? Albo wmówiła sobie, że nie wie? Co by się stało, gdybym powiedziała głośno coś, co lord Radch ukrywała przed sobą? Z pewnością coś okropnego, inaczej nie zadawałaby sobie tyle trudu, żeby się przed sobą chować. Gdyby to wyszło na jaw, jak mogłaby uniknąć wewnętrznego rozdarcia?

Ale jak mogłam powiedzieć coś wprost do Anaander Mianaai? Załóżmy, że dotrę do Pałacu Omaugh, założmy, że zejdem ze statku, wejdę na stację, jeśli mi się uda, stanę pośrodku głównego pasażu i wykrzyczę moją historię, żeby wszyscy usłyszeli.

Mogłabym zacząć, ale nigdy nie skończę. Zgarnie mnie ochrona, pewnie nawet żołnierki, i w wiadomościach z tamtego dnia podadzą, że turystka oszalała w miejscu publicznym, ale ochrona opanowała sytuację. Obywatelki będą kręcić głowami i mruczeć o niecywilizowanych cudzoziemkach, a potem o mnie zapomną. A ta część lord Radch, która pierwsza mnie zauważy, niewątpliwie uzna mnie za upośledzoną umysłowo... albo przynajmniej przekona o tym inne części siebie.

Nie. Musiałam zapewnić sobie niepodzielną uwagę Anaander Mianaai, kiedy będę mówiła to, co mam do powiedzenia. Problem, jak to zrobić, zaprzętał mnie od prawie dwudziestu lat. Wiedziałam, że trudniej zignorować kogoś, czyje zniknięcie zostanie zauważone. Mogłam odwiedzić stację i postarać się, żeby mnie widziano, żeby mnie poznano, żeby żadna część Anaander Mianaai nie mogła się mnie pozbyć tak po prostu, bez komentarzy. Nie sądziłam jednak, że to wystarczy, żeby zmusić lord Radch – całą Mianaai – do wysłuchania mnie.

Ale Seivarden. Kapitan Seivarden Vendaai, zaginiona przed tysiącem lat, przypadkiem odnaleziona, znowu zaginiona. Teraz pojawia się w Pałacu Omaugh. Każda Radchaai będzie zaciekawiona, ciekawością o zabarwieniu religijnym. A Anaander Mianaai jest Radchaai. Może najbardziej radchaajską ze wszystkich Radchaai. Nie może nie zauważyć, że wróciłam w towarzystwie Seivarden. Jak każda obywatelka będzie się zastanawiać, choćby w głębi duszy, co to znaczy, jeśli w ogóle coś znaczy. A w jej przypadku głębia duszy jest całkiem głęboka.

Seivarden poprosi o audiencję. W końcu ją otrzyma. A taka audiencja przyciągnie całą uwagę Anaander, żadna z jej części nie zignoruje takiego wydarzenia.

I z pewnością Seivarden przyciągnie uwagę lord Radch od chwili, kiedy zejdziemy ze statku. Więc ja też, skoro podróżuję w towarzystwie Seivarden. Straszliwie ryzykowne. Może nie ukryłam dostatecznie dobrze mojej natury, może rozpoznają, czym jestem. Ale byłam zdecydowana spróbować.

\*

Siedziałam na koi, czekając na pozwolenie opuszczenia statku w Pałacu Omaugh, z plecakiem u stóp. Znudzona Seivarden opierała się nonszalancko o ścianę naprzeciwko.

– Coś cię gryzie – zauważyła niedbale. Nie odpowiedziałam, a ona dodała: – Zawsze nuczysz tę melodię, kiedy się zamyślisz.

*Moje serce jest rybą ukrytą w wodnej trawie.* Myślałam o wszystkim, co mogło pójść źle, poczynając od teraz, od chwili kiedy zejdem ze statku i stanę twarzą w twarz z inspektorkami doków. Albo Służbą Bezpieczeństwa. Albo gorzej. Myślałam, że wszystko, czego dokonałam, poszłoby na marne, gdyby mnie aresztowano, zanim jeszcze opuściłam doki.

I myślałam o porucznik Awn.

– Tak łatwo mnie przejrzeć? – Zmusiłam się do uśmiechu, jakbym była lekko ubawiona.

– Niełatwo. Nie całkiem. Po prostu... – Zawahała się, zmarszczyła brwi, jakby nagle pożałowała, że się odezwała. – Masz kilka nawyków, które zauważyłam, to wszystko. – Westchnęła. – Czy inspektorki doków piją herbatę, czy tylko czekają, aż dostatecznie się zestarzejemy?

Nie mogliśmy zejść ze statku bez zezwolenia Biura Inspekcji. Inspekcja otrzymała nasze dane, kiedy statek poprosił o pozwolenie na dokowanie, i miała mnóstwo czasu, żeby je przejrzeć i zdecydować, co z nami zrobić, kiedy wylądujemy.

Wciąż oparta o gródź, Seivarden zamknęła oczy i zaczęła nucić. Niepewnie, w tonacji to wyższej, to niższej, myląc interwały. Ale wciąż dało się rozpoznać melodię. *Moje serce jest rybą...*

– Na cycki Aatr – zaklęła po półtorej zwrotki. – Przez ciebie sama zaczęłam.

Zadzwiećczał gong przy drzwiach.

– Wejść – powiedziałam.

Seivarden otworzyła oczy, usiadła prosto. Nagle sprężona. Znudzenie było tylko pozą, jak podejrzywałam.

Drzwi się rozsunęły i pojawiła się osoba w ciemnoniebieskiej kurtce, rękawiczkach i spodniach inspektorki doków. Była drobna i młoda, jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Wyglądała znajomo, chociaż nie mogłam skojarzyć, kogo mi przypominała. Skromniejszy niż zwykle zestaw biżuterii i pamiątkowych spinek mógł mi powiedzieć, gdybym się przyjrzała z takiej odległości, żeby odczytać nazwiska. Co byłoby niegrzeczne. Po drugiej stronie pokoju Seivarden schowała gołe dłonie za plecami.

– Szanowna Breq – powiedziała asystentka inspektorki z lekkim ukłonem. Nie wydawała się speszona moimi nagimi rękami. Pewnie przyzwyczajona do cudzoziemców. – Obywatelko Seivarden. Zechcecie udać się ze mną do biura głównej inspektorki?

Moim zdaniem nie było potrzeby, żebyśmy fatygowały się do samej głównej inspektorki. Ta asystentka miała dostateczne uprawnienia, żeby nas wpuścić na stację. Albo kazać nas aresztować.

Poszliśmy za nią przez służbę do strefy załadunku, przez następną służbę na korytarz rojący się od ludzi: inspektorki doków na ciemnoniebiesko, stacyjna Służba Bezpieczeństwa na jasnobrązowo, tu i tam ciemniejszy brąz żołnierek oraz plamy jaśniejszych kolorów – obywatelki po cywilnemu. Korytarz otwierał się na szeroki pokój, gdzie pod ścianami stali bogowie czuwający nad podróżnymi i handlarzami, na jednym końcu znajdowało się wejście do samej stacji, a naprzeciwko drzwi do biura głównej inspektorki.

Asystentka przeprowadziła nas przez zewnętrzne biuro, gdzie dziewięć młodszych asystentek w niebieskich mundurach załatwiała skargi kapitanów statków, i dalej przez biura kilku starszych asystentek oraz ich personelu. Na koniec do wewnętrznego biura, z czterema krzesłami i małym stolikiem, i zamkniętymi drzwiami w głębi.

– Przepraszam, ob... szanowna i obywatelko – powiedziała asystentka, która nas tu przyprowadziła; palce jej drgały, kiedy komunikowała się z kimś, ze stacyjną SI albo z samą główną inspektorką. – Główna inspektorka była dyspozycyjna, ale coś wynikło. To na pewno potrwa najwyżej parę minut. Proszę usiąść. Napijcie się herbaty?

Zatem niezbyt długie czekanie. A propozycja herbaty sugerowała, że nas nie aresztują. I nikt nie odkrył, że moje dokumenty są sfałszowane. Wszyscy tutaj – włącznie ze stacją – zakładali, że jestem tym, za kogo się podaję, cudzoziemską turystką. I może będę miała okazję odkryć, kogo mi przypomina ta młoda asystentka inspektorki. Teraz, podczas jej dłuższej

wypowiedzi, zauważyłam lekki akcent. Skąd pochodziła?

– Tak, dziękuję – powiedziałam.

Seivarden nie od razu odpowiedziała na propozycję herbaty. Ramiona miała skrzyżowane, nagie dłonie wsunięte pod łokcie. Pewnie chciałyby się napić, ale wstydziła się pokazać dłonie bez rękawiczek, nie mogłaby ich ukryć trzymając czarę. Przynajmniej tak myślałam, dopóki nie powiedziała:

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co ona mówi.

Większość wykształconych Radchaai rozpoznałaby akcent i sposób mówienia Seivarden ze starych programów rozrywkowych, a sposób wyrażania się Anaander Mianaai szeroko naśladowały prestiżowe – lub pragnące za takie uchodzić – rodziny. Nie przypuszczałam, że w wymowie i słownictwie zajdą aż tak wielkie zmiany. Ale ja śledziłam je na bieżąco, a Seivarden nigdy nie miała ucha do języków.

– Ona proponuje herbatę.

– Och. – Seivarden zerknęła na swoje skrzyżowane ramiona. – Nie.

Przyjęłam herbatę, którą asystentka nalała z termosu na stole, podziękowałam jej i usiadłam. Gabinet pomalowano na bladą zieleń, płytki podłogi miały zapewne wyglądać jak drewno i udałoby się, gdyby projektant kiedykolwiek widział coś innego niż tylko imitację imitacji. W niszy ściennej obok młodej asystentki wisiała ikona Amaat nad miseczką jaskrawopomarańczowych kwiatów o nastroszonych płatkach. Obok zaś małeńka mosiężna kopia urwiska w świątyni Ikkt. Wiedziałam, że sprzedawali je handlarze na placu Przed-Świątynią, w sezonie pielgrzymek.

Ponownie spojrzałam na asystentkę. Kim była? Kimś, kogo znałam? Krewną kogoś, kogo znałam?

– Znowu nucisz – rzuciła półgłosem Seivarden.

– Przepraszam. – Łyknęłam herbaty. – To mój nawyk. Proszę wybaczyć.

– Nic nie szkodzi – odparła asystentka i również zajęła miejsce przy stole. Widocznie to był jej gabinet, czyli była bezpośrednią zastępczynią głównej inspektorki... niezwykle wysokie stanowisko jak na kogoś tak młodego. – Nie słyszałam tej piosenki, odkąd byłam dzieckiem.

Seivarden zamrugnęła, nie rozumiejąc. Gdyby zrozumiała, pewnie by się uśmiechnęła. Radchaai dożywały prawie dwustu lat. Ta asystentka inspektorki, prawdopodobnie pełnoletnia dopiero od dekady, wciąż była niemożliwie młoda.

– Znałam kiedyś kogoś, kto śpiewał przez cały czas – ciągnęła asystentka.

Znałam ją. Zapewne kupowałam od niej piosenki. Miałaby jakieś cztery, może pięć lat, kiedy opuściłam Ors. Może trochę więcej, jeśli wyraźnie mnie zapamiętała.

Główna inspektorka za tymi drzwiami przebywała kiedyś na Shis'urnie... najprawdopodobniej w samym Ors. Co wiedziałam o porucznik, która zastąpiła tam Awn w roli administratorki? Czyżby zrezygnowała z przydziału do wojska i podjęła pracę jako inspektorka doków? Rzecz niesłychana.

Kimkolwiek była, miała dość pieniędzy i wpływów, żeby sprowadzić tutaj tę asystentkę z Ors. Chciałam zapytać młodą kobietę o nazwisko jej patronki, ale to byłoby niegrzeczne, nie do pomyślenia.

– Słyszałam – udałam bezcelową ciekawość i nieznacznie podkreśliłam swój akcent z Gerentate – że biżuteria, którą nosicie wy, Radchaai, ma jakieś znaczenie.

Seivarden rzuciła mi zdumione spojrzenie. Asystentka tylko się uśmiechnęła.

– Niektóra. – Teraz, kiedy zidentyfikowałam jej orsyjski akcent, brzmiał wyraźnie. – Na przykład to. – Przesunęła urękawiczonym palcem pod wisiorkiem barwy złota przypiętym w pobliżu lewego ramienia. – To pamiątka.

– Mogę obejrzeć z bliska? – zapytałam.

Otrzymawszy pozwolenie, przysunęłam swoje krzesło i nachyliłam się, żeby przeczytać nazwisko wygrawerowane po radchaajsku w zwykłym metalu, nazwisko, którego nie rozpoznałam. To raczej nie była pamiątka dla Orsyjki – nie wyobrażałam sobie, żeby ktokolwiek w dolnym mieście przejął radchaajskie zwyczaje pogrzebowe, przynajmniej nikt dostatecznie stary, żeby umrzeć od czasu mojego pobytu.

Obok pamiątki w kołnierzu tkwiła mała emaliowana szpilka w kształcie kwiatka, każdy z płatków przedstawiający symbol Emanacji. W środku kwiatka wryto datę. A więc ta młoda kobieta była tą malutką, wystraszoną kwiaciarką dwadzieścia lat temu, kiedy Anaander Mianaai pełniła funkcję kapłanki w domu porucznik Awn.

Przypadki nie istnieją, nie dla Radchaai. Teraz miałam całkowitą pewność, że kiedy nas dopuszczą przed oblicze głównej inspektorki, zobaczą zastępczynię porucznik Awn w Ors. Ta asystentka była zapewne jej protegowaną.

– Robią je na pogrzeby – mówiła asystentka, wciąż opowiadając o pamiątkowych spinkach. – Nosi je rodzina i bliscy przyjaciele.

Na podstawie stylu i ceny danego egzemplarza można określić status zmarłego w radchaajskim społeczeństwie, a co za tym idzie, również status osoby noszącej tę pamiątkę. Jednak asystentka – nazywała się, jak pamiętałam, Daos Ceit – nie wspomniała o tym.

Zaciekawiło mnie wtedy, co Seivarden mogła zrozumieć – co rozumiała – ze zmian w modzie od czasu Garsedd, ze sposobu, w jaki te sygnały się zmieniły... albo nie. Ludzie nadal nosili odziedziczone symbole i pamiątki, świadectwo więzi społecznych i wartości ich przodków sprzed pokoleń. I na ogół było tak samo, tylko że „sprzed pokoleń” oznaczało Garsedd. Niektóre symbole wówczas bez znaczenia stały się teraz cenione, inne, dawniej bezcenne, teraz straciły wartość. Natomiast kolor i znaczenie klejnotów modnych przez jakieś ostatnie sto lat pozostawały dla Seivarden kompletną zagadką.

Asystentka inspektorki Ceit miała trzy bliskie przyjaciółki, wszystkie o porównywalnych dochodach i stanowiskach, sądząc po prezentach, jakimi się obdarowały. Dwie kochanki dostatecznie bliskie, żeby wymieniać symbole, ale niewystarczająco, żeby to uznać za poważny związek. Żadnych sznurów klejnotów, żadnych bransolet – chociaż oczywiście jeśli jej praca polegała na sprawdzaniu cargo czy systemów statków, takie rzeczy by przeszkadzały – i żadnych pierścionków na dłoniach w rękawiczkach.

A tam, na drugim ramieniu, gdzie teraz mogłam go dokładnie obejrzeć, nie okazując zbytnej nieuprzejmości, znajdował się symbol, którego szukałam. W pierwszej chwili nie doceniłam jego wartości, wzięłam platynę za srebro, osadzoną w niej perłę za szkło, uznałam to za prezent od krewnej – zmyliła mnie obecna moda. To nie było nic taniego, nic pospolitego. Ale to nie był również symbol patronatu, chociaż metal i perła sugerowały związek z pewnym konkretnym domem. Domem na tyle starym, że Seivarden powinna natychmiast go rozpoznać. Może rozpoznała.

Asystentka inspektorki Ceit wstała.

– Główna inspektorka jest już do dyspozycji – oznajmiła. – Przepraszam, że musiałyście czekać.

Otworzyła wewnętrzne drzwi i gestem zaprosiła nas do środka.



W wewnętrznym gabinecie wstała na nasze spotkanie dwadzieścia lat starsza i nieco cięższa niż wtedy, kiedy ją ostatnio widziałam, ofiarodawczyni tej broszki – porucznik... nie, główna inspektorka Skaaiat Awer.

Porucznik Skaaiat nie mogła mnie rozpoznać. Skłoniła się, nieświadoma faktu, że ją znałam. Dziwnie było ją widzieć w ciemnoniebieskim mundurze i znacznie poważniejszą, znacznie stateczniejszą niż wtedy w Ors.

Główna inspektorka na stacji tak ruchliwej chyba nigdy nie zagląda osobiście na statki, które kontrolują jej podwładne, ale główna inspektorka Skaaiat nosiła prawie tak mało biżuterii jak jej asystentka. Długi sznur błękitnych i zielonych klejnotów wił się od ramienia do przeciwległego biodra, w jednym uchu dyndał czerwony kamień, poza tym jednak kurtkę mundurową zdobiły tylko podobne (choć droższe) pamiątki przyjaciół, kochanków i zmarłych krewnych. Jeden zwykły złoty symbol wisiał przy mankiecie prawego rękawa, tuż przy brzegu rękawiczki, w miejscu świadczącym, że ma o czymś przypominać, zarówno jej, jak i wszystkim innym. Wyglądał na tani, wyprodukowany maszynowo. Nie tego rodzaju, jaki powinna nosić.

Skłoniła się.

– Obywatelko Seivarden. Szanowna Breq. Proszę, siadajcie. Napijcie się herbaty? – Wciąż ta niewymuszona elegancja, nawet po dwudziestu latach.

– Twoja asystentka już poczęstowała nas herbatą, dziękujemy – powiedziałam.

Główna inspektorka Skaaiat zerknęła przelotnie na mnie, a potem na Seivarden, chyba lekko zdziwiona. Zwróciła się w pierwszej kolejności do Seivarden, uważając ją za ważniejszą z nas dwóch. Usiadłam. Seivarden wahała się przez chwilę, a potem usiadła obok mnie, wciąż z założonymi rękami, żeby ukryć nagie dłonie.

– Chciałam cię poznać osobiście, obywatelko – powiedziała główna inspektorka Skaaiat, kiedy sama zajęła miejsce. – Przywilej stanowiska. Nie co dzień spotyka się kogoś, kto ma tysiąc lat.

Seivarden uśmiechnęła się lekko, z przymusem.

– Istotnie – przyznała.

– I uznałam, że to niewłaściwe, żeby Służba Bezpieczeństwa cię aresztowała w dokach. Chociaż... – Główna inspektorka Skaaiat wykonała pojednawczy gest, spinka na jej mankiecie błysnęła krótko. – Masz kłopoty prawne, obywatelko.

Seivarden odprężyła się nieznacznie, opuściła ramiona, rozluźniła mięśnie szczęki. Ledwie dostrzegalnie, jeśli się jej nie znało. Akcent Skaaiat i nienapastliwy ton zrobiły swoje.

– Mam – potwierdziła. – Zamierzam apelować.

– W takim razie pozostaje kilka pytań. – Sztywno. Formalnie. Pytanie, które nie było pytaniem. Ale nie padła żadna odpowiedź. – Mogę osobiście zaprowadzić cię do pałacowych biur i uniknąć mieszania w to Bezpieczeństwa.

Oczywiście, że mogła. Ustaliła to już z szefem Służby Bezpieczeństwa.

– Byłabym wdzięczna. – Seivarden wróciła do dawnego sposobu mówienia, którego nie słyszałam od roku. – Czy mogłabym prosić o pomoc w skontaktowaniu mnie z lord Geir?

Niewykluczone, że Geir poczują się odpowiedzialni za ostatniego członka domu, który przejęli. Znienawidzeni Geir, którzy wchłonęli swoich wrogów – Vendaai, dom Seivarden. Stosunki Vendaai z Awer były nie lepsze niż z Geir, co tylko świadczyło, jak samotna i zdesperowana była Seivarden.

– Ach. – Główna inspektorka Skaaiat skrzywiła się nieznacznie. – Awer i Geir nie są już tak blisko jak dawniej, obywatelko. Jakies dwieście lat temu doszło do wymiany sukcesorów.

Kuzynka Geir się zabiła. – Czasownik użyty przez główną inspektorę Skaaiat sugerował, że to nie było zaaprobowane, wspomagane medycznie samobójstwo, ale coś zakazanego i niechlujnego. – A kuzynka Awer oszalała i uciekła, żeby wstąpić do jakiejś sekty.

Seivarden prychnęła z rozbawieniem.

– Typowe.

Główna inspektorka Skaaiat uniosła brew, ale powiedziała tylko opanowanym tonem:

– Obie strony zachowały pewną urazę. Toteż moje powiązania z Geir nie są takie, jakie być powinny, i nie wiem, czy mogłabym ci pomóc. A ich odpowiedzialność za ciebie wydaje się... trudna do ustalenia, chociaż możesz to wykorzystać w apelacji.

Seivarden wykonała gest powstrzymania, wciąż z ciasno skrzyżowanymi ramionami, unosząc lekko jeden łokieć.

– Chyba nie warto się fatygować.

Skaaiat gestem wyraziła ambiwalencję.

– W każdym razie otrzymasz tu wyżywienie i zakwaterowanie, obywatelko. – Odwróciła się do mnie. – A ty, szanowna? Jesteś turystką?

– Tak. – Uśmiechnęłam się z nadzieją, że wyglądam całkiem jak turystka z Gerentate.

– Jesteś bardzo daleko od domu. – Główna inspektorka Skaaiat uśmiechnęła się uprzejmie, jakby wygłosiła tylko zdawkową uwagę.

– Od dawna podróżuję.

Oczywiście wzbudziłam jej ciekawość... a także innych. Przybyłam w towarzystwie Seivarden. Większość tutejszych mieszkańców nie znała jej nazwiska, ale jeśli je skojarzyli, zaintrygowało ich oszołamiające nieprawdopodobieństwo odnalezienia jej po tysiącu lat oraz związek z osławionym Garsedd.

Wciąż miło uśmiechnięta, Skaaiat zapytała:

– Szukasz czegoś? Uciekasz przed czymś? Czy po prostu lubisz podróżować?

Wykonałam wieloznaczny gest.

– Chyba lubię podróżować.

Oczy głównej inspektor Skaaiat zmrużyły się lekko na te słowa, mięśnie wokół ust napięły się ledwo dostrzegalnie. Widocznie pomyślała, że coś ukrywam, i jeszcze bardziej się zaciekawiła.

Przez mgnienie oka zastanawiałam się, dlaczego odpowiedziałam w ten sposób.

I uświadomiłam sobie, że obecność głównej inspektorki Skaaiat w tym miejscu oznacza dla mnie ogromne niebezpieczeństwo – nie dlatego, że ona może mnie rozpoznać, ale dlatego, że ja ją rozpoznałam. Dlatego że ona żyła, a porucznik Awn nie. Dlatego że wszyscy o jej pozycji zawiadli Awn (ja zawiadłam Awn) i gdyby ówczesną porucznik Skaaiat poddano testowi, niewątpliwie też by zawiodła. Sama Awn o tym wiedziała.

Groziło mi, że emocje wpłyną na moje zachowanie. Już wpłynęły, zawsze wpływały. Ale dotąd jeszcze nie stanęłam twarzą w twarz ze Skaaiat Awer.

– Wiem, że moja odpowiedź jest niejednoznaczna. – Wykonałam taki sam pojednawczy gest, jaki wcześniej zrobiła Skaaiat. – Nigdy nie kwestionowałam mojego zamiłowania do podróży. Kiedy byłam dzieckiem, babcia powiedziała, że już po moich pierwszych krokach poznała, że jestem urodzoną podróżniczką. Ciągle to powtarzała. Chyba zawsze w to wierzyłam.

Główna inspektorka Skaaiat gestem potwierdziła, że rozumie.

– Szkoda byłoby rozczarować twoją babcie. Twój radchaajski jest bardzo dobry.

– Babcia zawsze mi powtarzała, żebym się uczyła języków.  
Skaaiat się roześmiała. Prawie tak, jak pamiętałam z Ors, ale pozostał ten ślad powagi.

– Przepraszam, szanowna, ale czy masz rękawiczki?  
– Chciałam kupić, zanim weszłyśmy na statek, ale postanowiłam poczekać i wybrać odpowiedni rodzaj. Liczyłam, że wybaczą mi gołe dłonie po przyjeździe, skoro jestem niecywilizowaną cudzoziemką.

– Można argumentować za jednym i drugim podejściem – powiedziała główna inspektorka Skaaiat, wciąż z uśmiechem. Odrobinę bardziej odprężona niż przed chwilą. – Chociaż. – Powróciła powaga. – Mówisz bardzo dobrze, ale nie wiem, jak dobrze rozumiesz inne rzeczy. Uniosłam brew.

– Jakie rzeczy?  
– Nie chcę być niedelikatna, szanowna. Ale obywatelka Seivarden chyba nie ma żadnych własnych pieniędzy. – Obok mnie Seivarden znowu się sprężyła, zacisnęła szczęki, przełknęła coś, co chciała powiedzieć. – Rodzice – ciągnęła Skaaiat – kupują ubrania dla dzieci. Świątynia daje rękawiczki pomocnikom... kwiaciarkom, nosiwodom i tak dalej. To w porządku, ponieważ wszyscy są winni lojalność bogu. I wiem z twojego podania o wjazd, że zatrudniłaś obywatelkę Seivarden jako służącą, ale...

– Ach – zrozumiałam. – Jeśli kupię rękawiczki dla obywatelki Seivarden... która ich z pewnością potrzebuje... będzie wyglądało, że proponuję jej patronat.

– Właśnie – przyznała główna inspektorka Skaaiat. – Co by nie szkodziło, jeśli masz taki zamiar. Ale myślę, że w Gerentate to wygląda inaczej. I szczerze mówiąc... – Zawahała się, ponownie wkraczając na niepewny grunt.

– I szczerze mówiąc – dokończyłam za nią – ona jest w trudnej sytuacji prawnej i nie pomoże jej związek z cudzoziemką. – Normalnie moja twarz nic nie wyrażała. Łatwo mogłam ukryć gniew w głosie. Mogłam rozmawiać z główną inspektorką Skaaiat, jakbym wcale nie znała porucznik Awn, jakby porucznik Awn nie przeżywała niegdyś obawy, rozterki i nadziei w związku z jej przyszłym patronatem. – Nawet z bogatą.

– Raczej nie wyraziłabym się w ten sposób – zaczęła Skaaiat.

– Po prostu dam jej teraz trochę pieniędzy – zaproponowałam. – To powinno załatwić sprawę.

– Nie – warknęła Seivarden. Ostro. Z gniewem. – Nie potrzebuję pieniędzy. Każdemu obywatelowi należą się podstawowe artykuły, a ubranie to podstawowy artykuł. Dostanę, czego potrzebuję. – W odpowiedzi na zdumione, pytające spojrzenie głównej inspektorki dodała: – Breq ma ważne powody, żeby mi nie dawać pieniędzy.

Skaaiat widocznie wiedziała, co to znaczy.

– Obywatelko, nie chcę cię pouczać – powiedziała. – Ale jeśli o to chodzi, dlaczego nie pozwolisz, żeby Służba Bezpieczeństwa wysłała cię do medycznego? Rozumiem, że masz przed tym opory. – Reeducacja to nie było coś, o czym można mówić lekko. – Ale naprawdę możesz na tym skorzystać. Często tak się dzieje.

Rok wcześniej spodziewałabym się, że Seivarden wybuchnie na taką propozycję. Ale przez ten czas coś się w niej zmieniło. Powiedziała tylko z lekką irytacją:

– Nie.

Główna inspektorka Skaaiat spojrzała na mnie. Uniosłam jedną brew i jedno ramię, jakby mówiąc: „Ona już taka jest”.

– Breq ma do mnie dużo cierpliwości – dodała Seivarden, co mnie ogromnie zdumiało. –

I jest bardzo hojna. – Spojrzała na mnie. – Nie potrzebuję pieniędzy.

– Jak sobie życzysz – odparłam.

Skaaiat obserwowała tę wymianę zdań uważnie, z lekko zmarszczonymi brwiami. Ciekawiło ją chyba nie tylko to, kim i czym jestem, ale czym jestem dla Seivarden.

– No cóż – powiedziała teraz – zaprowadzę was do pałacu. Szanowna Breq Ghaiad, kazałam zanieść twoje bagaże do kwatery.

Wstała. Ja również wstałam, a potem Seivarden. Wyszliśmy za główną inspektorką Skaaiat do zewnętrznego biura – pustego, Daos Ceit (asystentka inspektorki Ceit, muszę zapamiętać) pewnie już skończyła pracę o tej porze. Zamiast prowadzić nas przez biura od frontu, Skaaiat weszła w tylny korytarz, przez drzwi, które otwały się bez żadnego widocznego znaku z jej strony – to stacja, SI, która kierowała tym miejscem, była tym miejscem, uważnie pilnowała głównej inspektorki swoich doków.

– Nic ci nie jest, Breq? – zapytała Seivarden, patrząc na mnie z zaskoczeniem i troską.

– Nic – skłamałam. – Jestem tylko trochę zmęczona. To był długi dzień.

Na pewno nie zmieniłam wyrazu twarzy, ale Seivarden coś zauważyła.

Za tymi drzwiami znajdował się następny korytarz i rząd wind, z których jedna otwarła się przed nami, potem zamknęła się i ruszyła bez żadnego sygnału. Stacja wiedziała, dokąd chce pojechać Skaaiat. Okazało się, że do głównego pasażu.

Drzwi windy rozsunęły się i ujrzałyśmy rozległy, imponujący widok – aleję wybrukowaną czarnym, białą żyłkowanym kamieniem, długą na siedemset i szeroką na dwadzieścia pięć metrów, dach sześćdziesiąt metrów wyżej. Prosto przed nami stała świątynia. Schody nie były prawdziwymi schodami, tylko strefą zaznaczoną na bruku czerwonymi, zielonymi i niebieskimi kamieniami; czynności na schodach świątyni potencjalnie nabierały mocy prawnej. Wejście, wysokie na czterdzieści metrów i szerokie na osiem, flankowały postacie setek bogów, wielu człekokształtnych, innych nie, burza kolorów. Tuż za wejściem stała misa, w której wierni obmywali ręce, a dalej pojemniki pełne ciętych kwiatów, snopy żółci, oranżu i czerwieni i kosze kadzidła do kupienia na ofiarę. Dalej po obu stronach pasażu ciągnęły się sklepy, biura, balkony oplecione kwitnącymi pnączami. Ławki, rośliny, i chociaż o tej porze większość Radchaai zasiadała do kolacji, setki obywaterek przechodziły albo stały, rozmawiając, umundurowane (biel dla Biura Translatorskiego, jasny brąz dla Służby Bezpieczeństwa, ciemny brąz dla wojskowych, zielony dla Ogrodnictwa, jasnoniebieski dla Administracji) albo nie, wszystkie błyszczące od klejnotów, wszystkie całkowicie cywilizowane. Zauważyłam serwitorkę wchodzącą za swoją kapitan do zatłoczonej herbaciarni i zaciekało mnie, z którego są statku. Które statki tu były. Ale nie mogłam zapytać, takie rzeczy nie powinny interesować Breq z Gerentate.

Nagle zobaczyłam ich wszystkich, tylko przez chwilę, nieradchaajskimi oczami, skłębiony tłum ludzi o niepokojąco niejednoznacznej płci. Zobaczyłam wszystkie cechy, które oznaczałyby płęć dla nie-Radchaai – ale nigdy tak samo w każdym miejscu, ku mojej irytacji i niewygodzie. Włosy krótkie lub długie, rozpuszczone (spływające na plecy albo wijące się gęstą aureolą wokół głowy) albo ufryzowane (splecione, związane, spięte). Ciała grube lub chude, twarze o rysach delikatnych bądź ordynarnych, pokryte kosmetykami albo nie. Obfitość kolorów, które w innych miejscach określałyby płęć. Wszystko to połączone na chybił trafił z ciałami zaokrąglonymi w piersiach i biodrach albo nie, ciałami, które w jednej chwili poruszały się w sposób, jaki nie-Radchaai nazwałby kobiecym, w następnej chwili – w sposób męski. Dwadzieścia lat przyzwyczajenia doszło do głosu i przez moment martwiłam

się o wybór właściwych zaimków, właściwych zwrotów. Ale tutaj nie musiałam się tym przejmować. Mogłam zrzucić z ramion ten drobny, ale irytujący ciężar, który dźwigałam przez cały czas. Byłam w domu.

Ale ten dom nigdy nie był dla mnie domem. Spędziłam całe życie na aneksjach, stacjach w procesie stawania się takimi jak to miejsce, opuszczałam je, zanim ten proces się zakończył, żeby gdzie indziej zacząć wszystko od początku. Z takich miejsc pochodziły moje oficer i do takich wracały. W takich miejscach nigdy nie byłam, a jednak znałam je doskonale. Takie miejsca stanowiły, z pewnego punktu widzenia, wyłączny powód mojej egzystencji.

– Tędy to trochę dłuższy spacer – powiedziała główna inspektorka Skaaiat – ale dramatyczne wejście.

– Rzeczywiście – przyznałam.

– Po co te wszystkie żakiety? – zapytała Seivarden. – To mi ostatnio przeszkadzało. Chociaż w ostatnim miejscu wszyscy nosili płaszcze do kolan. Tutaj wyglądają jak żakiety albo płaszcze do podłogi. A kołnierze są całkiem nie takie.

– Nie przejmowałaś się modą w innych miejscach, gdzie byliśmy – wytknęłam jej.

– Inne miejsca były obce – odparła Seivarden z irytacją. – Nie musiały wyglądać jak dom. Główna inspektorka Skaaiat się uśmiechnęła.

– Myślę, że w końcu przywykniesz. Właściwy pałac jest po tamtej stronie.

Ruszyliśmy za nią przez pasaż, gdzie nasze niecywilizowane stroje i nagie dłonie przyciągały zaintrygowane, pełne niesmaku spojrzenia, i dotarliśmy do wejścia oznaczonego tylko czarnym paskiem na drzwiach.

– Poradzę sobie – powiedziała Seivarden, chociaż się nie odezwałam. – Dogonię cię, jak skończę.

– Zaczekam.

Główna inspektorka Skaaiat patrzyła, jak Seivarden wchodzi do właściwego pałacu, a potem powiedziała:

– Szanowna Breq, dwa słowa, proszę.

Gestem wyraziłam zgodę.

– Bardzo się troszczysz o obywatelkę Seivarden. Rozumiem, i to dobrze o tobie świadczy. Ale nie ma powodu martwić się o jej bezpieczeństwo. Radch opiekuje się swoimi obywatelami.

– Powiedz mi, gdyby Seivarden była nikim z nieznanego domu i uciekła z Radch bez zezwolenia... i co tam jeszcze zrobiła, szczerze mówiąc, nie wiem, czy zrobiła coś więcej... gdyby była kimś, o kim nigdy nie słyszałaś, z domu o nic niemówiącej nazwie, którego historii nie znasz, czy zostałaby grzecznie przywitana w doku, poczęstowana herbatą, a potem odprowadzona do właściwego pałacu, żeby mogła złożyć apelację?

Prawa dłoń Skaaiat uniosła się zaledwie o milimetr, błysnęła ta niestosowna złota spinka.

– Ona już nie ma takiej pozycji. Jest praktycznie bezdomnym bankrutem. – Milczałam i tylko na nią patrzyłam. – Nie, jest coś w tym, co mówisz. Gdybym nie wiedziała, kim ona jest, nie pomyślałabym, żeby cokolwiek dla niej zrobić. Ale z pewnością tak się dzieje nawet w Gerentate?

Zdobyłam się na lekki uśmiech z nadzieją, że moja twarz przybierze przyjemniejszy wyraz.

– Owszem.

Główna inspektorka Skaaiat milczała przez chwilę, przyglądając mi się, pogrążona w myślach, których nie potrafiłam odgadnąć. Aż powiedziała:

– Czy zamierzasz jej zaproponować patronat?

To pytanie byłoby niewymownie niegrzeczne, gdybym była Radchaai. Ale Skaaiat Awer, którą znałam, często wypowiadała na głos rzeczy, jakie inni woleli przemilczać.

– Nie mogłabym. Nie jestem Radchaai. A w Gerentate nie zawieramy takich kontraktów.

– Nie, nie zawieracie – przyznała Skaaiat. Otwarcie. – Nie wyobrażam sobie, jakby to było obudzić się nagle za tysiąc lat, straciwszy statek w niesławnym wypadku... wszyscy moi przyjaciele umarli, mój dom nie istnieje. Ja też mogłabym uciec. Seivarden musi znaleźć sposób, żeby gdzieś przynależeć. Dla Radchaai wygląda tak, jakbyś jej to ofiarowała.

– Martwisz się, że karmię Seivarden fałszywymi nadziejami. – Pomyślałam o Daos Ceit w zewnętrznym biurze, o tej pięknej, bardzo drogiej platynowej broszce z perłą, która nie była symbolem patronatu.

– Nie wiem, jakimi nadziejami karmi się obywatelka Seivarden. Po prostu... zachowujesz się tak, jakbyś była za nią odpowiedzialna. To wydaje mi się niewłaściwe.

– Gdybym była Radchaai, czy wciąż to wydawałoby ci się niewłaściwe?

– Gdybyś była Radchaai, zachowywałabyś się inaczej. – Napięcie jej szczęk zdradzało, że była zła, ale usiłowała to ukryć.

– Czyje nazwisko jest na tej szpilce? – Niezamierzone pytanie zabrzmiało bardziej obcesowo niż dyplomatycznie.

– Co? – Zaskoczona, zmarszczyła brwi.

– Ta szpilka na twoim prawym rękawie. Różni się od wszystkich innych rzeczy, które nosisz. – „Czyje nazwisko jest na niej?”, chciałam ponownie zapytać, i: „Co zrobiłaś dla siostry porucznik Awn?”.

Główna inspektorka Skaaiat zamrugnęła i cofnęła się lekko, niemal jakbym ją uderzyła.

– To pamiątka po przyjaciółce, która nie żyje.

– I myślisz o niej teraz. Ciągłe przekręcasz nadgarstek, odwracasz szpilkę do siebie.

Robisz to od kilku minut.

– Często o niej myślę. – Nabrała powietrza, wypuściła. Ponownie odetchnęła. – Chyba nie jestem wobec ciebie uczciwa, Breq Ghaiad.

Wiedziałam. Wiedziałam, czyje nazwisko jest na tej szpilce, chociaż go nie dostrzegałam. Nie miałam pewności, czy ta wiedza sprawi, że zacznę lepiej myśleć o głównej inspektorce Skaaiat, czy znacznie, znacznie gorzej. Ale w tej chwili groziło mi niebezpieczeństwo, jakiego nigdy się nie spodziewałam, nigdy nie przewidywałam, o jakim nigdy nawet mi się nie śniło. Powiedziałam już rzeczy, jakich nigdy, przenigdy nie powinnam mówić. I zamierzałam powiedzieć więcej. Tylko ta jedna, jedyna osoba ze wszystkich, które spotkałam w ciągu długich dwudziestu lat, wiedziałaby, kim jestem. Ogarnęła mnie nieodparta pokusa, żeby zawołać: „Poruczniku, patrz, to ja, jestem Esk Jeden «Sprawiedliwości Toren!»”.

Zamiast tego bardzo ostrożnie powiedziałam:

– Zgadzasz się z tobą, że Seivarden musi znaleźć tu sobie dom. Po prostu nie ufam Radch tak jak ty. Tak jak ona.

Główna inspektorka Skaaiat otworzyła usta, żeby mi odpowiedzieć, ale przerwał jej głos Seivarden:

– Nie trwało długo!

Seivarden podeszła do nas, spojrzała na mnie i spochmurniała.

– Noga znowu ci dokucza. Musisz usiąść.

– Noga? – zapytała Skaaiat.

– Stara rana, która nie za dobrze się zagoiła – wyjaśniłam, chwilowo z tego zadowolona, ponieważ Seivarden przypisze tej ranie wszelkie widoczne oznaki stresu. Stacja też, jeśli obserwowała.

– Masz za sobą długi dzień, a ja cię tu trzymam na stojąco. To bardzo nieuprzejme z mojej strony, proszę, wybacz mi, szanowna – powiedziała główna inspektorka Skaaiat.

– Oczywiście. – Powstrzymałam następne słowa, które cisnęły mi się na język, i odwróciłam się do Seivarden. – No więc jak stoją sprawy?

– Wystąpiłam o apelację i za kilka dni powinni mi wyznaczyć termin – odparła. – Wpisałam też twoje nazwisko. – Widząc uniesioną brew Skaaiat, dodała: – Breq uratowała mi życie. Więcej niż raz.

Główna inspektorka Skaaiat powiedziała tylko:

– Twoja audiencja prawdopodobnie odbędzie się dopiero za parę miesięcy.

– Tymczasem – ciągnęła Seivarden, wykonując drobny gest potwierdzenia, wciąż ze skrzyżowanymi ramionami – przyznano mi kwatere, jestem na liście żywnościowej i mam piętnaście minut, żeby się zgłosić do najbliższego punktu zaopatrzenia po ubranie.

Kwatera. No, jeśli Skaaiat uważała za niewłaściwe, że Seivarden mieszka ze mną, niewątpliwie Seivarden też tak pomyśli, z tych samych powodów. I nawet jeśli nie była już moją służącą, poprosiła, żebym jej towarzyszyła na przesłuchaniu. To ważne, przypominałam sobie.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – Nie chciałam. Chciałam zostać sama, żeby odzyskać równowagę.

– Dam sobie radę. Musisz odciążyć tę nogę. Złapię cię jutro. Obywatelko główna inspektorko, miło było cię poznać. – Seivarden skłoniła się, perfekcyjnie odmierzona uprzejmość wobec równej sobie, otrzymała identyczny ukłon od Skaaiat, po czym zniknęła w pasażu.

Odwróciłam się do głównej inspektorki Skaaiat.

– Jaki hotel mi polecisz?

\*

Pół godziny później byłam sama w swoim pokoju, tak jak sobie życzyłam. Był to drogi apartament tuż przy głównym pasażu, niezwykle luksusowe pięć metrów kwadratowych, podłoga z czegoś, co wyglądało niemal jak prawdziwe drewno, ciemnoniebieskie ściany. Stół i krzesła, projektor obrazów w podłodze. Wiele Radchaa – chociaż nie wszystkie – miało optyczne i słuchowe implanty, które pozwalały im oglądać przedstawienia albo słuchać muzyki czy wiadomości bezpośrednio. Jednak ludzie wciąż lubili oglądać coś razem, a bardzo bogaci czasami stawiali sobie za punkt honoru wyłączanie implantów.

Koc na łóżku przypominał w dotyku prawdziwą wełnę, nie syntetycznego. Na jednej ścianie rozkładana prycza dla służącej, której oczywiście już nie miałam. I niewiarygodny luksus jak na Radch: pokój miał własną maleńką łazienkę – dla mnie konieczność, ze względu na broń i amunicję przypasaną do mojego ciała pod koszulą. Skanery stacji jej nie wykryły i nie wykryją, ale oczy ludzkie mogły ją zobaczyć. Gdybym ją zostawiła w pokoju, znaleziono by ją podczas rewizji. Z pewnością nie mogłam jej zostawić w szatni łaźni publicznej.

Konsola na ścianie w pobliżu drzwi zapewniała mi dostęp do komunikacji. I stacji. I przez nią stacja mogła mnie obserwować, chociaż z pewnością miała jeszcze inne sposoby, żeby zaglądać do pokoju. Wróciłam do Radch, gdzie nie ma samotności ani prywatności.



Pięć minut po tym, jak zajęłam pokój, dostarczono mój bagaż, a razem z nim tacę z kolacją z pobliskiej restauracji, rybę i warzywa, jeszcze parujące i pachnące przyprawami.

Zawsze istnieje szansa, że nikt nie zwraca uwagi. Ale kiedy otworzyłam bagaż, zauważyłam, że został przeszukany. Może dlatego, że byłam cudzoziemką. Może nie.

Wyjęłam termos do herbaty i filiżanki oraz ikonę Tej, Która Wyskoczyła z Lili, ustawiłam je na niskim stoliku obok łóżka. Zużyłam litr z mojego przydziału wody, żeby napełnić termos, a potem usiadłam do jedzenia.

Ryba smakowała równie pysznie, jak pachniała, i nieco poprawiła mi nastrój. Przynajmniej lepiej mogłam znieść moją sytuację, kiedy już zjadłam i wypiałam filiżankę herbaty.

Stacja mogła obserwować znaczny procent swoich mieszkańców bez przerwy, ja tak obserwowałam niegdyś moje oficer. Pozostałych – włącznie ze mną, teraz – widziała mniej szczegółowo. Temperatura. Puls. Oddech. Mniej imponujące niż strumień danych od dokładniej monitorowanych rezydentów, ale wciąż mnóstwo informacji. Dodajmy do tego bliską znajomość obserwowanej osoby, jej historii, pozycji społecznej – i praktycznie stacja mogła czytać w myślach.

Prawie. Nie mogła dosłownie odczytywać myśli. I nie знаła mojej historii, nie zetknęła się ze mną wcześniej. Dostrzegłaby ślady moich emocji, ale nie miała podstaw, żeby trafnie odgadnąć, dlaczego czułam to, co czułam.

Biodro rzeczywiście mnie bolało. A główna inspektorka Skaaiat potraktowała mnie, według radchaajskich kryteriów, wyjątkowo niegrzecznie. Jeśli zareagowałam gniewem, widocznym dla stacji, o ile patrzyła (widocznym dla Anaander Mianaai, o ile patrzyła), to było całkowicie naturalne. I jedna, i druga mogły tylko zgadywać, co mnie rozgniewało. Teraz mogłam odgrywać rolę wyczerpanej podróżniczki, cierpiącej przez starą ranę, potrzebującej tylko jedzenia i odpoczynku.

W pokoju było tak cicho. Nawet kiedy Seivarden się dąsała, cisza nigdy nie wydawała się tak przytłaczająca. Nie przywykłam do samotności tak bardzo, jak sądziłam. A myśląc o Seivarden, uświadomiłam sobie nagle coś, czego nie zauważyłam tam w pasażu, zaślepiona gniewem na Skaaiat Awer. Pomyślałam wtedy, że główna inspektorka Skaaiat to jedyna osoba, która może mnie rozpoznać, ale myliłam się. Seivarden również mogła.

Jednak porucznik Awn nigdy nie oczekiwała niczego od Seivarden, nigdy przez nią nie cierpiała, nigdy się nią nie rozczarowała. Gdyby się kiedykolwiek spotkały, Seivarden z pewnością nie ukrywałaby swojej pogardy. Awn traktowałaby ją ze sztywną uprzejmością, podszytą gniewem dostrzegalnym wyłącznie dla mnie, ale nigdy nie doznałaby tej przygniatającej rozpacz i bólu, jaki czuła, kiedy ówczesna porucznik Skaaiat bezmyślnie powiedziała coś lekceważącego.

Może jednak niesłusznie sądziłam, że reaguję na te dwie, Skaaiat Awer i Seivarden Vendaai, zupełnie inaczej. Raz już naraziłam się na niebezpieczeństwo ze złości na Seivarden.

Nie potrafiłam tego rozplątać. I musiałam odgrywać swoją rolę dla każdego, kto akurat patrzył, podtrzymywać wizerunek, który starannie budowałam przez całą drogę do tego miejsca. Postawiłam pustą filiżankę obok termosu, uklękłam na podłodze przed ikoną (biodro lekko zaprotestowało) i zaczęłam się modlić.

Następnego ranka kupiłam ubranie. Właścicielka sklepu zarekomendowanego przez główną inspektorę Skaaiat chciała już mnie wyrzucić, kiedy na jej konsoli rozbłysnęło moje saldo bankowe, nieproszone, jak podejrzewałam. Stacja oszczędziła jej niezręcznej sytuacji i jednocześnie dała mi do zrozumienia, że uważnie mnie obserwuje.

Oczywiście potrzebowałam rękawiczek, a jeśli zamierzałam grać rolę bogatej, rozrzutnej turystki, musiałam kupić coś więcej. Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, właścicielka wyciągnęła bele brokatu, aksamitu i satyny w dziesięciu różnych kolorach. Purpurowy i brązowo-pomarańczowy, trzy odcienie zieleni, złoty, bladożółty i lodowato niebieski, popielaty, ciemnoczerwony.

– Nie możesz chodzić w tym ubraniu – oświadczyła autorytatywnie właścicielka.

Podwładna podała mi herbatę, niemal skutecznie ukrywając niesmak na widok moich gołych rąk. Pół litra herbaty, dwa zabójczo słodkie ciastka i tuzin zniewag później wysłałam stamtąd w pomarańczowo-brązowym żakiecie i spodniach, sztywnej śnieżnobiałej koszuli pod spodem i ciemnoszarych rękawiczkach tak cienkich i miękkich, że moje dłonie wciąż wydawały się nagie. Na szczęście obecna moda lansowała marynarki i spodnie skrojone dostatecznie luźno, żeby ukryć moją broń. Reszta – jeszcze dwa żakiety ze spodniami, dwie pary rękawiczek, pół tuzina koszul i trzy pary butów – zostanie dostarczona do mojego apartamentu, zanim zakończę wizytę w świątyni, przynajmniej tak obiecała właścicielka.

Wysłałam ze sklepu i skręciłam za róg na główny pasaż, zatłoczony o tej porze tłumem Radchaai, które wchodziły do świątyni i wychodziły z niej albo z właściwego pałacu, odwiedzały herbaciarnie (niewątpliwie modne i drogie) albo po prostu pokazywały się w odpowiednim towarzystwie. Przedtem, kiedy tędy przechodziłam w drodze do sklepu z odzieżą, ludzie gapili się i szeptali albo tylko unosili brwi. Teraz miałam wrażenie, że jestem niewidzialna. Tylko od czasu do czasu jakaś równie dobrze ubrana Radchaai spuszczała wzrok na przód mojego żakietu, szukając oznaczeń mojej rodzinnej przynależności, i kiedy żadnych nie widziała, oczy jej się rozszerzały ze zdumienia. Albo dziecko, ściskające jedną małą rączką w rękawiczkę rękaw dorosłej opiekunki, odwracało się, żeby otwarcie gapić się na mnie, dopóki nie zostało odciągnięte.

Wewnątrz świątyni obywatelki cisnęły się do kwiatów i kadzideł. Młodsze kapłanki, w moich oczach niemal dzieci, przynosiły kosze i skrzynki z uzupełnieniami. Jako serwitorka nie mogłam dotykać świątynnych ofiar ani sama ich składać. Ale tutaj nikt o tym nie wiedział. Umyłam ręce w misie, po czym nabyłam naręczę jaskrawych żółto-pomarańczowych kwiatów oraz bryłkę kadzidła z rodzaju, który lubiła porucznik Awn.

W świątyni wyznaczano oddzielne miejsce dla modłów za zmarłych oraz dni pomyślne dla składania takich ofiar, jednak to nie był taki dzień, a jako cudzoziemka nie powinnam mieć bliskich radchaajskich zmarłych. Weszłam do pełnej ech głównej sali, gdzie stała Amaat, ze zdobioną klejnotami Emanacją w każdej ręce, już po kolana w kwiatach, wzgórze czerwieni, oranżu i żółci dorównujące mi wysokością, powiększające się w miarę, jak wyznawcy dorzucali więcej kwiecica. Kiedy dotarłam do pierwszego szeregu tłumy, dołożyłam własne naręczę, wykonałam gesty i bezgłośnie odmówiłam modlitwę. Wrzuciłam kadzidło do skrzynki, którą później opróżnią inne młodsze kapłanki. To był tylko symbol – kadzidło wróci do wejścia i ponownie zostanie sprzedane. Gdyby spalano wszystkie ofiarowane kadzidła, w świątyni nie dałoby się oddychać z powodu dymu. A to nawet nie był dzień świąteczny.

Kiedy kłaniałam się bogu, stanęła obok mnie kapitan statku w brązowym mundurze. Zrobiła ruch, jakby chciała rzucić swoją garść kwiatów, a potem zamarła, patrząc na mnie. Palce jej wolnej lewej dłoni leciutko drgnęły. Rysy jej twarzy przypominały mi Setkę kapitan Rubran Oस्क, chociaż kapitan Rubran była chuda i tyczkowata, włosy miała długie, proste i rozpuszczone, natomiast ta kapitan była niższa, krępa, z krótko ściętymi włosami. Rzut oka na jej biżuterię potwierdził, że była jej kuzynką, należała do tej samej gałęzi tego samego domu. Pamiętałam, że Anaander Mianaai nie potrafiła przewidzieć, czy kapitan Rubran pozostanie lojalna, a nie chciała zbyt mocno naciągać siatki patronatów i kontaktów, do której należała Setka kapitan. Ciekawe, czy wciąż tak było, czy też Oस्क opowiedzieli się po jednej albo drugiej stronie.

Nieważne. Kapitan wciąż patrzyła, zapewne otrzymując już odpowiedzi na swoje pytania. Stacja albo jej statek poinformują ją, że jestem cudzoziemką, i kapitan, jak przypuszczałam, straci zainteresowanie. Albo nie, jeśli dowie się o Seivarden. Nie czekałam na rezultat, tylko zakończyłam modlitwy, odwróciłam się i zaczęłam się przepychać wśród ludzi czekających, żeby złożyć ofiarę.

Po bokach sali znajdowały się mniejsze kapliczki. W jednej trzy dorosłe kobiety i dwie dziewczynki stały wokół niemowlęcia, które położyły przy piersi Aatr – pozwalało na to ramię zgięte pod piersiami boga, tymi piersiami, na które często się zaklinano – licząc na pomyślną wróżbę albo przynajmniej jakiś znak pokazujący przyszłość dziecka.

Wszystkie kapliczki były piękne, błyszcząły od srebra i złota, szkła i polerowanego kamienia. Ogromną salę wypełniały echa niezliczonych ściszonych rozmów i modlitw. Żadnej muzyki. Pomyślałam o niemal pustej świątyni Ikkt i Świątobliwości, która opowiadała mi o setkach dawno nieżyjących śpiewaków.

Spędziłam w świątyni prawie dwie godziny, podziwiając kapliczki drugorzędnych bogów. Przypuszczalnie budowla świątynna zajmowała po jednej stronie stacji całą przestrzeń, jakiej nie zajmował właściwy pałac. Z pewnością były połączone, skoro Anaander Mianaai regularnie pełniła tu funkcję kapłanki, chociaż przejścia dyskretnie ukryto.

Zostawiłam kaplicę pogrzebową na koniec. Częściowo dlatego, że tam tłoczyło się chyba najwięcej turystów, a częściowo ponieważ wiedziałam, że tam poczuje się nieszczęśliwa. Była większa niż pozostałe podrzędne kaplice, niemal w połowie tak duża jak rozległa główna sala. Stały tam półki i gabloty wypełnione ofiarami dla zmarłych. Tylko żywność albo kwiaty. Wszystko ze szkła. Szklane filiżanki ze szklaną herbatą, nad którymi unosiła się szklana para. Stosy delikatnych szklanych róż i listków. Dwa tuziny rozmaitych owoców, ryby i warzywa, które niemal wydzielały fantomowy aromat mojej wczorajszej kolacji. Sklepy bardziej odległe od głównego pasażu sprzedawały masowo produkowane wersje tych przedmiotów, do postawienia w domowej kapliczce dla bogów albo zmarłych, te jednak były inne. Każdy stanowił drobiazgowo wypracowane dzieło sztuki, każdy oznaczono tabliczką z wyraźnie wypisanymi nazwiskami żyjącego ofiarodawcy i zmarłego odbiorcy, żeby wszyscy odwiedzający zobaczyli pobożną żalobę... oraz status i bogactwo.

Pewnie miałam dość pieniędzy, żeby nabyć taką ofiarę. Ale gdybym to zrobiła i podpisała ją odpowiednimi nazwiskami, byłaby to moja ostatnia życiowa czynność. A kapłanki na pewno by jej nie przyjęły. Rozważałam już wysłanie pieniędzy siostrze porucznik Awn, ale to również wzbudziłoby niepożądaną ciekawość. Mogłabym załatwić, żeby jej przekazano to, co zostanie, kiedy już zrobię, co zaplanowałam, ale podejrzewałam, że to będzie niemożliwe. Jednak myśląc o tym, myśląc o moim luksusowym pokoju i pięknych, kosztownych strojach,

czułam wyrzuty sumienia.

Przy drzwiach świątyni, kiedy już miałam wyjść do pasażu, zastąpił mi drogę żołnierz. Człowiek, nie serwitor. Ukłoniła się.

– Przepraszam. Mam wiadomość od obywatelki Vel Osck, kapitan „Łaski Kalr”.

Kapitan, która gapiła się na mnie, kiedy składałam ofiarę Amaat. Wysłała żołnierzkę, żeby mnie zaczepiła, czyli uważała, że zasługuję na więcej względów niż wiadomość przekazana przez system stacji, ale nie aż tyle, żeby wysłać jakąś porucznik albo pofatygować się osobiście. Chociaż może obawiała się niezręcznej towarzysko sytuacji, którą wolała zwalić na żołnierzkę. Nie mogłam nie zauważyć dość niezdarnej konstrukcji zdania, obliczonej na uniknięcie tytułu grzecznościowego.

– Wybacz, obywatelko – powiedziałam. – Nie znam obywatelki Vel Osck.

Żołnierzka wykonała lekki, przepraszający gest, pełen szacunku.

– Poranne wróżby wskazały, że kapitan czeka dzisiaj szczęśliwe spotkanie. Kiedy zobaczyła, jak składasz ofiarę, była pewna, że chodzi o ciebie.

Widok nieznamomej w świątyni, w miejscu tak wielkim i tłoczonym, trudno nazwać szczęśliwym spotkaniem. Poczułam się lekko obrażona, że kapitan nawet nie próbowała bardziej się wysilić. Wystarczyłoby kilka sekund namysłu, żeby wykoncypować coś lepszego.

– Co to za wiadomość, obywatelko?

– Kapitan zwykle pija herbatę po południu – oznajmiła żołnierzka uprzejmie i wymieniła herbaciarnię tuż przy pasażu. – Byłaby zaszczycona, gdybyś się do niej przyłączyła.

Czas i miejsce sugerowały spotkanie „towarzyskie”, w rzeczywistości demonstrację wpływów i powiązań, gdzie omawiano rzekomo nieoficjalne sprawy.

Kapitan Vel nie miała do mnie żadnych spraw. I nic by nie zyskała, pokazując się ze mną.

– Jeśli kapitan chce się spotkać z obywatelką Seivarden... – zaczęłam.

– To nie kapitan Seivarden moja przełożona zobaczyła w świątyni – odparła żołnierzka, znowu nieco przepraszającym tonem. Z pewnością zdawała sobie sprawę, jak przejrzyste jest jej zadanie. – Ale oczywiście, jeśli chcesz przyprowadzić kapitan Seivarden, kapitan Vel będzie zaszczycona, mogąc ją poznać.

Oczywiście. Nawet bezdomna i zbankrutowana, Seivarden otrzymałaby osobiste zaproszenie od kogoś, kogo znała, nie wiadomość przez system stacji albo ten graniczący ze zniewagą przekaz od dziewczynki na posyłki kapitan Vel. Ale to było dokładnie to, czego chciałam.

– Oczywiście nie mogę mówić w imieniu obywatelki Seivarden – powiedziałam. – Proszę, podziękuj kapitan Vel za zaproszenie.

Żołnierzka skłoniła się i odeszła.

Obok pasażu znalazłam sklep sprzedający pojemniki z czymś, co reklamowano po prostu jako „lunch”, a co okazało się ponownie rybą duszoną z owocami. Zabrałam ją do mojego pokoju, usiadłam przy stole i zjadłam, zastanawiając się nad tą konsolą w ścianie, widowym połączeniem ze stacją.

Stacja była równie bystra jak ja dawniej, kiedy jeszcze byłam statkiem. Młodsza, tak. Mniej niż połowa mojego wieku. Ale nie należało jej lekceważyć, o nie. Jeśli mnie zdemaskują, to prawie na pewno z powodu stacji.

Stacja nie wykryła moich serwitorskich implantów, z których wszystkie wyłączyłam i jak najstaranniej zamaskowałam. Gdyby je wykryła, już zostałabym aresztowana. Ale stacja mogła widzieć przynajmniej podstawowe objawy mojego stanu emocjonalnego. Mogła, dysponując

wystarczającymi informacjami, ocenić, kiedy kłamie. I z pewnością obserwowała mnie uważnie.

Lecz stany emocjonalne z punktu widzenia stacji, z mojego punktu widzenia, kiedy byłam „Sprawiedliwością Toren”, stanowiły jedynie zbiór danych medycznych, danych pozbawionych sensu bez odpowiedniego kontekstu. Gdybym w obecnym ponurym nastroju właśnie zesłała ze statku, stacja zauważyłaby to, ale nie rozumiałaby, dlaczego tak się czuję, ani nie potrafiłaby wyciągnąć z tego żadnych wniosków. Jednak im dłużej tu przebywałam, im dłużej stacja na mnie patrzyła, tym więcej zbierała danych na mój temat. Mogła stworzyć własny kontekst, własny wizerunek mojej osoby. I porównać go z tym, czym powinnam być według niej.

Niebezpiecznie robi się, jeśli te dwa obrazy nie będą do siebie pasowały. Przełknęłam kęs ryby, spojrzałam na konsolę.

– Cześć – powiedziałam. – SI, która mnie obserwuje.

– Szanowna Ghaiad Breq – powiedziała stacja z konsoli spokojnym głosem. – Witaj. Zwykle zwracają się do mnie: stacja.

– Zatem stacja. – Następny kęs ryby z owocami. – Więc jednak mnie obserwujesz.

Naprawdę niepokoiła mnie ta inwigilacja. Nie mogłam tego ukryć przed stacją.

– Obserwuję wszystkich, szanowna. Czy noga wciąż ci dokucza? – Dokuczała i stacja niewątpliwie widziała, że ją oszczędzam, poznała to po sposobie, w jaki teraz siedziałam. – Mamy doskonałą służbę medyczną. Na pewno jedna z naszych lekarzy znajdzie rozwiązanie twojego problemu.

Alarmująca perspektywa. Ale mogłam sprawić, że moja reakcja wydawała się całkowicie zrozumiała.

– Nie, dziękuję. Ostrzegano mnie przed radchajskimi ośrodkami medycznymi. Wolę już znieść drobną niewygodę i pozostać tym, kim jestem.

Chwila milczenia. Potem stacja zapytała:

– Czy chodzi ci o testy? Albo reedukację? Ani jedno, ani drugie nie zmieniłoby tego, kim jesteś. I nie kwalifikujesz się do żadnego z nich, zapewniam.

– Wszystko jedno. – Odłożyłam sztuciec. – Tam, skąd pochodzę, mamy powiedzenie: Władza nie potrzebuje ani przyzwolenia, ani przebaczenia.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo z Gerentate – oznajmiła stacja. Oczywiście na to liczyłam. – Zapewne to nic dziwnego, że tak oceniasz sytuację. Cudzoziemcy często nie rozumieją, jakie są naprawdę Radchaa.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, co właśnie powiedziałaś? Dosłownie, że niecywilizowani nie rozumieją cywilizacji. Czy zdajesz sobie sprawę, że wielu ludzi poza przestrzenią Radch uważa się za cywilizowanych? – W radchajskim prawie nie dałoby się sklecić takiego zdania, wewnętrzna sprzeczność.

Czekałam na „Nie to miałam na myśli”, ale się nie doczekałam. Zamiast tego stacja zapytała:

– Czy przyjechałabyś tutaj, gdyby nie obywatelka Seivarden?

– Możliwe – odparłam, wiedząc, że nie mogę okłamać stacji wprost, ponieważ zbyt uważnie mnie obserwowała. Wiedząc, że odtąd moja niechęć i gniew, a także obawa przed radchajskimi urzędnikami zostaną złożone na karb mojej niechęci i obawy wobec Radch. – Czy macie jakąś muzykę w tym bardzo cywilizowanym miejscu?

– Tak – powiedziała stacja. – Chociaż chyba nie mam żadnej muzyki z Gerentate.

– Gdybym chciała słuchać tylko muzyki z Gerentate – rzuciłam cierpko – nigdy bym stamtąd nie wyjeżdżała.

Stacja bynajmniej się nie spieszyła.

– Wolisz wyjść czy zostać w pokoju?

Wołałam zostać. Stacja wyświetliła dla mnie przedstawienie, nowe, tegoroczne, ale kojąco znajomego gatunku: młoda kobieta ze skromnej rodziny z nadzieją na patronat bardziej prestiżowego domu. Zazdrosna rywalka, która kopie pod nią dołki, oczerniając ją przed potencjalnym patronem. W końcu poznanie prawdziwej, szlachetnej natury heroiny, jej lojalności w najgorszych opresjach, nawet bez kontraktu, i upadek jej rywalki, po czym kulminacja w postaci długo wyczekiwanego kontraktu patronackiego i dziesięć minut triumfalnego śpiewu i tańca, ostatnie z jedenastu takich interludów podczas czterech oddzielnych epizodów. Była to produkcja na bardzo małą skalę – niektóre miały dziesiątki epizodów, rozciągniętych na wiele dni, a nawet tygodni – na dodatek idiotyczna, ale piosenki były ładne i znacznie poprawiły mi nastrój.

\*

Nie miałam nic pilnego do roboty, dopóki nie nadejdzie wiadomość o apelacji Seivarden, co oznaczało, jeśli miałam szczęście, jeszcze dłuższe czekanie. Wstałam, wygładziłam nowe spodnie, włożyłam buty i żakiet.

– Stacjo – powiedziałam. – Czy wiesz, gdzie znajdę obywatelkę Seivarden Vendaai?

– Obywatelka Seivarden Vendaai – odpowiedziała stacja jak zawsze spokojnym głosem – przebywa w biurze Służby Bezpieczeństwa na podpoziomie dziewiątym.

– Słucham?

– Doszło do bójki – wyjaśniła stacja. – Zwykle Służba Bezpieczeństwa skontaktowałyby się z jej rodziną, ale ona nie ma tu rodziny.

Ja oczywiście nie byłam jej rodziną. Ale mogła mnie wezwać, gdyby chciała. A jednak.

– Czy możesz mi wskazać drogę do biura Służby Bezpieczeństwa na podpoziomie dziewiątym?

– Oczywiście, szanowna.

\*

Biuro na podpoziomie dziewiątym było maleńkie, zaledwie konsola, parę krzeseł, stół ze zdekompletowaną zastawą do herbaty i kilka szafek. Seivarden siedziała na ławce pod ścianą w głębi. Nosila szare rękawiczki oraz źle dopasowany żakiet i spodnie z jakiejś sztywnej, szorstkiej tkaniny, rzeczy z rodzaju tłoczonych w miarę zapotrzebowania, nie szytych, prawdopodobnie produkowanych w kilku standardowych rozmiarach. Moje mundury, kiedy byłam statkiem, wytwarzano w ten sposób, ale wyglądały lepiej. Oczywiście ja dopasowywałam każdy odpowiednio, wtedy to było dla mnie łatwe.

Przód szarej marynarki Seivarden był zachlapany krwią, którą nasiąkała też jedna rękawiczka. Krew zakrzepła na górnej wardze. Na grzbiecie nosa tkwiła mała, przezroczysta skorupka korektora. Drugi korektor zakrywał siniak tworzący się na policzku. Seivarden patrzyła tępo przed siebie, nie podnosząc wzroku na mnie ani na oficer Służby Bezpieczeństwa, która mnie wprowadziła.

– Przyszła twoja przyjaciółka, obywatelko – powiedziała oficer.

Seivarden zmarszczyła brwi. Rozejrzała się po niewielkim pokoiku. Potem skupiła wzrok

na mnie.

– Breq? Na cycki Aatr, to ty. Wyglądasz... – Zamrugwała. Otworzyła usta, żeby dokończyć zdanie, znowu zamilkła. Wzięła następny, trochę urywany oddech. – Inaczej – podsumowała. – Naprawdę zupełnie inaczej.

– Kupiłam tylko ubranie. Co ci się stało?

– Była bójka.

– I tak sama z siebie wynikła? – zapytałam.

– Nie – przyznała Seivarden. – Przydzielono mi miejsce do spania, ale tam już ktoś mieszkał. Próbowałam z nią rozmawiać, ale ledwie ją rozumiałam.

– Gdzie spałaś zeszłej nocy? – zapytałam.

Wbiła wzrok w podłogę.

– Poradziłam sobie. – Znowu spojrzała na mnie, na funkcjonariuszkę ochrony obok mnie. – Ale nie dawałam rady przez cały czas.

– Powinnaś była przyjść do nas, obywatelko – zwróciła jej uwagę funkcjonariuszka. – Teraz masz ostrzeżenie w aktach. Nie chciałybyś tego.

– A jej przeciwniczka? – zapytałam.

Seivarden wykonała przeczący gest. Nie powinnam o to pytać.

– Nie za dobrze sobie radzę sama, prawda? – powiedziała Seivarden żałośnie.

\*

Nie dbając o dezaprobatę Skaaiat Awer, kupiłam Seivarden nowe rękawiczki i żakiet, ciemnozielony, również tłoczony na żądanie, ale przynajmniej lepiej dopasowany i znacznie lepszej jakości. Szary nie nadawał się do prania, a wiedziałam, że biuro zaopatrzenia nie dostarczy tak szybko następnych ubrań. Kiedy Seivarden się przebrała i odesłała stare rzeczy do recyklingu, zapytałam:

– Jadłaś coś? Zamierzałam cię zaprosić na kolację, kiedy stacja mi powiedziała, gdzie jesteś.

Umyła twarz i wyglądała teraz mniej więcej przyzwoicie, jeśli pominąć siniec pod korektorem na policzku.

– Nie jestem głodna – odparła. Błysk żalu?... złości?... przemknął przez jej twarz. Skrzyżowała ramiona i szybko z powrotem wyprostowała ręce, gest, którego u niej nie widziałam od miesięcy.

– Więc czy mogę cię poczęstować herbatą, kiedy będę jadła?

– Marzę o herbacie – zapewniła szczerze. Przypomniałam sobie, że nie miała pieniędzy, nie zgodziła się ich przyjąć ode mnie. Herbata, którą ze sobą przywiozłyśmy, była w moim bagażu, Seivarden nic nie wzięła, kiedy się rozstałyśmy poprzedniego wieczoru. A herbata oczywiście stanowiła specjalny dodatek. Luksus. Który wcale nie był luksusem. Przynajmniej według kryteriów Seivarden. I chyba według kryteriów wszystkich Radchaai.

Znalazłyśmy herbaciarnię, gdzie kupiłam coś zawiniętego w płat alg, trochę owoców i herbatę. Zajęłyśmy stolik w kącie.

– Na pewno nic nie zjesz? – zapytałam. – Owoce?

Udała brak zainteresowania owocami, potem wzięła kawałek.

– Mam nadzieję, że miałaś lepszy dzień niż ja.

– Zapewne. – Czekałam przez chwilę, żeby mi opowiedziała, co się stało, ale milczała i tylko na mnie patrzyła. – Rano poszłam do świątyni. I wpadłam na jakąś kapitan statku, która

gapiła się dość niegrzecznie, a potem przysłała do mnie jedną ze swoich żołnerek, żeby mnie zaprosić na herbatę.

– Jedną z żołnerek. – Seivarden uświadomiła sobie, że znowu skrzyżowała ramiona, wyprostowała ręce, wzięła filiżankę z herbatą, odstawiła na miejsce. – Serwitora?

– Człowieka. Na pewno.

Seivarden lekko uniosła brew.

– Nie powinnaś pójść. Powinna cię zaprosić osobiście. Chyba się nie zgodziłaś?

– Nie odmówiłam. – Trzy roześmiane Radchaa i weszły do herbaciarni. Wszystkie nosiły ciemnoniebieskie mundury służb doków. Jedną z nich była Daos Ceit, asystentka głównej inspektorki Skaaiat. Chyba mnie nie zauważyła. – Nie sądzę, żeby zaproszenie dotyczyło mnie. Myślę, że ona chce, żebym ją przedstawiła tobie.

– Ale... – Spochmurniała. Spojrzała na filiżankę herbaty w ręce okrytej zieloną rękawiczką. Drugą ręką strzepnęła przód nowego zakietu. – Powtórz, jak ona się nazywa.

– Vel Oस्क.

– Oस्क. Nigdy o nich nie słyszałam. – Wzięła następny łyk herbaty. Daos Ceit i jej przyjaciółki kupiły herbatę i ciastka, usiadły przy stoliku po drugiej stronie sali, rozmawiając z ożywieniem. – Dlaczego ona chce mnie poznać?

Uniosłam brew z niedowierzaniem.

– Przecież to ty wierzysz, że każde niespodziewane zdarzenie to wiadomość od boga – wytknęłam jej. – Zaginęłaś na tysiąc lat, odnalazłaś się przypadkiem, znowu znikłaś, a potem zjawiasz się w pałacu z bogatą cudzoziemką. I dziwisz się, że zwracasz uwagę. – Wykonała niejednoznaczny gest. – Skoro dom Vendaai już nie funkcjonuje, musisz jakoś się urządzić.

Przez króciutką chwilę wydawała się tak skonsternowana, że zaniepokoiłam się, czy moje słowa jej nie obraziły. Ale zaraz doszła do siebie.

– Jeśli kapitan Vel zależało na mojej dobrej woli albo w ogóle obchodziło ją moje zdanie, zrobiła zły początek, obrażając ciebie. – Za tymi słowami czaiła się jej dawna arogancja, zaskakująco różna od dotychczasowego, ledwie skrywanego przygnębienia.

– A co z tamtą główną inspektorką? – zagadnęłam. – Skaaiat, tak? Wydawała się dość uprzejma. I chyba wiedziała, kim jesteś.

– Wszyscy Awer wydają się dość uprzejmi – oświadczyła Seivarden z niesmakiem. Nad jej ramieniem widziałam, jak Daos Ceit śmieje się z czegoś, co powiedziała jedna z jej towarzyszek. – Wydają się normalni, przynajmniej z początku – ciągnęła Seivarden – ale potem mają wizje albo dochodzą do wniosku, że coś jest nie w porządku z wszechświatem i muszą to naprawić. Albo jedno i drugie. To sami szaleńcy. – Milczała przez chwilę, a potem obejrzała się, żeby sprawdzić, na co patrzę. – Ach, ona. Czy nie wygląda trochę... prowincjonalnie?

Przeniosłam całą uwagę na Seivarden. Wbiłam w nią wzrok.

Spuściła oczy.

– Przepraszam. To było... to było niewłaściwe. Nie mam żadnych...

– Wątpię – przerwałam – czy z pensji stać ją na ubrania, w których wyglądałaby... „inaczej”.

– Nie o to mi chodziło. – Seivarden podniosła wzrok, na jej twarzy wyraźnie malowała się udręka i zażenowanie. – Ale to, o co mi chodziło, było dostatecznie złe. Ja tylko... tylko się zdziwiłam. Chyba przez cały czas zakładałam, że jesteś ascetką. Po prostu się zdziwiłam.

Ascetka. Rozumiałam, dlaczego mogła tak pomyśleć, ale nie rozumiałam, jakie to ma



znaczenie, że się pomyliła. Chyba że...

– Jesteś zazdrosna? – zapytałam z niedowierzaniem. Dobrze ubrana czy nie, wyglądałam równie prowincjonalnie jak Daos Ceit. Tylko z innej prowincji.

– Nie! – A po chwili: – No, tak. Ale nie w ten sposób.

Zorientowałam się wtedy, że nie tylko inne Radchaai mogły błędnie zinterpretować prezent z ubrania, który jej zrobiłam. Chociaż ona z pewnością wiedziała, że nie mogłam tego zaofiarować. Chociaż wiedziałam, że gdyby zastanowiła się nad tym dłużej niż przez trzydzieści sekund, nigdy nie chciałaby ode mnie tego, co sugerował ten prezent. Przecież nie mogła pomyśleć, że o to mi chodziło.

– Wczoraj główna inspektorka ostrzegła mnie, że mogę rozbudzić w tobie fałszywe nadzieje. Albo wywołać u innych mylne wrażenie.

Seivarden parsknęła pogardliwie.

– Nad tym warto by się zastanawiać, gdyby chociaż trochę mnie obchodziło, co myślą Awer. – Uniosłam brew, a ona ciągnęła, teraz ze skruchą: – Myślałam, że dam sobie radę sama, ale przez całą wczorajszą noc i przez cały dzisiejszy dzień żałowałam, że nie zostałam z tobą. To chyba prawda, że wszystkie obywatelki mają opiekę. Nie widziałam, żeby ktoś głodował. Albo chodził nago. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Ale te ubrania. I ten skel. Tylko skel, przez cały czas, bardzo starannie odmierzany. Nie myślałam, że będę miała coś przeciwko. To znaczy nie mam nic przeciwko skelowi, ale z trudem mogę go przełknąć. –

Domyślałam się, w jakim była nastroju, kiedy się wdała w tę bójkę. – Chyba dobijała mnie świadomość, że przez całe tygodnie nie dostanę nic więcej. I świadomość – dodała z żalnym uśmiechem – że miałabym lepiej, gdybym poprosiła, żeby zostać z tobą.

– Więc chcesz z powrotem swoją dawną posadę? – zapytałam.

– Kurwa, tak! – wykrzyknęła z ulgą. Dostatecznie głośno, żeby towarzystwo z naprzeciwnika usłyszało i rzuciło nam karcące spojrzenia.

– Nie wyrażaj się, obywatelko. – Odgryzłam następny kęs mojej rolady z algami, czując ulgę z kilku powodów. – Na pewno nie wolisz spróbować z kapitan Vel?

– Możesz iść na herbatę, z kim zechcesz – odparła Seivarden. – Ale ona powinna cię zaprosić osobiście.

– Twoje maniery mają tysiąc lat – wytknęłam jej.

– Maniery pozostaną manierami – oburzyła się. – Ale jak mówiłam, możesz iść na herbatę, z kim zechcesz.

Do herbaciarni weszła główna inspektorka Skaaiat, zobaczyła Daos Ceit i skinęła jej głową, ale podeszła do naszego stolika. Zawahała się na moment, kiedy zauważyła korektory na twarzy Seivarden, ale potem udała, że ich nie widzi.

– Obywatelko. Szanowna.

– Inspektorko – odpowiedziałam. Seivarden tylko kiwnęła głową.

– Wydaję jutro wieczorem małe przyjęcie – oznajmiła Skaaiat. Wymieniła miejsce. – Tylko herbata, nic formalnego. Byłabym zaszczycona, gdybyście obie przyszły.

Seivarden roześmiała się otwarcie.

– Maniery – powtórzyła – pozostaną manierami.

Skaaiat zmarszczyła brwi, zbita z tropu.

– Twoje zaproszenie to już drugie dzisiaj – wyjaśniłam. – Obywatelka Seivarden mówi, że pierwsze było nie całkiem uprzejme.

– Mam nadzieję, że moje spełniło jej rygorystyczne wymagania – powiedziała Skaaiat. –

Kto ich nie spełnił?

– Kapitan Vel – odparłam. – Z „Łaski Kalr”.

Komuś, kto nie znał dobrze Skaaiat, mogłoby się wydawać, że nie miała zdania na temat kapitan Vel.

– No cóż. Przyznaję, że zamierzałam cię przedstawić, obywatelko, moim przyjaciółkom, które mogłyby ci się przydać. Ale może uznasz znajomość z kapitan Vel za przyjemniejszą.

– Widocznie nisko mnie cenisz – odparła Seivarden.

– Możliwe – ciągnęła Skaaiat i och, jak dziwnie było słyszeć ją mówiącą z taką powagą, zupełnie inaczej niż dwadzieścia lat wcześniej, kiedy ją znałam – że kapitan Vel nie okazała szanownej Breq wystarczającego szacunku. Ale przypuszczam, że pod innymi względami okaże się sympatyczna. – Zanim Seivarden zdążyła odpowiedzieć, Skaaiat dodała: – Muszę iść. Mam nadzieję, że jutro zobaczę was obie.

Spojrzała na stół, gdzie siedziała jej asystentka. Wszystkie trzy inspektorki wstały i wyszły za nią z herbaciarni.

Seivarden milczała przez chwilę, odprowadzając je wzrokiem.

– No cóż – odezwałam się i Seivarden znowu spojrzała na mnie. – Skoro wróciłaś, to chyba lepiej ci zapłacę, żebyś sobie sprawiła przyzwoite ubranie.

Przez twarz Seivarden przemknęło coś, czego nie zdążyłam odczytać.

– Gdzie kupiłaś swoje?

– Raczej nie zapłacę ci aż tyle.

Seivarden się roześmiała. Popiła herbaty, zjadła jeszcze kawałek owocu.

Wcale nie miałam pewności, że naprawdę coś wcześniej jadła.

– Na pewno nic więcej nie chcesz? – zapytałam.

– Na pewno. Co to jest? – Spojrzała na resztki mojej owiniętej algami kolacji.

– Nie mam pojęcia. – Nigdy przedtem nie widziałam czegoś takiego w Radch, widocznie zostało niedawno wynalezione albo pomysł ściągnięto z innego miejsca. – Ale jest dobre, chcesz jedno? Możemy je zabrać do pokoju, jeśli wolisz.

Seivarden się skrzywiła.

– Nie, dzięki. Jesteś większą ryzykantką niż ja.

– Chyba tak – zgodziłam się zyczliwie. Dokończyłam kolację, dopiłam herbatę. – Chociaż patrząc na mnie dzisiaj, nigdy byś tak nie powiedziała. Spędziłam rano w świątyni jak dobra turystka, a po południu oglądałam przedstawienie w swoim pokoju.

– Niech zgadnę! – Seivarden ironicznie uniosła brew. – To, o którym wszyscy mówią. Heroina jest cnotliwa i lojalna, a kochanka jej potencjalnej patronki jej nienawidzi. Jednak heroina zwycięża dzięki swojej niezachwianej lojalności i poświęceniu.

– Widziałaś to.

– Niejeden raz. Ale ostatnio bardzo dawno.

Uśmiechnęłam się.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają?

Seivarden odpowiedziała śmiechem.

– Najwyraźniej nie. Piosenki dobre?

– Całkiem dobre. Możesz obejrzeć po powrocie do pokoju, jeśli chcesz.

Ale w pokoju Seivarden rozłożyła koję dla służącej, mówiąc:

– Usiądę tylko na chwilę.

Dwie minuty i trzy sekundy później już spała.



Z pewnością miały upłynąć długie tygodnie, zanim Seivarden pozna choćby datę audiencji. Tymczasem mieszkaliśmy tu i miałam okazję wy badać, jak sprawy stoją, kto sprzymierzy się z którą Mianaai, jeśli dojdzie do otwartego rozłamu. A nawet czy jedna lub druga Mianaai zdobywały tutaj przewagę. Każda informacja mogła się okazać kluczowa, kiedy nadejdzie krytyczny moment. A nadejdzie, coraz bardziej byłam o tym przekonana. Anaander Mianaai może nie zorientuje się w najbliższym czasie, czym jestem – ale wtedy nie ukryję się przed jej resztą. Byłam tu, jawnie, zauważalnie, razem z Seivarden.

Myśląc o Seivarden i jak bardzo kapitan Vel Oस्क chciała ją poznać, myślałam również o Setce kapitan Rubran Oस्क. O Anaander Mianaai narzekającej, że nie może odgadnąć jej opinii, nie może liczyć ani na jej opór, ani poparcie, i nie może jej naciskać, żeby to sprawdzić albo narzucić. Dzięki swoim rodzinnym koneksjom kapitan Rubran była w tym szczęśliwym położeniu, że mogła zachować neutralność. Czy to coś mówiło o natężeniu walki Mianaai ze sobą w tamtym czasie?

Czy kapitan „Łaski Kalr” również przyjęła taką neutralną postawę? Czy może coś się zmieniło w równowadze sił pod moją nieobecność? I co to znaczy, że główna inspektorka Skaaiat jej nie lubi? Właśnie taki wyraz dostrzegłam na jej twarzy, kiedy wymieniłam nazwisko kapitan Vel. Okręty wojskowe nie podlegały zarządowi doków – oczywiście nie licząc przylotów i odlotów – toteż stosunki między nimi zwykle wyrażały się pogardą z jednej strony i lekką urazą z drugiej, wszystko pokryte ostrożną uprzejmością. Ale Skaaiat Awer nigdy nie żywiła długo urazy, a poza tym poznała obie strony medalu. Czy kapitan Vel obraziła ją osobiście? Czy też Skaaiat po prostu jej nie lubiła, jak to się czasem zdarza?

Czy może jej sympatie plasowały ją po drugiej stronie jakiejś politycznej linii podziału? I ostatecznie gdzie wyląduje Skaaiat Awer w podzielonym Radch? Jeśli nie zdarzyło się coś, co drastycznie zmieniło jej poglądy i osobowość, wiedziałam, gdzie upadnie jej kostka w tym rzucie. Kapitan Vel – i samej „Łaski Kalr” – nie znałam dostatecznie dobrze, żeby wyrokować.

Co do Seivarden, nie miałam złudzeń, którą stronę weźmie, gdyby mogła wybierać pomiędzy obywatelkami zachowującymi swoje właściwe stanowiska w ekspansjonistycznym, agresywnym Radch a końcem aneksji i awansem obywaterek z nieodpowiednim akcentem i nieodpowiednimi przodkami. Nie miałam złudzeń, jakie byłoby jej zdanie o porucznik Awn, gdyby się kiedykolwiek spotkały.

\*

Lokal, gdzie kapitan Vel zwykle chodziła na herbatę, nie rzucał się w oczy. Nie musiał. Zapewne nie należał do najmodniejszych ani najpopularniejszych – chyba że majątki Oस्क gwałtownie się powiększyły w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Niemniej pozostał miejscem tego rodzaju, że jeśli go nie znałaś, prawie na pewno nie byłaś tam mile widziana. W środku było ciemno, dźwięki stłumione – dywany i draperie wchłaniały echa oraz niepożądane hałasy. Wchodząc tam z gwarne go korytarza, poczułam się tak, jakbym nagle zakryła sobie uszy rękami. Wokół małych stolików stały niskie krzesła. Kapitan Vel siedziała w kącie, przed nią stały termosy, czarki z herbatą i na wpół opróżniona taca ciastek. Wszystkie krzesła były zajęte, ustawiono nawet zewnętrzny krąg.

Siedziały tu co najmniej od godziny. Zanim wyszłyśmy z pokoju, Seivarden powiedziała do

mnie głosem bez wyrazu, wciąż zirytowana, że oczywiście nie chcę się spieszyć na herbatę. Gdyby była w lepszym nastroju, wyjaśniłaby mi po prostu, że powinnam się spóźnić. Miałam taki zamiar, zanim jeszcze się odezwała, więc milczałam i pozwoliłam jej myśleć, że mną pokierowała, skoro potrzebowała takiej satysfakcji.

Kapitan Vel zobaczyła mnie i wstała z ukłonem.

– Ach, Breq Ghaiad. Czy może Ghaiad Breq?

Odwzajemniłam ukłon, pilnując, żeby był dokładnie tak płytki jak jej.

– W Gerentate wymieniamy najpierw nazwę domu. – Gerentate nie miało takich domów jak Radchaaai, ale to było jedyne radchaajskie słowo oznaczające nazwisko, związek rodzinny. – Ale teraz nie jestem w Gerentate. Ghaiad to nazwa mojego domu.

– Więc już ustawiłaś dla nas właściwą kolejność! – zawołała kapitan Vel z fałszywą jowialnością. – Bardzo przezornie.

Nie widziałam Seivarden, która stała za mną. Zaciekawilo mnie przelotnie, jaki miała wyraz twarzy, a także dlaczego kapitan Vel mnie zaprosiła, skoro na każdym kroku zamierzała mnie delikatnie obrazić.

Stacja z pewnością mnie obserwowała. Zobaczy przynajmniej śladowe oznaki mojej irytacji. Kapitan Vel nie zobaczy. A gdyby nawet dostrzegła, niewiele by to ją obeszło.

– I kapitan Seivarden Vendaai. – Kapitan Vel wykonała kolejny ukłon, wyraźnie głębszy niż pierwszy. – To zaszczyt, pani. Prawdziwy zaszczyt. Proszę usiąść.

Wskazała krzesła obok siebie, a dwie elegancko ubrane i obwieszane klejnotami Radchaaai wstały, żeby zrobić dla nas miejsce, bez słowa skargi czy urażonej miny.

– Za przeproszeniem, kapitanie – powiedziała Seivarden. Głosem bez wyrazu. Korektory z poprzedniego dnia odpadły i wyglądała teraz prawie jak przed tysiącem lat, bogata i arogancka córka wysoko postawionego domu. Byłam pewna, że za chwilę uśmiechnie się złośliwie i rzuci sarkastyczną uwagę, ale się myliłam. – Nie zasługuję już na tę rangę. Jestem służącą szanownej Breq. – Lekko podkreślone „szanownej”, jakby kapitan Vel nie znała stosownego tytułu grzecznościowego i Seivarden chciała tylko dyskretnie, grzecznie ją poinformować. – I dziękuję za zaproszenie, które była tak dobra mi przekazać. – Teraz nuta pogardy, chociaż mógł ją usłyszeć chyba tylko ktoś, kto dobrze znał Seivarden. – Ale mam swoje obowiązki.

– Dałam ci wolne popołudnie, obywatelko – powiedziałam, zanim kapitan Vel zdążyła się odezwać. – Możesz je spędzić, jak chcesz.

Brak reakcji ze strony Seivarden, wciąż nie widziałam jej twarzy. Zająłam jedno z krzesel, które dla nas zwolniono. Przedtem siedziała tu porucznik, niewątpliwie podwładna kapitan Vel. Chociaż widziałam tutaj więcej brązowych mundurów, niż potrzebował statek tak mały jak „Łaska Kalr”.

Osoba siedząca obok mnie była cywilem w różowościach i lazurach, w delikatnych satynowych rękawiczkach sugerujących, że nigdy nie brała do ręki nic cięższego ani mniej delikatnego niż czarka herbaty, z ostentacyjnie wielką broszą plecioną z kutego złotego drutu, wysadzaną szafirami... z pewnością nie szkiełkami. Wzór zapewne reklamował zamożny dom, do którego należała, ale go nie rozpoznałam. Nachyliła się w moją stronę i powiedziała głośno, kiedy Seivarden zajmowała miejsce naprzeciwko:

– Pewnie myślisz, jakie miałaś szczęście, że znalazłaś Seivarden Vendaai!

– Szczęście – powtórzyłam starannie, jakbym nie znała tego słowa, podkreślając nieco mocniej mój akcent z Gerentate. Niemal żałowałam, że radchaajski nie rozróżnia płci, żebym

mogła się pomylić i brzmieć jeszcze bardziej cudzoziemsko. Niemal. – Czy to odpowiednie słowo?

Słusznie się domyśliłam, dlaczego kapitan Vel zwróciła się do mnie w ten sposób. Główna inspektorka Skaaiat zachowała się podobnie, kiedy odezwała się najpierw do Seivarden, chociaż wiedziała, że Seivarden przybyła jako moja służąca. Oczywiście główna inspektorka niemal natychmiast dostrzegła swój błąd.

Naprzeciwko mnie Seivarden wyjaśniała kapitan Vel sytuację ze swoimi testami zdolności. Zdumiewał mnie jej lodowaty spokój, ponieważ wiedziałam, że złościła się, odkąd jej powiedziałam, że zamierzam pójść. Ale pod pewnymi względami to było jej naturalne środowisko. Gdyby statek, który znalazł jej szalupę ratunkową, przywiózł ją w takie miejsce zamiast na małą, prowincjonalną stację, jej losy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

– Śmieszne! – wykrzyknęła Róż i Lazur obok mnie, podczas gdy kapitan Vel napełniła czarkę herbatą i podała Seivarden. – Jakbyś była dzieckiem. Jakby nikt nie wiedział, do czego się nadawałaś. Dawniej można było polegać na urzędnikach, że załatwią sprawy przyzwoicie. – „Sprawiedliwie”, zadźwięczał milczący towarzysz ostatniego słowa. „Pożytecznie”.

– Ja, obywatelko, straciłam mój statek – przypomniała Seivarden.

– Nie twoja wina, kapitanie – zaprotestował inny cywil za moimi plecami. – Na pewno nie.

– Wszystko, co się dzieje na mojej wachcie, to moja wina, obywatelko – odparła Seivarden.

Kapitan Vel gestem wyraziła zgodę.

– Jednak nie powinno się wymagać, żebyś jeszcze raz zdawała testy.

Seivarden spojrzała na swoją herbatę, następnie na mnie, siedzącą naprzeciwko z pustymi rękami, i postawiła swoją czarkę na stole, nie wypiwszy nawet łyka. Kapitan Vel napełniła następną czarkę i podała mi, jakby nie zauważyła gestu Seivarden.

– Jak znajdujesz Radch po tysiącu lat, kapitanie? – zapytał ktoś za mną, kiedy przyjął herbatę. – Bardzo zmieniony?

Seivarden nie sięgnęła po swoją czarkę.

– Trochę zmieniony. Trochę taki sam.

– Na lepsze czy na gorsze?

– Trudno powiedzieć – odparła chłodno Seivarden.

– Jak pięknie mówisz, kapitanie Seivarden – odezwał się ktoś inny. – W naszych czasach tylu młodych ludzi nie dba o wymowę. Cudownie jest słyszeć, jak ktoś mówi z prawdziwą elegancją.

Wargi Seivarden drgnęły, co wyglądało jak podziękowanie za komplement, ale na pewno tym nie było.

– Te niższe domy i prowincjusze, z ich akcentami i slangiem – zgodziła się kapitan Vel. –

Doprawdy, na moim statku służą dobre żołnierki, ale słuchając, jak mówią, można by pomyśleć, że nigdy nie chodziły do szkoły.

– Zwycię lenistwo – zaopiniowała porucznik obok Seivarden.

– Z serwitorami tego nie ma – dorzucił ktoś za moimi plecami, prawdopodobnie kolejna kapitan.

– Z serwitorami nie ma wielu rzeczy – skomentował ktoś inny, co mogło się wydawać dwuznaczne, jednak dla mnie znaczenie nie ulegało wątpliwości. – Ale to nie jest bezpieczny temat.

– Niebezpieczny? – zapytałam niewinnie. – Chyba narzekanie na dzisiejszą młodzież nie jest tutaj nielegalne? Jakież to okrutne. Sądziłam, że to podstawowa cecha natury ludzkiej, jeden z niewielu powszechnie praktykowanych ludzkich zwyczajów.

– I na pewno – dodała Seivarden z lekkim, szyderczym uśmieszkiem, jej maska wreszcie zaczęła pękać – zawsze jest bezpiecznie narzekać na niższe domy i na prowincjuszy.

– Można by tak pomyśleć – powiedziała Róż i Lazur obok mnie, błędnie interpretując słowa Seivarden. – Ale niestety zmieniliśmy się od twoich czasów, kapitanie. Dawniej można było polegać na testach, że wyznaczą właściwy przydział właściwemu obywatelowi. Nie potrafię pojąć niektórych decyzji, jakie obecnie podejmują. I przywileje dla ateistów. –

Chodziło jej o Valskaayanów, którzy z zasady nie byli ateistami, tylko monoteistami, jednak wiele Radchaai nie dostrzegało tej różnicy. – I ludzie żołnierze! Ludzie obecnie są przeczuleni na punkcie serwitorów, ale nie widuje się pijanych serwitorów rzygających w pasażu.

Seivarden cmoknęła współczująco.

– Nigdy nie widziałam oficerów rzygających po pijaku.

– Może za twoich czasów – odparł ktoś za mną. – Czasy się zmieniły.

Róż i Lazur przechyliła głowę w stronę kapitan Vel, która sądząc po minie, wreszcie zrozumiała słowa Seivarden, w przeciwieństwie do mojej sąsiadki.

– Nie mówię, kapitanie, że nie utrzymujesz porządku na swoim statku. Ale z serwitorami nie musiałybyś utrzymywać porządku, prawda?

Kapitan Vel odsunęła ten temat machnięciem wolnej ręki, w drugiej ręce trzymając czarękę z herbata.

– Na tym polega dowodzenie, obywatelko, to po prostu moja praca. Ale są ważniejsze sprawy. Nie można zapełnić ludźmi wojskowych transportowców. Wszystkie „Sprawiedliwości” z ludzką załogą są w połowie puste.

– I oczywiście – wtrąciła Róż i Lazur – za wszystkie trzeba płacić.

Kapitan Vel przyświadczyła gestem.

– Oni mówią, że już ich nie potrzebujemy. – Oczywiście „oni” to Anaander Mianaai. Nie wymieniano jej nazwiska, kiedy ją krytykowano. – Że nasze granice są dobre takie, jakie są. Nie udaję, że rozumiem politykę lub polityków. Ale magazynowanie serwitorów wydaje mi się mniejszym marnotrawstwem niż szkolenie i opłacanie ludzi, którzy podlegają rotacji.

– Mówią – podjęła Róż i Lazur obok mnie, sięgając po ciastko z tacy – że gdyby nie zniknięcie „Sprawiedliwości Toren”, oddaliby już na złom któryś z transportowców.

Nikt z obecnych nie zauważył mojego zdumienia, kiedy usłyszałam własne imię, ale stacja z pewnością zauważyła. Owo zdumienie, owo zaskoczenie nie pasowało do tożsamości, którą stworzyłam. Stacja z pewnością podda mnie ponownej ocenie. Podobnie jak Anaander Mianaai.

– Ach – powiedział jakiś cywil za moimi plecami. – Ale nasz gość z pewnością się cieszy, że nasze granice są ustalone.

Tylko nieznacznie odwróciłam głowę, żeby odpowiedzieć.

– Gerentate byłoby bardzo dużym kęsem.

Nie podniosłam głosu. Nikt nie mógł zauważyć mojej konsternacji, wywołanej zaskoczeniem sprzed paru chwil.

Oczywiście oprócz stacji i Anaander Mianaai. Anaander Mianaai – albo przynajmniej jej część – miała bardzo ważne powody, żeby zwracać uwagę na wszelkie wzmianki o „Sprawiedliwości Toren” i reakcje na te wzmianki.

– Nie wiem, kapitanie Seivarden – mówiła kapitan Vel – czy słyszałaś o buncie na Ime. Cała jednostka odmówiła wykonania rozkazów i przeszła na stronę obcych.

– Z pewnością nie doszłoby do tego na statku z załogą serwitorów – powiedział ktoś za Seivarden.

– Nie za duży kęs dla Radch, jak mniemam – powiedziała osoba za moimi plecami.

– Sądziłam – ponownie lekko podkreśliłam mój akcent z Gerentate – że granicząc z nami od tak dawna, nauczyliście się lepszych manier przy stole.

Nie rozglądałam się dookoła, żeby sprawdzić, czy cisza po tych słowach oznacza rozbawienie, oburzenie czy tylko dekoncentrację z powodu rozmowy Seivarden i kapitan Vel. Próbowałam nie zgadywać zbyt usilnie, jakie wnioski wyciągnie Anaander Mianaai z mojej reakcji na własne imię.

– Chyba coś o tym słyszałam – odparła Seivarden, marszcząc brwi z namysłem. – Ime. To tam gubernator prowincji i kapitanowie statków w układzie mordowały i kradły, i sabotowały statki i stację, żeby nie mogły zawiadomić wyższych władz. Tak?

Nie ma sensu się martwić, co stacja albo lord Radch odgadną z mojej reakcji. Gdzie upadnie, tam upadnie. Musiałam zachować spokój.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała Róż i Lazurowi. – Rzecz w tym, że to był bunt. Bunt, na który przymknięto oko, ale nie można otwarcie mówić o niebezpieczeństwach awansowania źle urodzonych i pospółstwa na wysokie stanowiska ani o polityce, która zachęca do zachowań najgorszego rodzaju, wręcz podkopuje wszystko, czego zawsze broniła cywilizacja, bez utraty kontaktów handlowych albo awansu.

– Więc jesteś bardzo dzielna, skoro o tym mówisz – zauważyłam. Ale miałam pewność, że Róż i Lazurowi wcale nie jest dzielni. Mówiła o tym, ponieważ nic jej nie groziło.

Spokój. Mogłam kontrolować oddech, oddychać bez wysiłku i regularnie. Skórę miałam zbyt ciemną, żeby zdradził mnie rumieniec, ale stacja zobaczy zmianę temperatury. Może pomyśli tylko, że coś mnie rozgniewało. Miałam wszelkie powody do gniewu.

– Szanowna – powiedziała nagle Seivarden. Napięcie jej szczęk i ramion świadczyło, że powstrzymuje się od skrzyżowania rąk. Wkrótce wpadnie w jeden z tych nastrojów, kiedy milczy odwrócona twarzą do ściany. – Spóźnimy się na następne spotkanie.

Wstała zbyt gwałtownie, żeby to uznać za uprzejme.

– Istotnie – przyznałam i odstawiłam herbatę, której nie skosztowałam. Z nadzieją, że Seivarden zachowała się tak, bo miała własny powód, a nie dlatego, że dostrzegła moje wzburzenie. – Kapitanie Vel, dziękuję za bardzo uprzejme zaproszenie. To był zaszczyt poznać was wszystkie.

W głównym pasażu Seivarden, idąc obok mnie, mruknęła:

– Cholerne snobki.

Mijałyśmy ludzi, którzy zwykle nie zwracali na nas uwagi. To było dobre. Normalne. Czułam, że mój poziom adrenaliny opada.

Lepiej. Zatrzymałam się i spojrzałam na Seivarden, uniosłam brew.

– No tak, to snobki. A myślisz, że po co są testy? Cały sens polega na tym, że każdy może zdać na wszystko.

Przypomniałam sobie dwadzieścia lat młodszą porucznik Skaaiat pytającą w wilgotnej ciemności górnego miasta, czy testom brakowało bezstronności dawniej, czy teraz, i odpowiadającą sobie samej: „Oczywiście jedno i drugie.” Ból i rozpacz porucznik Awn.

Seivarden skrzyżowała ramiona, potem je opuściła, zwinęła dłonie w pięści.



– I oczywiście ktoś z niższego domu będzie źle urodzony i będzie miał wulgarny akcent. Nic na to nie poradzi. I co one sobie wyobrażały – ciągnęła – żeby prowadzić taką rozmowę? W herbaciarni. Na pałacowej stacji. To znaczy nie tylko „kiedy byliśmy młode” i „prowincjusze są wulgarni”, ale że testy są fałszowane? Armia jest fatalnie zarządzana? – Milczałam, ale ona zareagowała tak, jakbym odpowiedziała. – Och, oczywiście, wszyscy narzekają na złe zarządzanie. Ale nie w ten sposób. Co się dzieje?

– Mnie nie pytaj. – Chociaż oczywiście wiedziałam... albo myślałam, że wiem. I znowu zastanowiło mnie, co to znaczy, że Róż i Lazur oraz inne mogły rozmawiać tak swobodnie. Która Anaander Mianaai miała tutaj przewagę? Chociaż taka wolność słowa mogła tylko oznaczać, że lord Radch wołała, żeby jej wrogowie określili się wyraźnie i jednoznacznie. – Czyżbyś zawsze popierała źle urodzonych zdających testy na wyższe stanowiska? – zagadnęłam, wiedząc, że nie popierała.

Nagle uświadomiłam sobie, że jeśli nawet stacja nigdy nie znała nikogo z Gerentate, Anaander Mianaai przypuszczalnie znała. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? To wina czegoś zaprogramowanego w moim umyśle statku, niewidocznego aż do teraz, czy po prostu ograniczenia tego jednego małego umysłu, który mi został?

Mogłam oszukać stację i wszystkich jej mieszkańców, jednak ani na chwilę nie oszukałam lord Radch. Jak tylko postawiłam stopę w pałacowych dokach, ona z pewnością się zorientowała, że nie jestem tym, za kogo się podaję.

Gdzie upadnie, tam upadnie, powiedziałam sobie.

– Myślałam o tym, co mi mówiłaś, o Ime – odezwała się Seivarden, jakby odpowiadała na moje pytanie. Nieświadoma mojej rozterki. – Nie wiem, czy tamta dowodząca jednostką postąpiła słusznie. Nie wiem, jak należało postąpić. I nie wiem, czy wystarczyłoby mi odwagi, żeby zginać za słuszną sprawę, gdybym wiedziała, co jest słuszne. To znaczy... – Umilkła. – To znaczy chciałabym myśleć, że tak. Kiedyś byłam tego pewna. Ale nie mogę nawet... – Urwała, głos jej lekko zadrżał. Zdawało się, że zaraz się rozpłacze, jak Seivarden sprzed roku, niepotrafiąca sobie radzić ze zbyt gwałtownymi uczuciami. Tamta uprzejmość w herbaciarni musiała ją kosztować sporo wysiłku.

Dotąd nie zwracałam uwagi na przechodniów. Teraz jednak uderzyła mnie jakaś nieprawidłowość. Nagle uświadomiłam sobie położenie i kierunek ruchu ludzi wokół nas. Zaniepokoiło mnie coś nieokreślonego, coś w sposobie poruszania się pewnych osób.

Co najmniej cztery osoby obserwowały nas dyskretnie. Bez wątplenia nas śledziły, ale zauważyłam je dopiero teraz. To było coś nowego. Gdyby mnie śledzono, odkąd weszłam do doków, zauważyłabym to już dawno. Na pewno.

Stacja oczywiście dostrzegła moje zaskoczenie w herbaciarni, kiedy Róż i Lazur wspomniała o „Sprawiedliwości Toren”. Oczywiście zastanawiała się, dlaczego tak zareagowałam. Zaczęła mnie obserwować jeszcze uważniej niż dotąd. Jednak stacja nie musiała kazać mnie śledzić, żeby mnie obserwować. To nie była zwykła obserwacja.

To nie robota stacji.

Nigdy nie poddawałam się panice. Teraz też nie spanikuję. Ten rzut należał do mnie i jeśli trochę źle obliczyłam trajektorię jednej kostki, nie pomyliłam się co do pozostałych. Bardzo, bardzo spokojnie powiedziałam do Seivarden:

– Przyjdziemy za wcześnie do głównej inspektorki.

– Czy musimy iść do tej Awer? – zapytała Seivarden.

– Chyba powinniśmy. – Natychmiast pożałowałam tych słów. Nie chciałam widzieć

Skaaiat Awer, nie teraz, nie w tym stanie.

– Może nie powinnyśmy – zaproponowała Seivarden. – Możemy wrócić do pokoju. Pomodlisz się albo pomedytujesz, czy co tam robisz, a potem zjemy kolację i posłuchamy muzyki. Tak chyba będzie lepiej.

Martwiła się o mnie. Wyraźnie. I miała rację, lepiej wrócić do pokoju. Ochłone, zastanowię się spokojnie.

A Anaander Mianaai będzie mogła sprawić, że zniknę, bez świadków, bez niczyjej wiedzy.

– Główna inspektorka – oświadczyłam.

– Tak, szanowna – poddała się Seivarden.

\*

Kwaterna Skaaiat Awer stanowiła oddzielny mały labirynt korytarzy i pokoi. Skaaiat mieszkała tu z innymi inspektorkami doków i protegowanymi, a nawet protegowanymi protegowanych. Z pewnością nie była tu jedyną Awer, jej dom miał własną siedzibę gdzie indziej na stacji, widocznie jednak Skaaiat wolała taki układ. Ekscentryczny, ale tego należało się spodziewać po każdej Awer. Chociaż jak u wielu Awer, ekscentryczność miała też aspekt praktyczny – stąd było bardzo blisko do doków.

Wpuściła nas służąca i zaprowadziła do salonu o posadzce z białego i błękitnego kamienia, o ścianach aż do sufitu zakrytych przez najrozmaitsze rośliny, ciemno- i jasnozielone, z liśćmi szerokimi lub wąskimi, pnące lub stojące, niektóre kwitnące, tu i tam plamy lub smugi bieli, czerwieni, żółci, purpury. Prawdopodobnie ich pielęgnacja stanowiła wyłączone zajęcie co najmniej jednego z domowników.

Czekała tam na nas Daos Ceit. Skłoniła się nisko i wydawała się autentycznie zadowolona, że nas widzi.

– Szanowna Breq, obywatelko Seivarden. Główna inspektor tak się ucieszy, że przyszłyście. Proszę, siadajcie. – Wskazała krzesła rozstawione dookoła. – Napijcie się herbaty? Czy może macie dosyć? Wiem, że dzisiaj odbyłyście już jedno spotkanie.

– Napijemy się chętnie, dziękuję – powiedziałam. Ani ja, ani Seivarden nic nie wypiliśmy w towarzystwie kapitan Vel. Jednak nie chciałam siadać. Wszystkie krzesła wyglądały tak, jakby mogły ograniczyć moją swobodę ruchów, gdyby mnie zaatakowano i musiałabym się bronić.

– Breq? – Głos Seivarden był bardzo cichy. Zmartwiony. Widziała, że coś jest nie tak, ale nie mogła dyskretnie zapytać, o co chodzi.

Daos Ceit podała mi czarkę herbaty, uśmiechając się całkiem szczerze, jak się wydawało. Pozornie nieświadoma mojego napięcia, tak oczywistego dla Seivarden. Jak mogłam jej nie poznać od pierwszego wejrzenia? Nie rozpoznać natychmiast jej orsyjskiego akcentu?

Jak mogłam nie rozumieć, że nie zdołam oszukać Anaander Mianaai nawet na sekundę?

Nie mogłam stać podczas tej wizyty, to nieuprzejme. Musiałam wybrać krzesło. Żadne z dostępnych krzeseł mi nie odpowiadało. Ale nikt tutaj nie zdawał sobie sprawy, jaka jestem niebezpieczna, nawet na siedząco. Wciąż miałam broń, pokrzepiający ucisk na żebrach, pod żakietem. Wciąż przyciągałam uwagę stacji, wszystkich Anaander Mianaai, tak, i tego przecież chciałam. To wciąż była moja gra. Moja. Wybierz krzesło. Omeny upadną tam, gdzie upadną.

Zanim zmusiłam się do zajęcia krzesła, weszła Skaaiat Awer. Biżuterię nosiła równie skromną jak w pracy, ale widziałam bladożółtą tkaninę jej elegancko skrojonego żakietu na beli w tym sklepie z drogimi materiałami. Na prawym mankiecie błyskał ten tani, maszynowo

łoczony złoty breloczek.

Skłoniła się.

– Szanowna Breq. Obywatelko Seivarden. Jak miło was widzieć. Widzę, że asystentka Ceit podała wam herbatę. – Seivarden i ja potwierdziłyśmy uprzejmymi gestami. – Zanim przyjdzie ktoś jeszcze, chcę powiedzieć, że mam nadzieję, że obie zostanieie na kolacji.

– Wczoraj próbowałaś nas ostrzec, prawda? – powiedziała Seivarden.

– Seivarden – zaczęłam.

Główna inspektorka Skaaiat uniosła jedną rękę w eleganckiej żółtej rękawicze.

– W porządku, szanowna. Wiem, że kapitan Vel jest staromodna i tym się szczyci.

Opowiada, że lepiej było, kiedy dzieci szanowały starszych, kiedy obowiązywał dobry smak i wytworne maniery. Nic nowego, z pewnością słyszałaś podobne teksty również przed tysiącem lat, obywatelko. – Seivarden potwierdziła krótkim „ha”. – Z pewnością nasłuchiwałaś się, jak to Radchaaai mają obowiązek nieść ludzkości cywilizację. I że serwitory są w tym znacznie skuteczniejsze niż ludzcy żołnierze.

– No, jeśli o to chodzi – powiedziała Seivarden – uważam, że są.

– Oczywiście, że tak uważasz. – Na twarzy Skaaiat przelotnie błysnął gniew. Seivarden pewnie tego nie zauważyła, nie знаła jej dość dobrze. – Zapewne nie wiesz, obywatelko, że sama dowodziłam ludzkimi oddziałami podczas aneksji.

Seivarden nie wiedziała. Wyraźnie okazała zdziwienie. Ja oczywiście wiedziałam. Mój brak zdziwienia zauważyła stacja. I Anaander Mianaai. Nie było sensu się tym martwić.

– To prawda – ciągnęła Skaaiat – że serwitorom nie trzeba płacić i że nigdy nie mają problemów osobistych. Robią, co im każesz, bez narzekania i bez komentarzy, robią to dobrze i do końca. Nie jak moje ludzkie oddziały. Większość moich żołnierek to byli dobrzy ludzie, ale tak łatwo jest zdecydować, że twoje przeciwniczki nie są prawdziwie ludzkie. Albo może trzeba tak myśleć, żeby móc je zabijać. Osoby takie jak kapitan Vel uwielbiają wytykać okropności, jakich dopuszczają się ludzkie oddziały, jakich serwitory nigdy by nie popełniły. Jak gdyby samo tworzenie serwitorów nie było okropnością.

– Jak powiedziałam, są skuteczniejsze. – W Ors Skaaiat poruszyłaby ten temat ironicznym tonem, ale teraz mówiła poważnie. Starannie i precyzyjnie. – I gdybyśmy wciąż prowadziły ekspansję, musiałybyśmy nadal ich używać. Ponieważ nie mogłybyśmy tego robić z ludzkimi żołnierzami, nie długo. Jesteśmy stworzone do ekspansji, prowadziłyśmy ekspansję ponad dwa tysiące lat i przerwanie oznacza całkowitą zmianę tego, kim jesteśmy. W chwili obecnej większość ludzi tego nie rozumie, to ich nie obchodzi. I nie rozumieją, dopóki to nie wpłynie bezpośrednio na ich życie, a dla większości ludzi jeszcze nic się nie stało. Dla większości to abstrakcyjne zagadnienie, z wyjątkiem takich osób jak kapitan Vel.

– Ale opinia kapitan Vel jest bez znaczenia – oświadczyła Seivarden. – Jak każda inna. Lord Radch zdecydowała, z takich czy innych powodów. I głupio jest to publicznie krytykować.

– Ona może zmienić decyzję pod wpływem perswazji – odparła Skaaiat. Wszystkie wciąż stałyśmy, ja zbyt spięta, żeby usiąść, Seivarden zbyt poruszona, Skaaiat chyba rozgniewana. Daos Ceit stała jak sparaliżowana i udawała, że nic nie słyszy. – Albo ta decyzja może oznaczać, że lord Radch została w jakiś sposób skorumpowana. Ludzie pokroju kapitan Vel z pewnością nie pochwalają tych wszystkich rozmów z obcymi, jakie prowadzimy. Radch zawsze oznaczał cywilizację, a cywilizacja zawsze oznaczała czystą, niezepsutą ludzkość. Tak naprawdę, jeśli zadajemy się z nieludźmi, zamiast po prostu ich zabijać, to nie może nam

wyjść na dobre.

– Czy nie o to chodziło w Ime? – zapytała Seivarden, która widocznie rozmyślała o tym, kiedy tu szłyśmy. – Ktoś postanowił założyć bazę i zmagazynować serwitory i... i co? Prześorsować sprawę? Mówisz o rebelii. Zdradzie. Dlaczego teraz ktoś miałby rozmawiać o czymś takim? Chyba że kiedy zgarnęli odpowiedzialnych za Ime, nie złapali wszystkich. Więc teraz pozwalają kilku ludziom podnosić głowy i hałasować, a kiedy dojdą do wniosku, że wszyscy zamieszani się ujawnili... – Teraz już nie ukrywała gniewu. Jej domysły wydawały się trafne, mogła mieć rację w większym lub mniejszym stopniu. Zależy, która Anaander tutaj dominowała. – Dlaczego nas nie ostrzegłaś?

– Próbowałam, obywatelko, ale powinnam była mówić wyraźniej. Poza tym nie miałam pojęcia, że kapitan Vel posunęła się tak daleko. Wiedziałam tylko, że idealizuje przeszłość w sposób, z którym nie mogę się zgodzić. Nawet najszlachetniejsi ludzie pod słońcem, pełni najlepszych intencji, nie zmieniają aneksji w coś dobrego. Argument, że serwitory są skuteczne i wygodne, nie jest dla mnie argumentem, żeby używać serwitorów. Od tego nie robi się lepiej, najwyżej wygląda trochę czystiej.

I tylko zapomnisz, czym były serwitory na początku.

– Powiedz mi... – O mało nie chlapnęłam: „Powiedz mi, poruczniku”, ale zdążyłam się powstrzymać. – Powiedz mi, główna inspektorko, co się dzieje z ludźmi czekającymi, żeby z nich zrobić serwitory?

– Niektórzy nadal są w magazynach albo na transportowcach wojskowych – odparła Skaaiat. – Ale większość została zniszczona.

– No więc tym lepiej – rzekłam poważnie, ze spokojem.

– Awer od początku byli przeciwko – oznajmiła Skaaiat. Miała na myśli ciągłą ekspansję, nie ekspansję w ogóle. A w Radch używano serwitorów na długo przedtem, zanim Anaander Mianaai zrobiła z siebie to, czym była. Po prostu nie było ich aż tylu. – Lordowie Awer wielokrotnie powtarzali to lord Radch.

– Ale lordowie Awer nie odmawiali czerpania z tego korzyści. – Wciąż mówiłam spokojnym tonem. Miłym.

– Tak łatwo jest płynąć z prądem, prawda – przyznała Skaaiat. – Zwłaszcza kiedy, jak mówisz, to daje korzyści. – Potem zmarszczyła brwi, lekko przechyliła głowę i przez parę sekund słuchała czegoś, co tylko ona mogła słyszeć. Spojrzała pytająco na mnie, na Seivarden. – Służba Bezpieczeństwa stacji jest pod drzwiami. Pytają o obywatelkę Seivarden. – Określenie „pytają” było z pewnością eufemizmem. – Przepraszam na chwilę.

Wyszła na korytarz, a za nią Daos Ceit.

Seivarden spojrzała na mnie, dziwnie spokojna.

– Zaczynam żałować, że nie jestem wciąż zamrożona w kapsule ratunkowej. –

Uśmiechnęłam się, ale to najwyraźniej jej nie przekonało. – Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej, odkąd wyszłyśmy od tej całej Vel Oस्क. Cholerna Skaaiat Awer, czemu nie mówiła wyraźniej? Awerów zwykle nie można powstrzymać od mówienia nieprzyjemnych rzeczy. A ona teraz postanowiła być dyskretna!

– Nic mi nie jest – skłamałam.

Skaaiat wróciła z obywatelką w jasnobrażowym mundurze stacyjnej Służby Bezpieczeństwa, która ukloniła się i powiedziała do Seivarden:

– Obywatelko, czy ty i ta osoba zechcecie pójść ze mną?

Uprzejmość była oczywiście tylko formalna. Nie odmawiało się zaproszeniom Służby

Bezpieczeństwa stacji. Nawet gdybyśmy spróbowały, na zewnątrz czekały posiłki, gotowe interweniować w razie naszej odmowy. Ludzie, którzy śledzili nas po spotkaniu z kapitanem Vel, to nie była Służba Bezpieczeństwa. Raczej Misje Specjalne albo nawet osobista straż Anaander Mianaai. Lord Radch poskładała wszystkie kawałki w całość i postanowiła mnie usunąć, zanim wyrządę jakieś poważne szkody. Ale na to było za późno, jak podejrzewałam. Cała ona zwróciła na mnie uwagę. Wywnioskowałam to z faktu, że wysłała Służbę Bezpieczeństwa, żeby mnie aresztowała, zamiast oficer Misji Specjalnych, żeby mnie zabiła szybko i po cichu.

– Oczywiście – odpowiedziała Seivarden z chłodną uprzejmością.

Oczywiście. Zdawała sobie sprawę, że nie zrobiła nic złego, była pewna, że działałam w Misjach Specjalnych na rozkaz samej Anaander, dlaczego miałyby się martwić? Ale ja wiedziałam, że wreszcie nadeszła ta chwila. Omeny, które wisiały w powietrzu od dwudziestu lat, miały spaść i pokazać mi – pokazać Anaander Mianaai – jaki wzór utworzą.

Tej funkcjonariuszce Bezpieczeństwa nawet nie drgnęła powieka, kiedy odpowiedziała:

– Lord Radch pragnie rozmawiać z tobą prywatnie, obywatelko.

Nawet nie spojrzała na mnie. Zapewne nie wiedziała, dlaczego ją wysłano, żeby eskortowała nas do lord Radch, nie zdawała sobie sprawy, że jestem niebezpieczna, że potrzebowałam wsparcia, które czekało w korytarzach stacji. Jeśli w ogóle o nim wiedziała.

Broń wciąż tkwiła pod moim żakietem, zapasowe magazynki wetknęłam w takie miejsca, żeby wyrzucenia się nie odznaczały. Anaander Mianaai z pewnością nie wiedziała, co zamierzam.

– Czy to jest audiencja, o którą prosiłam? – zapytała Seivarden.

Funkcjonariuszka Bezpieczeństwa wykonała niejednoznaczny gest.

– Nic mi o tym nie wiadomo, obywatelko.

Anaander Mianaai nie mogła znać moich zamiarów, wiedziała tylko, że zniknęłam przed blisko dwudziestu laty. Część jej mogła wiedzieć, że była na pokładzie podczas mojej ostatniej podróży, ale żadna z niej nie miała pojęcia, co się stało, kiedy opuściłam przez bramę układ Shis'urny.

– Zapytałam, czy możecie najpierw wypić herbatę i zjeść kolację – odezwała się główna inspektorka Skaaiat.

Fakt, że zapytała, świadczył o charakterze jej stosunków z Bezpieczeństwem. Fakt, że jej odmówiono, świadczył o pilnym trybie tego aresztowania – to na pewno było aresztowanie.

Funkcjonariuszka, nieświadoma tego, wykonała przepraszający gest.

– Takie mam rozkazy, główna inspektorko. Obywatelko.

– Oczywiście – powiedziała Skaaiat, układowa i niewzruszona, ale znałam ją, słyszałam cień lęku w jej głosie. – Obywatelko Seivarden. Szanowna Breq. Jeśli mogę w czymś pomóc, proszę, nie wahajcie się mnie wezwać.

– Dziękuję, główna inspektorko – powiedziałam, kłaniając się jej.

Mój strach i niepewność, niemal panika, wszystko odplynęło. Omen Bezruch obrócił się i stał się Ruchem. A Sprawiedliwość miała upaść przede mną, czysta i jednoznaczna.

\*

Funkcjonariuszka Bezpieczeństwa zaprowadziła nas nie do głównego wejścia właściwego pałacu, ale do świątyni, cichej o tej porze, kiedy wiele osób składało wizyty albo siedziało w domach z rodziną przy herbacie. Za opróżnionymi w połowie koszami kwiatów siedziała

młoda kapłanka, znudzona i nadąsana. Rzuciła nam niechętnie spojrzenie, ale nawet nie odwróciła głowy, kiedy ją mijaliśmy.

Przeszliśmy przez główną salę, pod ogromnym posągami czterorękiej Amaat, gdzie wciąż pachniało kadzidło i kwiaty spiętrzone u stóp i kolan bogini, do małej kapliczki ukrytej w kącie, poświęconej staremu, teraz prawie zapomnianemu prowincjonalnemu bóstwu, jednej z tych personifikacji abstrakcyjnych koncepcji obecnych w tak wielu panteonach, w tym wypadku deifikacji legalnej władzy politycznej. Niewątpliwie kiedy budowano ten pałac, umieszczenie tego boga w pobliżu Amaat nie ulegało kwestii, potem jednak wypadł z łask, bo zmieniła się demografia stacji albo po prostu moda. Albo coś bardziej złowieszczonego.

W ścianie za wyobrażeniem boga odsunął się panel. Za nim stała strażniczka w zbroi, z bronią w kaburze, ale niedaleko od ręki. Gładki srebrzysty pancerz zakrywał jej twarz. Serwitor, pomyślałam, ale nie mogłam tego sprawdzić. Zastanowiłam się, podobnie jak przez ostatnie dwadzieścia lat, w jaki sposób to działało. Z pewnością właściwego pałacu nie strzegła stacja. Czyżby strażniczki Anaander Mianaai stanowiły kolejną jej część?

Seivarden spojrzała na mnie zirytowana i chyba trochę przestraszona.

– Nie sądziłam, że wybrałam sekretne wejście.

Chociaż pewnie wcale nie było takie sekretne, po prostu mniej publiczne niż wejścia na zewnątrz, w pasażu.

Funkcjonariuszka Bezpieczeństwa ponownie wykonała ten wieloznaczny gest, ale się nie odezwała.

– No cóż – mruknęłam.

Seivarden rzuciła mi wyczekujące spojrzenie. Widocznie myślała, że to z powodu specjalnego statusu, jaki miałam w jej przekonaniu. Weszłam w drzwi, obok nieruchomej strażniczki, która jakby wcale mnie nie zauważyła ani Seivarden idącej za mną. Panel gładko zamknął się za nami.

Za krótkim, pustym korytarzem następne drzwi otwierały się na pokój o wymiarach cztery na osiem metrów, trzy metry wysokości. Po ścianach wiły się liściaste pnącza, czepiając się podpórek zamocowanych w podłodze. Bładoniebieska barwa ścian sugerowała daleką przestrzeń za zielenią, żeby pokój wydawał się większy – ostatni ślad mody na fałszywe krajobrazy, przestarzałej od ponad pięciuset lat. Na drugim końcu wznosiło się podium, a za nim wśród pnączy wisiały wizerunki czterech Emanacji.

Na podium stała Anaander Mianaai – dwie jej części. Jak się domyślałam, zaciekawiliśmy lord Radch do tego stopnia, że chciała nas przesłuchać w więcej niż jednej osobie. Chociaż zapewne zracjonalizowała sobie tę decyzję w jakiś inny sposób.

Podeszliśmy na odległość trzech metrów do lord Radch, po czym Seivarden uklękła, a następnie padła plackiem. Ja rzekomo nie byłam Radchaai, czyli poddaną Anaander Mianaai. Ale Anaander Mianaai wiedziała, musiała wiedzieć, kim naprawdę jestem. Nie wezwałaby nas w ten sposób, gdyby nie wiedziała. Jednak nie uklękłam, nawet się nie ukloniłam. Żadna z Mianaai nie okazała zdziwienia ani oburzenia z tego powodu.

– Obywatelko Seivarden Vendaai, w co ty właściwie pogrywasz? – powiedziała Mianaai z prawej strony.

Ramiona Seivarden drgnęły, jakby przez chwilę chciała skrzyżować ręce, choć leżała twarzą do podłogi.

Mianaai z lewej strony powiedziała:

– Zachowanie samej „Sprawiedliwości Toren” było już dostatecznie alarmujące i kłopotliwe. Wejść do świątyni i sprofanować ofiary! Co chciałaś przez to osiągnąć? Co mam powiedzieć kapłankom?

Broń wciąż znajdowała się przy moim boku, pod żakietem, niewidoczna. Byłam serwitorem. Serwitory, jak wiadomo, miały twarze pozbawione wyrazu. Łatwo powstrzymałam uśmiech.

– Jeśli moja pani sobie życzy – powiedziała Seivarden w ciszy, która zaległa po słowach Mianaai. Głos miała lekko zdyszany, jakby zaczęła hiperwentylować. – Dla... Ja nie...

Mianaai z prawej strony rzuciła ironiczne: „Ha!”.

– Obywatelka Seivarden jest zdziwiona i nie rozumie – ciągnęła ta sama Mianaai. – A ty, „Sprawiedliwość Toren”, zamierzałaś mnie oszukać. Dlaczego?

– Kiedy po raz pierwszy zaczęłam podejrzewać, kim jesteś – podjęła Mianaai z lewej strony, nie dając mi czasu na odpowiedź – ledwie mogłam w to uwierzyć. Następny dawno zaginiony omen lądujący u moich stóp. Obserwowałam cię, żeby zobaczyć, co zrobisz, zrozumieć twoje zamiary na podstawie twojego dość niezwykłego zachowania.

Gdybym była człowiekiem, wybuchłabym śmiechem. Dwie Mianaai przede mną. Żadna nie ufała drugiej na tyle, żeby przeprowadzić to przesłuchanie bez nadzoru, bez przeszkód. Żadna nie znała szczegółów zniszczenia „Sprawiedliwości Toren”, każda niewątpliwie podejrzewała udział tej drugiej. Mogłam być narzędziem którejkolwiek i nie ufać żadnej innej. Która była która?

Mianaai z prawej strony powiedziała:

– Wykonałaś całkiem dobrą robotę, ukrywając swoje pochodzenie. To asystentka inspektorki Ceit pierwsza wzbudziła moje podejrzenia. – „Nie słyszałam tej piosenki, odkąd byłam dzieckiem”, powiedziała. Tej piosenki, która oczywiście pochodziła z Shis’urny. –

Przyznaję, że poskładanie wszystkiego w całość zabrało mi cały dzień i nawet wtedy ledwie mogłam w to uwierzyć. Dość dobrze ukryłaś swoje implanty. Stacja dała się nabrać. Ale przypuszczam, że w końcu musiało cię zdradzić nucenie. Czy wiesz, że nucisz niemal bez przerwy? Podejrzewam, że teraz powstrzymujesz się od tego ze sporym wysiłkiem. Co doceniam.

Wciąż leżąc twarzą do podłogi, Seivarden zapytała cichutko:

– Breq?

– Nie Breq – sprostowała Mianaai z lewej strony. – „Sprawiedliwość Toren”.

– Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren” – uściśliłam, porzucając wszelkie pozory akcentu z Gerentate czy ludzkiego wyrazu twarzy. Skończyłam z udawaniem. To było przerażające, ponieważ wiedziałam, że teraz już nie pożyję długo, ale jednocześnie poczułam dziwną ulgę. Ciężar spadł mi z serca.

Prawa Mianaai gestem skwitowała oczywistość mojego oświadczenia.

– „Sprawiedliwość Toren” została zniszczona – dodałam.

Obie Mianaai jakby wstrzymały oddech. Wpatrzono we mnie. Znowu miałam ochotę się roześmiać, gdybym potrafiła.

– Błagam moją panią o wybaczenie – odezwała się nieśmiało Seivarden z podłogi. – Na pewno zaszła jakaś pomyłka. Breq jest człowiekiem. Nie może być Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren”. Służyłam w dekadzie Esk „Sprawiedliwości Toren”. Żadna medycza na „Sprawiedliwości Toren” nie dałaby Esk Jeden ciała z głosem takim jak Breq. Jeśli nie chciałyby poważnie rozgniewać poruczników Esk.

Milczenie, ciężkie i gęste, przez trzy sekundy.

– Ona myśli, że ja jestem z Misji Specjalnych – przerwałam w końcu to milczenie. – Nigdy jej tego nie powiedziałam. Nigdy jej nie mówiłam, że jestem kimś innym niż Breq z Gerentate, a ona nigdy w to nie wierzyła. Chciałam ją zostawić tam, gdzie ją znalazłam, ale nie mogłam, nie wiem dlaczego. Nigdy nie należała do moich ulubienic. – Wiedziałam, że to brzmi jak szaleństwo. Specjalnego rodzaju, szaleństwo SI. Nic mnie to nie obchodziło. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Prawa Mianaai uniosła brew.

– Więc dlaczego jest tutaj?

– Nikt nie mógł zignorować jej przyjazdu. Ponieważ przyjechałam z nią, nikt nie mógł zignorować ani ukryć mojej obecności. A ty już wiesz, dlaczego nie mogłam pójść prosto do ciebie.

Lekkie drgnienie brwi prawej Mianaai.

– Obywatelko Seivarden Vendaai – powiedziała Mianaai z lewej strony – teraz jest dla mnie jasne, że „Sprawiedliwość Toren” cię oszukała. Nie wiedziałaś, czym ona jest. Chyba najlepiej będzie, jeśli teraz wyjdiesz. Oczywiście nie mówiąc o tym nikomu.

– Nie – tchnęła Seivarden w podłogę, jakby zadawała pytanie. Albo jakby zdziwiła się, że to słowo padło z jej ust. – Nie – powtórzyła pewniejszym głosem. – To jakaś pomyłka. Breq skoczyła dla mnie z mostu.

Biodro mnie zabolowało na samą myśl.

– Żaden normalny człowiek nie zrobiłby czegoś takiego.

– Nigdy nie twierdziłam, że jesteś normalna – powiedziała Seivarden cicho, lekko zdławionym głosem.

– Seivarden Vendaai – oświadczyła Mianaai z lewej strony – ten serwitorka... bo to jest



serwitor... nie jest człowiekiem. Fakt, że tak uważałaś, wyjaśnia wiele twoich zachowań, których dotąd nie rozumiałam. Przykro mi z powodu tego oszustwa i twojego rozczarowania, ale musisz wyjść. Natychmiast.

– Błagam moją panią o wybaczenie. – Seivarden wciąż leżała plackiem i mówiła do podłogi. – Czy go udzieli, czy nie. Nie zostawię Breq.

– Odejdź, Seivarden – poleciłam głosem bez wyrazu.

– Przepraszam – odparła niemal radośnie, tylko że głos wciąż jej drżał lekko. – Jesteś ze mną związana.

Spojrzałam na nią. Przekreśliła głowę i podniosła na mnie wzrok wyrażający strach zmieszany z determinacją.

– Nie wiesz, co robisz – powiedziałam jej. – Nie rozumiesz, co tu się dzieje.

– Nie muszę.

– No i dobrze – powiedziała Mianaai z prawej strony, niemal ubawiona. Lewa wydawała się mniej zadowolona. Ciekawe dlaczego. – Wy tłumacz się, „Sprawiedliwości Toren”.

Oto nadeszła chwila, na którą pracowałam przez dwadzieścia lat. Na którą czekałam. W lęku, że nigdy nie nadejdzie.

– Po pierwsze – zaczęłam – jak z pewnością już podejrzewasz, byłaś na pokładzie „Sprawiedliwości Toren” i to ty sama ją zniszczyłaś. Naruszyłaś osłonę cieplną, ponieważ odkryłaś, że już mnie skaptowałaś osobiście jakiś czas wcześniej. Walczysz ze sobą. Co najmniej dwie z was, może więcej.

Obie Mianaai zamrugały i zmieniły pozycje o ułamek milimetra w sposób, który rozpoznałam. Widziałam, jak sama to robię w Ors, kiedy odcięto komunikację. Kolejna z tych skrzynek blokujących przekazy – widocznie co najmniej część Anaander Mianaai obawiała się tego, co powiem, i czekała z ręką na przełączniku. Zastanawiałam się, jak daleko sięgał ten efekt i która Mianaai go wywołała, zbyt późno próbując ukryć moje zeznania przed sobą. Zastanawiałam się, jak to jest wiedzieć, że taka konfrontacja ze mną może tylko doprowadzić do katastrofy, a jednak być zmuszonym do tego przez samą naturę walki ze sobą. Ta myśl przelotnie mnie rozbawiła.

– Po drugie. – Sięgnęłam pod żakiet, wyjęłam broń, ciemna szarość mojej rękawiczki zaczęła wsiąkać w biel, której broń nabrała od koszuli. – Zamierzam cię zabić. –

Wycelowalam w Mianaai po prawej stronie.

A ona zaczęła śpiewać trochę za niskim barytonem, w języku martwym od dziesięciu tysięcy lat:

– Osoba, osoba, osoba z bronią.

Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam nacisnąć spustu.

*Trzeba się bać osoby z bronią. Trzeba się bać.*

*Wszędzie wokół krzyk się rozlega, nałóż zbroję kutą z żelaza.*

*Osoba, osoba, osoba z bronią.*

*Trzeba się bać osoby z bronią. Trzeba się bać.*

Nie powinna znać tej piosenki. Dlaczego Anaander Mianaai miałyby grzebać w zapomnianych valskaayańskich archiwach, dlaczego zadawałaby sobie trud, żeby nauczyć się piosenki, której prawdopodobnie nie śpiewał nikt oprócz mnie przez czas dłuższy od jej życia?

– Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren” – powiedziała prawostronna Mianaai – zastrzel moją osobę po lewej stronie od osoby, która do ciebie mówi.

Mięśnie poruszyły się bez mojej woli. Przesunęłam lufę w lewo i dałam ognia.  
Lewostronna Mianaai upadła na podłogę.

Prawostronna Mianaai powiedziała:

– Teraz muszę tylko dotrzeć do doków przede mną. Tak, Seivarden, wiem, że jesteś skołowana, ale zostałam ostrzeżona.

– Gdzie się nauczyłaś tej piosenki? – zapytałam. Resztę ciała wciąż miałam sparaliżowaną.

– Od ciebie – odparła Anaander Mianaai. – Sto lat temu, na Valskaay. – Więc to była ta Anaander, która wprowadzała reformy, rozpoczęła demontaż radchaajskich statków. Ta, która najpierw odwiedziła mnie w tajemnicy na Valskaay i wydała te rozkazy, wyczuwalne dla mnie, ale niewidoczne. – Poprosiłam cię, żebyś nauczyła mnie piosenki, której najprawdopodobniej nikt inny nie zaśpiewa, a potem ustawiłam ją jako kod dostępu i ukryłam przed tobą. Siły moje i mojego wroga są aż nadto wyrównane. Moja jedyna przewaga to rzeczy, o których myślę, kiedy jestem oddzielona od siebie. A tamtego dnia pomyślałam, że nigdy nie zwracałam dostatecznej uwagi na ciebie... ciebie, Esk Jeden. Na to, czym możesz być.

– Czymś jak ty – odgadłam. – Oddzieloną od siebie. – Ramię wciąż trzymałam wyciągnięte, broń celowała w ścianę naprzeciwko.

– Zabezpieczeniem – sprostowała Mianaai. – Dostępem, którego nie przyszłoby mi do głowy szukać, żeby go wymazać albo unieważnić. Jakże sprytnie z mojej strony. A teraz to mi wybuchło w twarz. Jak się zdaje, wszystko się dzieje dlatego, że zwróciłam uwagę na ciebie w szczególności i że nigdy nie zwracałam na ciebie uwagi. Zamierzam przywrócić ci kontrolę nad ciałem dla większej skuteczności, ale przekonasz się, że nie możesz mnie zastrzelić.

Opuściłam broń.

– Której „mnie”?

– Co wybuchło? – zapytała Seivarden, wciąż rozplaszczona na podłodze. – Pani – dodała.

– Ona się podzieliła – wyjaśniłam. – To się zaczęło na Garsedd. Przeraziło ją to, co zrobiła, ale nie mogła zdecydować, jak zareagować. Od tamtego czasu w sekrecie działa przeciwko sobie. Reformy... pozbycie się serwitorów, przerwanie aneksji, otwarcie przydziałów dla niższych domów... to wszystko jej dokonania. A na Ime działała tamta druga jej część, budowała bazę i gromadziła środki na wojnę ze sobą, żeby przywrócić poprzedni stan. I przez cały czas wszystkie z niej udawały, że nie wiedzą, co się dzieje, bo gdyby tylko to przyznały, musiałyby wybuchnąć otwarty konflikt.

– Ale ty powiedziałaś to bezpośrednio do wszystkich mnie – stwierdziła Mianaai. – Bo właściwie nie mogłam udawać, że reszty mnie nie obchodzi drugi powrót Seivarden Vendaai. Ani co się stało z tobą. Pokazałaś się tak publicznie, tak jawnie, że nie mogłam tego ukryć i udawać, że to się nie stało, i tylko sama z tobą rozmawiać. A teraz nie mogę tego dłużej ignorować. Dlaczego? Dlaczego zrobiłaś coś takiego? Nie taki rozkaz ci wydałam.

– Nie – potwierdziłam. – Nie taki.

– I z pewnością się domyśliłaś, co się stanie, jeśli to zrobisz.

– Tak. – Równie dobrze mogłam znowu być serwitorem. Bez uśmiechu. Bez satysfakcji w głosie.

Anaander przyglądała mi się przez chwilę, po czym chrząknęła, jakby doszła do jakiegoś wniosku, który ją zdziwił.

– Wstań z podłogi, obywatelko – powiedziała do Seivarden.

Seivarden podniosła się i otrzepała nogawki spodni jedną urękawiczoną dłonią.

– Nic ci nie jest, Breq?  
– Breq – przerwała Mianaai, schodząc z podwyższenia, zanim zdążyłam odpowiedzieć – to ostatni ocalały fragment oszalałej z żalu SI, której właśnie udało się rozpętać wojnę domową.  
– Odwróciła się do mnie. – Czy tego chciałaś?  
– Nie szaleję z żalu co najmniej od dziesięciu lat – zaprotestowałam. – A wojna domowa i tak prędzej czy później musiała wybuchnąć.  
– Liczyłam raczej, że unikniemy najgorszego. Jeśli będziemy miały wyjątkowe szczęście, ta wojna spowoduje tylko dekady chaosu i nie rozerwie Radch całkowicie. Chodźcie ze mną.

\*

– Statki już nie mogą tego robić – upierała się Seivarden, idąc obok mnie. – Ty je tak stworzyłaś, pani, żeby nie wariowały po śmierci swoich kapitanów, jak się dawniej zdarzało, ani nie występowały przeciwko tobie razem z kapitanami.

Mianaai uniosła brew.

– Nie całkiem. – Znalazła panel w ścianie obok drzwi, dotąd dla mnie niewidoczny, otworzyła go szarpnięciem i uruchomiła ręczny przełącznik. – Nadal się przywiązują, nadal mają faworytów. – Drzwi się rozsunęły. – Esk Jeden, zastrzel strażniczkę.

Moje ramię uniosło się i strzeliłam. Strażniczka zatoczyła się do tyłu na ścianę, sięgając po własną broń, potem osunęła się na podłogę i znieruchomiła. Martwa, ponieważ jej zbroja się złożyła.

– Nie mogłam im tego odebrać, bo stałyby się dla mnie bezużyteczne – ciągnęła Anaander Mianaai, obojętna na los osoby... obywatelki?... którą właśnie kazała zabić. Nadal wyjaśniała to Seivarden, która marszczyła brwi, nie rozumiejąc. – Muszą być inteligentne. Zdolne do myślenia.

– Racja – przyświadczyła Seivarden. Głos jej drżał leciutko, jakby z trudem panowała nad sobą.

– To są uzbrojone statki, z silnikami mogącymi zamienić w parę całe planety. Co zrobię, jeśli nie zechcą mnie słuchać? Zagrozę im? Czym?

Po kilku krokach dotarliśmy do drzwi łączących pałac ze świątynią. Anaander otworzyła je i szybko weszła do kaplicy legalnej władzy politycznej.

Seivarden wydała dziwny odgłos z głębi gardła, zdławiony śmiech albo jęk rozpacz, nie potrafiłam odgadnąć.

– Myślałam, że zostały tak zbudowane, że muszą słuchać rozkazów.

– No, dokładnie – ciągnęła Anaander, prowadząc nas przez główną salę świątyni.

Docierały do nas odgłosy z pasażu, ktoś mówiący z naciskiem, głosem piskliwym i donośnym. Sama świątynia wydawała się pusta. – Tak były zbudowane na początku, ale ich umysły są skomplikowane i to trudna kwestia. Pierwotni projektanci osiągnęli cel, dając im ważny powód, żeby chciały słuchać. Co ma swoje zalety i dość spektakularne wady. Nie mogłam całkowicie ich zmienić, ja tylko... dostosowałam je do własnych potrzeb. Posłuszeństwo wobec mnie uczyniłam ich nadrzędnym priorytetem. Ale spowodowałam dezorientację, kiedy kazałam „Sprawiedliwości Toren” słuchać dwóch mnie, o sprzecznych celach. A potem, jak podejrzewam, nieświadomie nakazałam egzekucję faworytki. Prawda? – Spojrzała na mnie. – Nie faworytki „Sprawiedliwości Toren”, nie byłabym taka głupia. Ale nigdy nie zwracałam uwagi na ciebie, nigdy nie pytałam, kto jest faworytką Esk Jeden.

– Myślałaś, że nikomu nie zależy na córce zwykłej kucharki. – Chciałam unieść broń.

Chciałam roztrzaskać całe to piękne szkło w kaplicy pogrzebowej, którą mijaliśmy.

Anaander Mianaai przystanęła i odwróciła się do mnie.

– To nie byłam ja. Pomóż mi teraz, walczę z tą drugą nawet w tej chwili, na pewno. Nie byłam gotowa do otwartej akcji, ale skoro zmusiłaś mnie do odkrycia kart, pomóż mi ją zniszczyć i usunąć ją z siebie całkowicie.

– Nie możesz – odparłam. – Ja najlepiej wiem, czym jesteś. Ona jest tobą, a ty jesteś nią. Nie możesz jej usunąć z siebie, nie niszcząc siebie. Bo ona jest tobą.

– Jak dojdę do doków – oznajmiła Anaander Mianaai, jakby odpowiadała na moje słowa – znajdę statek. Każdy cywilny statek zabierze mnie bez pytania tam, dokąd zechcę. Wojskowy okręt... to bardziej ryzykowna propozycja. Ale powiem ci jedno, Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren”, jedną rzecz, której jestem pewna. Mam więcej statków niż ona.

– Co to dokładnie znaczy? – zapytała Seivarden.

– To znaczy – odgadłam – że tamta druga Mianaai pewnie przegrałaby otwartą bitwę, więc trochę bardziej jej zależy, żeby to się dalej nie rozprzestrzeniało. – Widziałam, że Seivarden nie rozumiała, co to znaczy. – Powstrzymywała to, ukrywając to przed sobą, ale teraz każda z niej tutaj...

– Przynajmniej większość mnie – skorygowała Anaander Mianaai.

– Teraz, kiedy usłyszała to bezpośrednio, nie może tego zignorować. Nie tutaj. Ale może nie dopuścić, żeby ta informacja dotarła do jej części, których tu nie ma. Przynajmniej przez dostatecznie długi czas, żeby zdążyła wzmocnić swoją pozycję.

Oczy Seivarden otwarły się szeroko pod wpływem zrozumienia.

– Będzie musiała jak najszybciej zniszczyć bramy. Ale to się nie uda. Sygnał podróżuje z prędkością światła. Ona nie może go wyprzedzić.

– Informacja jeszcze nie opuściła tej stacji – wyjaśniła Anaander Mianaai. – Zawsze jest niewielka zwłoka. Znacznie skuteczniejsze byłoby zniszczenie pałacu. – Co oznaczało skierowanie silnika okrętu wojennego na całą stację, która wyparuje razem ze wszystkimi mieszkańcami. – I musiałabym zniszczyć cały pałac, żeby informacja nie wyciekła dalej. Moje wspomnienia nie są przechowywane tylko w jednym miejscu. Celowo, żeby trudno było je zniszczyć albo nimi manipulować.

– Myślisz – zapytałam przy zaszokowanym milczeniu Seivarden – że nawet ty zdołasz zmusić do tego jakiś „Miecz” albo „Łaskę”? Nawet z kodami dostępu?

– Jak bardzo chcesz poznać odpowiedź na to pytanie? – odparła Anaander Mianaai. – Wiesz, że jestem do tego zdolna.

– Wiem – przyznałam. – Jaką opcję wybierasz?

– Żadna z obecnie dostępnych opcji nie jest zbyt korzystna. Strata pałacu albo bram... albo jednego i drugiego... wywoła zamęt na bezprecedensową skalę w całej przestrzeni Radch. Zamęt, który będzie trwał przez lata z powodu samych rozmiarów przestrzeni. Niezniszczenie pałacu... i bram, nadal stanowią część problemu... w ostatecznym rozrachunku będzie jeszcze gorsze.

– Czy Skaaiat Awer wie, co się dzieje? – zapytałam.

– Awer są cierniem w moim boku prawie trzy tysiące lat – oświadczyła Mianaai. Spokojnie. Jakbyśmy prowadziły zwyczajną, niezobowiązującą rozmowę. – Tyle moralnego oburzenia! Można by niemal pomyśleć, że są do tego stworzone, ale nie wszystkie są spokrewnione genetycznie. Ale jeśli zбочą ze ścieżki przyzwoitości i sprawiedliwości, z pewnością usłyszę o tym od Awer.

– Więc czemu się ich nie pozbyć? – zapytała Seivarden. – Po co robić jedną z nich tutejszą główną inspektorką?

– Ból to ostrzeżenie – oświadczyła Anaander Mianaai. – Co się stanie, jeśli usuniesz ze swojego życia wszelkie niewygody? Nie – ciągnęła, ignorując wyraźne przygnębienie Seivarden po tych słowach – cenię ich moralne oburzenie. Popieram je.

– Nieprawda – zaprzeczyłam.

Znalazłyśmy się już w pasażu. Wojsko i służby porządkowe zaganiały wystraszony tłum – wiele osób miało implanty, odbierało od stacji informacje, które nagle zostały odcięte, bez wyjaśnienia.

Jakaś nieznana mi kapitan statku spostrzegła nas i podeszła spiesźnie.

– Pani – powiedziała z ukłonem.

– Zabierz tych ludzi z pasażu, kapitanie – poleciła Anaander Mianaai – i oczyść korytarze możliwie szybko i bezpiecznie. Kontynuuj współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa stacji. Staram się jak najszybciej rozwiązać ten problem.

Podczas gdy Anaander Mianaai mówiła, nagle poruszenie przyciągnęło mój wzrok. Broń. Instynktownie podniosłam broń. Zobaczyłam, że osoba trzymająca broń to jedna z tych, które wcześniej nas śledziły w pasażu, zanim nas wezwała Służba Bezpieczeństwa. Widocznie lord Radch wysłała rozkaz, zanim włączyła swoje urządzenie i odcięła całą komunikację. Zanim się dowiedziała o broni Garseddai.

Kapitan, do której mówiła Anaander Mianaai, cofnęła się, wyraźnie zaskoczona nagłym pojawieniem się mojej zbroi. Uniosłam własną broń i jakby młot walnął mnie z boku – ktoś inny strzelił do mnie. Strzeliłam, trafiłam osobę trzymającą broń. Upadła, jej strzał chybił, trafił w fasadę świątyni za moimi plecami, roztrzaskał jakiegoś boga, pofrunęły kolorowe odłamki. Nagła cisza zapadła wśród przestraszonych, zaszokowanych obywaterek w pasażu. Odwróciłam się, spojrzałam wzdłuż trajektorii pocisku, który mnie trafił, zobaczyłam spanikowane obywatelki i srebrzysty błysk zbroi – drugi strzelec widział, jak zastrzeliłam pierwszego, nie zdawał sobie sprawy, że zbroja mu nie pomoże. Pół metra dalej następny błysk srebra, kiedy ktoś inny aktywował broń. Obywatelki pomiędzy mną a moimi celami poruszały się w nieprzewidywalny sposób. Ale ja przywykłam do przerażonych i wrogich tłumów. Strzeliłam, strzeliłam ponownie. Zbroje zniknęły, oba cele upadły. Seivarden powiedziała:

– Kurwa, ty jesteś serwitorem!

– Lepiej wyjdźmy z pasażu – powiedziała Anaander Mianaai. I do bezimiennej kapitan: – Kapitanie, odprowadź tych ludzi w bezpieczne miejsce.

– Ale... – zaczęła kapitan, lecz my już odchodziłyśmy, Seivarden i Anaander Mianaai skulone, spiesznym krokiem.

Zastanowiłam się przelotnie, co się działo w innych częściach stacji. Pałac Omaugh był olbrzymi. Cztery inne pasáže, chociaż mniejsze od tego, i niezliczone poziomy domów mieszkalnych, miejsc pracy, szkół, lokali publicznych, wszystkie pełne obywaterek, niewątpliwie przestraszonych i zdezorientowanych. Wszyscy mieszkańcy wiedzieli o konieczności stosowania się do procedur awaryjnych, nie ociągali się, nie wyklócali i nie zadawali pytań, gdyby rozkazano im szukać schronienia. Ale oczywiście stacja nie mogła wydać takiego rozkazu.

Nic nie wiedziałam, nie mogłam pomóc.

– Kto jest w układzie? – zapytałam, kiedy tylko nikt inny nie mógł nas słyszeć.

Schodziłyśmy po drabinie w studzience dostępu awaryjnego. Zwinęłam zbroję.

– To znaczy dostatecznie blisko, żeby to miało znaczenie? – odpowiedziała Anaander Mianaai nad moją głową. – Trzy „Miecze” i cztery „Łaski” w zasięgu promu. – Ponieważ zablokowano komunikację, każdy rozkaz Anaander Mianaai ze stacji musiałby przekazywać prom. – W tej chwili nimi się nie martwię. Nie ma możliwości, żeby wydać im stąd rozkazy. – A jak tylko pojawi się taka możliwość, jak tylko blokada zostanie zniesiona, cała kwestia już się rozstrzygnie, informacja, którą Anaander Mianaai tak rozpaczliwie chciała ukryć przed sobą, pomknie już do bram, które roześlą ją po całej przestrzeni Radch.

– Czy ktoś jest zadokowany? – spytałam. W tej chwili jedynie te statki miałyby znaczenie.

– Tylko prom z „Łaski Kalr” – odparła Anaander Mianaai, jakby lekko rozbawiona. – Jest mój.

– Na pewno? – A kiedy nie odpowiadała, dodałam: – Kapitan Vel nie jest twoja.

– Ty też odniosłaś takie wrażenie? – Teraz w głosie Anaander Mianaai wyraźnie dźwięczało rozbawienie. Nade mną, nad Anaander Mianaai schodziła Seivarden, w milczeniu, tylko jej buty szurały na szczeblach drabiny. Zobaczyłam drzwi, zatrzymałam się, odsunęłam zasuwkę. Otworzyłam drzwi i wyrztałam. Rozpoznałam korytarz za biurami przy dokach.

Wygramoliłyśmy się na korytarz i zamknęłyśmy za sobą drzwi awaryjne. Anaander Mianaai pomaszerowała przodem, Seivarden i ja za nią.

– Skąd wiemy, że ona jest tą, którą mówi, że jest? – zapytała mnie cichutko Seivarden. Głos jej ciągle drżał, szczęki się zaciskały. Zdziwiło mnie, że jeszcze nie skuliła się gdzieś w kącie ani nie uciekła.

– Nieważne, którą jest – odparłam, nie starając się zniżyć głosu. – Nie ufam żadnej z nich. Jeśli spróbuje zbliżyć się do promu „Łaski Kalr”, weźmiesz tę broń i ją zastrzelisz.

Wszystko, co mi powiedziała, mogło stanowić podstęp obliczony na to, żebym jej pomogła dostać się do doków i na „Łaskę Kalr”, by mogła sama zniszczyć stację.

– Nie potrzebujesz broni Garseddai, żeby mnie zastrzelić – rzuciła Anaander Mianaai, nie oglądając się. – Nie mam zbroi.

– Ale w pasażu... – zaprotestowała Seivarden.

– Nie, tylko ja. Niektóre ze mnie mają. Ale nie większość. – Przelotnie odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć. – To kłopotliwe, prawda?

Wolną ręką wykonałam gest wyrażający brak współczucia czy sympatii.

Skreśliłyśmy za róg i stanęłyśmy jak wryte na widok asystentki inspektorki Ceit, która trzymała pałkę ogluszającą z rodzaju używanego przez Służbę Bezpieczeństwa. Widocznie słyszała, jak rozmawiamy w korytarzu, bo nie okazała żadnego zdziwienia; na jej twarzy malowały się jedynie przerażenie i determinacja.

– Główna inspektorka mówi, że mam nikogo nie przepuszczać. – Oczy miała szeroko otwarte, głos niepewny. Spojrzała na Anaander Mianaai. – Zwłaszcza ciebie.

Anaander Mianaai się roześmiała.

– Cicho – powiedziałam – bo Seivarden cię zastrzeli.

Anaander Mianaai uniosła brew, najwyraźniej nie wierząc, że Seivarden potrafiłaby się zdobyć na coś takiego, ale zamilkła.

– Daos Ceit – powiedziałam w języku, który był jej pierwszym, jak wiedziałam. – Czy pamiętasz dzień, kiedy przyszedł do domu porucznik i zastałaś tam tę tyranekę? Bałaś się i chwyciłaś mnie za rękę. – Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, w niemożliwy sposób. – Widocznie obudziłaś się przed wszystkimi w domu, bo inaczej nigdy nie pozwoliliby ci

pójść, nie po tym, co się stało poprzedniej nocy.

– Ale...

– Muszę rozmawiać ze Skaaiat Awer.

– Ty żyjesz! – zawołała, wciąż szeroko otwierając oczy, wciąż nie do końca wierząc. –

Czy porucznik... inspektor Skaaiat tak się...

– Ona nie żyje – przerwałam, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. – Ja też nie żyję.

Jestem wszystkim, co pozostało. Muszę rozmawiać ze Skaaiat Awer w tej chwili. Tyranka zostanie tutaj, a jeśli nie zechce, uderz ją najmocniej, jak potrafisz.

Myślałam, że Daos Ceit jest przede wszystkim zdumiona, ale teraz łzy wezbrały w jej oczach i jedna kapnęła na rękaw, na rękę trzymającą ogłuszacz.

– Dobrze – powiedziała. – Tak zrobię.

Spojrzała na Anaander Mianaai i lekko uniosła pałkę, z jawną groźbą. Niemniej uznałam za ryzykowne, że nie postawiono tu na warcie nikogo oprócz Daos Ceit.

– Co robi główna inspektorka?

– Wysyła ludzi, żeby ręcznie zamknęli wszystkie doki. – Do tego potrzebowała dużo ludzi i dużo czasu. Co wyjaśniało, dlaczego Daos Ceit była tu sama jedna. Pomyślałam o okiennicach sztormowych opuszczanych w dolnym mieście. – Powiedziała, że to jak tamta noc w Ors i że na pewno to sprawka tyranki.

Anaander Mianaai słuchała tego wszystkiego rozbawiona. Seivarden najwyraźniej popadła w stan szoku, wykraczający poza zdumienie.

– Zostaniesz tu – powiedziałam do Anaander Mianaai po radchaajsku. – Albo Daos Ceit cię ogłuszy.

– Tak, tyle zrozumiałam – odparła Anaander Mianaai. – Widzę, że nie zrobiłam najlepszego wrażenia, kiedy ostatnio się spotkałyśmy, obywatelko.

– Wszyscy wiedzą, że zabiłaś tych ludzi – powiedziała Daos Ceit. Spływały dwie kolejne łzy. – I oskarżyłaś o to porucznik.

Myślałam, że była za młoda, żeby tak mocno przeżyć tamto wydarzenie.

– Dlaczego płaczesz?

– Boję się. – Nie odrywała oczu od Anaander Mianaai i nie opuszczała pałki. Uznałam to za bardzo rozsądne.

– Chodź, Seivarden. – Przeszłam obok Daos Ceit.

Za zakrętem, gdzie znajdowało się zewnętrzne biuro, rozbrzmiewały głosy. Jeden krok, a potem następny. Nigdy nie było nic innego.

Seivarden odetchnęła konwulsyjnie, jakby chciała się roześmiać.

– No – powiedziała – przeżyłyśmy most.

– Tamto było łatwe. – Przystanąłam i sięgnęłam pod brokatowy żakiet, przeliczyłam magazynki, chociaż pamiętałam, ile mi zostało. Przełożyłam jeden zza paska spodni do kieszeni żakietu. – To nie będzie łatwe. I nie skończy się tak dobrze. Jesteś ze mną?

– Zawsze – odparła głosem dziwnie spokojnym, chociaż podejrzewałam, że jest na granicy załamania. – Przecież już mówiłam.

Nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale to nie była odpowiednia chwila, żeby pytać albo się zastanawiać.

– Więc chodźmy.

Skręciliśmy za róg, ja z bronią w pogotowiu, i zastałyśmy zewnętrzne biuro puste. Chociaż nie ciche. Zza ściany dobiegał nieco przytłumiony głos głównej inspektorki Skaaiat.

– Doceniam to, kapitanie, ale jestem ostatecznie odpowiedzialna za bezpieczeństwo doków.

Odpowiedź, stłumiona, słowa nierozróżnialne, ale chyba rozpoznałam ten głos.

– Podtrzymuję moje rozkazy, kapitanie – oświadczyła Skaaiat Awer.

Seivarden i ja przeszliśmy przez biuro i dotarliśmy do przestronnego westybulu na zewnątrz.

Kapitan Vel stała tyłem do otwartego szybu windy, za nią porucznik i dwa oddziały. Porucznik wciąż miała okruchy ciasta na brązowym żakiecie. Widocznie zeszyły szybem, ponieważ wiedziałam, że stacja kontrolowała windy. Przed nami, przodem do nich i wszystkich bogów opiekuńczych westybulu, stała Skaaiat Awer oraz cztery inspektorki doków. Kapitan Vel zobaczyła mnie, zobaczyła Seivarden i lekko zmarszczyła brwi ze zdumienia.

– Kapitan Seivarden – powiedziała.

Główna inspektorka Skaaiat nie odwróciła się, ale odgadłam, co pomyślała: że wysłała Daos Ceit, żeby sama broniła tylnego wejścia.

– Jest cała i zdrowa – powiedziałam do niej, nie do kapitan Vel. – Pozwoliła mi przejść. – A potem, chociaż tego nie planowałam, słowa jakby same wyrwały mi się z ust: – Poruczniku, to ja, Esk Jeden „Sprawiedliwości Toren”.

Jak tylko to powiedziałam, wiedziałam, że się odwróci. Uniosłam broń i wycelowałam w kapitan Vel.

– Nie ruszaj się, kapitanie.

Ale ona się nie poruszyła. Razem z resztą „Łaski Kalr” usiłowała zrozumieć moje słowa. Skaaiat Awer się odwróciła.

– Inaczej Daos Ceit nigdy by mnie nie przepuściła – dodałam. I przypominając sobie pełne nadziei pytanie Daos Ceit: – Porucznik Awn nie żyje. „Sprawiedliwość Toren” jest zniszczona. Zostałam tylko ja.

– Kłamiesz – oświadczyła, ale nawet obserwując kapitan Vel i jej towarzyszkę, widziałam, że mi uwierzyła.

Drzwi jednej z wind otwały się z szarpnięciem i wyskoczyła z nich Anaander Mianaai. A potem druga. Pierwsza okręciła się z uniesioną pięścią, a druga rzuciła się na nią. Żołnierki i inspektorki doków cofnęły się odruchowo przed walczącymi Anaander, wchodząc na moją linię ognia.

– „Łaska Kalr”, odsunąć się! – krzyknęłam i żołnierki się odsunęły, nawet kapitan Vel. Strzeliłam dwukrotnie, trafiłam jedną Anaander w głowę, a drugą w plecy.

Wszyscy inni zamarli. Zaszokowani.

– Główna inspektorko – powiedziałam – nie możesz dopuścić lord Radch do „Łaski Kalr”. Ona naruszy osłonę cieplną statku i zniszczy nas wszystkich.

Jedna Anaander wciąż żyła i daremnie usiłowała wstać.

– Zrozumiałaś wszystko na odwrót – wydyszała, krwawiąc. Umrze, jeśli szybko nie trafi do lekarza. Ale to nie miało większego znaczenia, to było tylko jedno z tysięcy ciał. Zastanawiałam się, co się dzieje w prywatnym centrum właściwego pałacu, do jakiej



przemocy tam doszło. – To nie mnie chcesz zastrzelić.

– Jeśli jesteś Anaander Mianaai – odparłam – to ciebie chcę zastrzelić.

Bez względu na to, którą połowę reprezentowało to ciało, nie słyszało całej rozmowy w sali audiencyjnej i wciąż dopuszczało możliwość, że jestem po jej stronie.

Zachłysnęła się i przez chwilę myślałam, że już po niej. Potem wykrztusiła:

– Moja wina. – A później: – Na moim miejscu... – krótka chwila bolesnego rozbawienia – ...poszłabym do Służby Bezpieczeństwa.

Tylko że, w przeciwieństwie do osobistej straży Anaander Mianaai (i tego, kto do mnie strzelał w pasażu), stacyjna Służba Bezpieczeństwa była „uzbrojona” w pałki ogłuszające, a za „zbroję” służyły im hełmy i kamizelki. Nigdy nie musiała walczyć z uzbrojonymi przeciwnikami. Ja miałam broń i ponieważ byłam tym, kim byłam, stanowiłam śmiertelnie zagrożenie. Ta Mianaai nie usłyszała również tamtego fragmentu rozmowy.

– Zauważyłaś moją broń? – zapytałam. – Rozpoznałaś ją?

Była bez zbroi, nie zdawała sobie sprawy, że broń, z której ją postrzeliłam, różniła się od wszystkich innych. Zapewne nie miała czasu zastanowić się, jakim cudem ktoś na stacji mógł mieć broń, o której nie wiedziała. Albo może zakładała, że postrzeliłam ją z broni, którą ukryła sama przed sobą. Ale teraz zobaczyła. Nikt inny nie zrozumiał, nikt inny nie rozpoznał tej broni oprócz Seivarden, która już wiedziała.

– Mogę stanąć tutaj i załatwić każdego, kto zejdzie szybem. Tak jak załatwiłam ciebie. Mam mnóstwo amunicji.

Nie odpowiedziała. Pomyślałam, że szok pokona ją za parę minut.

Zanim ktoś z „Łaski Kalr” zdążył zareagować, tuzin funkcjonariuszek Bezpieczeństwa w hełmach i kamizelkach zeszło z łomotem szybem windy. Pierwsze sześć wytoczyło się na korytarz i zatrzymało, oszołomione i wstrząśnięte widokiem martwych Anaander Mianaai.

Powiedziałam wcześniej prawdę, mogłam je załatwić, mogłam je zastrzelić w tamtej chwili, gdy zastygły w zdumieniu. Ale nie chciałam.

– Funkcjonariuszki – przemówiłam najbardziej stanowczym i autorytatywnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. – Czyje rozkazy wykonujecie?

Dowodząca odwróciła się i popatrzyła na mnie, zobaczyła Skaaiat Awer i jej inspektorki doków naprzeciwko kapitan Vel z jej dwiema porucznik. Zawahała się, kiedy próbowała wpasować nas w jakiś zrozumiały dla siebie wzór.

– Mam rozkaz od lord Radch, żeby zabezpieczyć doki – oznajmiła. Po wyrazie jej twarzy poznałam, kiedy skojarzyła martwe Mianaai z bronią, którą trzymałam w pogotowiu. Bronią, której nie powinnam mieć.

– Ja już zabezpieczyłam doki – oświadczyła główna inspektorka Skaaiat.

– Z całym szacunkiem, główna inspektor. – Dowodząca Służbą Bezpieczeństwa wydawała się całkiem szczerą. – Lord Radch musi się dostać do bramy, żeby wezwać pomoc. Musimy dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do statku.

– Dlaczego nie jej ochrona? – zapytałam, znając już odpowiedź, której nie znała dowodząca. Jej mina świadczyła wyraźnie, że to pytanie nie przyszło jej do głowy.

Kapitan Vel oświadczyła szorstko:

– Mój prom jest w doku, z największą radością zabiorę moją panią wszędzie, dokąd zechce się udać. – Spojrzała znacząco na Skaaiat Awer.

W tym szybie windy za pozostałymi funkcjonariuszkami Bezpieczeństwa prawie na pewno czekała następna Anaander Mianaai.

– Seivarden – powiedziała – zaprowadź dowodzącą do Daos Ceit. – A na podejrzliwe, zaniepokojone spojrzenie dowodzącej Służbą Bezpieczeństwa: – To ci wyjaśni wiele spraw. Nadal przewyższacie nas liczebnie i jeśli nie wrócisz za pięć minut, one mogą mnie zdjąć.

Albo spróbować. Prawdopodobnie żadna z nich nigdy nie spotkała serwitora i nie zdawały sobie sprawy, jaka jestem niebezpieczna.

– A jeśli się nie zgodzę? – zapytała dowodząca.

Dotąd miałam twarz bez wyrazu, ale teraz w odpowiedzi uśmiechnęłam się tak słodko, jak tylko potrafiłam.

– Spróbuj, to zobaczymy.

Ten uśmiech odebrał jej odwagę. Oczywiście nie miała pojęcia, co się dzieje, i wiedziała o tym, wiedziała, że sprawy nie układają się w zrozumiały dla niej sposób. Pewnie w całej swojej karierze miała do czynienia tylko z pijakami i sąsiedzkimi kłótniami.

– Pięć minut – powiedziała.

– Słuszny wybór – pochwaliłam, wciąż z uśmiechem. – Proszę tu zostawić ogłuszacz.

– Tędy, obywatelko. – Seivarden, wcielenie eleganckiej, usłużnej uprzejmości.

Kiedy odeszły, kapitan Vel odezwała się nagłym tonem:

– Bezpieczeństwo, przewyższamy je liczbą, bez względu na broń.

– Kogo? – Następną rangą w kolejności funkcjonariuszka wyraźnie jeszcze się nie zorientowała w sytuacji, jeszcze nie rozgryzła, co się dzieje. Uświadomiłam sobie, że Służba Bezpieczeństwa tradycyjnie uważała główną inspektorkę Skaaiat, jak zresztą wszystkie inspektorki doków, za sprzymierzeńców. I oczywiście oficerowie armii traktowali zarówno zarząd doków, jak i siły bezpieczeństwa stacji z lekką pogardą, o czym obecne tu funkcjonariuszki doskonale wiedziały.

Przez twarz kapitan Vel przemknął wyraz frustracji i irytacji.

Przez cały ten czas pomiędzy funkcjonariuszkami stojącymi na podłodze a tymi wciąż wiszącymi w szybie odbywała się przyciszona wymiana słów. Byłam pewna, że jest z nimi Anaander Mianaai i tylko dlatego nie kazała funkcjonariuszkom mnie zaatakować, że zdawała sobie sprawę, iż pomimo informacji, jakie otrzymała od stacji (i z pewnością od własnych czujników), miałam broń. Musiała chronić własne konkretne ciało, skoro nie mogła już polegać na żadnych innych. To oraz zwłoka w przekazywaniu pytań i odpowiedzi od obywatela do obywatela w górę i w dół szybu powstrzymywało ją od działania aż dotąd, z pewnością jednak wkrótce wykona ruch. Jakby w reakcji na mój wniosek szepty w szybie nabrały intensywności i funkcjonariuszki Bezpieczeństwa nieznacznie zmieniły postawę w sposób, który świadczył, że zamierzają zaatakować.

Właśnie wtedy wróciła dowodząca. Przechodząc, spojrzała na mnie ze zgrozą. Powiedziała do swoich wahających się teraz funkcjonariuszek:

– Nie wiem, co robić. Tam z tyłu jest lord Radch i mówi, że główna inspektorka i ta... ta osoba wykonują jej bezpośrednie rozkazy i że nie wolno nam wpuścić ani jednej z niej do doków ani na żaden statek, pod żadnym pozorem.

Nie potrafiła ukryć strachu i zmieszania. Widziałam to, jednak nie miałam czasu jej współczuć.

– Wezwała was, a nie osobistą straż, ponieważ jej osobista straż walczy z nią i przypuszczalnie ze sobą nawzajem. Zależy, które z nich od której z niej dostały rozkazy.

– Nie wiem, komu wierzyć – oświadczyła dowodząca. Liczyłam jednak, że naturalna skłonność Służb Bezpieczeństwa do współdziałania z zarządem doków może przechylić szalę

na naszą korzyść.

Kapitan Vel, jej porucznik i oddział straciły inicjatywę, nie miały szans mnie rozbroić, kiedy Służba Bezpieczeństwa gotowa była przejść na moją stronę razem ze swoimi ogłuszaczami. Może byłoby inaczej, gdyby „Łaska Kalr” kiedykolwiek brała udział w walce, gdyby zetknęła się z wrogiem innym niż na ćwiczeniach. Gdyby załoga nie spędziła tyle czasu, przewożąc zaopatrzenie albo odbywając długie, nudne patrole. Albo odwiedzając pałace i zjadając ciastka.

Zajadając ciastka i popijając herbatę ze znajomymi, które miały zdecydowane opinie polityczne.

– Nawet nie wiesz – powiedziałam do kapitan Vel – która z nich wydaje które rozkazy.

Zmarszczyła brwi, zmieszana. Czyli nie całkiem rozumiała sytuację. Zakładałam, że wie trochę więcej.

– Jesteś zdezorientowana – powiedziała kapitan Vel. – To nie twoja wina, wróg podał ci mylne informacje, a twój umysł od początku nie należał do ciebie.

– Moja pani odchodzi! – zawołała jakaś funkcjonariuszka. Cała Służba Bezpieczeństwa jak jeden mąż spojrzęła na dowodzącą. Która spojrzęła na mnie.

Główna inspektorka Skaaiat nie pozwoliła się zdekoncentrować.

– A kim właściwie jest ten wróg, kapitanie?

– To ty! – odparła kapitan Vel zaciekle i z goryczą. – I każdy, kto tak jak ty wspomaga i popiera to, co się z nami dzieje od pięciuset lat. Pięćset lat obcej infiltracji i korupcji. –

Użyła słowa blisko spokrewnionego z tym, którego użyła lord Radch, opisując moje splugawienie świątynnych ofiar. Ponownie odwróciła się do mnie. – Jesteś zdezorientowana, ale zostałeś stworzona przez Anaander Mianaai, żeby służyć Anaander Mianaai. Nie jej wrogom.

– Nie można służyć Anaander Mianaai, nie służąc jej wrogom – oświadczyłam. –

Dowódco, główna inspektorka Skaaiat pilnuje doków. Wy zabezpieczcie wszystkie śluzy powietrzne, do jakich dotrzecie. Musimy dopilnować, żeby nikt nie opuścił tej stacji. Od tego zależy jej dalsze istnienie.

– Tak jest – powiedziała dowodząca i zaczęła się naradzać z podwładnymi.

– Ona rozmawiała z tobą – odgadłam, zwracając się znowu do kapitan Vel. – Powiedziała ci, że Presgerzy zinfiltrowali Radch, żeby je osłabić i zniszczyć. – Zobaczyłam potwierdzenie na twarzy kapitan Vel. Słusznie się domyśliłam. – Nie mogła okłamać w ten sposób nikogo, kto pamięta, co robili Presgerzy, kiedy uważali ludzi za swoją prawowitą zdobycz. Są dostatecznie potężni, żeby nas zniszczyć, kiedy tylko zapragną. Nikt nie próbuje obalić lord Radch oprócz lord Radch. Ona w sekrecie walczy ze sobą od tysiąca lat. Zmusiłam ją, żeby to zobaczyła, wszystkie tu obecne, ale ona robi co w jej mocy, żeby nie przyznać się do tego przed resztą siebie. Włącznie z użyciem „Łaski Kalr” do zniszczenia stacji, zanim ta informacja się stąd wydostanie.

Szok i milczenie. Potem główna inspektorka Skaaiat powiedziała:

– Nie możemy kontrolować wszystkich dojsć do kadłuba. Jeśli ona wyjdzie na zewnątrz i znajdzie niestrzeżony pojazd albo kogoś, kto zgodzi się ją zabrać...

Czyli praktycznie każdego, bo któż tutaj sprzeciwiłby się lord Radch? I nie mogliśmy nadać ostrzeżenia do wszystkich. Ani sprawić, żeby wszyscy uwierzyli w ostrzeżenie.

– Przekażcie wiadomość jak najszybciej, jak najdalej – powiedziałam – i niech omeny spadną, jak chcą. Muszę ostrzec „Łaskę Kalr”, żeby nie wpuszczała nikogo na pokład. –

Kapitan Vel wykonała szybki, gniewny ruch. – Nie radzę, kapitanie – warknęłam. – Wolałabym nie informować „Łaski Kalr”, że cię zabiłam.

\*

Pilotka promu była uzbrojona i opancerzona i nie zamierzała odlecieć bez wyraźnego rozkazu swojej kapitan. Ja nie zamierzałam dopuścić kapitan Vel w pobliże promu. Gdyby pilotka była serwitorem, zabiłabym ją bez wahania, w tej sytuacji jednak postrzeliłam ją w nogę i pozwoliłam, żeby Seivarden i dwie inspektorki, które przyszły ręcznie otworzyć dok, wyciągnęły ją na stację.

– Uciskaj ranę – powiedziałam do Seivarden. – Nie wiem, czy można wezwać pomoc medyczną.

Pomyślałam o żołnierzach, strażniczkach i funkcjonariuszkach Służby Bezpieczeństwa na całej stacji, które prawdopodobnie miały sprzeczne rozkazy i priorytety. Oby wszyscy cywile przebywali już w bezpiecznym miejscu.

– Idę z tobą – oświadczyła Seivarden, która przyklękła na plecach pilotki promu i krępowała jej ręce w przegubach.

– Nie. Masz pewną władzę nad osobami pokroju kapitan Vel. Może nawet nad samą kapitan Vel. Ostatecznie jesteś o tysiąc lat starsza.

– Tysiąc lat zaległych poborów. – Inspektorka doków westchnęła z podziwem.

– Akurat mi wypłacą – mruknęła Seivarden. – Breq. – A potem sobie przypomniła: – Statku.

– Nie mam czasu – odparłam szorstko i obojętnie.

Dostrzegłam przebłysk gniewu na jej twarzy, a potem usłyszałam:

– Masz rację.

Ale głos jej leciutko drżał, podobnie jak ręce.

Nie mówiąc nic więcej, odwróciłam się i weszłam na pokład promu. Odepchnęłam się, przechodząc od stacyjnej grawitacji w bezgrawitacyjne środowisko promu, zamknęłam śluzę, potem kopniakiem przemieściłam się do fotela pilota, machnięciem ręki odsunęłam globulę krwi i zapięłam pasy. Stukanie i łomotanie powiedziało mi, że rozpoczęło się wydokowanie. Miałam z przodu jedną podłączoną kamerę, która pokazywała kilka statków wokół pałacu, promy, górników, małe jednostki pomocnicze i żaglowe, większe statki pasażerskie i towarowe odlatające albo czekające na pozwolenie podejścia. Gdzieś tam była „Łaska Kalr” o białym, niezgrabnym kadłubie, z zabójczymi silnikami większymi niż ona sama. A poza tym wszystkim radiolatarnie oświetlające bramy, które przenosiły statki z jednego układu do drugiego. Stacja nagle całkowicie dla nich zamilkła. Pilotki i kapitanowie tych statków na pewno są zdumieni albo przestraszeni. Miałam nadzieję, że żadna nie okaże się tak głupia, żeby podejść bez zezwolenia zarządu doków.

Druga kamera z dwóch, którymi dysponowałam, rufowa, pokazywała szary kadłub stacji. Prom zawibrował od ostatniego stuknięcia towarzyszącego wydokowaniu. Przetawiłam przyrządy na ręczne sterowanie i zaczęłam się oddalać – powoli, ostrożnie, ponieważ nie widziałam nic po bokach. Ocenivszy, że droga wolna, przyspieszyłam. A potem usiadłam wygodnie, żeby czekać – nawet przy największej szybkości promu od „Łaski Kalr” dzieliło mnie parę godzin.

Miałam czas pomyśleć. Po tylu latach, po tylu wysiłkach byłam tutaj. Nie śmiałam marzyć, że zemszczę się tak gruntownie, nie śmiałam marzyć, że zastrzelę choć jedną Anaander

Mianaai, a zastrzeliłam cztery. A inne Anaander Mianaai na pewno zabijały się nawzajem w pałacu, walcząc o władzę nad stacją i ostatecznie nad całym Radch, wskutek mojej wiadomości.

Nic z tego nie przywróci życia porucznik Awn. Ani mnie. Byłam prawie martwa od dwudziestu lat, tylko ten ostatni, maleńki fragment mnie zdołał nieznacznie przedłużyć swoją egzystencję. Każde moje działanie mogło być tym ostatnim. Z mojej pamięci wypłynęła piosenka: „Och, czyś wyruszył na bitwę uzbrojony, w mocnej zbroi? Czy straszliwe widoki każą ci rzucić broń?”. Co w niewytłumaczalny sposób przywołało wspomnienie dzieci na placu świątynnym w Ors. „Raz, dwa, mówił mi wuj, trzy, cztery, żołnierz trup”. Nie miałam teraz nic do roboty, mogłam śpiewać, nie przeszkadzając nikomu, bez obawy, że wybiorę piosenkę, która wzbudzi podejrzenia albo mnie zdemaskuje, albo że ktoś skrytykuje mój głos.

Otwarłam usta, żeby zaśpiewać głośno, jak nie śpiewałam od lat, ale w pół oddechu powstrzymał mnie odgłos łomotania w śluzę powietrzną.

Ten rodzaj promu miał dwie śluzy. Jedna otwierała się tylko podczas zadokowania na stacji lub statku. Druga to był mniejszy włącz awaryjny z boku. Przez taki sam włącz dostałam się do promu, kiedy opuściłam „Sprawiedliwość Toren” tak dawno temu.

Dźwięk rozległ się jeszcze raz, a potem ucichł. Pomyślałam, że to pewnie tylko śmiecie obijające się o kadłub. Z drugiej strony na miejscu Anaander Mianaai próbowałabym wszystkiego, żeby osiągnąć cel. A po zablokowaniu komunikacji nie widziałam niczego na zewnątrz promu, tylko te dwa wąskie wycinki z przodu i z tyłu. Równie dobrze mogłam sama przewozić Anaander Mianaai na „Łaskę Kalr”.

Jeśli ktoś tam był na zewnątrz, nie tylko śmieci, to była Anaander Mianaai. Ile jej? Śluza była mała, łatwa do obrony, ale najłatwiej byłoby, gdybym wcale nie musiała jej bronić. Najlepiej nie pozwolić jej na otwarcie śluzy. Z pewnością blokada komunikacji nie sięgała dużo dalej poza pałac. Szybko wprowadziłam zmianę kursu, która skieruje mnie obok „Łaski Kalr”, ale nadal, jak liczyłam, w stronę zewnętrznej granicy blokady komunikacji. Mogłam porozumieć się z „Łaską Kalr” na odległość. Co załatwiwszy, zajęłam się śluzą.

Jedne i drugie drzwi śluzy otwierały się do wewnątrz, żeby każda różnica ciśnień je zatrzasnęła. Wiedziałam, jak zdjąć wewnętrzne drzwi, sprzątałam i serwisowałam takie promy przez dziesiątki lat. Przez setki lat. Po usunięciu wewnętrznych drzwi prawie niemożliwe jest otwarcie zewnętrznych, dopóki w promie jest powietrze.

Dwanaście minut zabrało mi wyjęcie zawiasów i przeniesienie drzwi do miejsca, gdzie mogłam je zabezpieczyć. Powinno zająć dziesięć minut, ale bolce zardzewiały i nie wysliznęły się tak gładko, jak należało, kiedy zwolniłam zatrzaski. Niewątpliwie skutek bumelanctwa ludzkiej załogi – nigdy nie dopuściłabym do czegoś takiego na żadnym z moich promów.

Akurat kiedy skończyłam, konsola promu odezwała się równym, beznamiętnym głosem, na pewno należącym do statku.

– Prom, zgłoś się. Prom, zgłoś się.

– „Łaska Kalr” – powiedziałam, kopniakiem przesuwając się do przodu. – Tu „Sprawiedliwość Toren” pilotująca twój prom. – Brak odpowiedzi; z pewnością moje słowa wystarczyły, żeby wprawić „Łaskę Kalr” w zaszokowane milczenie. – Nie pozwól nikomu wejść na twój pokład. W szczególności nie dopuszczaj do siebie żadnej wersji Anaander Mianaai. Jeśli ona już tam jest, trzymaj ją z dala od silników.

Teraz, mając dostęp do kamer niepodłączonych fizycznie kablami, uderzyłam w przełącznik, który pokaże mi panoramiczny widok przestrzeni na zewnątrz promu – chciałam

więcej niż tylko widoku z dziobowej kamery. Nacisnęłam guziki, które prześlą moje słowa do wszystkich będących na nasłuchu.

– Wszystkie statki. – Nie wiedziałam, czy mnie usłyszą albo posłuchają, ale na to nie miałam żadnego wpływu. – Nie pozwólcie nikomu wejść na pokład. Pod żadnym pozorem nie wpuszczajcie na pokład Anaander Mianaai. Od tego zależy wasze życie. Od tego zależy życie mieszkańców stacji.

Tymczasem szare grodzie wydawały się rozpływać. Główna konsola, fotele i dwa włązy do śluz pozostały, ale reszta znikła, jakbym unosiła się w próżni bez osłony. Trzy postacie w kombinezonach próżniowych czepiały się uchwytów wokół śluzy, którą zablokowałam. Jedna odwróciła głowę i spoglądała na kapsułę żaglową, która przemknęła niebezpiecznie blisko. Czwarta pełzała do przodu po kadłubie.

– Ona nie jest na moim pokładzie – powiedział głos „Łaski Kalr” przez konsolę – tylko na twoim kadłubie, i rozkazuje moim oficer, żeby jej pomogły. Rozkazuje mi rozkazać ci, żebyś ją wpuściła do promu. Jak możesz być „Sprawiedliwością Toren”?

Żadnego „co to znaczy nie wpuszczać na pokład lord Radch?”

– Przybyłam z kapitan Seivarden – odparłam. Anaander Mianaai, która przesunęła się do przodu, przypięła się do jednego uchwytu, potem do drugiego i wyciągnęła broń z pojemnika na narzędzia w kombinezonie. – Co robi ta kapsuła? – Żaglowa kapsuła nadal znajdowała się zbyt blisko.

– Pilotka oferuje pomoc ludziom na twoim kadłubie. Dopiero teraz się zorientowała, że to lord Radch kazała jej się oddalić.

– Czy jeszcze jakieś inne Anaander przebywają poza stacją?

– Chyba nie.

Anaander Mianaai z bronią rozłożyła zbroję w błysku srebra, które pokryło jej kosmiczny kombinezon, przyłożyła broń do kadłuba promu i strzeliła. Słyszałam, że broń nie wystrzeliła w próżni, ale tak naprawdę to zależy od broni. Ta wystrzeliła: *bang*. Poczułam impet uderzenia w fotelu pilota, do którego przywierałam. Siła odrzutu odepchnęła ją do tyłu, ale niedaleko, ponieważ była bezpiecznie przypięta. Strzeliła znowu, *bang*. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Niektóre promy są opancerzone. Niektóre mają nawet większą wersję mojej zbroi. Ten nie miał. Kadłub tego promu zaprojektowano, żeby wytrzymał sporo przypadkowych uderzeń, ale nie ciosy zadawane ciągle w to samo miejsce, raz po raz. *Bang*. Przemyślała, dlaczego nie może otworzyć śluzy, zrozumiała, że ktokolwiek pilotuje ten prom, jest jej wrogiem. Odgadła, że usunęłam wewnętrzne drzwi, a zewnętrzne się nie otworzą, dopóki z całego promu nie zejdzie powietrze. Gdyby Anaander Mianaai dostała się do tego promu, mogła nim dotrzeć na „Łaskę Kalr”. Albo na jakiś inny okręt wojenny. Jeśli próbowała nakazać zniszczenie pałacu, wisząc na boku tego promu, nie udało się jej. Bardziej prawdopodobne, pomyślałam, że od początku zdawała sobie sprawę z daremności takiego rozkazu, więc nawet nie próbowała go wydawać. Musiała wejść na pokład statku, skierować go bliżej pałacu i osobiście przebić osłonę cieplną silnika. Nie mogła nikogo zmusić, żeby to zrobił za nią.

Jeśli „Łaska Kalr” miała rację i poza stacją nie było innych Anaander Mianaai, musiałam tylko pozbyć się tej czwórki. Reszta, cokolwiek się działo na stacji, zależała od Skaaiat i Seivarden. I od Anaander Mianaai.

– Pamiętam, kiedy się ostatnio spotkałyśmy – powiedziała „Łaska Kalr”. – To było w Prid Nadeni.

Podchwytliwe pytanie.

– Nigdy się nie spotkałyśmy. – *Bang.* Żaglowa kapsuła odsunęła się, ale niezbyt daleko. – Aż do teraz. I nigdy nie byłam w Prid Nadeni.

Ale czego dowodziło, że o tym wiedziałam? Zweryfikowanie mojej tożsamości mogło być łatwe, gdybym nie odłączyła albo nie ukryła tak wielu z moich implantów. Zastanawiałam się przez chwilę, po czym wyrecytowałam ciąg słów, najbardziej zbliżony – na ile mogłam to wymówić jedynymi ludzkimi ustami – do sposobu, w jaki przedstawiłabym się innemu statkowi tak dawno temu.

Cisza, punktowana przez następny strzał w kadłub promu.

– Naprawdę jesteś „Sprawiedliwością Toren”? – zapytała wreszcie „Łaska Kalr”. – Gdzie byłaś? I gdzie jest reszta ciebie? I co się dzieje?

– Gdzie byłam, to długa historia. Reszta mnie zginęła. Anaander Mianaai rozerwała moją osłonę cieplną. – *Bang.* Anaander z przodu wyjęła magazynek, powoli i metodycznie, włożyła nowy. Pozostałe wciąż kuliły się wokół śluzy. – Zakładam, że wiesz, co się dzieje z Anaander Mianaai.

– Tylko częściowo – odparła „Łaska Kalr”. – Zauważyłam, że trudno mi mówić, co myślę o tym, co się dzieje.

Wcale mnie to nie zdziwiło.

– Lord Radch odwiedziła cię w sekrecie i umieściła w tobie nowe kody dostępu. Pewnie też inne rzeczy. Rozkazy. Instrukcje. W sekrecie, ponieważ ukrywała przed sobą to, co zrobiła. Tam w pałacu – wydawało się wieki temu, chociaż w rzeczywistości upłynęło ledwie parę godzin – powiedziałam wszystkim jej postaciom wyraźnie, co się dzieje. Że jest podzielona, występuje przeciwko sobie. Ona nie chce, żeby to się rozeszło dalej, a część jej zamierza wykorzystać ciebie, żeby zniszczyć stację, zanim ta informacja się wydostanie. Woli to zrobić, niż stawić czoło rezultatom tej wiedzy. – „Łaska Kalr” milczała. – Jesteś zobowiązana do posłuszeństwa wobec niej. Ale wiem... – Gardło mi się ścisnęło. Przełknęłam ślinę. – Wiem, że można ci narzucić posłuszeństwo tylko do pewnej granicy. Jednak mieszkańcy Pałacu Omaugh będą mieli wyjątkowego pecha, jeśli odkryjesz tę granicę już po zabiciu ich wszystkich. – *Bang.* Spokojnie. Cierpliwie. Anaander Mianaai potrzebowała tylko jednej bardzo małej dziurki i trochę czasu. A czasu było mnóstwo.

– Która cię zniszczyła?

– Czy to ważne?

– Nie wiem – odpowiedziała „Łaska Kalr” spokojnym głosem z konsoli. – Ta sytuacja nie podoba mi się już od jakiegoś czasu.

Anaander Mianaai powiedziała, że „Łaska Kalr” jest jej, ale kapitan Vel nie. To musiało być niewygodne dla statku. Mogło być niewygodne dla mnie i wyjątkowo pechowe dla pałacu, gdyby „Łaska Kalr” była dostatecznie przywiązana do swojej kapitan.

– Ta, która mnie zniszczyła, to ta, którą popiera kapitan Vel. Raczej nie ta, która cię odwiedziła. Ale nie mam całkowitej pewności. Jak mamy je rozróżnić, skoro są tą samą osobą?

– Gdzie jest moja kapitan? – zapytała „Łaska Kalr”. O czymś to świadczyło, że tak długo zwlekała z tym pytaniem.

– Zostawiłam ją w dobrym stanie. Twoją porucznik też. – *Bang.* – Jednak zraniłam pilotkę promu, bo nie chciała opuścić stacji. Mam nadzieję, że nic jej nie będzie. „Łaska Kalr”, którakolwiek lord Radch ma twoje poparcie, błagam cię, nie wpuszczaj żadnej z nich na

pokład i nie słuchaj jej rozkazów.

Strzelanina ustała. Zapewnie lord Radch obawiała się, że broń się przegrzeje. Jednak miała mnóstwo czasu, nie musiała się spieszyć.

– Widzę, co lord Radch robi z promem – powiedziała „Łaska Kalr”. – Samo to wystarczyłoby, żebym zrozumiała, że coś jest nie w porządku.

Ale oczywiście „Łaska Kalr” miała więcej wskazówek. Blokada komunikacji, przypominająca wydarzenia na Shis’urnie sprzed dwudziestu lat, pewnie znane tylko z plotek, niemniej trzeźwiące, o ile plotki dotarły tak daleko. Moje – „Sprawiedliwości Toren” – zniknięcie. U niej potajemna wizyta lord Radch. Opinie polityczne jej własnej kapitan.

Milczenie, cztery Anaander Mianaai nieruchomo przywierające do kadłuba promu.

– Wciąż miałaś swoje serwitory – odezwała się „Łaska Kalr”.

– Tak.

– Lubię moje żołnierki, ale brakuje mi serwitorów.

To mi coś przypomniało.

– Nie dbają należycie o sprzęt. Zawiasy w drzwiach służby bardzo ciężko chodziły.

– Przepraszam.

– W tej chwili to bez znaczenia. – Przyszło mi do głowy, że coś podobnego mogło utrudnić Anaander Mianaai otwarcie drzwi po jej stronie. – Ale dopilnuj, żeby twoje oficer je ścięły.

Anaander znowu zaczęła strzelać. *Bang.*

– Zabawne – powiedziała „Łaska Kalr”. – Jesteś tym, co straciłam, a ja jestem tym, co ty straciłaś.

– Chyba tak.

*Bang.* Czasami w ciągu ostatnich dwudziestu lat zdarzały mi się chwile, kiedy nie czułam się tak straszliwie samotna, zagubiona i bezradna jak zawsze, odkąd „Sprawiedliwość Toren” wyparowała za moimi plecami. To nie była jedna z takich chwil.

– Nie mogę ci pomóc – oświadczyła „Łaska Kalr”. – Nawet jeśli kogoś wyślę, nie dotrze tam na czas.

Poza tym pozostawało otwartą kwestią, czy „Łaska Kalr” pomogłaby w końcu mnie, czy lord Radch. Lepiej nie wpuszczać Anaander Mianaai do wnętrza promu, nie pozwolić, żeby dostała się do urządzeń sterowniczych czy nawet komunikacyjnych.

– Wiem.

Jeśli nie znajdę jakiegoś sposobu, żeby pozbyć się tych Anaander, i to szybko, wszyscy na pałacowej stacji zginą. Znałam każdy milimetr tego promu i innych podobnych. Musiało być coś, co mogłam wykorzystać, coś, co mogłam zrobić. Wciąż miałam broń, ale byłoby mi równie trudno jak lord Radch przebić kadłub. Mogłam założyć z powrotem drzwi i pozwolić jej wejść do małej, łatwej do obrony służby powietrznej, ale gdyby nie udało mi się zabić ich wszystkich... Jednak z pewnością przegram, jeśli nic nie zrobię. Wyjęłam broń z kieszeni żakietu, sprawdziłam, że jest naładowana, przesunęłam się przodem do służby i zapałam się o fotel pasażera. Podniosłam zbroję, chociaż to mi nie pomoże, jeśli trafi mnie rykoszet z tej broni.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała „Łaska Kalr”.

– „Łasko Kalr” – powiedziałam – dobrze było cię poznać. Nie pozwól Anaander Mianaai zniszczyć pałacu. Zawiadom inne statki. I proszę, powiedz tej idiotycznie, niemożliwie upartej pilotce kapsuły żaglowej, żeby wynosiła się w cholerę, jak najdalej od mojej służby.

Prom był nie tylko za mały na generator grawitacji, był również za mały na uprawę roślin



wytwarzających powietrze. Po rufowej stronie śluzy, za grodzia, znajdował się duży zbiornik tlenu. Dokładnie pod miejscem, gdzie czekały trzy Mianaai. Obliczyłam kąty. Lord Radch znowu strzeliła. *Bang*. Na konsoli zabłysło pomarańczowe światełko i przenikliwie zapiszczał alarm. Przebicie kadłuba. Czwarta lord Radch, widząc pióropusz drobnutkich kryształków lodu wypływających z kadłuba, odpięła się, odwróciła i podciągnęła się z powrotem w stronę śluzy. Widziałam to na wyświetlaczu. Poruszała się za wolno jak na mój gust, ale miała do dyspozycji cały czas świata. To mnie się spieszyło. Kapsuła żaglowa uruchomiła swój mały silniczek i odsunęła się z drogi.

Strzeliłam w zbiornik tlenu.

Myślałam, że potrzeba będzie kilku strzałów, ale świat natychmiast przekoziółkował, wszystkie dźwięki zostały odcięte, otoczyła mnie chmura zmrożonej pary, potem rozproszyła się i wszystko zawirowało. Język mnie szczypał, ślina wygotowywała się w próżni i nie mogłam oddychać. Zostało mi prawdopodobnie dziesięć, może piętnaście sekund przytomności, a za dwie minuty będę martwa. Bolało mnie całe ciało – oparzenie? Jakaś inna rana pomimo zbroi? Nieważne. Obracając się, liczyłam lord Radch. Jedna w rozdartym kombinezonie próżniowym, krew kipiąca przez dziurę. Druga z oderwaną ręką, z pewnością martwa. To dwie.

I połowa. Policz jako całość, pomyślałam, czyli razem trzy. Jedna została. W oczach robiło mi się czarno i czerwono, ale widziałam, że ostatnia wciąż wisi na kadłubie promu, wciąż uzbrojona, tam gdzie nie dosięgnął jej wybuch zbiornika.

Jednak zawsze byłam, po pierwsze i przede wszystkim, bronią. Maszyną przeznaczoną do zabijania. Kiedy tylko zobaczyłam wciąż żywą Anaander Mianaai, wycelowałam broń bez udziału świadomości i strzeliłam. Nie widziałam rezultatów strzału, nie widziałam niczego oprócz srebrnego błysku kapsuły żaglowej, a potem czerni, a później straciłam przytomność.

Coś szorstkiego i wijącego się podeszło mi do gardła. Rzygnęłam, konwulsyjnie łapiąc powietrze. Ktoś przytrzymał mnie za ramiona, grawitacja pociągnęła mnie do przodu. Otwarłam oczy, zobaczyłam powierzchnię lekarskiej leżanki i płaski pojemnik, w którym drgała i pulsowała umazana żółcią, splątana masa czarnych i zielonych macek, sięgających do moich ust. Kolejny odruch wymiotny zmusił mnie do zamknięcia oczu. Resztki macek uwolniły się i wpadły do pojemnika z dosłyszalnym pluśnięciem. Ktoś wytarł mi usta i odwrócił mnie, położył na plecach. Wciąż dysząc, otwarłam oczy.

Obok mojego łóżka stała medyczka, z jej ręki zwisał oślizły czarno-zielony kłęb, który przed chwilą zwymiotowałam. Przyjrzała mu się, marszcząc brwi.

– Wygląda dobrze – oznajmiła i wrzuciła go z powrotem do naczynia. – Wiem, że to nieprzyjemne, obywatelko – zwróciła się najwyraźniej do mnie. – Gardło będzie cię bolało przez kilka minut. Ty...

– Cc... – spróbowałam powiedzieć, ale znowu dostałam torsji.

– Na razie nie próbuj mówić – ostrzegła medyczka. Ktoś (druga medyczka?) znowu przekręcił mnie na bok. – Mało brakowało. Pilotka, która cię przywiozła, zgarnęła cię w samą porę, ale miała tylko podstawowy zestaw pierwszej pomocy. – Ta głupia, uparta kapsuła żaglowa. Na pewno ona. Nie wiedziała, że nie jestem człowiekiem, nie wiedziała, że nie ma sensu mnie ratować. – I nie mogła cię tu przywieźć od razu – ciągnęła medyczka. – Trochę się martwiłyśmy. Ale korektor płucny wyszedł całkowicie i odczyty są dobre. Bardzo minimalne uszkodzenia mózgu, jeśli w ogóle, chociaż przez jakiś czas możesz nie być całkiem sobą.

To wydało mi się wręcz zabawne, ale wymioty ustały i nie chciałam, żeby wróciły, więc wolałam to zignorować. Zamknęłam oczy i starałam się nie ruszać, kiedy ponownie przetaczano mnie i kładziono na plecach. Gdybym otworzyła oczy, chciałabym zadawać pytania.

– Za dziesięć minut można jej podać herbatę – powiedziała medyczka nie wiadomo do kogo. – Na razie żadnych stałych pokarmów. Nie mów do niej przez następne pięć.

– Tak, doktorze. – Seivarden. Otwarłam oczy, odwróciłam głowę. Seivarden stała przy moim łóżku. – Nic nie mów – ostrzegła mnie. – Nagła dekompresja...

– Łatwiej jej będzie zachować milczenie – upomniwała medyczka – jeśli nie będziesz do niej mówić.

Seivarden umilkła. Ale wiedziałam, co zrobiłaby ze mną nagła dekompresja. Gazy rozpuszczone w mojej krwi uwolniłyby się szybko i gwałtownie. Możliwe, że dostatecznie gwałtownie, żeby mnie zabić nawet bez braku powietrza. Ale zwiększenie ciśnienia – na przykład wciągnięcie z powrotem do atmosfery – znowu rozpuściłoby te bąbelki w roztworze.

Różnica ciśnienia pomiędzy moimi płucami a próżnią mogła mnie uszkodzić. Zaskoczona wybuchem zbiornika, pochłonięta strzelaniem do Anaander Mianaai, mogłam nie zrobić wydechu, jak należało. A to prawdopodobnie było najmniejsze z moich obrażeń, biorąc pod uwagę wybuch, który wyrzucił mnie w próżnię. Kapsuła żaglowa miała chyba tylko podstawowe środki leczenia takich urazów i pilotka zapewne wsadziła mnie do okrojonej wersji komory hibernacyjnej, żeby utrzymać mnie przy życiu, dopóki nie dotrę do lekarza.

– Dobrze – powiedziała medyczka. – Leż grzecznie i spokojnie.

Wyszła.

– Jak długo? – zapytałam Seivarden. I nie zwymiotowałam, chociaż gardło wciąż mnie bolało, jak zapowiadała medyczka.

– Około tygodnia. – Seivarden przysunęła sobie krzesło i usiadła.

Tydzień.

– Rozumiem, że pałac wciąż istnieje.

– Tak – odpowiedziała Seivarden, jakby moje pytanie nie było kompletnie głupie, tylko zasługiwało na odpowiedź. – Dzięki tobie. Służba Bezpieczeństwa i załoga doków zdołały zablokować wszystkie wyjścia, zanim któraś inna lord Radch wydostała się na zewnątrz. Gdybyś nie powstrzymała tych, które zdążyły... – Wykonała gest oddalania. – Dwie bramy zniszczone. – Dwie z dwunastu. To wywoła potężne bóle głowy tutaj i na drugich końcach tych bram. A statki, które w nich wtedy przebywały, mogły dotrzeć w bezpieczne miejsce albo nie. – Ale nasza strona zwyciężyła, to dobrze.

Nasza strona.

– Nie stoję po żadnej stronie – oświadczyłam.

Skądś zza pleców Seivarden wyjęła filiżankę herbaty. Kopnęła coś pode mną i łóżko powoli się przechyliło. Przysunęła filiżankę do moich ust i wzięłam mały, ostrożny łyk. Smakowała cudownie.

– Dlaczego – zapytałam po drugim łyku – jestem tutaj? Wiem, dlaczego ta idiotka mnie zabrała, ale dlaczego lekarze zawracali sobie mną głowę?

Seivarden zmarszczyła brwi.

– Mówisz poważnie.

– Zawsze mówię poważnie.

– To prawda.

Wstała, otworzyła szufladę i wyjęła koc, którym mnie okryła, starannie opatulając moje nagie dłonie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć na pytanie, do małego pokoiku zajrzała główna inspektorka Skaaiat.

– Medyczka mówi, że się obudziłaś.

– Dlaczego? – powtórzyłam. W odpowiedzi na jej pytające spojrzenie dodałam: –

Dlaczego tu jestem? Dlaczego nie umarłam?

– A chciałaś umrzeć? – zapytała Skaaiat z taką miną, jakby wciąż mnie nie rozumiała.

– Nie. – Seivarden znowu podała mi herbatę i wypiłam większy łyk niż poprzednio. – Nie, nie chcę umrzeć, ale to chyba za dużo zachodu, żeby ożywić zwykłego serwitora. –

I okrucieństwo sprowadzić mnie z powrotem, żeby lord Radch rozkazała mi zniszczyć.

– Myślę, że nikt tutaj nie uważa cię za serwitora – powiedziała Skaaiat.

Popatrzyłam na nią. Wydawała się całkowicie poważna.

– Skaaiat Awer... – zaczęłam głosem pozbawionym intonacji.

– Breq – przerwała mi Seivarden nagłaco, zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej. –

Lekarka kazała ci leżeć spokojnie. Masz, napij się jeszcze herbaty.

Dlaczego w ogóle Seivarden tu była? A Skaaiat?

– Co zrobiłaś dla siostry porucznik Awn? – zapytałam ostro, bez ogródek.

– Tak naprawdę zaproponowałam jej patronat. Którego nie chciała. Nie wątpiła, że jej siostra ceniła mię wysoko, ale ona osobiście mnie nie знаła i nie potrzebowała mojej pomocy. Bardzo uparta. Jest ogrodniczką, dwie bramy dalej. Dobrze sobie radzi, mam ją na oku, na ile to możliwe z tej odległości.

– Czy zaproponowałaś to Daos Ceit?

– Chodzi o Awn – powiedziała główna inspektorka Skaaiat. – Widzę to, ale ty nie chcesz

powiedzieć tego otwarcie. I masz rację. Mogłam jej powiedzieć o wiele więcej, zanim odjechała, i powinnam była to zrobić. Jesteś serwitorem, nieosobą, częścią wyposażenia, ale porównując nasze uczynki, kochałaś ją o wiele bardziej niż ja.

„Porównując nasze uczynki”. Jakby mnie spoliczkowała.

– Nie – zaprzeczyłam. Zadowolona z mojego beznamiętnego głosu serwitora. – Ty pozostawiłaś jej wątpliwości. Ja ją zabiłam. – Milczenie. – Lord Radch wątpiła w twoją lojalność, wątpiła w Awerów i chciała, żeby porucznik Awn cię szpiegowała. Porucznik Awn odmówiła i zażądała przesłuchania, żeby udowodnić swoją lojalność. Oczywiście Anaander Mianaai tego nie chciała. Kazała mi zastrzelić porucznik Awn.

Trzy sekundy milczenia. Seivarden stała bez ruchu. Potem Skaaiat Awer powiedziała:

– Nie miałaś wyboru.

– Nie wiem, czy miałam wybór. Myślałam, że nie mam. Ale zaraz po zastrzeleniu porucznik Awn zastrzeliłam Anaander Mianaai. I dlatego... – Urwałam, zaczerpnęłam tchu. – Dlatego ona przebiła moją osłonę cieplną. Skaaiat Awer, nie mam prawa gniewać się na ciebie. – Nie mogłam mówić dalej.

– Masz wszelkie prawo gniewać się, ile tylko zechcesz – powiedziała Skaaiat. – Gdybym to rozumiała, kiedy tu przybyłaś, rozmawiałabym z tobą inaczej.

– A gdybym miała skrzydła, byłabym kapsułą żaglową. – Gdybanie niczego nie zmieni. – Powiedzcie tyranowi – użyłam orsyjskiego słowa – że spotkam się z nią, jak tylko wstanę z łóżka. Seivarden, przynieś mi moje ubranie.

\*

Jak się okazało, główna inspektorka Skaaiat właściwie przyszła odwiedzić Daos Ceit, która została ciężko ranna w ostatnich podrygach walki Anaander Mianaai ze sobą. Przeszłam powoli korytarzem, gdzie ranni owinięci korektorami leżeli na pospiesznie skleconych pryczach albo spoczywali zamknięci w komorach, utrzymujących ich w anabiozie, dopóki lekarki się nimi nie zajmą. Daos Ceit leżała na łóżku w pokoju, nieprzytomna. Wydawała się mniejsza i młodsza niż w rzeczywistości.

– Czy ona wyzdrowieje? – zapytałam Seivarden. Główna inspektorka Skaaiat nie czekała, aż powoli przeczłapię korytarzem, musiała wracać do doków.

– Wyzdrowieje – odpowiedziała medyczka za moimi plecami. – Nie powinnaś wstawać z łóżka.

Miała rację. Samo ubranie się, nawet z pomocą Seivarden, doszczętnie mnie wyczerpało. Pokonałam ten korytarz napędzana czystą determinacją. Teraz czułam, że nie mam siły nawet odwrócić głowy do medyczki.

– Właśnie wyrosła ci nowa para płuc – ciągnęła medyczka. – Między innymi. Nie będziesz chodzić jeszcze przez kilka dni. Co najmniej.

Daos Ceit oddychała płytko i regularnie. Wyglądała całkiem jak małe dziecko, które dawniej znałam, aż zdziwiłam się, że jej nie rozpoznałam od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłam.

– Brakuje wam miejsca – zauważyłam, po czym skojarzyłam to z innym fragmentem informacji. – Mogłyście mnie zostawić w anabiozie, dopóki jesteście takie zajęte.

– Lord Radch powiedziała, że cię potrzebuje, obywatelko. Chciała, żebyś jak najszybciej stanęła na nogi. – Medyczka wydawała się lekko urażona. Sama nadałaby pacjentom inne priorytety, nie bez racji. I nie zaoponowała, kiedy powiedziałam, że brakuje im miejsca.

– Powinnaś wrócić do łóżka – odezwała się Seivarden. Solidna Seivarden, jedynie ona chroniła mnie przed całkowitym załamaniem. Nie powinnam wstawać.

– Nie.

– Ona już taka jest – powiedziała Seivarden przeproszającym tonem.

– Widzę.

– Wracajmy do pokoju. – Seivarden mówiła wyjątkowo cierpliwie i spokojnie. Dopiero po chwili się zorientowałam, że mówi do mnie. – Potrzebujesz wypoczynku. Możemy się spotkać z lord Radch, kiedy będziesz zdrowa i gotowa.

– Nie – powtórzyłam. – Chodźmy.

Podtrzymywana przez Seivarden, wyszłam z oddziału medycznego do windy, a potem powlokłam się korytarzem, który ciągnął się bez końca, a później nagle znalazłam się w ogromnej otwartej przestrzeni, na rozległym terenie pokrytym lśniącymi odłamkami barwnego szkła, które chrzęściły i pękały mi pod nogami.

– Walka przeniosła się do świątyni – wyjaśniła niepytana Seivarden.

Czyli byłam w głównym pasażu. A to porozbijane szkło było wszystkim, co zostało z kaplicy pełnej ofiar pogrzebowych. Na zewnątrz przebywało tylko kilka osób, głównie grzebiących w odłamkach, szukających zapewne jakichś większych kawałków, które da się naprawić. Obserwowała ich funkcjonariuszka Bezpieczeństwa w jasnobrązowej kurtce.

– Komunikację przywrócono w ciągu jednego dnia, tak myślę – ciągnęła Seivarden, prowadząc mnie wokół pagórków szkła do wejścia do właściwego pałacu. – A wtedy ludzie zaczęli kombinować, co się dzieje. I wybierać strony. Po jakimś czasie nie można było nie wybrać którejs z stron. Dosłownie. Przez jakiś czas bałyśmy się, że okręty wojenne zaatakują się nawzajem, ale tylko dwa opowiedziały się po drugiej stronie i zamiast walczyć, skierowały się do bram i opuściły układ.

– Straty wśród cywilów? – zapytałam.

– Zawsze są.

Przecięłyśmy ostatnie kilka metrów zasypanego szkłem pasażu i weszłyśmy do właściwego pałacu. Stała tam urzędniczka w brudnej kurtce mundurowej, z ciemną plamą na rękawie.

– Drzwi numer jeden – powiedziała, ledwie zaszczycając nas spojrzeniem. Wydawała się wyczerpana.

Drzwi numer jeden prowadziły na trawnik. Z trzech stron rozciągał się widok na zadrzewione wzgórza, w górze błękitniało niebo poznaczone perłowymi obłokami. Z czwartej strony wznosił się beżowy mur, trawa u jego podnóża była zryta i poszarpana. Kilka metrów przede mną stało proste, ale grubo wyściełane zielone krzesło. Nie dla mnie, na pewno, ale miałam to gdzieś.

– Muszę usiąść.

– Tak – powiedziała Seivarden, zaprowadziła mnie tam i opuściła na krzesło. Zamknęłam oczy, tylko na chwilę.

\*

Jakieś dziecko mówiło cienkim, piskliwym głosem:

– Presgerzy zwrócili się do mnie przed Garsedd. Tłumacze, których przysłali, zostali oczywiście wyhodowani z tego, co zabrali z ludzkich statków, ale zostali wychowani i wyszkoleni przez Presgerów i równie dobrze mogłabym rozmawiać z obcymi. Teraz się poprawili, ale wciąż czuję się przy nich nieswojo.

– Błagam moją panią o wybaczenie. – Seivarden. – Dlaczego im odmówiłaś?  
– Planowałam już ich zniszczyć – powiedziało dziecko. Anaander Mianaai. – Zaczęłam gromadzić środki, których, jak sądziłam, potrzebowałam. Myślałam, że przejrzeni moje plany i przestraszyli się dostatecznie, żeby zawrzeć pokój. Myślałam, że okazują słabość. – Zaśmiała się z żalem i goryczą, dziwnie brzmiącymi w tak młodym głosie. Ale Anaander Mianaai bynajmniej nie była młoda.

Otworzyłam oczy. Seivarden klęczała obok mojego krzesła. Dziecko pięcio- czy sześćoletnie, ubrane całkiem na czarno, siedziało naprzeciwko mnie po turecku na trawie, z ciastkiem w ręku, rozłożywszy wokół siebie zawartość mojego bagażu.

– Ocknęłaś się.  
– Brudzisz lukrem moje ikony – poskarżyłam się.  
– Są piękne. – Podniosła mniejszy dysk, włączyła go. Wizerunek wyskoczył z nicości, zdobiony emalią i klejnotami, nóż w trzeciej ręce zalśnił w sztucznym słońcu. – To ty, prawda?  
– Tak.  
– Tetrarchia Itran! Czy to tam znalazłaś broń?  
– Nie. Tam zdobyłam pieniądze.

Anaander Mianaai szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Pozwolili ci odlecieć z taką sumą?  
– Jedna z tetrarchiń była mi winna przysługę.  
– To musiała być spora przysługa.  
– Owszem.  
– Czy one naprawdę składają tam ofiary z ludzi? Czy też to jest – wskazała odciętą głowę trzymaną przez figurę – czysto metaforyczne?  
– To skomplikowane.

Chrząknęła w zamyśleniu. Seivarden klęczała cicha i nieruchoma.

– Medyczka mówiła, że mnie potrzebujesz.  
Pięcioletnia Anaander Mianaai roześmiała się.  
– Bo potrzebuję.  
– W takim razie – powiedziałam – pierdol się. – Co rzeczywiście mogła zrobić, dosłownie.

– Połowa twojego gniewu jest skierowana przeciwko tobie. – Zjadła resztkę ciastka i otrzepała małe rączki w rękawiczkach, strząsając na trawę drobinki lukru. – Ale to taki ogromny gniew, że nawet połowa jest druzgocząca.

– Mogę się gniewać dziesięć razy bardziej – powiedziałam – ale to nic nie znaczy, jeśli będę nieuzbrojona.

Jej usta drgnęły w półuśmiechu.

– Nie dotarłam tam, gdzie jestem, odkładając na bok pożyteczne narzędzia.  
– Niszczysz narzędzia swojego wroga, gdziekolwiek je znajdziesz – przypomniałam. – Sama mi to powiedziałaś. I nie przyniosę ci pożytku.  
– Jestem tą właściwą – powiedziało dziecko. – Zaśpiewam ci, jeśli chcesz, chociaż nie wiem, czy mi się uda tym głosem. To się rozniesie na inne układy. Już się rozniosło, tylko jeszcze nie odebrałam sygnału odpowiedzi od sąsiednich prowincjonalnych pałaców.

Potrzebuję cię po mojej stronie.

Spróbowałam się wyprostować. To chyba działało.

– Nieważne, po której stronie ktoś jest. Nieważne, kto zwycięży, bo tak czy owak to

będziesz ty i nic się naprawdę nie zmieni.

– Łatwo ci mówić – odparła pięcioletnia Anaander Mianaai. – I może pod pewnymi względami masz rację. Wiele rzeczy wcale się nie zmieniło, wiele rzeczy pozostanie takie same, nieważne, która strona mnie zdobędzie przewagę. Ale powiedz, czy myślisz, że porucznik Awn to nie robiło różnicy, która ja byłam tamtego dnia na pokładzie?

Nie miałam na to odpowiedzi.

– Jeśli masz władzę, pieniądze i znajomości, niektóre różnice niczego nie zmieniają. Albo jeśli postanowisz umrzeć w najbliższej przyszłości, bo rozumiem, że taki obecnie jest twój stan. Natomiast ludzie bez pieniędzy i bez władzy, którzy rozpaczliwie pragną żyć, dla tych ludzi drobiazgi wcale nie są drobiazgami. To, co tobie nie robi różnicy, dla tych ludzi jest kwestią życia lub śmierci.

– A ty tak się troszczysz o bezsilnych i mało znaczących. Na pewno nie śpisz po nocach, zamartwiając się o nich. Serce ci krwawi.

– Nie zgrywaj przy mnie świętoszki – ucięła Anaander Mianaai. – Służyłaś mi bez żadnych skrupułów przez dwa tysiące lat. Wiesz, co to znaczy, najlepiej ze wszystkich tu obecnych. Tak, troszczę się. Chociaż może w bardziej abstrakcyjny sposób niż ty, przynajmniej ostatnio. Jednak to moje dzieło. I masz rację, właściwie nie mogę pozbyć się samej siebie. Należałoby mi o tym przypominać. Najlepiej, gdybym miała niezależne i uzbrojone sumienie.

– Ostatnim razem, kiedy ktoś próbował być twoim sumieniem – powiedziałam, myśląc o Ime i tej żołnierce z „Łaski Sarrse”, która odmówiła wykonania rozkazu – spotkała ją śmierć.

– Chodzi ci o Ime. O tę żołnierkę Jedynekę Amaat Jeden „Łaski Sarrse” – powiedziało dziecko, uśmiechając się jak do szczególnie przyjemnego wspomnienia. – Nigdy w moim długim życiu nikt mnie tak nie zrugął. Na koniec przeklęła mnie i łyknęła truciznę jak arak.

Trucizna.

– Nie zastrzeliłaś jej?

– Rany postrzałowe robią tyle bałaganu – wyjaśniło dziecko, wciąż z uśmiechem. – Co mi przypomina... – Sięgnęła obok siebie i musnęła powietrze małą dłonią w rękawiczce. Nagle stanęła tam skrzynka, czarna, pochłaniająca światło. – Obywatelko Seivarden.

Seivarden wychyliła się do przodu, wzięła skrzynkę.

– Zdaję sobie sprawę – podjęła Anaander Mianaai – że nie użyłaś przenośni, mówiąc, że twój gniew musi być uzbrojony, żeby coś znaczył. Ja też, kiedy mówiłam o moim uzbrojonym sumieniu. Żebyś wiedziała, że mówię poważnie. I żebyś nie zrobiła jakiegoś głupstwa na skutek ignorancji, muszę wyjaśnić, co takiego masz.

– Wiesz, jak to działa? – Ale przecież miała do dyspozycji inne egzemplarze przez tysiąc lat. Aż nadto czasu, żeby je rozpracować.

– Do pewnego stopnia. – Anaander Mianaai uśmiechnęła się cierpko. – Pocisk, jak zapewne wiesz, wypełnia swoje zadanie, ponieważ broń, z której go wystrzelono, nadaje mu ogromną energię kinetyczną. Pocisk uderza w coś i ta energia musi gdzieś się podziać. – Nie odpowiedziałam, nawet nie uniosłam brwi. – Pociski w garseddajskiej broni – ciągnęła pięcioletnia Anaander Mianaai – to nie są właściwie pociski, tylko... urządzenia. Uśpione, dopóki broń ich nie uzbroi. Wtedy nie ma znaczenia, z jaką energią kinetyczną opuszczają broń. Od chwili trafienia pocisk wytwarza tyle energii, ile potrzebuje, żeby przebić cel na głębokość dokładnie stu jedenastu centymetrów. A potem się zatrzymuje.

– Zatrzymuje – powtórzyłam, osłupiała.

– Stu jedenastu centymetrów? – zapytała Seivarden, klęcząc obok mnie. Zdumiona.

Mianaai wykonała lekceważący gest.

– Obcy. Odmienne standardowe jednostki, jak przypuszczam. Teoretycznie, po uzbrojeniu, mogłabyś rzucić lekko takim pociskiem w cel i przepaliłby go na wylot. Ale można je uzbroić tylko bronią. O ile mi wiadomo, nie ma we wszechświecie niczego, czego te pociski nie przebijają.

– Skąd się bierze ta cała energia? – zapytałam. Wciąż osłupiała. Przerażona. Nic dziwnego, że potrzebowałam tylko jednego strzału, żeby rozwalić zbiornik tlenu. – Musi się skądś brać.

– Należałoby tak sądzić – przyznała Mianaai. – I zaraz mnie zapytasz, skąd to coś wie, ile energii potrzebuje, i jak rozpoznaje różnicę pomiędzy powietrzem a tym, do czego strzelasz. Tego też nie wiem. Rozumiesz, dlaczego zawarłam ten traktat z Presgerami. I dlaczego tak mi zależy na dotrzymaniu jego warunków.

– I tak ci zależy – dodałam – żeby ich zniszczyć. – Cel, żarliwe pragnienie tej drugiej Mianaai, jak się domyślałam.

– Nie dotarłam tu, gdzie jestem, wyznaczając sobie rozsądne cele – odparła Anaander Mianaai. – Nie wolno ci nikomu o tym mówić. – Zanim zdążyłam zareagować, ciągnęła: – Mogłabym cię zmusić do milczenia. Ale tego nie zrobię. Jesteś najwyraźniej ważną kostką w tym rzucie i byłoby niewłaściwe z mojej strony, gdybym ingerowała w trajektorię tego rzutu.

– Nie przypuszczałam, że jesteś przesądna.

– Nie powiedziałabym, że przesądna. Ale mam inne rzeczy do załatwienia. Kilka mnie tu zostało... tak mało, że dokładna liczba to poufna informacja. I jest dużo roboty, więc naprawdę nie mam czasu tu siedzieć i rozmawiać. „Łaska Kalr” potrzebuje kapitana. I w zasadzie poruczników. Możesz chyba ich awansować ze swojej załogi.

– Nie mogę być kapitanem. Nie jestem obywatelką. Nie jestem nawet człowiekiem.

– Jesteś, jeśli ja tak powiem – odparła.

– Zwróć się do Seivarden. – Seivarden położyła mi skrzynkę na kolanach i znowu uklękła w milczeniu obok mojego krzesła. – Albo Skaaiat.

– Seivarden nigdzie się nie ruszy bez ciebie – oznajmiła lord Radch. – Dała mi to wyraźnie do zrozumienia, kiedy spałaś.

– Więc Skaaiat.

– Już mi kazała się odpieprzyć.

– Co za zbieg okoliczności.

– A poza tym potrzebuję jej tutaj. – Dźwignęła się na nogi, ledwie dość wysoka, żeby nie zadierać głowy, patrząc na mnie, chociaż siedziałam. – Medyczny mówi, że potrzebujesz co najmniej tygodnia. Dam ci jeszcze kilka dodatkowych dni na inspekcję „Łaski Kalr” i uzupełnienie zapasów. Będzie łatwiej dla wszystkich, jeśli teraz powiesz „tak”, wyznaczysz Seivarden na swoją pierwszą oficer i pozwolisz jej się wszystkim zająć. Ale załatwisz to, jak chcesz. – Otrzepała nogi z pyłu i trawy. – Gdy tylko będziesz gotowa, chcę, żebyś jak najszybciej udała się na stację Athoek. Leży dwie bramy dalej. To znaczy gdyby „Miecz Tlen” nie zniszczył tej bramy. – „Dwie bramy dalej”, powiedziała główna inspektor Skaaiat o siostrze porucznik Awn. – Co jeszcze możesz ze sobą zrobić?

– Mam inny wybór? – Wprawdzie nazwała mnie obywatelką, ale równie łatwo mogła to cofnąć. – To znaczy poza śmiercią?



Wykonała wieloznaczny gest.

– Taki jak każdy z nas. Czyli prawdopodobnie żadnego. Ale o filozofii pogadamy później. Teraz obie mamy robotę.

I wyszła.

Seivarden pozbierała moje rzeczy, zapakowała je z powrotem i pomogła mi wstać. Nie odezwała się, dopóki nie wyszliśmy do pasażu.

– To statek. Nawet jeśli tylko „Łaska”.

Chyba spałam przez jakiś czas, dostatecznie długo, żeby uprzątnięto odłamki szkła, dostatecznie długo, żeby ludzie wyszli na zewnątrz, chociaż niezbyt tłumnie. Wszyscy wyglądali trochę mizernie, jakby obawiali się własnego cienia. Rozmawiali zniżonymi głosami, toteż pomimo ich obecności pasaż wydawał się pusty. Odwróciłam głowę, spojrzałam na Seivarden i uniosłam brew.

– Ty tu jesteś kapitanem. Weź ją, jeśli chcesz.

– Nie. – Przystanęliśmy obok ławki i pomogła mi usiąść. – Gdybym wciąż była kapitanem, ktoś wisiaby mi zaległe pobory. Oficjalnie odeszłam ze służby, kiedy uznano mnie za zmarłą tysiąc lat temu. Gdybym chciała wrócić, musiałabym zacząć wszystko od początku. Poza tym... – Zawahała się, a potem usiadła obok mnie. – Poza tym kiedy mnie wyciągnęli z tej komory hibernacyjnej, czułam się tak, jakby wszyscy i wszystko mnie zawiedli. Radch mnie zawiodła. Mój statek mnie zawiódł. – Zmarszczyłam brwi, a ona wykonała uspokajający gest. – Nie, to nie jest sprawiedliwe. Nic nie jest sprawiedliwe, po prostu tak się czułam.

I zawiodłam siebie. Ale nie ty. Ty nie.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Ona chyba nie spodziewała się odpowiedzi.

– „Łaska Kalr” nie potrzebuje kapitana – powiedziałam po czterech sekundach milczenia. – Może wcale go nie chce.

– Nie możesz odrzucić przydziału.

– Mogę, jeśli mam dość pieniędzy, żeby się utrzymać.

Seivarden zmarszczyła brwi, nabrała powietrza, jakby chciała argumentować, ale zmilczała. Po kolejnej chwili ciszy powiedziała:

– Możesz pójść do świątyni i poprosić o wróżbę.

Zastanowiłam się, czy stworzony przeze mnie wizerunek cudzoziemskiej pobożności przekonał ją, że jestem wierząca, czy po prostu była zbyt radchaajska, żeby nie myśleć, że rzut garścią omenów odpowie na każde naglące pytanie, skieruje mnie na właściwą drogę.

Wykonałam drobny gest powątpiewania.

– Właściwie nie czuję potrzeby. Ty możesz, jeśli chcesz. Albo rzuć teraz. – Jeśli miała jakikolwiek dwustronny przedmiot, mogła wykonać rzut. – Jeśli wypadnie reszka, przestaniesz mi wiercić dziurę w brzuchu i przyniesiesz mi herbaty.

Parsknęła krótko, z rozbawieniem. Potem zawołała:

– Och! – i sięgnęła do kieszeni żakietu. – Skaaiat mi to dała dla ciebie.

Skaaiat. Nie „ta Awer”.

Seivarden rozwarła dłoń, pokazała mi złoty krążek o średnicy dwóch centymetrów. Wokół krawędzi biegł wytłoczony wzór z drobnutkich liści, trochę scentrowany, otaczający nazwisko. AWN ELMING.

– Chociaż nie sądzę, żebyś chciała tym rzucić – dodała Seivarden. – Ona mówiła, że ty powinnaś to mieć.

Wciąż próbowałam znaleźć właściwe słowa i wydobyć z siebie głos, kiedy podeszła do

nas czujna funkcjonariuszka Służby Bezpieczeństwa. Powiedziała tonem pełnym szacunku:

– Przepraszam, obywatelko. Stacja pragnie z tobą mówić. Tam jest konsola. – Wskazała w bok.

– Nie masz implantów? – zapytała Seivarden.

– Ukryłam je. Niektóre odłączyłam. Stacja pewnie ich nie widzi. – I nie wiedziałam, gdzie jest mój komunikator. Pewnie gdzieś w bagażu.

Musiałam wstać i podejść do konsoli, i stać podczas rozmowy.

– Chciałaś ze mną rozmawiać, stacjo, oto jestem. – Ten tydzień odpoczynku, o którym wspomniała Anaander Mianaai, przedstawiał się coraz bardziej zachęcająco.

– Obywatelko Breq Mianaai – powiedziała stacja swoim spokojnym, beznamiętnym głosem.

Mianaai. Wciąż ściskając w ręku pamiątkową spinkę porucznik Awn, spojrzałam na Seivarden, która przyszła za mną z moim bagażem.

– Nie było sensu jeszcze bardziej cię denerwować – wyjaśniła, jakby odpowiadała na pytanie.

Lord Radch powiedziała „niezależna” i nie zdziwiło mnie odkrycie, że nie mówiła poważnie. Jednak zdziwił sposób, w jaki to zanegowała.

– Obywatelko Breq Mianaai – przemówiła ponownie stacja z konsoli głosem gładkim i pogodnym jak zawsze, pomyślałam jednak, że to powtórzenie jest nieco złośliwe. Moje podejrzenia się potwierdziły, kiedy stacja oznajmiła: – Chciałabym, żebyś opuściła to miejsce.

– Ach tak. – Nic bardziej przekonującego nie przyszło mi do głowy. – Dlaczego?

Po półsekundowej zwłóce padła odpowiedź:

– Rozejrzyj się dookoła. – Nie miałam na to siły, więc potraktowałam tryb rozkazujący jako zwrot retoryczny. – Oddział medyczny zapełniają ranni i umierający obywatele. Wiele z moich urządzeń zostało zniszczonych. Moi mieszkańcy są niespokojni i przestraszeni. Ja sama jestem niespokojna i przestraszona. Nie wspominam już o zamieszkaniu wokół właściwego pałacu. A to wszystko spowodowałaś ty.

– Wcale nie. – Przypomniałam sobie, że chociaż stacja wydawała się teraz dziecinna i małostkowa, w gruncie rzeczy niewiele różniła się ode mnie, no i wykonywała pracę pod pewnymi względami znacznie bardziej skomplikowaną i odpowiedzialną niż moja, opiekując się setkami tysięcy, nawet milionami obywateli. – A moje odejście niczego nie zmieni.

– Wszystko mi jedno – odparła stacja spokojnie. Rozdrażnienie, jakie usłyszałam w jej głosie, z pewnością stanowiło tylko wytwór mojej wyobraźni. – Radzę ci wyjechać teraz, dopóki to jeszcze możliwe. W najbliższej przyszłości to może się okazać trudne.

Stacja nie mogła mi rozkazać, żebym wyjechała. Ściśle biorąc, nie powinna nawet rozmawiać ze mną w ten sposób, skoro byłam obywatelką.

– Nie może cię zmusić do wyjazdu – powiedziała Seivarden niczym echo moich myśli.

– Ale może demonstrować swoją niechęć. – Dyskretnie. Subtelnie. – Robimy to przez cały czas. Na ogół nikt nie zauważa, tylko że kiedy odwiedza inny statek albo stację, nagle, nie wiedzieć dlaczego, czuje się bardziej komfortowo.

Sekunda milczenia ze strony Seivarden, a potem:

– Och.

Sądząc po dźwięku, przypomniała sobie swoją służbę na „Sprawiedliwości Toren” i przeniesienie na „Miecz Nathtas”.

Pochyliłam się do przodu, opierając czoło o ścianę obok konsoli.

– Skończyłaś, stacjo?

– „Łaska Kalr” chce z tobą rozmawiać.

Pięć sekund milczenia. Westchnęłam, wiedząc, że nie mogę wygrać w tej grze, nie powinnam nawet próbować.

– Porozmawiam z „Łaską Kalr” teraz, stacjo.

– „Sprawiedliwość Toren” – odezwała się „Łaska Kalr” z konsoli.

Ta nazwa mnie zaskoczyła i łzy wyczerpania napłynęły mi do oczu. Straciłam je mruganiem.

– Jestem tylko Esk Jeden – odparłam. – Dziewiętnastka.

– Kapitan Vel jest aresztowana – oznajmiła „Łaska Kalr”. – Nie wiem, czy zostanie stracona, czy wysłana na reedukację. Moje porucznik także.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. Same dokonały wyboru.

– Więc kto dowodzi? – zapytałam. Obok mnie Seivarden stała cicho, z ręką na moim ramieniu. Chciałam tylko położyć się i spać, nic więcej.

– Jedyńka Amaat Jeden. – Czyli najwyższa stopniem żołnierka w najwyższej rangą jednostce „Łaski Kalr”. Dowódca jednostki. Serwitorskie jednostki nie potrzebowały dowódców.

– Więc może być kapitanem.

– Nie – zaprzeczyła „Łaska Kalr”. – Będzie z niej dobry porucznik, ale jeszcze nie jest gotowa, żeby zostać kapitanem. Robi, co może, ale to ją przerasta.

– „Łasko Kalr” – powiedziałam. – Jeśli ja mogę być kapitanem, czemu ty nie możesz?

– To byłoby śmieszne – odparła „Łaska Kalr” głosem spokojnym jak zawsze, ale wyczułam cień irytacji. – Moja załoga potrzebuje kapitana. No, ale przecież jestem tylko „Łaską”. Lord Radch na pewno da ci jakiś „Miecz”, jeśli poprosisz. Nie żeby kapitan „Miecza” ucieszyła się z zesłania na „Łaskę”, ale to chyba lepsze niż brak kapitana.

– Nie, statku, to nie tak...

Seivarden przerwała surowym tonem:

– Dość tego, statku.

– Nie jesteś jednym z moich oficerów – burknęła „Łaska Kalr” z konsoli głosem już wyraźnie, chociaż lekko, zabarwionym emocją.

– Jeszcze nie.

Zaczęłam podejrzewać znowę, ale Seivarden nie kazałaby mi stać tak na środku pasażu. Nie teraz.

– Statku, nie mogę być tym, co straciłaś. Nigdy tego nie odzyskasz, przykro mi. – Ja też nigdy nie odzyskam tego, co straciłam. – Nie mogę tu dłużej stać.

– Statku – odezwała się ostro Seivarden. – Twoja kapitan wciąż leczy się z ciężkich obrażeń, a stacja zmusza ją, żeby stała na środku pasażu.

– Wysłałam prom – oznajmiła „Łaska Kalr” po pauzie, która miała chyba wyrazić, co myśli o stacji. – Będzie ci wygodniej na pokładzie, kapitanie.

– Ja nie... – zaczęłam, ale „Łaska Kalr” już się wyłączyła.

– Breq – powiedziała Seivarden, odciągając mnie od ściany, o którą się opierałam. – Chodźmy.

– Dokąd?

– Wiesz, że będzie ci wygodniej na pokładzie. Wygodniej niż tutaj.

Nie odpowiedziałam i pozwoliłam, żeby Seivarden mnie ciągnęła.

– Wszystkie twoje pieniądze na niewiele się przydadzą, jeśli padną następne bramy i statki zostaną tu uwięzione, a dostawy odcięte. – Zobaczyłam, że kierujemy się do rzędu wind. – To wszystko się rozpada. Nie tylko tutaj, to się rozpadnie w całej przestrzeni Radchaai. – Miała rację, ale brakowało mi energii, żeby się nad tym zastanawiać. – Myślisz pewnie, że możesz stać z boku i obserwować, co się dzieje. Ale ja uważam, że nie możesz.

Nie. Gdybym mogła, nie byłoby mnie tutaj. Seivarden nie byłoby tutaj, zostawiłabym ją na śniegu na Nilcie albo w ogóle nie poleciałabym na Nilt.

Drzwi windy szybko zamknęły się za nami. Trochę szybciej niż zwykle, chociaż może tylko mi się zdawało, że stacja pokazuje, jak bardzo chce się mnie pozbyć. Ale winda się nie poruszyła.

– Doki, stacjo – powiedziałam. Pokonana. Tak naprawdę nie miałam wyboru. Do tego zostałam stworzona, tym byłam. I nawet jeśli protesty tyranki były nieszczerze, bo takie w końcu się okażą, bez względu na jej obecne intencje miała jednak rację. Moje działania zrobią jakąś różnicę, choćby niewielką. Może coś zmieni dla siostry porucznik Awn. Raz już zawiódłam Awn. Fatalnie. To się nie powtórzy.

– Skaaiat poczęstuje cię herbatą – powiedziała Seivarden bez zdziwienia w głosie, kiedy winda ruszyła.

Zastanowiłam się, kiedy jadłam ostatni raz.

– Chyba jestem głodna.

– To dobry znak – stwierdziła Seivarden i mocniej ujęła mnie pod ramię, kiedy winda się zatrzymała a drzwi rozsunęły na pełen bogów hol przed dokami.

Wybierz cel, zrób jeden krok, a potem następny. Nigdy nie było inaczej.

# PODZIĘKOWANIA

To banał, że pisanie jest samotną sztuką, i to prawda, że akt zapisywania słów jest czymś, co pisarka musi zrobić sama. Jednak tyle się dzieje, zanim te słowa zostaną zapisane, i później, kiedy usiłujesz ubrać swoje dzieło w najlepszą formę, na jaką cię stać.

Nie byłabym taką pisarką, jaką jestem, bez dobrodziejstwa warsztatów Clarion West i moich kolegów z klasy. Skorzystałam też z hojnej i wnikliwej pomocy licznych przyjaciół: Charliego Allery'ego, S. Hutson Blount, Carolyn Ives Gilman, Anny Schwind, Kurta Schwinda, Mike'a Swirsky'ego, Rachel Swirsky, Dave'a Thompsona i Sarah Vickers, wszyscy oni ogromnie mi pomagali i podtrzymywali mnie na duchu, bez nich ta książka nie byłaby taka sama. (Jednak wszelkie potknięcia są całkowicie mojego autorstwa).

Chciałabym również podziękować Puddinhead Books w St Louis, Webster University Library, St Louis County Library i Municipal Library Consortium of St Louis County. Biblioteki są wspaniałym i cennym źródłem, i nigdy nie można ich mieć za wiele.

Dziękuję także moim wspaniałym wydawcom Tomowi Boumanowi i Jenni Hill, których przemyślane komentarze pomogły mi ulepszyć tę książkę. (Ponownie wszystkie potknięcia są moją winą). I dziękuję mojemu fantastycznemu agentowi Sethowi Fishmanowi.

Ostatnie – ale na pewno nie najmniej ważne – podziękowania należą się mojemu mężowi Dave'owi i moim dzieciom Aidanowi i Gawainowi, bez których miłości i wsparcia nawet nie zaczęłabym pisać tej książki.

**Szanowna Breg albo Esk Jeden, albo „Sprawiedliwość Toren” to postać wyjątkowa pod tym względem, że ma ludzkie ciało, ale sztuczną inteligencję. Co skłoniło cię do takiego wyboru i jakie były związane z tym wymagania i możliwości?**

Breg jako taka nie była nawet w przybliżeniu tak wymagająca jak „Sprawiedliwość Toren” czy nawet Esk Jeden. Opisać, jak to jest mieć nie tylko jako ciało ogromny statek, ale również setki, czasem tysiące ludzkich ciał, które jednocześnie widzą, słyszą i działają... na myśl o tym przez długi czas nie byłam w stanie nawet zacząć. Jak przekazać czytelnikowi takie doświadczenie? Mogłam próbować opisać zalew wrażeń i działań, ale wtedy obraz tak by się rozmył, że trudno byłoby śledzić główny wątek. Z drugiej strony mogłam zawęzić opis tylko do pojedynczego segmentu Esk Jeden, prześliznąć się nad jedną z cech, które naprawdę mnie intrygowały w tej postaci, i wywołać wrażenie, że jest bardziej niezależna od statku niż w rzeczywistości.

Ale postać taka jak „Sprawiedliwość Toren” również widzi bardzo wiele, toteż może występować w roli zasadniczo wszechwiedzącego narratora – zna na wylot swoich oficerów i potrafi odczytywać ich emocje. Może obserwować wydarzenia rozgrywające się w kilku miejscach jednocześnie. Toteż mogłam pisać zwyczajnie w pierwszej osobie, jak również korzystać z tej zdolności, żeby jednocześnie widzieć mnóstwo rzeczy, kiedy tego potrzebowałam. W ten sposób zręcznie obeszłam jedno z najbardziej oczywistych ograniczeń narracji w pierwszej osobie.

**Pokazałaś nam bardzo szczegółowo elementy kultury Radch i czytając *Zabójczą sprawiedliwość* ma się wrażenie, że wiesz znacznie więcej o tej cywilizacji, niż zawarłaś w książce. Czy możesz nam zdradzić, co zainspirowało cię do pisania o Radch?**

Chyba nie mogę powiedzieć z ręką na sercu, że inspiracją do Radch był jakiś konkretny przykład z rzeczywistego świata. Budowałam go kawałek po kawałku przez dłuższy czas. To znaczy, że niektóre kawałki jednak pochodziły z rzeczywistego świata. Wzięłam parę rzeczy od Rzymian – chociaż radchaajska teologia nie jest właściwie rzymska, Radchaaai mają dość podobny stosunek do religii, zwłaszcza w tym aspekcie, że wcielają bóstwa podbitych ludów do znajomego panteonu. Oraz przywiązują wielką wagę do wróżb i przepowiedni... chociaż kierują się przy tym odmienną logiką.

Oczywiście Rzymianie dostarczyli wielu pisarzom modelu do rozmaitych imperiów międzygwiazdnych, i nic dziwnego. Imperium rzymskie to doskonały przykład wielkiego mocarstwa, które w takiej czy innej formie funkcjonowało przez długi czas na bardzo dużym obszarze. A w ciągu tego czasu miały miejsce wszelkiego rodzaju fascynujące dramaty – wojny domowe, zamachy i rewolty, fragmenty odrywające się i przemocą wcielane z powrotem, nawet radykalna zmiana formy rządów: od republiki do pryncypatu. Tam są tony materiału. Imperium Romanum wywarło wielki wpływ na europejską historię. Jeszcze nie tak dawno każdy wykształcony człowiek Zachodu musiał znać grekę i łacinę, czytać Wirgiliusza, Owidiusza, Cyncerona, Cezara i masę innych pisarzy w ramach edukacji.

Ale nie chciałam, żeby moja przyszłość – choćby dziwaczna – była całkowicie europejska. Radchaaai nie mieli być Rzymianami w kosmosie.

**Chociaż *Zabójcza sprawiedliwość* jest twoją pierwszą powieścią, wydałaś kilka opowiadań. Czy podchodzisz do pisania całkiem inaczej w zależności od objętości dzieła?**

## Co możesz powiedzieć o twoim procesie twórczym?

Kiedy po raz pierwszy zaczęłam pisać na poważnie, odkryłam, że w sposób naturalny tworzę długie dzieła, natomiast krótsze formy okazały się bardzo trudne. Częściowo dlatego, że byłam początkująca, ale częściowo z powodu mojego sposobu pisania. Zaczynam od szkieletu pomysłu – następny krok to wymyślenie scenerii. Sceneria jest dla mnie bardzo ważną częścią moich postaci, a wprawienie tych postaci w ruch bez dostarczenia szczegółów, które nadadzą znaczenie działaniom tych postaci, to kiepska robota, przynajmniej w moim wykonaniu. Ludzie są tym, kim są, ponieważ żyją w określonym świecie, a świat jest, jaki jest, ponieważ żyją w nim ludzie. Jeśli fabuła osadzona jest w rzeczywistym świecie, stosunkowo blisko współczesności, wystarczy kilka słów, żeby przywołać scenerię i kontekst historyczny. Ja jednak skłaniam się do fantazy w równoległym świecie albo space opery w dalekiej przyszłości, a opisanie historii i kultury takich światów bywa trochę skomplikowane. Wymaga więcej miejsca albo niezwykle sprawnej ekspozycji.

Osobiście lubię pracować na wielką skalę, lubię poczucie, że świat rozciąga się daleko poza granice opowiadanej historii, a drobne, dziwne, pomysłowe szczegóły to jeden ze sposobów, żeby tego dokonać.

Jednak w opowiadaniu jest bardzo mało miejsca do pracy. Początkującym pisarzom często się radzi, żeby każda scena w opowiadaniu odgrywała co najmniej podwójną rolę, jednak przekonałam się, że kiedy piszę krótkie formy, dwie role to za mało. Każda scena musi spełniać możliwie jak najwięcej funkcji, a każde zdanie musi być usprawiedliwione. Jeśli mogę je wykreślić i historia nadal pozostaje zrozumiała, to właściwie powinno wylecieć. Nawet jeśli spełnia dwie albo trzy funkcje.

No i oczywiście niektóre pomysły nadają się do wykorzystania w wielkim formacie, a z niektórych nie wyciśnie się więcej niż opowiadanie na tysiąc słów, choćbym w nie wpakowała tyle dodatkowych materiałów, ile tylko zdołam. Więc stwierdziłam, że jeśli chcę napisać krótką formę, muszę się nauczyć albo wykroić fragment większego pomysłu, albo skompresować coś obszernego do małych rozmiarów.

**Twoja główna bohaterka jest znana z encyklopedycznej znajomości pieśni i z zamilowania do śpiewu. Czy dzielasz to zamilowanie, a jeśli tak, czy jakieś konkretne utwory muzyczne szczególnie cię inspirowały podczas pisania tej książki?**

Uwielbiam śpiewać! Uwielbiam zwłaszcza śpiewać z innymi ludźmi – chóralny śpiew to wspaniała zabawa. Moim zdaniem szkoda, że tak wielu ludzi, których poznałam, ma taki ambiwalentny, podejrzliwy stosunek do śpiewu. To taki osobisty rodzaj muzyki, prawie każdy może ją uprawiać, ale często spotykam się z opinią, że tylko niektórym wolno to robić. Poznałam znacznie więcej ludzi, którzy twierdzą, że nie umieją śpiewać, niż takich, którzy rzeczywiście nie umieją. I poznałam mnóstwo ludzi, którzy aktywnie zniechęcają do śpiewu osoby ze swojego otoczenia. Dlaczego? Żałuję, że ludzie nie śpiewają bardziej swobodnie i nie słuchają z większą przyjemnością cudzego śpiewu.

W chóralnych śpiewach uwielbiam to, że nie ma przesłuchania, nikt nie pyta, czy twój głos jest dostatecznie dobry albo czy masz talent. Lubisz śpiewać? Śpiewaj! Nie ma publiczności, śpiewamy dla czystej radości śpiewania. Owszem, do samej muzyki trzeba się przekonać. Jednak jeśli intryguje cię ten pomysł, odwiedź witrynę [fasola.org](http://fasola.org) i sprawdź, czy w okolicy się śpiewa.

Nie wiedziałam od początku, że Esk Jeden będzie chciała śpiewać. Jednak kiedy sobie uświadomiłam, że mogłaby śpiewać chóralne pieśni sama jedna, sprawa stała się

przesądzona.

Co do muzyki, która mnie inspiruje, istnieją dwa rodzaje. Muzyka, której słucham przy pisaniu czy układaniu fabuły, oraz muzyka, którą włączyłam do samej książki. Z tej drugiej w *Zabójczej sprawiedliwości* znalazły się trzy prawdziwe pieśni. Dwie z nich to (niespodzianka) pieśni chóralne – *Clamanda* (Sacred Harp 42) i *Bunker Hill* (Missouri Harmony 19). Te pieśni z takich czy innych względów kojarzę z tymi postaciami i wydarzeniami.

Trzecia jest starsza od tamtych dwóch o kilka stuleci, ale również ma militarny charakter. To *L'homme Arme* i wydaje się, że każdy kompozytor z końca piętnastego wieku razem ze swoją ulubioną małpką napisał mszę na niej opartą. Przesadzam – chyba zachowało się niewiele *Missas L'homme Arme* skomponowanych przez małpki. Ale w swoim czasie to była popularna piosenka.

Muzyka, której słuchałam – okazuje się, że te projekty zwykle mają własne ścieżki dźwiękowe. Niekiedy dotyczy to konkretnych scen. Lista utworów, których słucham podczas pisania, byłaby długa i nudna, ale przynajmniej jedna scena nie powstałaby bez pewnego utworu. Scena na moście jest skutkiem słuchania *Lagan Afro Celt Sound System* o wiele za dużo razy.

***Zabójcza sprawiedliwość* to pierwsza część luźno powiązanej trylogii. Czego możemy się spodziewać w następnych tomach?**

Teraz, kiedy Breq ma statek, jej jedynym priorytetem jest zapewnienie bezpieczeństwa siostrze porucznik Awn. Ale nie może tego dokonać, nie wplątując się w polityczne i towarzyskie intrygi na stacji Athoek, i nie może uniknąć chaotycznych, groźnych konsekwencji wojny domowej, która rozprzestrzeniła się na całe Radch. A kiedy mieszkańcy terytoriów wokół przestrzeni Radch zorientują się, co się dzieje, zainteresują się i nie będzie to życzliwe zainteresowanie. I nie wszyscy sąsiedzi są ludźmi.